

Almanach Łącki

*Rótnocznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-spoleczne*

*Nr 21
Rok 2014*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Rozalia Kulasik - finanse
Ewelina Faron - korekta
Anna Kowalska
Anna Brodowska

Copyright by Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej
33-390 Łącko 512

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów
i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Sądeckiego



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Miejsko-Gminnej Bibliotece w Starym Sączu, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

Drodzy Czytelnicy Almanachu Łąckiego!

Numer 21 Almanachu Łąckiego, otwiera drugą dekadę ukazywania się wydawnictwa.

Za to minione dziesięciolecie dziękujemy wszystkim autorom, darczyńcom i sympatykom, którzy nam towarzyszyli i mamy nadzieję, że nadal będą z nami.

Ze względu na stan zdrowia zrezygnował ze współpracy w redakcji p. Andrzej Urbaniec. Redakcja i Kolegium Redakcyjne dziękują p. Andrzejowi Urbańcowi za współtworzenie wydawnictwa i 10 lat niezwykle owocnej współpracy.

Z radością witamy w redakcji Annę Kowalską i Annę Brodowską, polonistki z Zespołu Szkół św. Kingi w Łącku.

Jaki jest numer 21 Almanachu Łąckiego? Ocenę pozostawiamy naszym wiernym Czytelnikom. Ten numer zawiera stałe rozdziały, wspomnienia i wiele fotografii.

Pragnę jedynie zwrócić uwagę na kilka pozycji znajdujących się w tym numerze, by nie odbierać radości i przyjemności poznania całej lektury.

Polecam niezwykle interesujący i inspirujący materiał przedstawiony przez Stefana Pasonia, może zachęci innych by ujawnili swoje pasje i dokonania.

Ciekawe i z pasją napisane wspomnienia zarówno przez prof. Józefa Myjaka jak i prof. Zbigniewa Rdzawskiego, będą świetną lekturą i być może zachęcą innych do spisania swoich wspomnień.

Oczywiście nie zabraknie w tym numerze dalszego ciągu „Historii łąckich Chwalibogów”, to już XI część tej rodzinnej sagi.

Pragnę w tym miejscu podziękować p. Markowi Nowakowi z Myślenic, którego ojciec Kazimierz Nowak był dyrektorem Szkoły Podstawowej w Łącku w latach 50 i 60 XX wieku, przekazał nam bowiem wiele niezwykle cennych fotografii z rodzinnego albumu, kilka znalazło się w tym numerze.

Numer 4/2006 Almanachu Łąckiego będzie dołączony na końcu numeru 22, który ukaże się w maju 2015.

Życząc przyjemnej lektury, czekamy na Państwa listy, polemiki, opinie.

Jadwiga Jastrzębska

Ciotka Ludwika

Była żoną brata mojej matki Władysława Pulita, mówi się więc o niej w rodzinie ciotka Ludwika. W 2015 roku ukończy dziewięćdziesiąt pięć lat. Jest fizycznie sprawna, porusza się samodzielnie. Od czasu do czasu wraz z córką Kazią udaje się do kościoła. Kiedy 16 stycznia br. odwiedziłem ją w domu, wróciła właśnie z pogrzebu Stanisławy Pogwizd, znacznie młodszej od niej sąsiadki, mieszkającej koło cmentarza w Czarnym Potoku. Mieszka w drewnianym domu, który z mężem Władkiem wybudowali w latach pięćdziesiątych. Budowla przestronna, z pokojami na strychu, oszalowana deskami ongiś pomalowanymi na żółto, dzisiaj na białe, z werandą w ostatnich latach rozbudowaną przez syna Janka i obszerną piwnicą, która przez lata służyła też jako przechowalnia jabłek z niewielkiego sadu. Obecnie mieści się tam m.in. kuchnia letnia.

Ludwika ma dla siebie wydzieloną izbę, „izdebkę”, jak się tutaj mówi. Pozostałą część domu zajmuje syn Jan z żoną Lucyną i dwojgiem dzieci. Rzadko bywają na wsi, gdyż oboje studiują w Krakowie. Do domu przyjeżdżają na dłużej na święta, wakacje i od czasu do czasu na niedzielę. Syn uprawia gospodarstwo sadownicze, synowa prowadzi punkt sprzedaży środków ochrony roślin, została też ostatnio wybrana do rady w gminie Łącko.

Jej pokój jest skromny, skromnie wyposażony, ale – jak powiada – całkowicie zaspokaja jej potrzeby. Wersalka, stolik, krzesło, łóżko, szafka na naczynia, która jednocześnie pełni rolę biblioteczki. Rzucam okiem na jej zawartość. Są tu *Polskie Madonny ludowe* Marii Kownackiej, książka o Annie German, jakaś praca ks. Józefa Tischnera, albumy o Janie Pawle II, o sztuce sakralnej w Polsce i inne pozycje. Na ścianie solidnych rozmiarów krzyż, a na witrynie obrazy Ojca Pio, Matki Boskiej Częstochowskiej i zdjęcie rodzinne, na którym stoi w otoczeniu córek, wnuków i prawnuków. Cały kadr wypełniony przez dwa pokolenia jej potomków.

Ile razy przyjeżdżam do brata do Czarnego Potoka, zawsze stawia mi pytanie – włożyłeś głowę do ciotki Ludwiki? „Włożyć głowę” oznacza po prostu: choćby na krótko ją odwiedzić. Nie wiem, kto to sformułowanie wymyślił, kto użył go po raz pierwszy, może ona sama? W każdym razie przyjęło się i wszyscy go stosują. Wnuki i prawnuki mówią – włożyłem, głowę do babci, córki – włożyłam głowę do mamy, sąsiadki – włożyłam głowę do Ludwiki. Przyjaciółek ma jeszcze trzy: Stefanę Talarczyk (rzadko bywała tej zimy, gdyż dużo czasu spędziła u syna, artysty plastyka w Krakowie), Marię Tomczyk, nazywaną we wsi Kowalką, od przydomka męża, który po wojnie miał jedyną we wsi kuźnię, Marię Pulit, wdowę po Władku, sąsiadkę z innego rodu Pulitów. Poza Talarczykową pozostałe są młodsze, aczkolwiek wszystkie osiemdziesiątkę przekroczyły. Miała jeszcze jedną serdeczną przyjaciółkę Marię Zygadło,

nazywaną tutaj Zygadliną albo góralką, gdyż pochodziła z Ochotnicy, wsi w Gorcach, doświadczonej przez pacyfikację hitlerowską w czasie drugiej wojny światowej. Zygadlina już nie żyje. Była z nią blisko. Razem jeździły do sanatorium w Szczawnicy, czy w Wysowej, razem na pogawędkach spędzały wolny czas, zwłaszcza że góralka była pełna energii, humoru. Jej córka Elżbieta, notariusz z Nowego Sącza, czasem ją odwiedza i chętnie wysłuchuje opowieści o dawnych czasach i o matce.

Podczas takich wizyt u ciotki Ludwiki można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Kiedy po jej dziewięćdziesiątych trzech urodzinach odwiedziłem ją, by złożyć życzenia, usłyszałem: – wiesz, jaką przykrość mi wyrządzili podczas uroczystości? Życzyli mi tylko siedem lat życia. Okazało się, że zgromadzeni na jubileuszu biesiadnicy zaśpiewali jej „Sto lat!...”.

Dzisiaj wracamy do przeszłości, z której pamięta nieraz najdrobniejsze szczegóły. Urodziła się 15 stycznia 1920 roku w Czarnym Potoku, a więc na początku dwudziestolecia międzywojennego. Wspomina szkołę powszechną, do której uczęszczała sześć lat: jeden rok do pierwszej, jeden – do drugiej, dwa lata do trzeciej i dwa lata do czwartej. Taki był system. Stara szkoła mieściła się tuż koło cmentarza, naprzeciwko kościoła. Miała ona tylko jedną salę lekcyjną i mieszkanie dla nauczyciela, który był jednocześnie kierownikiem. Najmocniej w pamięci utkwiała jej Wiktoria Wiśniewska, chociaż uczyła ją tylko rok. Poza zajęciami z polskiego, matematyki, przyrody zapoznawała wiejskie dziewczęta ze sztuką haftowania, dzieci wybrane, bardziej zdolne uczyła języka niemieckiego. Po jej odejściu na emeryturę następcy nie zagrzali dłużej miejsca w Czarnym Potoku. Wymienia jeszcze Wilkowiczównę zamężną za Janiaka i innych, których nazwiska zatarły się w jej pamięci. Klasy były łączone, co wymagało od nauczyciela szczególnych umiejętności dydaktycznych. Zawarła wiele przyjaźni, bo szkoła gromadziła również dzieci i młodzież z okolicznych wsi: ze Szczereża, Wolicy, Jadamwoli, po części również z Jastrzębia. Dzisiaj nazwałoby się ją szkołą zbiorczą, tylko że w tym czasie nikt uczniów na lekcje nie dowoził. Maszerowali latem czy zimą, nieraz w kopnym śniegu, po parę kilometrów.

Matka Anna pochodziła z Czarnego Potoka, była młodsza od ojca o dziesięć lat, on Wojciech Tokarczyk urodził się we wsi Młyńczyska w powiecie limanowskim na osiedlu Szałasie. Nazwa pochodziła od szałasu pasterskiego. Toteż we wsi nadano mu przydomek „Saśniak”. Rodzice poznali się w Ameryce Północnej, gdzie trafili w ramach wielkiej emigracji z Galicji pod koniec XIX i na początku XX wieku, którą szczegółowo omówił i zanalizował austriacki pisarz Martin Pollack w książce *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji* (Wołowiec 2011). W Stanach Zjednoczonych urodziło się im troje dzieci, z których tylko siostra Maria przeżyła. Przed pierwszą wojną światową wrócili w strony rodzinne. Kupili mały, stary dom przy drodze w Czarnym Potoku i dwa morgi pola. Ponieważ ciężko było utrzymać rodzinę z tej gospodarki, ojciec ponownie popłynął za morze zarobić jakieś pieniądze. Kiedy po dwóch latach wracał z drobnymi oszczędnościami, w Europie wybuchła wojna. Jako poddany monarchii austriacko-węgierskiej został zatrzymany we Francji na robotach. Pozostał tam bodajże parę lat, podczas których amerykańskie oszczędności wyparowały. Był



Ślub rodziców przed pierwszą wojną światową w New Haven w Stanach Zjednoczonych

analfabetą. Matka urodziła dziesięcioro dzieci, czworo zmarło. Przy życiu, poza Marią urodzoną w Ameryce, pozostała ona, Weronika, Wiktoria, Wanda i brat Stanisław. Ojciec zmarł na czerwone podczas drugiej wojny światowej, w 1940 roku, matka w 1952.

Lata międzywojenne były bardzo ciężkie. Brakowało środków na utrzymanie licznej rodziny. Jedynym źródłem zarobku była praca we dworze Jana Reklewskiego, który był adwokatem w Krakowie, rzadko przyjeżdżał do wsi, gospodarstwem zajmowali się zarządcy. Dziedzic był człowiekiem znerwicowanym. Widywała go w kościele jak stał koło zakrystii. Nigdy nie siadał w tzw. dworskich ławach tuż koło ołtarza. W połowie lat trzydziestych Jan Reklewski popełnił samobójstwo, majątek przejęła jego siostra Wanda, która wyprzedawała część pola. Praca we dworze obowiązywała od świtu do zmroku. Wynajmowała się do prac rolnych, na wiosnę do okopywania buraków, plewienia truskawek, latem do pracy przy żniwach. Wynagrodzenia otrzymywała 80 groszy dziennie. Za 9,50 złotego mogła sobie kupić buty. Przed wojną spalił się dwór, wybudowano mniejszy również z drewna. Po parcelacji przechodził różne koleje, przez jakiś czas służył nawet jako Ośrodek Zdrowia. Teraz podobno ktoś od gminy go kupił wraz z 30-arową działką. Nie remontuje jednak, pola nie uprawia.

W 1941 roku, podczas okupacji hitlerowskiej wyszła za mąż za Władysława Pulita, wdowca, starszego o szesnaście lat, którego żona Franciszka Górka zmarła w 1938 roku podczas porodu. Syna Franciszka traktuje jak własnego, mimo że w dzieciństwie go nie wychowywała, gdyż pozostał w rodzinie matki. Od tej pory radykalnie zmie-

niło się jej życie. Mąż był zasobnym gospodarzem, uprawiał 8 ha ziemi. Mieszkali w starym, pamiętającym XIX wiek domu, krytym słomą, który składał się z obszernej izby, kuchni z klepiskiem, sieni i po drugiej stronie stajni. Miał nr 12, co oznaczało, że był stosunkowo starą osadą we wsi. Moi rodzice podczas okupacji pozwalali mi nieraz pozostać na noc u ciotki Ludwiki. Dobrze zapamiętałem wnętrze tej chaty: w „izdebce” dwa łóżka ustawione pod przeciwległymi ścianami, na środku stół krawiecki z maszyną do szycia marki Singer. Pod sufitem cała galeria świętych obrazów umocowanych na listwie pod kątem 30°, w kuchni widać było ślady dawnej przeszłości, wprawdzie ogromnych rozmiarów piec miał już komin, to sufit był jeszcze osmolony, co wskazywało, że jeszcze nie tak dawno była to dymna chata, a na klepisku stały ongiś krowy.

Czasy te pamiętała jej teściowa Maria Pulit. Stosunki z nią układały się znakomicie. – Ja z zabiedzonego domu – zachowywałam się bardzo skromnie. Na początku nie pozwalałam sobie bez pozwolenia ukroić kromki chleba. Teściowa była kobietą schorowaną. Bardzo dużo w życiu przeszła. Opowiadała mi dzieje swojej rodziny. W 1915 roku dwóch jej synów, Józef i Wojciech, zginęli na wojnie, jeden w pamiętnej bitwie pod Gorlicami, drugi w Dolomitach na granicy austriacko-włoskiej, rok później zmarł jej mąż Marcin. We wsi powiadali, że „zagryzł się na śmierć” po stracie synów. Parę lat później zmarła 22-letnia córka Katarzyna, zameżna za Jakuba Klimczaka z Jastrzębia. Podobno przyczyną był odruch konia, któremu podczas mocowania podkowy trzymała nogę. Słuchałam tych tragicznych opowieści jako młoda dziewczyna, nie bardzo umiałam jej wtedy współczuć. Uczylaś się jednak wytrwałości, upor, szacunku do pracy. Kolejnym zdarzeniem, jakie mocno przeżyła, był wyjazd syna Jana do Ameryki; do New Haven, gdzie pracował jako robotnik. W 1946 roku zmarła. Pozostałam na gospodarce z mężem, pomagał nam lekko sparaliżowany jego brat Tomasz, który po upadku z drabiny zmarł w wieku 50 lat.

Jej życie toczyło się swoim rytmem, jakby obok zdarzeń historycznych, czy politycznych. Dobrze pamięta okupację niemiecką. Wizyty w dzień Niemców rekwirujących bydło, a w nocy partyzantów zabierających potrzebne im do przeżycia w lesie towary, wyprawy siostry Weroniki na Młynczyńska, gdzie jako łączniczka Batalionów Chłopskich raz po raz zniknęła. Bardzo się bała jej dekonspiracji. Oznaczałoby to dla rodziny Auschwitz, dla wsi może nawet pacyfikację. Pamięta jak uzbrojeni



Ludwika Tokarczyk, lata trzydzieste XX w.



Czerwiec 1941 rok, praca na polach dworskich

żołnierze niemieccy z działkiem na przedzie przechodzili koło ich domu do Ochotnicy, którą spalili, a ludzi mordowali z zemsty za sprzyjanie partyzantom. Podobny los spotkał osadę jej ojca na Młynczyskach. Na trwale utkwiał w jej pamięci 19 stycznia 1945 roku, kiedy dotarła do Czarnego Potoku wiadomość, że Niemcy z Nowego Sącza uciekają. Od tej pory ustąpił strach, który towarzyszył jej przez całą okupację. Czasy PRL wspomina ze spokojem. Widzi pewne zalety tego systemu, jak choćby możliwość kształcenia dzieci chłopskich, likwidację analfabetyzmu. Uciążliwe były obowiązkowe dostawy produktów rolnych i okresowe braki niektórych towarów, jak np. nawozów sztucznych.

Ciężko pracowała na roli, wychowywała sześć córek i jednego syna. Wszystko wskazywało na stabilizację, najstarsza córka Maria wyszła za mąż za Stanisława Wójciaka, sadownika. A tu jak grom z jasnego nieba dopada ją wiadomość o śmierci męża. Miał sześćdziesiąt dwa lata. Lekko niedomagał, więc lekarz skierował go do jakiegoś sanatorium na Dolnym Śląsku. Wrócił wypoczęty, odwiedził go tam syn Franek, który mieszkał w Świdnicy. Dwa tygodnie po powrocie nagle zmarł. Została sama z sze-



Z siostrą Weroniką podczas okupacji

ściorgiem nieletnich dzieci, z 8 ha gospodarką, z dwoma wołami, które stanowiły siłę pociągową, kilkoma krowami i trzodą chlewną. Jak temu podołać? Jak połączyć opiekę nad dziećmi z pracą na roli? Wydawało mi się to niemożliwe. Nie załamalam się. Przypomniałam sobie historię mojej teściowej. Skoro ona od 1915 roku sama z kilkorgiem dzieci utrzymała to gospodarstwo, skoro starczyło jej sił, może i ja podołam? Postanowiłam godnie nieść ten swój krzyż. Dużo mi w tej wytrwałości pomagała wiara. Najmłodszy syn Janek, który miał być potencjalnym dziedzicem, ukończył wtedy cztery lata, więc do jego pełnoletności musiało upłynąć sporo czasu.

Praca na roli ma swoje prawa, jest uregulowana rytmem przyrody, porami roku, warunkami atmosferycznymi, kataklizmami przyrodniczymi. Nic tutaj nie można odłożyć na później. Wszystko musi być wykonane w odpowiednim czasie. Dzisiaj sama się sobie dziwi, jak się udało przetrwać. Gospodarstwo było tradycyjne. Uprawa czterech rodzajów zbóż, warzyw i jarzyn, rachitycznych jeszcze sadów jabłkowych. – Podołałam tym wyzwaniom dzięki pomocy rodziny i sąsiadów. Takiej solidarnej współpracy nie widziałam nigdy wcześniej, ani później. W pierwszej kolejności pomagali mi mąż siostry Weroniki Antek Roztockiej i Władysław Koszut mąż Wiktorii, a także najbliżsi sąsiedzi. W zasadzie była to praca bez-



1961. Posiłek podczas żniw. Ludwika Pulit w białej chustce na głowie

interesowna. Nie miałam środków finansowych na jej opłacenie. Dzieci w szkołach średnich też nie otrzymywały stypendium, gdyż średnia dochodów była wyższa niż na to pozwalały przepisy. Obserwowałam młodych rolników we wsi i powoli przekształcałam gospodarstwo w specjalistyczne, sadownicze. Resztę dokonał mój syn Janek.

Dysponowała pierwszym we wsi motorem do napędzania młockarni, przywiezionym z Ziemi Odzyskanych. Często się psuł, a sparciałe pasy transmisyjne często pękały. Motor ten zastąpił kierat. Toteż w zamian za pomoc sąsiedzką wypożyczała go do innych gospodarstw. W trudzie i znoju wszystko układało się dobrze. Dzieci uczyły się w szkole podstawowej i w szkołach średnich. Z gospodarki można było utrzymać liczną rodzinę. A tu kolejne nieszczęście. W roku 1970 na Budzynie spłonął dom jej najstarszej siostry Marii, która zginęła w pożarze wraz z pięcioma wnukami: trzy córki siostrzenicy Anieli i dwóch synów siostrzenicy Danuty. Podejrzenie o podpalenie pada na Stanisława Oleksego, męża Danki, który był w konflikcie z teściami. Odwiedza stale zbiorową mogiłę na cmentarzu w Czarnym Potoku. Sprawa była wówczas głośna, pisały o niej gazety, mówiono o tej tragedii w radiu i w telewizji. Ze starej portmonetki wyjmuję pożółkły wycinek z „Gazety Południowej” z 11 czerwca 1970 roku, w której dziennikarz relacjonuje przebieg procesu, m. in. zeznania Jana Potońca, męża Marii, cudem uratowanego z płonącego domu:

„Moja córka Danuta – mówi Jan P. – około 10 lat temu wyszła za Stanisława O. Z małżeństwa tego urodziło się dwóch synów – Józef i Andrzej. Danuta dwa lata temu zmarła, jej mąż pozostał chwilowo z dziećmi u mnie, a potem drugi raz się ożenił. Nową żonę sprowadził do domu, który zaczął jeszcze budować z naszą córką. Dzieci z pierwszego małżeństwa pozostały u mnie. Lubilem te wszystkie wnuki, tych chłopców i te trzy dziewczęta Anieli, mojej drugiej córki. Na utrzymanie synów Stanisław O. nie łożył ani grosza, chowaliśmy je własnymi siłami, a także z renty, którą miały po matce. Wreszcie wniosliśmy do sądu o alimenty. Zapadł wyrok. Nakazujący Stanisławowi O. płacenie półtora tysiąca na obu chłopców”. Dzień przed pożarem Stanisław Oleksy otrzymał wyrok sądu. Proces był poszlakowy. Oskarżony nigdy nie przyznał się do winy. Jako dowody prokuratura zabezpieczyła kanister i bańkę ze śladami benzyny, ślady na ścianie pod oknem od łazienki w jego domu, z której mógł wyjść dla zmylenia zebranych w domu kolegów. Dostał 25 lat. Za dobre sprawowanie wyszedł wcześniej. Już nie żyje. – Tej tragedii nie zapomni do śmierci. Oleksego nie oskarża. – Wolałabym być przekonana, że to nie on zamordował moją siostrę, dwóch swoich synów i trzy ich kuzynki, które przyszły z odwiedzinami do babci i zostały na noc. Jeden Bóg zna prawdę, powiada na zakończenie tej dramatycznej opowieści.

Narzeka, że wieś się wyludnia. Młodzież udaje się do szkół do Nowego Sącza, do Krakowa i innych miast w Polsce. Potem tam osiada lub wyjeżdża za granicę. Jej wnuczka Dominika np. wyszła za mąż za Szkota i mieszka w Edynburgu. Kiedyś przed wojną jedynie Janowi Rostockiemu udało się ukończyć Uniwersytet Jagielloński i zostać profesorem gimnazjalnym, dziś młodzi kończą uniwersytety, wydziały rolnicze,



Z wnuczką, jej mężem Szkotem i prawnukami, 2009

politechniki, niektórzy uzyskują stopnie doktorskie. W Zespole Szkolno-Przedszkolnym coraz mniej uczniów. Dzieci syna Jasia też studiują w Krakowie. Spada przyrost naturalny. Czarny Potok przeszedł podczas jej życia wyraźną ewolucję i rozwój. Stał się wsią o wyspecjalizowanej gospodarce rolnej, wszystkie pola obsadzone są nowoczesnymi sadami. Stąd i dostatek do wsi zawitał, który już w latach pięćdziesiątych ub. w. zapowiadała w swych reportażach z tych okolic pisarka dla dzieci i młodzieży Maria Kownacka. Poznała ją, gdyż Jan i Maria Rostoccy odwiedzili ich gospodarstwo w 1957 roku wraz z autorką sztuki *O Bidzie i złotych jabłkach*, a syn męża Franciszek przeprowadził wtedy z nią wywiad, który drukował „Dziennik Polski”.

Jest mocno zajęta. Czas spędza na wyszywaniu makatek, haftowaniu koronek, obrzązków, czytaniu książek. Na stole leży rozpoczęty, niedokończony gorset góralski czy lachowski z motywami wyszytego z koralików w połowie dziewięciła na czerwonym materiale. Ma kogo obdarowywać tymi rękodzielami: dwudziestu czterech wnuków, czternastu prawnuków, którzy raz po raz ją odwiedzają. Na Święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc, na Święto Zmarłych spotykają się w komplecie. Pogodna, życzliwa ludziom, uśmiechnięta żegna mnie w ten zimowy, nietypowy w tym roku, bez śniegu wieczór słowami: – Bolku, wsadzisz ta kiedy do mnie jeszcze głowę...?

Post scriptum.

Nieraz czytelnicy szkiców z cyklu *Powrót do korzeni* zadają mi pytania, czy warto opowiadać tak proste historie? Czy warto pisać o tak prostych ludziach, przypominać biografie zwykłych postaci, w których nie ma heroicznych czynów, czy sensacyjnych zdarzeń? Czy nie są te narracje zbyt sentymentalne? Mam na owe wątpliwości jedną odpowiedź: nie uprawiam dziennikarstwa, publicystyki interwencyjnej. Piszę o osobach, z którymi się zetknąłem w moim życiu, zwłaszcza w czasach mojej młodości, które swoim przykładem także mnie kształtowali, od których wiele się uczyłem, m.in. szanowania wartości, rzetelnego stosunku do pracy, szacunku dla innych, swoistego – mimo przeciwnieństw losu – optymizmu. Uważam zatem to pisanie – jakby powiedział Stanisław Pigoń – za moją powinność. Tylko w ten sposób mogę spłacić im zaciągnięty dług. Jeżeli nie napiszę o tych anonimowych na swoją skalę bohaterach, nikt o nich nie wspomni. Może ta misja we współczesnym postmodernistycznym czy ponowoczesnym świecie brzmi staroświecko, niech brzmi! I tak od czasu do czasu będę wracał do korzeni. Stąd szkic o ciotce Ludwice.

Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy (Wśród makaroniarzy – lata włoskie)

1. Triest – SISSA

Tak więc z początkiem roku akademickiego 1985/6 znalazłem się w Scuola Internazionale Superiore Studi Avanzati (SISSA) w Trieście. Siedziba szkoły zlokalizowana była nad morzem przy wejściu do malowniczego parku Miramare, w odległości 10 kilometrów od Triestu, w bezpośrednim sąsiedztwie International Centre for Theoretical Physics (ICTP). Przypomnijmy, że ICTP jest placówką UNESCO założoną w 1964 roku przez pakistańskiego laureata nagrody Nobla w zakresie fizyki, prof. Abdusa Salama. Bliskość ICTP stwarzała możliwość kontaktów i wymiany idei naukowych matematyków, fizyków i biologów. Podobno ta możliwość zdecydowała o wyborze lokalizacji nowego ośrodka.

Warto wspomnieć że SISSA powstało w 1978 roku jako centrum badań naukowych i specjalizacji w zakresie matematyki, fizyki i neurologii z funduszy jakie tamtejszy rejon otrzymał na odbudowę zniszczeń spowodowanych trzęsieniem ziemi we Friuli w 1976 roku. Środki te zostały wykorzystane bardzo dobrze¹. Nie tylko odbudowano zniszczone Udine, ale w rejonie stworzono szereg użytecznych instytucji publicznych, np. wspomniane SISSA. Wielokrotnie słyszałem stwierdzenie że obecny rozwój tamtego rejonu jest wynikiem trzęsienia ziemi.

Aktualnie SISSA jest jednym z najważniejszych ośrodków kształcenia kadry naukowej we Włoszech, a jego doktoranci pełnią funkcje pracowników naukowych i dydaktyków w różnych krajach Europy i świata. Na studia doktoranckie mogą być przyjęci absolwenci uniwersytetów niezależnie od miejsca pochodzenia. Ilość miejsc zależy wyłącznie od aktualnych możliwości finansowych (ilość stypendiów). Pamiętam, że kiedy podjąłem pracę w SISSA, na pierwszym roku było 6 studentów, w tym mój doktorant pan Julian Janus z AGH, którego przyjęcie postawiłem jako warunek mojego przyjazdu do Triestu.

Parę informacji odnośnie ICTP. Oprócz prowadzonych badań naukowych instytucja ta organizowała w tym czasie rocznie około 30 – 40 zjazdów naukowych, konferencji i szkoleń. Praktycznie odbywały się one w sposób ciągły. Prof. Salam starał się aby brali w nich udział ludzie z najbardziej odległych zakątków świata. Nie wszystkie zjazdy miały dostatecznie wysoki poziom naukowy, należało się bowiem dostosować do poziomu uczestników. Dla prof. Salama najistotniejsze było to aby uczestnicy tych spotkań zetknęli się z nauką światową i kulturą europejską. Ponieważ uczestników

¹ Niestety w innych rejonach Włoch odbudowa skutków trzęsień ziemi nie przebiegała tak sprawnie. Na przykład w barakach wybudowanych po trzęsieniu ziemi w Messynie w 1908 roku (jedna z najbardziej tragicznych katastrof XX wieku, zginęło około 80 tysięcy ludzi) wciąż mieszkają ludzie. Podobnie rozplynęły się fundusze przeznaczone na odbudowę skutków trzęsienia ziemi w Irpinii w 1930, 1962 i 1980 roku.

należało dofinansować, co pochłaniało znaczne sumy, uczeni zachodni uważali że są to marnowane środki. Atmosfera wokół tego ośrodka była raczej napięta.

W czasie kiedy przybyłem do Triestu prof. Salam zajmował się już głównie polityką, co więcej jego teksty i wystąpienia nafaszerowane były cytatami z Koranu. Czasami odnosiłem wrażenie że jednym z celów jaki sobie postawił to obok nauki było propagowanie islamu. Niewątpliwie był człowiekiem nieprzeciętnym. Mnie intrygował fakt że wśród jego żon była również Angielka. Mieli dwójkę miłych dzieci, chłopca i dziewczynę o imieniu Saida. Kiedy przyjechała moja rodzina spotykaliśmy się z angielską częścią rodziny prof. Salama na tej samej maleńkiej dzikiej plaży. Dzieci bawiły się razem chociaż nie miały wspólnego języka (nasze mówiły tylko po polsku), ich rodzice czyli pani Salam i my, mający możliwość językowego kontaktu zachowali natomiast angielską rezerwę i praktycznie znajomości nie zawarliśmy.

Zdarzało mi się również spożywać obiad z prof. Salamem przy tym samym stole, ale poza zwyczajowymi grzecznościami nie zamieniłem z nim żadnego zdania. Fizycy z którymi miałem okazję wymienić opinie mieli poglądy mocno spolaryzowane, jedni uważali że jest to niezwykle uzdolniony geniusz inni że niezwykle hochsztapler. Sądzę iż wynikało to stąd że prof. Salam miał bardzo specyficzny sposób rozumowania, często pomijał detale ograniczając się do ogólnych idei. Brak znajomości detali niektórzy uważali za brak wiedzy, inni – którzy umieli wykorzystać jego idee – nie mieli wątpliwości że jest umysłem niepoślednim. Obecnie ICTP nosi oficjalną nazwę The Abdus Salam International Centre for Theoretical Physics, co niewątpliwie świadczy o jego wkładzie do rozwoju fizyki, w szczególności w trzecim świecie.

Warto też kilka słów poświęcić zamkowi oraz parkowi Miramare. Oficjalna wieść głosi że podczas pobytu w Trieście arcyksiążę Maksymilian wybrał się na przejażdżkę statkiem po zatoce Triestu. Niespodziewanie zaskoczyła go bora². Aby uciec przed niebezpiecznym wichrem schronił się w maleńkiej zatoczce pod wzgórzami pasma Grignano. Miejsce to tak go zachwyciło, że polecił wybudować tu zamek (wzniesiono go w latach 1855–1860), w którym zamieszkał wraz z ukochaną małżonką Charlottą, księżniczką belgijską. Wykorzystując specyficzny mikroklimat tego miejsca na opadającym do morza stoku polecił stworzyć park tropikalny. Jest to wciąż jeden z najbogatszych w drzewostan parków w Europie. Ulegając ambicjom i żądzy władzy Charlotty – za namową cesarza Napoleona III – Maksymilian dał się namówić meksykańskim monarchistom i w 1863 roku przyjął koronę cesarza Meksyku. Na miejscu okazało się jednak że sytuacja nie była tak różowa jak przedstawiali to wysłannicy, pomoc Europy znikoma i cesarz po czteroletnim panowaniu znalazł się przed plutonem egzekucyjnym partyzantów Benito Juareza (1887 r. w Queretaro). Po śmierci męża Charlotta oszalała. Równie tragiczne losy dalszych lokatorów³ zamku Miramare przyczyniły się do powstania legendy, że mieszkańcom tego zamku przeznaczony jest los tragiczny.

² Silny porywisty wiatr północny o zmiennych kierunkach. Uderza niespodziewanie, jest w stanie wyrzucić dorosłego. Niezwykle niebezpieczny dla żaglówek.

³ Kolejny lokator książe Amedeo d'Aosta udał się do cesarstwa Etiopii aby objąć tam tron, ale uwięziony zmarł. Równie tragiczne losy spotykały dalszych mieszkańców zamku Miramare.

Podobno jest to kara za likwidację patriotów włoskich, którzy wznieśli powstanie gdy Maksymilian był wicekrólem Królestwa Lombardzko-Weneckiego.

Maksymilian był postacią niezmiernie tragiczną, biolog z zamiłowania, liberał z przekonań, tyran-despota z zawodu, dla konserwatystów był zbyt liberalny, dla rewolucjonistów zbyt konserwatywny. Cesarz Franciszek Józef pozbawił go stanowiska wicekróla za liberalizm co jednak nie zmyło z niego krwi pomordowanych włoskich patriotów, Europa odmówiła mu pomocy w Meksyku bo był zbyt postępowy (w szczególności uwolnił z więzienia Juareza), powstańcy meksykańscy rozstrzelali go bo reprezentował stary porządek świata.



Zamek Miramare w Trieście (po prawej stronie nad morzem dawna siedziba SISSA)

gólności uwolnił z więzienia Juareza), powstańcy meksykańscy rozstrzelali go bo reprezentował stary porządek świata.

Ocena Maksymiliana we Włoszech nie jest jednolita. Mieszkańcom Triestu Maksymilian kojarzy się z okresem prosperity. Za czasów cesarstwa austriackiego miasto kwitło, było jego oknem na świat, a Maksymilian znacznie przyczynił się do rozbudowy portu. Dlatego też establishment

tego miasta wciąż odnosi się do jego pamięci z estymą, natomiast dla mieszkańców Lombardii Maksymilian to okrutny kat, morderca patriotów. Każdego roku na zamku Miramare organizowane są ceremonie poświęcone pamięci Maksymiliana połączone z wystawnym party. W przyjęciu takim uczestniczyłem dwukrotnie. Pamiętam, że gdy zaproszenie na tę imprezę dotarło do dyrektora SISSA, prof. Celliny, lombardczyka, z oburzeniem chciał wrzucić go do kosza. Niezrażony odebrałem mu list i na przyjęcie dotarłem.

Na parę słów zasługuje też Triest, miasto niezwykle. Patrząc na mapę zauważamy, że wzdłuż Zatoki Triesteńskiej wąski skrawek lądu włoskiego wcina się w teren Słowenii. Na tym skrawku zlokalizowany jest Triest, praktycznie poza obrzeżami Włoch. Port będący kiedyś dumą i sercem miasta jest obecnie dla Włochów zupełnie nieużyteczny. Co gorsza, w pobliskim Koprze Jugosławia wybudowała port nowoczesny (dzisiaj port Słowenii), Triest nie ma nawet szans aby być portem transferowym dla pobliskich krajów pozbawionych dostępu do morza.

Z drugiej strony w czasach gdy przybyłem do Triestu, był to rejon Włoch, gdzie dochód na głowę mieszkańca był zdecydowanie najwyższy. Gdzie tkwi wyjaśnienie zagadki? Otóż w Trieście zaopatrywał się cały blok socjalistyczny w tanią zachodnią odzież, która w krajach socjalizmu realnego reprezentowała kapitalistyczny dobrobyt. Powstał nawet specjalny termin „*przemysł blue jeans*”, jako że podstawowy produkt to była odzież dzinsowa. W okolicach dworca kolejowego przewijały się tabuny ludzi z tobołami towarów. Odurzeni dobrobytem mieszkańcy Triestu zaniedbali przyrost

naturalny, a w trosce o spokój i czystość powietrza skutecznie blokowali nieśmiało próby rozwoju zakładów przemysłowych. Triest stał się miastem ludzi starych. Pamiętam, że kiedy pojawiła się moja rodzina (trójka małych dzieci) zdarzało się że zatrzymywano nas na ulicy aby z zachwytem dziatwę dokładnie oglądnać. Wraz ze zmianami które zaszły w Europie handel ciuchami – czyli podstawowe źródło dochodu ludności – obumarł. W ostatnich latach nie miałem okazji z bliska przyglądać się życiu mieszkańców tego miasta, sądzę że wciąż żyją dostatnio z zasobów, ale swoich bogactw chyba już nie pomnażają.

W SISSA otrzymałem dumne brzmiące stanowisko, które można tłumaczyć jako „doświadczony specjalista odpowiedzialny za badania naukowe”, ale odpowiadające mu wynagrodzenie w ówczesnych relacjach włoskich było raczej mizerne. Po prostu stawki nie uległy zmianie od momentu powołania do życia tej szacownej instytucji, a w tamtych latach inflacja we Włoszech była wysoka. Aby poprawić moją finansową sytuację prof. Cellina ulokował mnie w pokoju gościnnym (bezpłatnie). Ku oburzeniu innych kierunków w SISSA (fizyków i biologów) blokowałem to lokum przez dwa lata, a pokoje gościnne były tylko dwa, przy czym drugi bardzo mały. Oba ulokowane były w mansardzie na drugim piętrze z widokiem na rezerwat morskiego ptactwa przy parku Miramare oraz zatokę Triestu. Pod stopami miałem wąski skrawek kamienistej plaży, którą upodobały sobie miłośniczki toples. Odwiedzający mnie później koledzy systematycznie wyrażali wątpliwość, czy w takich warunkach można naukowo pracować. Sądzę, że na uwadze mieli nie tyle piękno natury co opalające się panie.

Rano budził mnie zwykle wrzask mew. Kiedy nasyciłem już wzrok widokiem pluskających się w morskich falach kaczek oraz przesuwających się po niebie stad mew przypominających ruchome obłoki, z zacięciem przebiegałem parę kilometrów ścieżką biegnącą wzdłuż morza, a w okresie lata często wypływałem w morze. Podczas jednej z takich eskapad morskich chwycił mnie mocny skurcz. Do brzegu szczęśliwie dotarłem ale przeżyłem chwilę autentycznego strachu i od tego momentu przestałem odpływać zbyt daleko. Po rannych wyczynach sportowych obowiązkowa tutaj czarna kawa oraz cornetto (rogalik) smakowały wyśmienicie. Teraz rozpoczynał się dzień pracy czyli siedzenie nad książkami do późnych godzin nocnych. W godzinach południowych zarządzaliśmy przerwę aby udać się na obiad do hotelu Adriatyk leżący po drugiej stronie parku lub stołówki ICTP leżącej powyżej parku. Adriatyk oferował większy wybór dań, stołówka niższe ceny. Staraliśmy się jakoś godzić sprzeczne interesy rozkładając dość równomiernie wybór lokalu. W obu przypadkach droga wiodła przez park i był to doskonały wypoczynek. Czasami zatrzymywaliśmy się w parku dłużej, jeśli interesujące nas kwestie można było dyskutować bez użycia tablicy.

Prof. Cellina, widząc, że w SISSA przebywam praktycznie cały czas, abym czuł się bardziej komfortowo, odstąpił mi swój gabinet. On dojeżdżał z Mediolanu do Triestu zwykle na trzy dni, podczas których miał masę spotkań, zebrań, zajęć i konsultacji. Tak więc również w czasie jego pobytu w gabinecie panował spokój. Miał też w tym swój interes, będąc w pobliżu jego telefonu, mogłem reagować na sytuacje awaryjne podczas jego nieobecności w Trieście. Przy tej okazji zapoznawałem się z zasadami

funkcjonowania goszczącej mnie placówki i zacząłem zdobywać doświadczenie odnośnie metod działania włoskiej administracji.

Innym, przyjemnym dla mnie momentem pobytu w Trieście był pomysł prof. Celliny, aby korzystając z mojego pobytu ściągnąć do SISSA z odczytami znanych matematyków polskich. Sporządzono stosowną listę, a moim zadaniem było zorganizowanie przyjazdu i opieka nad gośćmi podczas pobytu. W ten sposób miałem okazję poznać niektórych wybitnych naszych naukowców, z którymi wcześniej nie miałem bezpośrednich kontaktów. Jedną z konsekwencji tej akcji była wspomniana w poprzedniej części historia z prof. Łojasiewiczem, który po powrocie do Polski interweniował u rektora AGH prof. Kleczkowskiego, aby spowodował mój powrót na uczelnię. Sądzę, że na jego nazbyt pozytywną o mnie opinie wpłynęły nie tyle moje naukowe wyniki, co przyjacielski stosunek do mnie niektórych liczących się wówczas matematyków włoskich.

Pobyt w Trieście wprowadził parę istotnych zmian w moim życiu, w szczególności zakończyłem działalność handlową. W pewnej mierze zdecydował fakt, że wynagrodzenie chociaż stosunkowo skromne wystarczało na pokrycie moich i rodziny potrzeb. W znacznym stopniu reakcja mojego kumpla handlowego, który odwiedziwszy mnie w Trieście w pomieszczeniach sąsiadujących z moją mansardą chciał urządzić magazyn handlowy, a portierów wykorzystać do przenoszenia towaru (jesteś tu profesorem mają cię słuchać). Mój zdecydowany sprzeciw kierowany chęcią uszanowania przybytku wiedzy nie bardzo mu odpowiadał i tak nasza długoletnia kooperacja dobiegła końca. Niewątpliwie najistotniejszy był fakt, że praca naukowa nie pozostawiała mi zbyt wiele wolnego czasu, musiałem wybrać rodzaj działalności. Pożegnałem bez żalu sprawę handlowe, choć działając w tym kierunku w warunkach stworzonych przez zmieniającą się sytuację polityczną prawdopodobnie osiągnąłbym wyższy status materialny, nigdy jednak decyzji tej nie żałowałem.

Do moich obowiązków w SISSA należał wykład dla doktorantów oraz opieka nad przebiegiem ich badań naukowych. W pierwszym roku poproszono mnie o zreferowanie książki która ukazała się w języku rosyjskim. Rzecz interesowała grupę współpracującą z prof. Celliną, języka rosyjskiego nie znali, wykorzystali więc sposobność. Niestety, książka zawierała sporo luk, często nie byłem w stanie uzupełnić toku rozumowania autora i pomimo aktywnego zaangażowania słuchaczy i moich wysiłków (studiowałem ją przez pełne siedem dni tygodnia, właściwie siedem dób) nie wszystko byliśmy w stanie wyjaśnić. Straciłem w ten sposób rok, ale zespół był zadowolony, zorientowaliśmy się przynajmniej co zostało w tej dziedzinie zrobione.

W następnym roku – już z mojej inicjatywy – przygotowałem wykład z funkcji wielowartościowych. Zamierzałem nawet z tej dziedziny napisać monografię. Pierwotnie zgodził się współpracować ze mną prof. De Blasi. Ponieważ jakoś nie mógł się zmobilizować, postanowił scedować rolę współautora na prof. Klausa Deimlinga z Uniwersytetu w Karlsruhe (Niemcy), uzyskując od niego wstępną zgodę. Przy okazji pobytu Klausa w Trieście, przeprowadziliśmy parę rozmów, ale chyba obaj nie czuliśmy się gotowi do współpracy, mieliśmy nieco różne wizje i różne charaktery.

Klaus opublikował później książkę z inkluzji różniczkowych, czyli dziedziny pokrewnej. Informacja o moich zamiarach jakoś poszła w świat i pewnego dnia odwiedziła mnie z kolei w Trieście prof. Frankowska⁴ z Paryża, która starała się mnie raczej do tego pomysłu zniechęcić, zresztą argumentami racjonalnymi. Niedługo później wyszła na ten temat monografia autorstwa Haliny Frankowskiej i Jean Pierre Aubina. Po przejściu do LAquila zajęty innymi sprawami i innymi badaniami pomysł ten całkowicie zarzuciłem, ale przygotowany tekst (bardzo jeszcze niedojrzały) wykorzystałem parokrotnie prowadząc zajęcia specjalistyczne w różnych częściach świata (Włochy, Polska, Nigeria, Tajlandia). Tak więc wysiłek nie został zmarnowany.

Ktoregoś dnia w Trieście odwiedził mnie zaprzyjaźniony prof. Piero Papini z Bolonii. Widząc, że moje życie ogranicza się wyłącznie do studiowania, zde gustowany postanowił dać mi swój stary samochód aby zmobilizować mnie do zwiedzania okolic Triestu i wykorzystania pobytu również dla celów turystycznych. Mój brak zapału nie ostudził go i zapłaciwszy podatki i ubezpieczenie również na rok następny, wręczył mi całą dokumentację wraz z samochodem. W takiej sytuacji odmówić nie wypadało i tak stałem się posiadaczem Citroena DS 21 który służył mi przez następne parę lat. Wykorzystałem go bardzo intensywnie, co prawda mniej dla celów turystycznych, a głównie do systematycznego odwiedzania rodziny, która pozostała w Krakowie. Citroen o przeraźliwym pomarańczowym kolorze był na tyle sponiewierany, że kiedy odwiedzałem przyjaciół w Chrzanowie (państwa Uzarów) okrzyki radości ich dzieci przeplątały się z prośbą, abym parkował na sąsiedniej ulicy, dla nich znajomy z takim samochodem był *obciachem*.

Podróże do Polski były ciekawe. Już pierwsza z nich warta jest odnotowania. Odbyłem ją w towarzystwie doktoranta, za to bez akumulatora. Biednego doktoranta od tego czasu moi włoscy koledzy zwali „*Bateria di Josek*”, czyli akumulator Józka. Droga którą zwykle obierałem wiodła przez Lublanę, Maribor, Graz, Wiedeń, Bratysławę, Cieszyn. Przez dwa lata przemierzałem ją średnio raz w miesiącu. Na pokonanie trasy Kraków – Triest potrzebowałem dwóch dni. Niezależnie od pory roku, za hotel służył mi samochód. Poza Austrią nie było jeszcze autostrad. Zaczęto ich budowę w Czechosłowacji, co oznaczało dodatkowe objazdy, nierzadko drogami polnymi. Dopuszczalna szybkość długimi odcinkami nie przekraczała 50 kilometrów. Czas pożerały nie tyle drogi co przejścia graniczne. Pokonanie przejścia granicznego między Polską a Czechosłowacją oraz Czechosłowacją a Austrią wymagało zwykle od 3 do 5 godzin. Służby celne przeglądały szczegółowo dokumenty i bagaż, bardziej żarliwie demontowały samochód. W pewnej mierze celników rozumiałem. Towaru na handel nie miałem, wyłącznie zaopatrzenie dla domu, w szczególności znaczne ilości południowych owoców co w naszym bloku uchodziło za luksus. To wszystko kolidowało z wygłą-

⁴ Prof. Halina Frankowska, niezwykle uzdolniona matematyczka, urodziła się w Rosji, gdzie przebywała do ukończenia studiów matematycznych. Następnie odbyła staż naukowy w Centrum Banacha w Warszawie oraz studia doktoranckie w SISSA w Trieście. Z kolei znalazła się w Paryżu i z tym miastem związana jest jej dalsza kariera naukowa i prywatna (wyszła za mąż za znanego matematyka paryskiego prof. J.P. Aubina, a sama również uzyskała stanowisko profesora). Zważywszy że we Francji wszyscy profesorowie dążą do tego aby wyładować w Paryżu jest to niewątpliwie duży sukces.

dem samochodu. Porządny samochód sugerowałby człowieka zamożnego, inicjatywę prywatną lub przedstawiciela władzy który może sobie na takie wypadki pozwolić. Mój bagaż sugerował maskowanie przewożonego towaru, który starali się znaleźć. W tym czasie mocno rozwinęła się drobna kontrabanda, z tym celnicy umieli sobie radzić. Moją nietypową sytuację dobrze opisuje następujące zdarzenie. Otóż pewnego razu wieczorem dotarłem na przejście graniczne w Bratysławie. Granica była pusta. Wyszedłszy z samochodu usłyszałem celnika który przez telefon pytał co ma zrobić bo znów przyjechał ten Polak. W konsekwencji gościnną granicę opuściłem dopiero rankiem, gdy komplet celników był już na miejscu.

Niektóre z podróży mocno utkwiły mi w pamięci. Kiedyś w okolicy Wiednia za-blokowała mi się skrzynia biegów na trójce. Noc, zimno, śnieg, żadnej możliwości pomocy, a w Krakowie ciepły dom. Zdecydowałem się kontynuować podróż. Często skrzyżowania przejeżdżałem na czerwonym świetle modląc się, aby z boku nie wyjechał inny pojazd. Każde zatrzymanie, a nawet zbytnie ograniczenie prędkości stwarzały problem. Noc i fatalne warunki rozsądnych kierowców trzymały w domu, drogi były zupełnie puste, do celu udało mi się dotrzeć. W Krakowie skrzynie biegów i sprzęgło musiałem jednak wymienić (po zatrzymaniu z konieczności startowałem na półsprzęgle).

Święta Bożego Narodzenia w 1986 roku spędzałem z rodziną w Krakowie. Opady śniegu były tak obfite, że na terenie Polski i Czechosłowacji ogłoszono klęskę żywiołową. Czas mijał, zima nie chciała ustąpić. W połowie stycznia doszedłem do wniosku, że wypada wrócić do Triestu. Rodzina ustaliła, że w takich warunkach nie mogę jechać sam i na towarzysza podróży delegowała brata żony. Doświadczony kierowca i świetny amator mechanik w podróży mógł być rzeczywiście pomocny. Wbrew pesymistycznym przewidywaniom do granicy austriackiej dotarliśmy bez problemów. Granica pusta. Czescy celnicy jak zwykle polecieli wyrzucić bagaże, koło zapasowe i fotele. Na wypakowany bagaż i sprzęt niedbale rzucili okiem, po czym polecieli spakować się i kontynuować podróż. Przejechaliśmy kilkaset metrów. Celnik austriacki doszedł do wniosku, że paszport szwagra nie upoważnia do przekroczenia granicy i nakazał odwrót. Celnicy czescy ponownie polecieli wyładować wszystko, łącznie z demontażem foteli. Kiedy wykonaliśmy polecenie, nie wychodząc ze swojego ogrzewanego pomieszczenia stwierdzili, że możemy spakować się i odjechać. Pozostał nam kierunek Węgry.

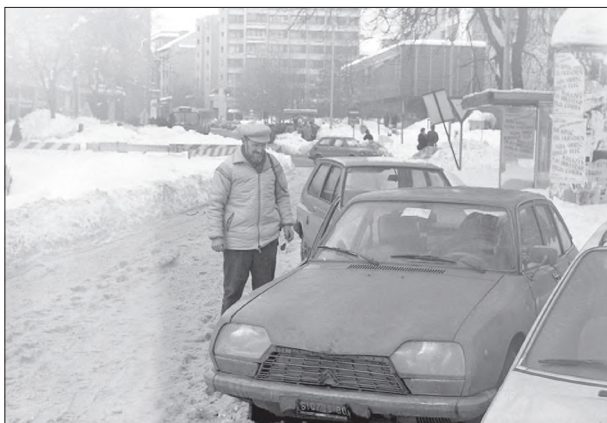
Granice węgierską przekroczyliśmy bez problemów. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów w napotkanych zaspach spędziliśmy pierwszą noc. Następnego dnia kontynuowaliśmy podróż. Opady śniegu były niezwykle obfite. Służby drogowe oczyszczały z reguły połowę drogi przesuwając śnieg na drugą połowę. Na skrzyżowaniach, aby zorientować się gdzie należy dalej jechać, nieraz musieliśmy odgrzebywać kierunkowskazy. Ponieważ drogi były puste jechało się spokojnie, ale przejazd przez Węgry zajął nam cały dzień. Wieczorem dotarliśmy na granicę Jugosławii. Pusto, wszystko zasypane śniegiem. Spod zwału śniegu kryjącego graniczny barak wydostało się dwóch strażników i widząc nasze polskie paszporty ryknęło „wodka!”. Oszoło-

mieni próbowaliśmy się tłumaczyć, że przemysł alkoholu nie jest naszym celem. Bez skutku. W końcu przypomnieliśmy sobie o zakupionej na terenie Węgier butelce koniaku. Pokazaliśmy ową butelczynę tłumacząc, że jest to jedyny alkohol jaki mamy. Z wyraźną dezaprobatą jeden z nich wyrzekł coś w rodzaju „ostatecznie niech będzie” i zabierając butelkę poczępali do baraku, aby się ogrzać. Pozostawieni w zaspach śniegu dopiero po dłuższej chwili doszliśmy do wniosku, że możemy jechać dalej.

Drogi w Jugosławii były odśnieżone kiepsko, po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów utknęliśmy na następną noc w samochodzie. W ciągu dnia już bez przeszkód dotarliśmy do Triestu. Z podróży tej pozostały nam wyraziste wspomnienia syberyjskiego krajobrazu, imponujących tuneli śniegowych powstałych w wyniku odgarniania śniegu i opustoszałych dróg. Im bardziej na południe, tym śniegu było więcej. Najbogatsze opady spadły na terenie dzisiejszej Słowenii, chociaż tu klęski nie ogłaszano. Kiedy dojechałem do Triestu prof. Cellina przywitał mnie słowami „*po coś już przyjechał, nikogo jeszcze nie ma, zima*”.

Z tego okresu pochodzi też jedna z moich licznych klęsk dydaktycznych. Nasz syn Marcin jako dziecko był niezwykle żywy, wprost niemożliwy do opanowania.

Zmobilizowany przez żonę podczas jednego z pobytów w Krakowie przeprowadziłem z nim rozmowę „dydaktyczną”. Chcąc go uczulić, próbowałem wytłumaczyć, że jako jedyny mężczyzna po moim wyjeździe musi być grzeczny, nie dukać siostrom, słuchać mamy. Syn słuchał bardzo uważnie, ze zrozumieniem kiwał głową. W dniu wyjazdu wstał wcześnie i pilnie obserwował jak wyjeżdżam. Kiedy zniknąłem,



W drodze do Triestu starym Citroenem (Lublana, 1987)

zapytał, czy już rzeczywiście wyjechałem. Po uzyskaniu odpowiedzi potwierdzającej stwierdził stanowczo „*tatusz wyjechał, ja jestem teraz jedynym mężczyzną, ja tu rządzę*”. Miał trzy lata. Podobne wnioski wyciągnął później, kiedy na audiencji w Watykanie Jan Paweł II pocałował go w głowę. Po powrocie do domu wezwał całą rodzinę i stanowczo oświadczył „*tę głowę całował ojciec święty, od dzisiaj nikt nie może podnieść na mnie ani głosu ani ręki*”.

Ponieważ ICTP również fundowało matematyczne staże, przez ośrodek w Triście przewijała się znaczna ilość matematyków z Polski. Wszło do zwyczaju wpadanie do mnie na lampkę wina. Na brak towarzystwa nie mogłem narzekać. Kiedy przyjechałem do Triestu, grupa rodaków wynajmowała ogromne mieszkanie w centrum Triestu. Tam odbywały się czasem spotkania polskiej kolonii. Po ich wyjeździe chciała go wynająć inna polska grupa, ale właściciel nie chciał traktować ze studentami. Na

ich prośbę wynająłem to mieszkanie na dwa lata. Tak siedziba ogniska polskiego została uratowana. Głównym szefem mieszkania był mój doktorant, ja tą sprawą nie zajmowałem się zupełnie, okupowałem wciąż bezpłatny gościnny pokój w gmachu SISSA. Włączyłem się raz i to z opłakanym skutkiem. Otóż na staż do Triestu przybył z Polski nieznanym nam wcześniej fizyk. Ponieważ wcześniej zarezerwowałem dwa pokoje dla mojej rodziny która miała do mnie dołączyć, lokatorzy interesanta skierowali do mnie. Ponieważ jego staż kończył się przed przyjazdem mojej rodziny, nie widziałem przeszkód, ale wyraźnie zastrzegłem że w stosownym momencie pokój musi być wolny. Według zapewnień wynajmującego wszystko było jasne.

Pojechałem do Polski po rodzinę. Kiedy pan fizyk zorientował się że jest również wolny drugi pokój (trzymany dla mnie) a koszty są stosunkowo niewielkie, po ukończonym stażu ściągnął rodzinę, zajął wolny pokój oświadczając że jako przyszły profesor we Włoszech może sobie zafundować hotel, a dla jego rodziny jest to jedyna okazja spędzenia we Włoszech wakacji. Pozostałym mieszkańcom trudno było wyrzucać rodzinę na bruk, tym bardziej że pan w hierarchii uniwersyteckiej stał wyżej niż oni. Po przyjeździe musiałem sobie szukać innego lokum. Fakt dość nieistotny, ale oddaje dobrze ciemną stronę moich kontaktów z niektórymi rodakami. Otóż uważali oni że jako Polak mieszkający w Włoszech mam obowiązek im pomagać, niekiedy nawet pokrywać część ich wydatków.

Inny zabawny przykład. Goszczonemu w L'Aquila matematykowi z Polski pożyczyłem samochód używany przez żonę. Po paru dniach oddał mi kluczyki informując, że samochód pozostał w terenie bowiem brakło benzyny. Ściągnąłem samochód i dla kawału zadzwoniłem do niego aby się nie martwił bo samochód stoi pod domem. Ku mojemu zaskoczeniu przyjechał natychmiast, aby ponownie go wypożyczyć. Poprosiłem, aby tym razem oddał samochód zanim zużyje całą rezerwę. Tak się też stało. Ku mojemu rozbawieniu niedługo później zadzwonił z zapytaniem czy już zatankowałem i czy może odebrać samochód. Kiedy odpowiedziałem, że może ale nie wiem czy dojedzie do stacji benzynowej, nie zaryzykował. Z tupetem ponowił zapytanie po dwu dniach, ale ponieważ samochodu tym razem nie dożywałem, zrezygnował definitywnie z wypożyczenia. Nie muszę dodawać, że dalszych zaproszeń do odwiedzenia Włoch z mojej strony już nie miał, a współpraca umarła zanim zdążyła się rozwinąć. Później dowiedziałem się, że nie miał również ze sobą prawa jazdy.

Inna wesoła historia związana z naszym rodakiem. Pod koniec mojego pobytu w Trieście dotarła do mnie wiadomość, że na roczny staż przybył kolejny rodak. Postanowiłem złożyć wizytę grzecznościową. Kiedy poproszona sekretarka powiadomiła zainteresowanego o moim przybyciu, ten wyglądał na korytarz i uprzejmie poinformował mnie, że jest zajęty bardzo ważnymi badaniami, ale jeśli będę cierpliwie czekał być może znajdzie chwile czasu aby ze mną porozmawiać. Usiadłem i zająłem się czytaniem prasy. Rozmowa prowadzona w języku francuskim przy otwartych drzwiach nie dotyczyła jednak badań naukowych, raczej dość bezpardonowo rozprawiano się z nieobecnymi znajomymi. Pan od czasu do czasu wyglądał na korytarz, aby upewnić czy czekam. Ponieważ mówiono o ludziach których nie znałem, znudzony po dwu-

godzinnym oczekiwaniu pozostawiłem sekretarce informacje w języku francuskim, że obowiązki wzywają mnie gdzie indziej i wyszedłem. Widocznie niedostatecznie dowartościowany pan przy następnych spotkaniach nie odpowiadał na moje pozdrowienia, co moją przekorną naturę prowokowało do coraz niższych ukłonów.

W międzyczasie dowiedziałem się, że przed paru laty wybył z Polski a jego narodowe lobby dość rozpaczliwie szuka mu miejsca pracy w Europie, między innymi we Włoszech, tworząc naciągniętą legendę, że jest naukowcem wybitnym (był bodajże astrofizykiem). Pan uważając się za człowieka z wyższej półki, kolonie polską złożoną głównie ze stypendystów z kraju wyraźnie lekcewał. Kiedy przyjechała moja rodzina – wyrugowany z formalnie mojego mieszkania –gorączkowo szukałem lokum dla rodziny. Dostałem informacje, że małżonka owego pana dysponuje paroma adresami mieszkań do wynajęcia. Podczas spotkania zamiast adresów pani wygłosiła długie przemówienie o nieodpowiedzialnych Polakach, którzy przyjeżdżają do Włoch z rodzinami nie mając zabezpieczonego pobytu. Małżonka pokornie wysłuchiwała pouczenia nie wspominając, że jest żoną właściwie już profesora włoskiego i jako taka raczej jest zabezpieczona. Ja ubawiony milczałem. Na moją nieśmiałą uwagę, że państwo też mają dzieci usłyszałem dumne stwierdzenie, *to co innego, mój mąż to wybitny naukowiec*.

W międzyczasie do Pana dotarła informacja, że istnieje Polak który we Włoszech uzyskał stanowisko profesora. Poprzez dyrekcję SISSA zwrócił się do mnie z prośbą o spotkanie, ale tak się składało, że w każdym kolejno proponowanym terminie prowadziłem „*ważne badania*”. W końcu na wyraźną prośbę prof. Celliny zgodziłem się na spotkanie. Pan przybył z grubym eleganckim notesem i stylowym długopisem, odniosłem wrażenie, że w siedzącym w dyrektorskim gabinecie prof. Celliny typie,



Ekipa rodzinna w komplecie (Triest 1987)

nie rozpoznał nisko kłaniającego mu się na korytarzu rodaka. Poprosił, abym opowiedział mu dokładnie to wszystko co robiłem aby wygrać konkurs, bo: „*ja to sobie zapisze, zrobię tak samo i wygram*”. Starannie oglądałem zeszyt i długopis, a po stwierdzeniu że nadają się, poprosiłem aby trzykrotnie zapisał: „*studiować, studiować, studiować*”, następnie również trzykrotnie „*publikować dobre prace, publikować tylko dobre prace, publikować tylko bardzo dobre prace*”. Po chwili zadumy „*Przystąpić do konkursu i wygrać*”, a po dalszej zadumie „*Unikać propagandy, że marne wyniki są dobre. Nie wszyscy są idiotami*”. Gdzie ostatecznie pan wylądował, nie wiem. Mówiono mi, że we Włoszech próbował jeszcze bezskutecznie parokrotnie startować. Historia ta świadczy, że również znaczące środowiska nie zawsze odnoszą sukces.

Czas wyjaśnić sprawę mojej profesury we Włoszech. Pozwolę sobie zacząć rzecz niemal historycznie. Otóż w czasie Kongresu Matematyków w Warszawie w 1977 roku profesor Carlo Pucci⁵ pełniący wówczas funkcje prezesa Unione Matematica Italiana (UMI) poprosił mnie o zorganizowanie spotkania z szefami matematyki polskiej. Zwróciłem się do profesora Olecha, przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Ponieważ prof. Olech był zajęty sprawami kongresu, na spotkanie wyznaczył swojego zastępcę, prof. Wiesława Żelazko. Zamówiłem restaurację (spotkanie było w porze obiadowej), a kiedy czekaliśmy na taksówkę podszedł do mnie prof. Ennio de Giorgi, matematyk światowej sławy uznany wówczas za najwybitniejszego matematyka włoskiego, z zapytaniem gdzie można zjeść uczciwy obiad. W owych czasach znalezienie dobrej restauracji nie było łatwe. Próbowałem jakoś udzielić informacji, ale prof. Żelazko zaproponował, aby udał się z nami. Profesorowi Pucciemu protestować nie wypadało. Z późniejszej rozmowy wynikało, że prof. Pucci chciał od strony polskiej uzyskać zgodę na to, aby matematycy Polski i Włoch mogli uczestniczyć w konkursach drugiej strony. Prof. De Giorgi reprezentował pogląd przeciwny. Obaj przedstawiali swoje poglądy w imieniu matematycznej społeczności włoskiej. Prof. Żelazko wyraźnie nie mógł się zorientować o co właściwie chodzi⁶. Ja znając już nieco włoskie układy polityczne bawiłem się świetnie. Na myśl mi wówczas nie przyszło, że w przyszłości ta kwestia może dotyczyć mnie.

Po paru latach udało się wreszcie władzom włoskim uchwalić ustawę dotyczącą szkolnictwa wyższego, w szczególności sposób rekrutacji profesorów. Ruszyły zablo-

⁵ Prof. Carlo Pucci (1925–2003), matematyk, członek antyfaszystowskiego ruchu oporu (pseudonim Carlo Neri), uczestnik ciężkich walk z Niemcami w okolicy Ravenny i Ferrary, jeden z głównych organizatorów działalności naukowej matematyków we Włoszech w okresie powojennym. Współtwórca Centro Nazionale delle Ricerche (CNR), założyciel Istituto Nazionale di Alta Matematica (Indam) oraz Istituto Analisi Globale ed Applicazioni (IAGA). Instytucjami tymi kierował przez długie okresy. Zwolennik kontaktów międzynarodowych, orędownik i organizator stypendiów zagranicznych.

⁶ Ze względu na trwającą od kilkunastu lat dyskusję we Włoszech o zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym konkursy były zablokowane. Po wejściu nowej ustawy należało obsadzić pokaźną ilość katedr. Niektórzy liderzy nauki włoskiej bojąc się że normalny rozwój kadry zostanie zablokowany zbyt obfitym jednorazowym rzutem wpadło na pomysł aby część stanowisk obsadzić obcokrajowcami. Z definicji winni to być wybitni specjaliści którzy albo wzbogaciliby naukę miejscową, albo po doświadczeniu włoskim powróciliby do swoich krajów zostawiając wolne miejsca dla wyrosłych w międzyczasie lokalnych talentów. Większość (np. prof. De Giorgi) uważała natomiast że należy dowartościować kolegów miejscowych którym blokada starych przepisów uniemożliwiła awans we właściwym czasie.

kowe od lat konkursy. Mój włoski współpracownik prof. De Blasi zaproponował mi start w takim konkursie. W czasie pobytu we Włoszech podpisałem stosowne podania, a przygotowanie materiałów dotyczących mojego dorobku naukowego pozostawiłem De Blasiemu. Gdybym wówczas był świadom ogromu pracy jaką musiał wykonać, z pewnością nie zleciłbym mu tego zadania i w konkursie nie wystartowałbym. Widząc mocną konkurencję nie traktowałem zresztą tego startu poważnie, chodziło mi raczej o to, aby oficjalnie wyrazić moje zainteresowanie współpracą z matematykami włoskimi, co mogło zaowocować dalszymi włoskimi grantami na współpracę z De Blasim. Po blisko dwóch latach konkurs został rozstrzygnięty, a bodajże z 78 kandydatów zagranicznych przeszło czterech, Austriak, Niemiec, Kanadyjczyk i piszący Polak. Komisja wysoko punktowała istniejące już kontakty z Włochami i to zdecydowało o wyniku.

Przegrani konkurenci z Włoch wystąpili z protestem dotyczącym kandydata z Kanady. Sąd uznał, że obywatel Kanady nie może pełnić funkcji profesora we Włoszech. Zadowoleni z sukcesu z kolei zaatakowali mnie. Prof. Magenes⁷ na prośbę prof. Pucciego zwrócił się do swojego szkolnego kolegi Andreottiego⁸, pełniącego wówczas funkcję szefa rządu, aby rozwiązał problem. Andreotti do rozstrzygnięcia tej kwestii powołał trzyosobową komisję ekspertów, którzy po paru miesiącach wyprodukowali dokument z którego wynikało, że Polak profesorem we Włoszech być może. Parę lat później uczestnicząc w posiedzeniach komisji zatwierdzającej nominacje na profesorów w siedzibie ministerstwa miałem ów wielostronicowy dokument w rękach. Niestety, nie wypadało mi robić kopii, a było to opracowanie niezmiernie ciekawe. Wystarczy wspomnieć że w opracowaniu tym znalazło się odwołanie między innymi do Kopernika, Zamojskiego i szeregu innych Polaków i Włochów którzy w ostatnich wiekach działali na polu nauki w bratnich krajach. Analiza historyczna wykazywała, że obywatele jednego kraju pełnili funkcje profesorów w drugim kraju. O dziwo, w przeszłości sporo Włochów pracowało w Polsce. Na podstawie tej analizy organa odwoławcze uznały, że funkcje profesora mogą we Włoszech pełnić.

Oczywiście fakty te poznałem znacznie później. Chwilowo spokojnie pracowałem w Trieście. Wiadomo było że są odwołania, a główny problem to moja osoba. Wciąż nie byłem jeszcze przekonany czy chce konkurs wygrać. Do momentu rozstrzygnięcia sporu konkurs był zablokowany, potencjalni zwyczajcy nie mogli objąć stanowisk. Świadomość, że moja osoba blokuje kolegów nie była zbyt przyjemna, chociaż nie

⁷ Enrico Magenes (1924 – 2010), wybitny specjalista w zakresie analizy matematycznej i numerycznej. Kiedy sporo lat później przedstawiono mnie prof. Magenesowi wspomniałem, że właśnie jemu zawdzięczam możliwość objęcia stanowiska we Włoszech. Okazało się że pomimo iż uruchomił samego szefa rządu zdarzenia nie pamiętał. Po prostu dla niego był to drobiazg który wyrzucił z pamięci.

⁸ Giulio Andreotti (1919 – 2013), członek Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (DC), był najważniejszym po wojnie graczem politycznym we Włoszech. Niezwykły rekordzista: 25-cio krotny minister, 7-mio krotny szef rządu. Po upadku DC był obiektem szeregu oskarżeń, między innymi o powiązania z mafią. Ostatecznie po wielu procesach uniewinniony zakończył żywot jako dożywotni senator Republiki Włoskiej i doctor honoris causa 11 uniwersytetów, w tym 3 polskich (Uniwersytetu Toruńskiego 1984 r., Uniwersytetu Warszawskiego 1989 r. i Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1992 r.). Miarę jego wpływów oddaje znany dwuwiersz „*Il foglio non si muove, se Andreotti non lo vuole*” (liść się nie poruszy jeśli Andreotti nie chce). Charakterystykę tę doskonale uzupełnia spostrzeżenie znanej dziennikarki Orlany Fallaci „*Prawdziwa władza krępuje człowieka za pomocą wstąжки, uroku i inteligencji*”.

spotkałem się z żadną krytyczną uwagą. Był jednak moment kiedy straciłem pewność siebie. Uczestniczyłem w konferencji na Capri. Po mocno zakrapianej kolacji późną nocną porą w rozbawionym towarzystwie wybraliśmy się zwiedzać ruiny willi Jowisza, siedziby cesarza Tyberiusza.⁹ W pewnym momencie dwaj koledzy należący do grupy zablokowanych w awansie kolegów na skale Tyberiusza zaczęło mnie huśtać zastanawiając się czy rzut ze skały Tyberiusza nie byłby najlepszym rozwiązaniem ich problemu. Zważywszy ilość wypitego wina oraz stopień rozbawienia towarzystwa, wyraźnie się przestraszyłem. Na szczęście koledzy zmęczeni się zanim wyslizgnąłem się z ich rąk.

Po ponad rocznym oczekiwaniu konkurs został odblokowany. Zaangażowanie w przefinansowanie mojej kandydatury niektórych matematyków włoskich (w szczególności prof. Pucciego) zobowiązało mnie do podjęcia pracy. Powstał problem wyboru miejsca pracy. Okazało się, że siedziby bardziej cenione zostały już – na mocy nieoficjalnych umów – zajęte. Profesor Cellina, któremu mój wykład z funkcji wielowartościowych pasował do programu studiów na SISSA, chciał abym pozostał w okolicy Triestu. Taka możliwość istniała w pobliskim Udine. Pracował tam Prof. Della Riccia, który od lat chciał prowadzić zajęcia w SISSA, na co Cellina nie wyrażał zgody. Tym razem postanowił ustąpić i pojechaliśmy na rozmowy. Della Riccia miał dostać wykład oraz możliwość ulokowania w SISSA swojego doktoranta. Targi były dosyć długie, Udine w tej sprawie odwiedziliśmy trzykrotnie. Ponieważ o panu Della Riccia słyszałem już sporo, chciałem zrozumieć kto to właściwie jest. Otóż kiedy jeszcze nie mieszkał we Włoszech występował jako ekspert rządu włoskiego i to w różnych dziedzinach, np. w komisji zajmującej się rozwiązaniem ruchu ulicznego w Neapolu (skutek wiadomy). Nie mogłem natomiast dotrzeć do żadnej jego matematycznej publikacji a przecież w tej branży we Włoszech otrzymał stanowisko profesora. Przy okazji pobytów w Udine, kiedy pytałem natarczywie w jakiej dziedzinie jest specjalistą, zawsze odpowiadano mi tajemniczym szeptem „*no wiesz, studiował u Wienera¹⁰, jest jego uczniem*”. W końcu nie wytrzymałem i mruknąłem pod nosem: „*studiować u Wienera i nic nie zrobić to też sukces*”. W drodze powrotnej zadowolony Cellina stwierdził iż stało się dobrze bowiem w przyszłości niewątpliwie z tym ... miałbym kłopoty. Ja niestety straciłem w ten sposób definitywnie szansę na stanowisko w Udine.

Z miejsc wolnych pozostały wyspy: uniwersytety w Cagliari, w Katanii i w Palermo. Odwiedziłem Cagliari. Przyjęcie było królewskie, wyspa na morzu mnie jako mieszkańca gór wyraźnie kusila. W uszach wciąż dzwoniła mi jednak porada pochodzącego z Sardynii kolegi „*jeśli chcesz zakończyć działalność i korzystać z życia, wyspa jest miejscem wspaniałym, jeśli chcesz być jeszcze aktywnym, pomyśl dobrze*”. Sam pracował na uniwersytecie w Bolonii. Życie na wyspie jest dla ludzi całkowicie wylu-

⁹ Tyberiusz, cesarz rzymski w latach 14 – 37 n.e., był dobrym administratorem, świetnym dowódcą ale władcą okrutnym. Nie ufał nikomu, obsesyjnie obawiał się zamachu na swoje życie. Od 27 roku zamieszkał na Capri skąd zarządzał państwem za pomocą korespondencji. Przeciwników politycznych polecał wrzucać w otchłań morską ze skały obok willi cesarza, zwanej skałą Tyberiusza.

¹⁰ Norbert Wiener (1918–1964), amerykański matematyk pochodzenia żydowskiego, twórca cybernetyki.

zowanych. Czas biegnie tutaj zupełnie inaczej. Już moja pierwsza wizyta w Cagliari całkowicie to potwierdziła. Prom z Civitavecchia do Cagliari przyjeżdża z dokładnością paru godzin, w zależności od pogody. Odbierający mnie w porcie matematyk czekał na mnie pięć godzin chociaż morze było tylko średnio wzburzone. Są połączenia lotnicze Rzym – Cagliari ale, pomimo niżek dla wyspiarzy, podróż jest zawsze kosztowna. Ponadto w tym okresie strajki pracowników lotnictwa były na porządku dziennym, w czasie strajku pasażerowie pozostawali często uwięzieni na lotniskach. Mój styl życia i pracy (współpraca z De Blasim, wyjazdy na konferencje) wymagał częstych pobytów w Rzymie, a to byłaby olbrzymia strata czasu oraz znaczne koszty. Podróż z całą rodziną to już byłby wydatek spory. Pomimo entuzjastycznego przyjęcia postanowiłem szukać możliwości pracy na kontynencie i tak się też stało, ale o tym już w następnym paragrafie.

Z Triestem mam związane jeszcze jedno interesujące wspomnienie. Po roku pobytu w L'Aquila postanowiliśmy część wakacji spędzić w Trieście. Wciąż był tam jeszcze mój doktorant, pokaźna liczba znajomych i wynajęte przeze mnie mieszkanie, z którego dotąd nie miałem okazji korzystać. Podczas pobytu pojechaliśmy zwiedzać Istrię, należącą wówczas do Jugosławii. W planie mieliśmy zwiedzanie jaskini Postumii (Postojnska jama lub jaskinia Postojna)¹¹. Niestety, kiedy tam dotarliśmy ostatni pociąg odjechał na naszych oczach, nie zdążyliśmy wsiąść. Powstał problem czy wrócić do Triestu czy znaleźć nocleg i pozostać na następny dzień. Pora była jeszcze wczesna (około 17), postanowiliśmy pospacerować w pobliskim lesie i spokojnie podjąć decyzję. Lasek był bardzo przyjemny, zapuściliśmy się dość daleko. W pewnym momencie napotkaliśmy liczną gromadę palącą ognisko. Zaledwie zdążyliśmy się przybliżyć, podano nam wino, posadzono przy rozkładanym stole, na którym pojawił się smakowity gulasz mięsno – jarzynowy. Kiedy towarzystwo podjadło rozpoczęły się śpiewy. Przy stoliku byliśmy sami, ale gospodarze dbali aby niczego nam nie brakowało. W ogólnym rozgardiaszu wymieniliśmy zaledwie parę zdań po włosku. Przed wojną były to tereny Włoch, większość tamtejszych mieszkańców ten język wciąż zna, nikt się temu nie dziwił, nikt nas o nic nie pytał. Atmosfera była tak przyjemna, że beztrudno pozostaliśmy do późnych godzin nocnych. Kiedy towarzystwo zaczęło zbierać się do odjazdu, zapytaliśmy o jakiś hotel w pobliżu aby przenocować. Nastąpiła konsternacja i pytania kim właściwie jesteśmy. Okazało się, że tworząca się w Słowenii opozycja przeciw komunistycznym rządów z Belgradu, aby się poznać, umówiła się na piknik. Przyszliśmy w porze posiłkowego zamieszania i nikt nie zorientował się że jesteśmy obcymi. Zresztą znaczna część uczestników nie знаła się jeszcze.

Gospodarze stanęli na wysokości zadania. Zorganizowali nam wspaniałą kwatery, dokładnie młody sportowiec, jeśli dobrze pamiętam pan Borut (bodajże olimpijczyk w skokach) zaprowadził nas do willi swoich rodziców, a rankiem przyszedł

¹¹ Jest to jaskinia w pobliżu miasta Postojna, mająca 20 km podziemnych sal i korytarzy. Pierwszy odcinek trasy turystycznej pokonuje się pociągiem, następnie przechodzi pieszo około 1700 m. Spotykamy tu zadziwiające formy skalne, wielometrowe żółto-beżowo-pomarańczowe nacieki, stalaktyty, stalagmity, kurtyny skalne. W podziemnym baseniku można oglądać bezokie płazy – odmienne jaskiniowe. W pierwszej części korytarzy w czasie wojny był niemiecki skład amunicji wysadzony przez jugosłowiański oddział partyzancki dowodzony przez Polaka.

aby przygotować śniadanie. Następnego dnia zorganizowano nam przyjęcie w domu jednego z redaktorów na którym wysłuchałem zaangażowanego wystąpienia programowego. Gospodarzy mocno interesował ruch Solidarności. Zdumiewający był zapał do przeprowadzenia zmian i reorganizacji zarządzania krajem.

Przez pewien czas wymienialiśmy jeszcze kartki, ale z czasem korespondencja zamarła. Każdy zajęty był własnymi obowiązkami. Kiedy upadła Jugosławia intrygowało mnie ile osób z owego spotkania znalazło się w nowych władzach. Czy również tu zadziałała znana reguła: *„rewolucja zjada swoich ojców, na powierzchni zwykle pozostają cyniczni spryciarze lub kandydaci na przyszłych despotów”* (zob. rewolucje komunistyczne, rewolucje południowo – amerykańskie czy afrykańskie, również przy ostatnich zmianach w Polsce nie wydaje się aby czołowi działacze aktualnych partii to najbardziej aktywni i najbardziej ideowi członkowie opozycji z czasów socjalizmu realnego). Pamiętam, że przekrój towarzystwa był bardzo urozmaicony, uczestnicy robili wrażenie zaangażowanych idealistów. Szanse aby znaleźli się w strukturach nowych władz – zważywszy na wyżej wymienioną zasadę – były chyba niewielkie.

2. L'Aquila – Inżynieria

Uniwersytet w L'Aquila w owym czasie był kolonią Rzymu. Wszelkie decyzje personalne podejmowane były w Rzymie, często bez konsultacji z tubylcami. Oczywiście miejscowi marzyli o uniezależnieniu się. Doskonale oddaje to mój przypadek. Po rozpoznaniu sytuacji w sprawie mojego zatrudnienia skierowano nas do emerytowanego już prof. Giuliano Soraniego, który wcześniej był dyrektorem Instytutu Matematyki, a w latach 1972 – 1981 rektorem Uniwersytetu w L'Aquila. Przyjął nas w swoim rzymskim mieszkaniu. W czasie spotkania wygłosił dwa przeczące sobie stwierdzenia. Na początku oświadczył, że jako emeryt nie ma już żadnego wpływu i sprawami etatów nie jest zainteresowany. W trakcie dalszej rozmowy – kiedy moja kandydatura została właściwie zaakceptowana – wyjaśnił, że póki wszystkie stanowiska w L'Aquila nie zostaną obsadzone, pomimo że ma podjęte zobowiązania w Jerozolimie, Rzymu nie opuści ani na jeden dzień. Niestety, po konsultacjach ze swoim środowiskiem poinformował moich przyjaciół, że nie zostaną przyjęty. Podał też powód. Otóż nie dawałem gwarancji że szybko opuszczę L'Aquila (uniwersytet powinien być zainteresowany uzyskaniem stabilnej kadry). Wypada tu jednak podkreślić solidność, sprawa została postawiona jasno, nie byłem zwodzony. W tej sytuacji moi przyjaciele poszukiwali kanałów kontaktowych na wydziale Inżynierii, gdzie usadowiła się grupa profesorów inżynierów z Genui nie podlegających już tak silnie ani wpływom Rzymu ani narodowym grupom. Otrzymałem z ich strony OK oraz przykaz abym w L'Aquila nie pokazywał się póki stosowne decyzje nie zostaną oficjalnie podjęte. Konkurencja nie powinna się zorientować. Tak się też stało.

Podjąłem więc pracę na jednej z nielicznych we Włoszech uczelni w której nigdy wcześniej nie byłem. W L'Aquila zostałem zatrudniony w maju. Władzom wydziału zgłosiłem, że chciałbym dokończyć moje zajęcia w Trieście, co było zresztą zgodne

z włoską praktyką. Odpowiedziano mi że wystarczy jeśli do pracy zgłoszę się we wrześniu. W ten sposób powtórzyła się sytuacja z Polski, gdzie w momencie podjęcia pracy czekały już na mnie trzymiesięczne pobory. Tym razem przeszedłem na utrzymanie uniwersytetu w L'Aquila, choć obowiązków pracownika właściwie nie podjąłem, a pracę kontynuowałem w instytucie naukowym nie związanym ze strukturą uniwersytecką, chociaż podlegającą Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego i Nauki. W czasie pobytu w L'Aquila zarezerwowałem dla rodziny mieszkanie od września i wróciłem kontynuować swoją pracę w SISSA.

Zgodnie z umową z początkiem września wraz z rodziną przyjechałem do L'Aquila. Na miejscu okazało się, że wynajęte mieszkanie jest nieaktualne. Awaryjnie zamieszkaliśmy w klasztorze u sióstr zakonnych, które prowadziły dom gościnny dla pracowników uniwersytetu oraz pielgrzymów¹². Spędziliśmy tam ponad dwa miesiące, a zawarta wówczas przyjaźń z siostrami trwała przez cały nasz pobyt w L'Aquila. U nich też zwykle lokowałem później odwiedzających mnie współpracowników z Polski.

Wraz ze mną pracę na Inżynierii podjęło 6-sciu nowych profesorów. Zwykle spośród nich wybierano sekretarza wydziału. W czasie dyskusji wyborczej któryś z członków rady jako ukłon grzeczności w stronę obcokrajowca zaproponował moją kandydaturę. Wyluzowany poinformowałem kolegów że jest to niemożliwe bowiem co prawda współpracując z włoskimi kolegami nauczyłem się nieco mówić, nigdy jednak włoskiego nie studiowałem i nie umiem właściwie pisać. Na moje oświadczenie oczy urzędującego dziekana zapłonęły jak pochodnie¹³, litości nie było i nominacje musiałem przyjąć. Był to niespodziewany start do mojej administracyjnej kariery we Włoszech, która w dużej mierze przypomina karierę Nikodema Dyzmy¹⁴, ale tym razem w rzeczywistości. Wyrażając zgodę na objęcie tych funkcji nie zdawałem sobie wówczas sprawy ile ton sprawozdań i dokumentów wymaga biurokracja włoska. W porównaniu z nią biurokracja polska to raczkujący niemowlak. Warto dorzucić, że na podobnej zasadzie (braku znajomości przepisów i kompetencji) po roku dorzucano mi jeszcze obowiązki prodziekana.

Prawa i zwyczaje rządzące wówczas uczelniami włoskimi jak również organizacja studiów były bardzo odległe od znanej mi rzeczywistości polskiej. Studia na Inżynierii podzielone były na dwa lata propedeutyczne (przygotowawcze) i trzy lata kierunkowe. Aby uzyskać tytuł inżyniera student miał zdać w dowolnej kolejności 27 egzaminów (10 z przedmiotów propedeutycznych i 17 z przedmiotów kierunkowych), ponadto

¹² W miejscowości Roio, przynależącej do L'Aquila znajduje się Sanktuarium Matki Boskiej z Dzieciątkiem, cieszące się szczególną estymą Kanadyjczyków którzy często zaglądali tu jako pielgrzymi. W początkach mojego pobytu a L'Aquila Sanktuarium było pod opieką zakonników kanadyjskich z którymi dość szybko zaprzyjaźniłem się. Niestety w wyniku konfliktu z miejscowym biskupem zakonnicy opuścili Włochy.

¹³ Nerozumiejący sekretarz był niezwykle cenny. Nieświadomy podpisywał sprawozdania które mogły niezbyt dokładnie opisywać dyskusje i przyjęte ustalenia, a zgodnie z obowiązującymi przepisami jego podpis na dokumentach był niezbędny.

¹⁴ Bohater przedwojennej powieści Adolfa Dygasińskiego, satyra na ówczesną rzeczywistość. Motorem zadziwiającej kariery Dyzmy były nieporozumienia i całkowity brak przygotowania merytorycznego bohatera do pełnienia kolejnych funkcji, które mu oferowano właściwie bez jego udziału.

przygotować pracę dyplomową. Szokującym było dla mnie to, że student mógł być zapisany na ostatni rok studiów, czy nawet na dalsze lata tak zwane „fuori corso”¹⁵, nie mając żadnego zdanego egzaminu, wystarczyło, że w odpowiednim terminie wpłacał czesne.

Wychowanemu w systemie reżimu organizacja taka wydała się nie do przyjęcia. Dość szybko zaproponowałem aby na studia kierunkowe mogli zapisać się studenci, którzy zdali przynajmniej 5 przedmiotów propedeutycznych. Oczywiście zostałem zakrzyczany, propozycje uznano za przejaw braku poczucia demokracji a nawet wyraz faszyzmu. Przypadek zrzucił, że niedługo później zgłosił się do mnie student który miał zdanych 25 egzaminów. Brakowało mu tylko Analizy I i Analizy II, czyli materii które wykładałem. Wystąpiłem z oficjalną pisemną propozycją do Rady Wydziału aby te przedmioty wyrzucić z programu studiów, albo w tym konkretnym przypadku w drodze wyjątku wydać dyplom na bazie 25 zdanych egzaminów. Analiza winna być przedmiotem pomocnym do opanowania innych materii, student je zaliczył dowodząc, że analiza nie była mu potrzebna. Zakłopotanie Rady rozwiązał dziekan pytając czy jeśli moja poprzednia propozycja zostanie przyjęta, wycofam propozycje obecną. Oszołomiony niespodziewanym zwycięstwem popełniłem karygodny błąd. Widząc, że wśród materii propedeutycznych były Analiza I i II, Fizyka I i II oraz Geometria I i II, zaproponowałem, aby wśród proponowanych pięciu egzaminów potrzebnych do zapisu na studia kierunkowe były Analiza I, Fizyka I i Geometria I. Rozgorzała namiętna dyskusja która trwała ponad rok czasu. Ostatecznie ustalono 5 dowolnych materii. Była to pierwsza z szeregu zmian które zainicjowałem na uniwersytecie w L'Aquila. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że w dużej mierze niepotrzebnie, większość z nich niedługo później została albo wprowadzona, albo wyeliminowana nowymi zdecydowanie bardziej biurokratycznymi ustawami.

Wśród nowo przyjętych profesorów był przedstawiciel informatyki pełniący ważne funkcje zarówno we Włoszech jak i Brukseli. W swojej szczodrości informował nas o swoich licznych sukcesach nawołując, abyśmy również my – biorąc z niego przykład – starali się zbliżyć do poziomu światowego. Posiadanie takiej znakomitości w swoich szeregach było niewątpliwym zaszczytem. Delikwent widać odczytał autentyczny zachwyt w moich oczach i z jego inicjatywy nastąpiło dość serdeczne zbliżenie. W ramach tych kontaktów zasypał mnie swoimi mnogimi artykułami z których część dotyczyła matematyki. Z niezwykłym zdumieniem odkryłem, że był to bezsensowny bełkot, przynajmniej w części dotyczącej matematyki. Korzystając z zasady „*najlepszy informatyk wśród matematyków, najlepszy matematyk wśród informatyków*” chłopak osiągnął znaczący międzynarodowy sukces. Nie był to jedyny hochsztapler w gronie kolegów, ale niewątpliwie najgłośniejszy. Oczywiście nie próbowałem prostować, nie miałbym zresztą szans na zrozumienie widząc ugruntowaną pozycję bohatera, ograniczyłem tylko stopień naszej zażyłość. Przed wakacjami zostałem zaproszony na huczne przyjęcie pożegnalne bowiem sława w drodze wyjątku (pomijając obowiązek 3-letniego pobytu w zatrudniającej jednostce po objęciu katedry) przenosiła się na

¹⁵ Po pięciu latach legalnego pobytu na uczelni student opłacając czesne mógł wpisywać się również na dalsze lata zwane „fuori corso” czyli „poza kursem”.

uniwersytet rzymski. Po powrocie z wakacji okazało się, że wciąż pracuje u nas. Zapytany znajomy z Rzymu stwierdził, że mieli do wyboru dwóch sprzedawców dymu i równocześnie artystów autoreklamy. Aby utrzymać kierunek kształcenia ze względu na wymogi formalne jednego musieli przyjąć, jako kryterium przyjęli mniejszy ilościowo dorobek w nadziei, że oznacza on mniejsze stężenie głupoty. Obiektywna prawda jakoś dociera do ludzi, chociaż w obecnych realiach często nie jest to łatwe. Niewtajemniczonym może to wydawać się dziwne, ale różnokierunkowy rozwój nauki pozwala – zwłaszcza na stykach różnych dziedzin – na tworzenie się pseudonauki i pseudonaukowców, którzy niekiedy osiągają znaczne sukcesy zwłaszcza w środkach masowego przekazu. Stąd też ilekroć słyszę nadmierne zachwyty w środkach masowego przekazu od razu rodzą się u mnie dzwonki alarmowe.

Dużo wiedzy o nieprawidłowościach na włoskich uczelniach zdobyłem w okresie strajków studenckich w roku 1989. Ruch ten nosił nazwę Czerwonej Pantery. Uniwersytet w L'Aquila został objęty strajkiem okupacyjnym. Władze, pamiętając groźne rozruchy studenckie w latach 1977 – 1978 (tzw. ruch Czarnej Pantery)¹⁶, były wyraźnie wystraszone. Do rozmów ze studentami powołano komisje, a jej przewodniczącym mianowano mnie (bardziej predysponowani koledzy zaangażowani w działalność polityczną woleli nie ryzykować). Byłem przekonany, że żądania studentów będą dotyczyć ułatwień w studiowaniu, na przykład kosztów studiowania, stypendiów, spraw logistycznych czy ograniczenia wymogów egzaminacyjnych kolegów u których zdanie egzaminu było niezwykle trudne. Ku mojemu zaskoczeniu nawet bardzo wymagający profesorowie, którzy solidnie odrabiali swoje zajęcia, nie byli krytykowani. Natomiast doskonale poinformowani studenci przekazali mi długą listę autentycznych nadużyć na uczelni o których – gdyby nie ta okazja – nigdy bym nie wiedział. Sądzę, że takie poważne traktowanie spraw przez strajkujących na naszej uczelni było raczej wyjątkowe. Na uczelniach, gdzie strajkiem kierowały siły polityczne, żądania strajkujących zwykle nie dotyczyły spraw związanych z funkcjonowaniem uczelni, a ich treścią były zwykle kwestie polityczne. Zdobyta wtedy wiedza pozwoliła mi zrozumieć niekonwencjonalne zjawiska występujące w życiu uczelni i ułatwiła mi później rozsądne funkcjonowanie we władzach (po prostu nieco ograniczyła moją wrodzoną naiwność i wiarę w słuszne funkcjonowanie świata).

Dobrym źródłem wiedzy o funkcjonowaniu lokalnego systemu była rozbudowa Inżynierii. Zostałem powołany do Komisji zajmującej się budową. Władze wydziałów i rektoratu uczelni pochodziły z zewnątrz i były – jak na warunki włoskie – rzeczowe, starały się o stworzenie kierownictwa ze strony uniwersytetu, które nie będzie utrudniać pracy. Jako człowiek obcy nie byłem poddawany presji lokalnych środowisk, które w realizowanych inwestycjach widziały możliwość zarobku i przekrętów. Miałem tytuł profesora (komisja musiała liczyć pięciu utytułowanych członków) a mieszkając w L'Aquila byłem do ciągłej dyspozycji, do tego o problemach budownictwa nie miałem żadnego pojęcia, mogłem służyć jako wygodny potakiwacz.

¹⁶ W czasie tych rozruchów istniały przypadki uwięzienia przez strajkujących komisji egzaminacyjnej jak też próby podpalenia domów w których mieszkali profesorowie. (Np. we Florencji podpalono kamienice w której mieszkał mój współpracownik prof. De Blasi).

Zaskoczony zostałem już na początku. Plan który zakupiliśmy był planem autentycznego cyrku. Ponieważ zacząłem wyrażać wątpliwości poufnie wytłumaczono mi, że plan ten wzięliśmy w sprzedaży wiązanej. Ministerstwo dało dofinansowanie, my zakupiliśmy plan wraz ze zgodą projektanta na dowolne przeróbki. Faktycznie właściwy projekt sporządzili gratis nasi architekci. Oczywiście architekci – jak to architekci – wykorzystali okazję aby wyżyć się artystycznie, projekt niewątpliwie był oryginalny. Nie uwzględniał drobnego faktu, że budynek stoi na szczycie góry o wysokości 1000 metrów n.p.m., gdzie w lecie mocno operuje Słońce, natomiast w zimie mróz nie żartuje. Utrzymanie budynku jest bardzo kosztowne (analogiczne problemy obserwujemy w Krakowie z nowymi budowlami UJ, gdzie wprowadzono nadmierne przeszklenia i kosztowną elektronikę). Ponadto piękne kształty nie uwzględniały strefy sejsmicznej i podczas trzęsienia ziemi gmach ten został jednym z bardziej uszkodzonych budynków. Jako konstrukcja nowa powinien przeżyć ten ewenement bez poważnych uszkodzeń.

Po zakończeniu budowy wykonawca zażądał niezależnie od wcześniejszych podwyżek dodatkowo 7-miu milionów. Uniwersytet chciał dopłacić pięć. Ostatecznie sprawa poszła do arbitrażu i dopłaciliśmy 17 milionów. Dopłata 7-miu groziła nam sądem i wyrokami, 17-ście wypłaciliśmy bez ryzyka (wyrok sądowy). Pozostało mi brzydkie wrażenie, że część moich kolegów w kierunku takiego rozwiązania dryfowała od samego początku.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych NATO postanowiło wymienić sprzęt radarowy. Zamówienie zostało złożone we włoskiej firmie Italtel, której zarząd mieści się w Mediolanie, a zakłady są rozrzucone są po Włoszech. Do realizacji tego zamówienia wybrano zakłady w L'Aquila. Powstał problem naboru pracowników dla realizacji zamówienia. Italtel zwrócił się do Wydziału Inżynierii w L'Aquila z propozycją zorganizowania dwuletniej szkoły pomaturalnej, która miała przygotować stosownych specjalistów. Program zajęć został dokładnie narzucony. Z racji mojej funkcji prodziekana we wszystkich rozmowach uczestniczyłem od początku. Okazało się, że doświadczenia nabyte przy prowadzeniu zajęć w punktach konsultacyjnych w Polsce okazały się tutaj bardzo przydatne. To co dla kolegów włoskich – wciąż pracujących w systemie uczelnianym pamiętającym jeszcze czasy przedwojenne – niekiedy wydawało się niezrozumiałe i trudne, dla mnie często było proste i naturalne. Szokujące ale doświadczenia zdobyte w warunkach socjalizmu sprawdzały się w systemie kapitalistycznym. Sądzę, że właśnie ta sprawa w znacznej mierze przyczyniła się do tego, że kierujący uczelnią dokooptowali mnie później do swojego grona.

Pouczające zdarzenie miało miejsce już na samym początku. Przedstawiciele Italtel chcieli aby w logo nowopowstałej placówki obok uniwersytetu był również wymieniony Italtel. Władze uczelni absolutnie nie wyrażały zgody. Kiedy zorientowałem się, że jest im to potrzebne aby uzyskać ulgi podatkowe, wbrew opinii kolegów z uniwersytetu poparłem to żądanie nie widząc racjonalnych przeciwwskazań. Zdumiewające dla mnie było następne spotkanie na które przybył szef firmy. Otóż miał on szereg informacji dotyczącej mojej działalności również w Polsce, informacji których w L'A-

quila nikt nie znał. Jaką drogą uzyskał te dane niestety nie dowiedziałem się. Ta sprawność firmy prywatnej była zaskakująca. Italtel zaproponował abym został dyrektorem tej szkoły. Uczelnia na to nie poszła. Powód był raczej prozaiczny, za funkcję tę było spore wynagrodzenie. Aby zadowolić Italtel mianowano mnie vice (funkcja ta nie była wynagradzana) i w tej roli póki szkoła istniała zajmowałem się jej funkcjonowaniem. Nie trwało to długo ponieważ zmiany w polityce światowej spowodowały wycofanie się NATO z zamierzonych zmian wyposażenia armii. Produkcji radarów nie uruchomiono a zakłady Italtel w L'Aquila wyraźnie podupadły i do dnia dzisiejszego ledwie wegetują. Potwierdzenie kolejnego niemiłego prawa: *wojny bywają motorem wynalazków i postępu, sprzyjają też rozwojowi ekonomii*.

Wróćmy jednak do początku działalności szkoły. Firma ufundowała 20 stypendium w wysokości średnich poborów, ilość studentów była ograniczona ilością stypendiów. Po pierwszym roku dziesięciu wybranych studentów miało podpisać kontrakt pracy. Pozostali studenci stypendium mieli zapewnione do momentu ukończenia szkolenia. Ponieważ oferta była niezmiernie interesująca na jedno miejsce zgłosiło się ponad dwudziestu kandydatów. Uchwalając reguły rekrutacji znaczna ilość punktów przyznaliśmy za oceny na świadectwie maturalnym. Uchwała ta zupełnie zniekształciła nam rekrutację. Aby przeprowadzić nabór kandydatów bardziej zgodny z ich potencjalnymi możliwościami w następnym roku całkowicie zrezygnowaliśmy z ocen na świadectwie. Wyniki potwierdziły iż mieliśmy rację.

Otóż oceny na świadectwie maturalnym nie były adekwatne do posiadanych wiadomości. Wynikało to stąd, że przy staraniu się o pracę we Włoszech w tym czasie dużą wagę przywiązywano do ocen na świadectwach. Stąd walka szcurów i zafałszowane świadectwa. Właściwie podział społeczeństwa na klasy widoczny był już w szkołach. Fakt ten poznałem z bliska kiedy moje dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły. Przynajmniej w części szkół włoskich dzieci nieoficjalnie podzielone były na dwie grupy, „dzieci rodziców” i pozostałe. Jeśli dziecko z grupy rodziców przy odpowiedzi otworzyło usta dostawało co najmniej szóstkę, a jako ocenę negatywną piątkę¹⁷. Jeśli dziecko z grupy pospolitej odpowiadało dobrze otrzymywało co najwyżej szóstkę, jeśli zaczynało się przy odpowiedzi mogło dostać co najwyżej piątkę. Nie sądzę, aby ten zwyczaj obowiązywał w całych Włoszech, nie był jednak rzadki (bardziej obiektywna w ocenianiu uczniów według mojego rozeznania była północ Włoch, Abruzja wypadła raczej nieciekawie). Zwracam na to uwagę ponieważ wszystkie złe zwyczaje włoskie Polacy adoptują z niezwykłym zapałem, a przypuszczalnie niedługo również u nas stała praca państwowa będzie dobrem. Ewentualne przepisy formalne mające uczynić konkursy sprawiedliwszymi problemu nie rozwiążą, sprowokują raczej deformacje na innych odcinkach (jak w opisanym przykładzie). Z drugiej strony pozostaje widoczny już dzisiaj przy obstawianiu stanowisk system rekomendacji, który również nie może zachwycać. Pesymistycznie stwierdzam że dobrych rozwiązań nie widzę¹⁸.

¹⁷ W systemie włoskim skala ocen jest od 1 do 10. Oceny pozytywne to od 6-ściu do 10-ciu.

¹⁸ Historia uczy że upadek kultur charakteryzuje demoralizacja i korupcja. W szczególności obsadzanie stanowisk nie bazuje na predyspozycjach merytorycznych ale układach i łapówkach. Jest to jeden z wielu elementów które niestety sugerują że nasza „zachodnia kultura” jest w poważnym regresie.

Kiedy podjąłem pracę na Wydziale Inżynierii w L'Aquila sytuacja mojego przedmiotu była mocno rozregulowana. Zmieniający się wykładowcy, a w konsekwencji różne programy, wzajemne konflikty, niewielka dyspozycyjność do rozsądnego egzaminowania studentów którzy słuchali kursu innego wykładowcy spowodowały, że z egzaminem tym zalegało wielu studentów. Często nie wiedzieli, według jakiego programu mają przygotować się do egzaminu. W pierwszym rzucie ujednoliciłem programy. Następnie wprowadziłem imienny terminarz zdawania egzaminów, zdarzało się bowiem, że studenci na korytarzu czekali na egzamin nawet trzy dni. Ostatnią inicjatywę co prawda musiałem dość szybko zmodernizować, bowiem któregoś dnia przyszło do mnie trzech smutnych kolegów z prośbą, abym nie demoralizował studentów. Nie chcąc psuć sobie stosunków na uczelni formalnie z tworzenia list zrezygnowałem, nieoficjalnie terminami sterował starosta roku. Aby uświadomić studentom wymagany zakres materiału zorganizowałem konsultacje, które cieszyły się niezwykle powodzeniem. Stroną negatywną mojej akcji był fakt, że wielu byłych studentów którzy właściwie już zrezygnowali ze studiów próbowali ponownie zdać nie mając wymaganej wiedzy. Wspomnę kilka humorystycznych sytuacji z tego okresu.

Inżyniera w L'Aquila mieści się na szczycie góry Monte Luco, leżącej 1000 metrów powyżej poziomu morza (L'Aquila leży średnio na wysokości 700 metrów), porośniętej w znacznej części bujnym sosnowym lasem. Przed wojną było to sanatorium marynarki wojennej. W pobliżu nie było innej zabudowy. W połowie drogi do miasta leży osada (borgo) Roio ze wspomnianym Sanktuarium matki Boskiej. Aby dojechać z miasta należało krętymi serpentynami wspinać się jedenaście kilometrów wąską dróżką (obecnie znacznie rozszerzoną). Ponieważ autobus kursował dość rzadko panował zwyczaj, że posiadający samochody zbierali po drodze studentów podążających na zajęcia. Niedługo po przyjeździe któregoś ranka jadąc do pracy zabrałem dwóch studentów. Z miejsca zapytali mnie skąd jestem. Odpowiedź z Polonii (Polski), skwitowali pomrukiem uznania „*a z Bolonii*”. Kiedy starałem się poprawić z Polonii, potwierdzali ze zrozumieniem „*si, si Bologna*”. W końcu zrezygnowałem z wyjaśnienia (Później uświadomiłem sobie że mój samochód miał rejestrację Bolonii co wprowadziło ich w błąd). Z kolei na zadane pytanie po co jadę, zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że mam egzamin z analizy. Spojrzeli na mnie z widocznym zdziwieniem i zgodnie stwierdzili: „*Stary, tyś całkowicie zdurniał, jeśli już musiałeś przenieść się do L'Aquila, egzamin z analizy należało zrobić wcześniej w Bolonii. Tutaj jest taka Santi którą szczerze ci odradzamy. Ponadto jest wariat z Polski który wszystkich oblewa.*” Okazało się, że obaj jechali na egzamin do mnie. Jeśli dobrze pamiętam jeden z nich zdał, drugi musiał powtarzać. W stwierdzeniu że wszystkich oblewam było nieco prawdy. Na wieść, że pojawił się egzaminator w miarę normalny do egzaminu zaczęli przystępować studenci z dawnych lat, których przygotowanie dalekie było od wymaganego poziomu.. Oczywiście zmuszony byłem ich odsyłać. Z biegiem lat studenci zrozumieli, że bez odpowiedniego przygotowania mają nikłe szanse na pozytywny rezultat i ilość egzaminów zakończonych negatywnie znacznie spadła.

Inny zabawny przykład to policjant z Avezzano. Wysokie dwumetrowe chłopisko już kilka tygodni po podjęciu przeze mnie pracy w L'Aquila zaczęło systematycznie przyjeżdżać na konsultacje. Nigdy jednak nie zadał pytania dotyczącego matematyki, opowiadał natomiast wciąż historie związane z rodziną. Zwyczajem południowca zaczął nawiązywać przyjaźń. Mimochodem zauważyłem, że w jego opowiadaniach pojawiały się wciąż sympatyczne babcie których imiona zmieniały się w zależności od historii. W dniu egzaminu stwierdził, że na żadne z zadanych pytań tym razem nie może odpowiedzieć. Przyjaźnie pocieszyłem go, iż to nie jest problemem, do matematyki wrócimy kiedy będzie w stosownej formie, a korzystając z okazji z serdeczną troską zapytałem o stan zdrowia ukochanych babć. Przy piątym imieniu (prawdopodobnie wiernie powtórzyłem tylko imię Amelia) wyszedł z sali egzaminacyjnej i więcej go nie widziałem. Trafił swój na swego.

Nie zawsze jednak narzucone przyjaźnie miały tak krótką historię. Kiedy rozpocząłem pracę na Inżynierii, wśród prawie dwóch setek wykładowców byłem jedynym obcokrajowcem. Mnie znali wszyscy, ja zapamiętałem tylko parę osób. Zwyczajem włoskim w gronie wykładowców panowała forma ty. Nie wiem jak ale jednym z zażyłych kolegów został Nicola, który zaczął też bywać u mnie w domu (prowadziliśmy dom otwarty, przewijało się wiele osób). Któregoś dnia jeden z włoskich kolegów ze zdziwieniem zapytał skąd znam tego lesera. Otóż Nicola był wieloletnim studentem z Grecji, który od paru lat nie zdał żadnego egzaminu, utrzymywał się z prac dorywczych, na uniwersytecie prowadził życie towarzyskie. Mocno zirytowany przy kolejnej wizycie Nicoli przepytąłem go odnośnie jego sytuacji egzaminacyjnej, a po uzgodnieniu egzaminu, który powinien zdać w najbliższym czasie, poprosiłem o opuszczenie gabinetu, kategorycznie stwierdzając, że następnym razem może dotknąć klamkę jeśli uzyska pozytywny wynik. Ku mojemu zaskoczeniu po około dwóch miesiącach Nicola zjawił się, aby pokazać pozytywną ocenę. Ponowiłem eksperyment z równie pozytywnym rezultatem. W tej sytuacji zaczął znów bywać w moim domu i co istotne, zdawać kolejne egzaminy. Wieść o zmianie jego postępowania dotarła do rodzinnych Aten, a nieufna rodzina która zerwała z nim kontakt, wysłała na przeszeptę sympatyczną ciotce Dafne. Jej opinia była na tyle pozytywna, że w następnej wizycie do ciotki Dafne dołączyła mama Nicoli. Po pewnym okresie pojawił się też ojciec i nastąpiło wrzeszczące pojednanie ojca z synem. Oczywiście każdy wypadek krewnych Nicoli połączony był z obowiązkową wizytą u nas. Po ukończeniu studiów Nicola powrócił do Aten, gdzie nawet miałem okazję go odwiedzić. Niestety, w Grecji pojawiły się już pierwsze znaki nadciągającego kryzysu, a mocno spóźniony dyplom architekta nie zapewniał mu stosownego zatrudnienia, prywatne biuro w którym dorabiał zbyt wiele zamówień nie miało. Moją kolejną podopieczną z Grecji – zresztą z polecenia Nicoli – była córka głównego architekta Aten. Nicola uważał, że wykorzystując ten fakt powinienem mu załatwić pracę w biurze architektonicznym miasta. To oczywiście nie było zgodne z moimi zasadami, ponadto było powyżej moich możliwości. Zabawne, ale do zgrzytu doszło również z ojcem Nicoli. Otóż Nicola zaręczył się z Bułgarką. Ojciec przeciwny temu związkowi zwrócił się do mnie abym wymógł zmianę decyzji

syna, a moją odmowę przyjął źle. Tak więc kontakt się urwał. Wiem, że w końcu ożenił się z Włoszką, natomiast jak rozwiązał problem pracy nie wiem.

3. L'Aquila – Scienze¹⁹

Po trzech latach – zgodnie z przepisami obowiązującej ustawy o szkolnictwie wyższym – zwycięscy mojego konkursu, którzy objęli katedry na innych uczelniach, mogli powrócić na uczelnie macierzyste. Na wydziale Scienze w L'Aquila zwolnił się etat. Chęć prowadzenia zajęć z zaawansowanej matematyki spowodowała, że chętnie przystałem na propozycje zmiany wydziału. Kolegom z inżynierii przyrzekłem, że w ramach godzin zleconych będę dalej prowadził zajęcia usługowe na studiach inżynierskich. Ostateczne zobowiązanie oraz nadzieja, że moje przejście na wydział Scienze przyczyni się w jakimś stopniu do dalszego uniezależnienia tego wydziału od Rzymu, spowodowały zgodę Rada Wydziału Inżynierii na moje przejście (był to warunek konieczny). W tym też czasie ze stanowiska profesora nadzwyczajnego awansowałem na profesora zwyczajnego. Ponieważ po ostatnim awansie miałem dość spory dorobek, była to sprawa raczej formalna.

Tak więc znalazłem się w departamencie matematyki. Departament ten miał wówczas niechlubną opinie najbardziej skonfliktowanego. Nierzadko sprawy łądowały w prokuraturze, a istotne decyzje podejmowano zwykle w Rzymie (choćby sprawa mojego przyjęcia do pracy), co również nie wpływało na uspokojenie lokalnej atmosfery. Na początku ze znacznym zdziwieniem w milczeniu przyglądałem się sytuacji, tym bardziej że moje próby interwencji na Radach Wydziału w sprawach zupełnie oczywistych przyjmowane były – w szczególności przez wszechpotężnych fizyków – lekceważąco i nie dawały pożądanego skutku. Podobny stosunek mieli do mnie fizycy jeszcze wówczas gdy objąłem funkcje dyrektora. Z biegiem czasu stałem się dla nich podstawowym partnerem ze środowiska matematycznego, wymagało to jednak sporo cierpliwości i pracy. Doszło w końcu do tego, że nawet moi matematyczni oponenci mając sprawę do fizyków z reguły prosili mnie o pośrednictwo.

Uniwersytet w L'Aquila przez długi okres był furtką, przez którą wpływali do Włoch z innych krajów matematycy pochodzenia żydowskiego. Na przykład z Turcji przybył tą drogą między innymi wspomniany już prof. Giuliani Sorani oraz prof. Giacomo Saban²⁰. Kolejne zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym oraz rozsady personalne sytuacje te diametralnie zmieniły. Pamiętam, że parę lat później grupa matematyków włoskich pochodzenia żydowskiego, w przeszłości związana z L'Aquila, postanowiła rocznice urodzin jednego ze swoich kolegów, który również tą drogą

¹⁹ W wersji polskiej to Wydział Nauk Ścisłych czyli standartowy przedtem Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii.

²⁰ Giacomo Saban, urodził się w Istambule. W Turcji ukończył studia matematyczne i rozpoczął karierę naukową zostając profesorem uniwersytetu w Istambule. Następnie podjął pracę na uniwersytecie w L'Aquila gdzie pełnił szereg funkcji między innymi dyrektora Instytutu Matematyki. Z kolei przeniósł się do Rzymu gdzie również był dyrektorem Instytutu Matematyki. W 1985 roku został wybrany przewodniczącym Wspólnot Żydowskich w Rzymie. W tej roli wraz z rabinem Rzymu Elio Toafem 13 kwietnia 1986 r. podejmował ojca św. Jana Pawła II w jego historycznej wizycie w Wielkiej Synagodze Rzymu.

przywędrował do Włoch, fetować u nas. Jako dyrektor zgodę na wykorzystanie lokali wyraziłem (wpłynęła pisemna prośba). W dniu inauguracji spotkania przyszedłem nieco wcześniej i spokojnie usiadłem na widowni. Zignorowano mnie całkowicie, nikt mnie nie zauważył (niektórych uczestników znałem osobiście, a jako gospodarz powinienem przecież pełnić honory domu), nikt też nie podziękował za udostępnienie pomieszczeń. Chociaż za ograniczenie wpływów tej grupy nie ponosiłem bezpośredniej odpowiedzialności, niechęć do mnie była widoczna. Po prostu byłem intruzem kojarzonym ze zmianą sytuacji.

Warto przypomnieć organizacje uniwersytetów włoskich w tamtych latach. Szereg przepisów pamiętało jeszcze czasy zamierzchłe. Kadra tak zwanych profesorów zwyczajnych niewątpliwie była klasą uprzywilejowaną. Przede wszystkim zaliczana była do urzędników państwowych klasy A (należeli tu ministrowie oraz wice-ministrowie, dyrektorzy departamentu już nie). Gwarantowało to godziwe pobory. Profesor był tytularnym ustalonej specjalności, jego stanowisko pracy nazywało się katedrą. Prowadzone przez niego zajęcia dotyczyły tej specjalności, ale o programie wykładów decydował on. Będąc tytularnym konkretnej specjalności miał prawo odmówić prowadzenia zajęć nawet z dziedzin pokrewnych. Przykładowo, ja byłem tytularnym Analizy I, mogłem więc odmówić prowadzenia zajęć z Analizy II. Podobnie tytularny Analizy II mógł odmówić prowadzenia zajęć z Analizy I. (Podział zakresu materiału tych przedmiotów był umowny i zmieniał się w zależności od uniwersytetu). W podobnej sytuacji była większość moich kolegów. Jeśli nie było chętnych na zajęcia z przedmiotu którego profesor był tytularnym, mógł on nie prowadzić żadnych zajęć, pensje otrzymywałby regularnie. Z moich doświadczeń póki obowiązywała tytularność żaden z kolegów nie robił trudności i prowadził zajęcia zgodnie z potrzebami dydaktycznymi. Niewątpliwie jeden z wielu dowodów na to, że dobór kadry według starych reguł nie był najgorszy, a w mojej opinii kolejne reformy sytuacji nie poprawiły (dotyczy to też reform w Polsce). Przepisy nie obejmowały wszystkich sytuacji, często nie były adekwatne do nowej rzeczywistości, ale ludzie mieli poczucie odpowiedzialności i kierowali się rozsądkiem. Dzisiejsza biurokratyczna przepisowość (również w Polsce) często prowadzi do sytuacji idiotycznych, ale jest zgodna z obowiązującymi przepisami, wszyscy więc są zadowoleni, nikt za głupotę nie ponosi odpowiedzialności.

Oczywiście istniały przypadki nadużywania stanowiska profesora, ale zdecydowanie rzadkie. Na przykład opowiadano mi, że na uniwersytecie w Bolonii był biolog który nie tylko skutecznie zniechęcił studentów do uczęszczania na swoje zajęcia, ale kiedy zamieszkał w górskiej pustelni strzałami odstraszał potencjalnych gości od ewentualnych wizyt (za prawdziwość tej historii nie mogę ręczyć). Nie ulega natomiast wątpliwości, że z możliwości fikcyjnej pracy na uczelni czasami korzystali politycy. Najlepiej świadczy o tym następujący fakt. Po drugiej wojnie światowej Włochy straciły swoje kolonie. Pomimo to w latach sześćdziesiątych na uniwersytecie w Neapolu powstały dwie katedry prawa kolonialnego, chociaż przedmiot ten zniknął z programów nauczania. Oburzeni tymi przypadkami pracownicy uniwersyte-

tów składali apele o zaprowadzenie porządku. Sam podpisywałem kilka protestów, w szczególności dotyczących pracowników uczelni, którzy działali wyłącznie poza uniwersytetem (głównie polityków). Po latach walki odnieśliśmy sukces. Wprowadzono znacznie ostrzejsze przepisy. Przy okazji stanowisko profesora skreślono z listy urzędników klasy A.

Obiektywnie trzeba przyznać, że wzrost liczby uniwersytetów oraz studentów, a w konsekwencji liczby profesorów, uniemożliwiał utrzymanie poprzedniej pozycji profesora. Niestety, rozdmuchana nagonka medialna sprowokowała zmiany idące zbyt daleko. Aktualnie zarobki pracowników uczelni we Włoszech należą do najniższych z państw Europy Zachodniej. Dla równowagi politycy – uwolniwszy się od balastu kadry profesorskiej – szczerze zwiększyli swoje apanaże, w szczególności parlamentarzyści włoscy mają dochody wyższe od parlamentarzystów brukselskich, a jak wiadomo te do skromnych nie należą. Znow dla równowagi pensje pracownicze we Włoszech – zamrożone od lat – należą do jednych z najniższych w Europie. Z perspektywy czasu wydaje się, że warto było przymknąć oko na polityków podszywających się pod pracowników nauki licząc na to, że będą bronić interesu korporacji.

Częścią integralną uniwersytetu są studenci, należy więc też poświęcić im parę słów. Poza nielicznymi wydziałami (np. medycyna) we Włoszech każdy absolwent szkoły średniej ma prawo zapisać się na uniwersytet i to na dowolny kierunek. Tak interpretowana jest demokracja. Nie ma egzaminów wstępnych. Wystarczy w stosownym momencie złożyć dokumenty i wpłacić wymaganą kwotę. Jak już wspominałem, w okresie kiedy podjąłem pracę, student mógł wpisywać się na następny rok bez zdanych egzaminów. Obowiązywał tylko jeden warunek, na przestrzeni dwóch lat przynajmniej raz musiał przystąpić do egzaminu. Wynik egzaminu nie był istotny. Przypominam sobie moje zdziwienie kiedy pewnego dnia zgłosił się do mnie nieznany osobnik prosząc o wpisanie mu oceny negatywnej (o przepisie tym nie poinformowano mnie wcześniej)²¹. Studenci nie byli zobowiązani do uczęszczania na zajęcia, mieli natomiast zdawać egzaminy. Uczęszczanie na wykłady nie było obowiązkowe, ćwiczeń w sensie polskiego systemu praktycznie nie było i właściwie dalej nie ma. Egzaminy natomiast traktowane były bardzo poważnie. O ile w Polsce do egzaminu student przygotowuje się zwykle parę dni, we Włoszech przygotowywał się parę tygodni a nawet parę miesięcy. Egzaminy stanowiły poważny procent obciążenia kadry nauczającej. Oczywiście studenci walczyli o to, aby terminów egzaminacyjnych było jak najwięcej, egzaminujący chcieli ich jak najmniej. Egzaminy odbywały się przed komisjami, początkowo trzyosobowymi, później dwuosobowymi. Egzaminowanie bez kompletnego składu komisji było uważane za przestępstwo, a konsekwencje mogły być całkiem niemiłe.

Przykład: Egzamin na Wydziale Nauk Politycznych w Teramo. Telefon z zewnątrz wywołał jednego z członków komisji. Pozostali koledzy nie przerwali egzaminu. Dow-

²¹ Jedną z podstawowych trudności działania na obcym terenie to nieznanomość wielu podstawowych reguł lokalnych. Dla tubylców albo jest oczywiste że taką wiedzę każdy ma, albo chcąc mieć przewagę specjalnie nie udzielają informacji. Z powodu takiej niewiedzy poniosłem sporo strat, również materialnych, zarówno w życiu prywatnym jak i służbowym.

cipni studenci zawiadomili kwesturę. Przyjechali karabinierzy i stwierdzili złamanie prawa. Zgodnie z przepisami członków komisji musieli doprowadzić na kwesturę, a regulamin nakazuje aresztantom założyć kajdanki. Można się domyślać, że natychmiast po wejściu do samochodu szanowni profesorowie zostali rozkuci, w siedzibie policji wypito kawę, sporządzono odpowiedni protokół, a zarobili tylko adwokaci którzy musieli znaleźć wyjście z tej sytuacji. Przykładów takich absurdalnych zdarzeń w tym kraju odnotowałem wiele. Kolejne reformy zniosły komisje i podobnie jak w Polsce obecnie może egzaminować jedna osoba.

Jedna z bardziej absurdalnych sytuacji, które miałem okazję obserwować we Włoszech to egzaminy na uniwersytecie we Florencji w 1978 roku, podczas rozruchów studenckich tzw. *Czarnej Pantery*. Policja na teren uczelni nie miała wstępu, natomiast wejścia umiała bogato bronią maszynową. Zagrożonym profesorom przyznano eskorty. Oczywiście nikt eskorty nie chciał, było to bowiem wyraźne wskazanie strajkującym w kogo ewentualnie należy uderzyć. Popularne były na przykład podpalenia domów zamieszkałych przez profesorów uznanych za kontrrewolucjonistów (między innymi podpalono bramę kamienicy w której mieszkał mój współpracownik prof. De Blasi). Policja ze swej strony zadanie musiała wykonać. Za pomoc w oszukaniu policji zarabiałem na rachunki w lokalach (np. nakładałem ubranie zainteresowanego i korzystałem z towarzystwa policji). Oczywiście szczytem sukcesu było scedować eskortę na kolegę komunistę. Komunizujący profesorowie zadanie to bardzo ułatwili. Otóż niektórzy z nich zaakceptowali żądanie strajkujących, aby w miejsce egzaminów merytorycznych wprowadzić tzw. *egzaminy ideologiczne*, czyli na przykład zamiast o matematyce dyskutować o marksizmie. Urok brał się stąd, że ugrupowań lewicowych było parę (marksisci, trockiści, lotta continua, komuniści związani z ZSRR), a wypowiedź jednej opcji wywoływała aktywny protest opcji pozostałych. W tej sytuacji nietrudno było przekonać siły policyjne, że właśnie koledzy komuniści są najbardziej zagrożeni. Doszło nawet do uwięzienia komisji przez strajkujących. Sytuacja chociaż chwilami groźna, miała wiele momentów komicznych.

Ponieważ przez wiele lat uczyłem na uniwersytetach polskich i włoskich Czytelnik ma prawo oczekiwać, że podam ocenę systemów nauczania w tych krajach. Są to dwa różne systemy i wyznam, że nie umiem ocenić który jest lepszy. System polski jest bardziej przyjazny dla studenta, stanowi właściwie przedłużenie szkoły średniej, student wciąż traktowany jest jak uczeń. To uczelnia – w szczególności kadra nauczająca – organizuje pracę studenta, sprawdza postępy w nauce, często organizuje pomoc. Jako wynik zdarza się że absolwent pomimo posiadanej wiedzy jest niezaradny w sytuacjach stwarzanych przez warunki pracy. W systemie włoskim student uważany jest za dorosłego, sam musi zorganizować swój warsztat pracy. Wykładowcy nie są zainteresowani kontaktami ze studentami. To studenci szukają kontaktu z profesorem. Bardzo poważnie natomiast traktowany jest etap sprawdzania posiadanej wiedzy. Podstawowe zadanie profesora to sprawdzenie czy student opanował wymagany zasób wiedzy, a w jaki sposób to sprawa studenta. System włoski uczy samodzielności, jest bardziej dojrzały. Stroną negatywną tego systemu jest fakt że studenci mniej zorga-

nizowani i mniej zdyscyplinowani często odpadają pomimo posiadanego potencjału zdolności do przyswajania wiedzy.

Drobny, ale dobrze opisujący sytuację przykład. W wakacje po powrocie z Polski wpadłem na Inżynierie, gdzie wówczas pracowałem, aby przeczytać pocztę. Uniwersytet był zupełnie pusty. Po około dwóch godzinach pojawił się pierwszy student z prośbą o konsultacje. Po jakimś czasie powstała kolejka. Mocno zaintrygowany przeprowadziłem małe śledztwo i okazał się, że studenci wynajęli portiera aby poinformował ich jeśli pojawię się na uczelni.

4. Doświadczenia dyrektorskie

Konfliktowa sytuacja w departamencie doprowadziła do votum nieufności wobec urzędującego dyrektora. Byłem bodajże jedynym który bezskutecznie próbował ostudzić rozpalone głowy. Po wymuszonej rezygnacji dyrektora okazało się, że żaden z wojujących kandydatów nie ma wymaganej większości głosów. Departament był niezależną jednostką finansową, bez dyrektora przelewy finansowe były zablokowane, taka sytuacja uniemożliwiała normalne funkcjonowanie. W powstałej sytuacji patowej niezbyt chętnie wyraziłem zgodę na pełnienie tej funkcji na okres przejściowy. Moja zgoda była spowodowana głęboką nieznaną sytuacją. Nie wiedziałem wówczas, że dyrektor ponosił odpowiedzialność finansową za szereg faktów, które od niego nie zależały, a ryzyko było całkiem realne. Ustępujący dyrektor, wdzięczny za moje stanowisko w zaistniałym konflikcie, poinformował mnie o szeregu spraw, jak również uczulił mnie na niebezpieczeństwa. Okazało się to niezwykle wartościowe i pierwsze tygodnie przebrnąłem bezpiecznie dzięki tym informacjom.

Istotną próbę przeszedłem już następnego dnia. Otóż wśród uzyskanych informacji od poprzednika dowiedziałem się, że część pomieszczeń, w których mieścił się dziekanat należała do mojego departamentu. Kiedy w nowej roli pierwszy raz pojawiłem się w pracy zauważyłem, że ekipa budowlana rozpoczęła przeróbkę tych pomieszczeń. Sprytnie próbowano wykorzystać zaistniałe w departamencie zamieszanie i zmianę zarządzającego. Moi współpracownicy sugerowali mi interwencję u rektora. Rozwiązanie konfliktu taką drogą mogło trwać długo, w międzyczasie ekipa mogła dokonać przeróbek i stanęlibyśmy przed faktami dokonanymi. Ponadto w ten sposób ustawiałem się w sytuacji protestującego, właściwie proszącego. Wybrałem więc rozwiązanie, które tubylcy raczej nie brali pod uwagę. Poszedłem bezpośrednio do kierownika robót i zażądałem zlecenia na roboty wydane przez właściciela lokali. Ponieważ takowego nie miał, poleciłem doprowadzić do stanu poprzedniego, a następnie pomieszczenia przejąłem. Zaskoczona ekipa polecenie wykonała. Tak odzyskałem pomieszczenia i zdobyłem pierwszy okruszek szacunku kolegów z departamentu. Również urzędujący dziekan, który ów remont zarządził, nie tylko nie wspominał o zaistniałej sytuacji ale od tego momentu zaczął traktować mnie poważniej.

Sprawa ta w niedługiej przyszłości miała niespodziewane konsekwencje. Przyszł moment kiedy z kolei wydział został pozbawiony władzy. Administracja nie

wiedząc co robić z interesantami z zewnątrz, zaczęła odsyłać ich do mnie. Podobnie było z drobnymi remontami. W trosce o dobro uczelni z dużą nieostrożnością podjąłem kilka decyzji. W pewnym momencie z przerażeniem odnotowałem, że kwestie które nie należały do moich kompetencji systematycznie zaczęły lądować u mnie. Z dużą trudnością udało mi się ten trend wyhamować i szczęśliwie za to samozwańcze przejście władzy żadnych konsekwencji nie poniosłem. Kiedy później zdarzało mi się słyszeć oburzone głosy skąd wzięły się pewne rozwiązania, ze zdziwieniem kręciłem głową, dyskretnie przemilczając dane na temat źródła decyzji.

Mniej miły był moment, kiedy dotarła do mnie w pełni świadomość, że ponoszę materialną odpowiedzialność za szereg spraw, które w moim odczuciu dalekie były od prawidłowości. Pierwsze doświadczenie tego typu miałem już w pierwszych dniach pełnienia funkcji dyrektora. Do podpisu na biurku znalazłem wypłaty z grantu którego tematem była triangulacja. Zaskoczony co taki temat robi na uniwersytecie gdzie nie ma kierunku geodezji ani astronomii, poprosiłem o dostarczenie projektu. Był to jedyny raz gdy skorzystałem z faktu ukończenia studiów geodezyjnych. Po zagłębieniu się w dokumentację oblał mnie pot przerażenia. Projekt, sporządzony został w głównej mierze przez informatyków z mojego departamentu, ponadto inżynierów z geodezją nie mających nic wspólnego oraz dziewięciu nauczycieli o profilu matematyczno-fizycznym (prawdopodobnie „słupów”, które pobierały procent za użyczenie nazwiska²²). Sądze, że w tym czasie byłem chyba jedynym pracownikiem uniwersytetu mającym wykształcenie geodezyjne.

Projekt ten zatwierdzony poprzednio przez uniwersytet, według mojej geodezyjnej wiedzy był zupełnie bezsensowny. Niestety, był on już w toku realizacji, z wypłatami podpisanymi przez poprzedniego dyrektora. Podpisując rachunki brałem teraz na siebie część odpowiedzialności. Nie podpisując narażałem się wielu osobom, również uczelni, która miała z umowy finansowe korzyści. Sprawa najprawdopodobniej wylądowała by w sądzie. Wykazanie, że mam rację wymagało opinii biegłych, nie byłem też pewien czy ostatecznie biegli nie zdecydują się kryć afery. Wszystko zależało od wzajemnych układów. Gdybym rzeczywiście wykazał fikcyjność realizowanego projektu, główna odpowiedzialność karna spadała na mojego poprzednika, który się nie zorientował, biła też w opinie uczelni, natomiast projektodawca bezpośrednio odpowiedzialności nie ponosił. Oczywiście uczelnia mogła wyciągać konsekwencje w stosunku do niego, była to jednak sprawa wewnętrzna. Nie mogłem ryzykować konsultacji z kierowniczką mojego sekretariatu, co prawda wraz ze mną ponosiła odpowiedzialność za sprawy finansowe ale figurowała też na liście beneficjentów umowy, nie znałem istniejących powiązań między uczestnikami afery. Z tych też powodów rozmowa z radcą prawnym uczelni nie wchodziła w grę. W każdym z możliwych rozwiązań zyskałbym niechlubną opinie rozrabiaki.

²² Praktyka taka była stosowana również na uczelniach polskich w ramach tzw „gospodarstw pomocniczych” czyli prac zleconych dla przemysłu. Przepisy dopuszczały tylko możliwość dorobienia pewnego procentu pensji, prace często wymagały mocnego zaangażowania i dopuszczalny procent nie był adekwatny do wysiłku. Wówczas nie mający zleceń, np. matematycy za drobnym wynagrodzeniem używali swych nazwisk. Ten wynalazek socjalizmu znalazł też zastosowanie w kapitalizmie realnym.

Zdałem sobie wówczas sprawę, że jestem absolutnie samotny, nie miałem z kim skonsultować sytuacji, nie miałem żadnego oparcia. Samowystarczalność w podejmowaniu decyzji towarzyszyła mi właściwie przez cały czas pracy²³. Nie mogłem wspomnieć o trudnościach nawet w domu, bowiem żona była zawsze bardzo wrogo nastawiona do mojego angażowania się w sprawy zarządzania, po prostu obawiała się o rodzinę. Po nieprzespanej nocy poprosiłem sekretariat o przygotowanie wszystkich przepisów i ustaw dotyczących tego typu umów, równocześnie prosząc o ponowne przeanalizowanie wszystkiego pod względem formalno-prawnym. Na tym etapie za stronę merytoryczną nie ponosiłem już właściwie odpowiedzialności. Odniosłem wrażenie, że proszona sekretarka spojrzała na mnie ze zrozumieniem stwierdzając „*już to zrobiliśmy, ale sprawdzimy jeszcze raz*”. Myślę, że ona również miała wątpliwości. W konkluzji swoich podejrzeń nigdy nie ujawniłem, a rachunki po przeanalizowaniu przepisów podpisałem. Chyba wtedy zyskałem pierwszą część zaufania ze strony kierowniczkii mojego sekretariatu, świetnego fachowca i osoby niezwykle rozsądnej. W przyszłości, kiedy musiałem podpisywać dokumenty dotyczące spraw wątpliwych, zwykle towarzyszyły im odpisy stosownych uchwał chociaż o nie wcześniej nie prosiłem. To dzięki pracy sekretariatu udało mi się bez poważnej wpadki przetrwać pięć kadencji na stanowisku dyrektora, a parokrotne kontrole z ministerstwa żadnych usterek w realizowaniu spraw finansowych nie wykazały.

Enrico, główny autor i beneficjent wspomnianego powyżej projektu, w przyszłości stworzył mi jeszcze sporo problemów. Przez parę lat swój dzień pracy rozpoczynałem od studiowania różnych propozycji, protestów i odwołań w większości inspirowanych przez mojego oponenta. Właściwie rozgrywaliśmy partię szachów. On chciał sprowokować i wpuścić mnie w maliny, ja – jeśli było to tylko możliwe – systematycznie ignorowałem ową działalność. Należy wspomnieć, że kierunek informatyka na uczelni został stworzony na wniosek matematyków, którzy na ten cel przeznaczili część posiadanych katedr. Ponieważ informatyka była kierunkiem modnym, łatwo było uzyskać specjalne dofinansowania, nasi informatycy chcieli stworzyć własny departament (tu z ich punktu widzenia mieli rację), ale aby to zrealizować chcieli przejąć część dóbr należących do matematyki. Matematycy uważali, że haracz już zapłacili, a na przykład pracownicy techniczno-administracyjni dla nowej jednostki w ich opinii powinni być przydzieleni niezależnie, nie byli też chętni do odstąpienia dalszych etatów naukowych, mieli własne uzasadnione potrzeby. Złote lata już minęły i nowe etaty na uczelni zaczynały być poważnym problemem. W chwili obecnej nie ma ich w ogóle, chociaż potrzeby są ogromne.

W tym czasie w rejonie Abruzji byliśmy jedyną placówką posiadającą dobrych techników w zakresie informatyki. Byli to pracownicy Instytutu Matematyki, do ewentualnego nowego departamentu absolutnie nie chcieli przejść. Właśnie oni jako pierwsi uruchomili Internet. Obsługą tą objęliśmy cały uniwersytet. Informatycy chcieli wykazać, że nie mamy stosownych kwalifikacji. Istotnie, każdego piątku siadała

²³ Niewątpliwie przetrwałem dzięki specyficznej sytuacji rodzinnej, od najwcześniejszych lat sam musiałem decydować o swoim losie co wyrobiło to u mnie cenną w życiu samodzielność.

nam poczta elektroniczna. Sobota była dniem wolnym. Cały poniedziałek potrzebny był do skonfigurowania programów. Przez trzy dni uniwersytet był odcięty od poczty elektronicznej, co wywoływało uzasadnione protesty. Sytuacja taka nie mogła dłużej trwać i ustaliliśmy, że wszystkie pieniądze na stanie departamentu (w większości informatyków) przeznaczymy na zakup nowego serwera z odpowiednim programem. Stosowną decyzję zebranie ogólne przegłosowało. Już po zebraniu zgłosił się Enrico z propozycją, abym jeszcze chwilowo wstrzymać się z zakupem. Zgodziłem się kategorycznie stwierdzając, że przyznane mi prawo dysponowania funduszami przeznaczę na zakup serwera bez dalszych konsultacji, jeśli jeszcze raz nastąpią zakłócenia z jakichkolwiek powodów, nawet jeśli to uderzenie pioruna spowoduje uszkodzenia. Od tego momentu żadnego zakłócenia – poza standartowymi – nie było. To jeden z wielu problemów, które napotykałem podczas pełnienia moich obowiązków.

Z biegiem czasu na uczelni powstało centrum informatyczne zorganizowane przez informatyków, a kierowane przez Enrico. Oczywiście chciało przejąć część naszej działalności. Któregoś ranka ze snu wyrwał mnie telefon rektora, chciał znać moją opinie o Enrico. Po upewnieniu się, że rozmowa ma charakter prywatny, odpowiedziałem krótko: *„albo niedługo będziesz go odwiedzał w ministerstwie prosząc, aby był łaskaw dla swojej byłej uczelni, albo w przystępie dobrego humoru będziesz miał okazję wysłać mu paczkę do paki”*. Usłyszałem szcęk słuchawki, a Enrico wszystkie swoje funkcje na uczelni stracił. Nie był to jednak koniec. W czasach prezydentury Pertiniego postanowiono wyposażyć administrację państwową w nowy sprzęt informatyczny. W tym celu powołano przy prezydencie specjalną komórkę, której dyrektorem został Enrico oddelegowany na ten okres z uczelni do dyspozycji prezydenta. Zgodnie z ustawą oddelegowany profesor nie mógł korzystać z grantów, a Enrico średnio na rok przerabiał kwotę rzędu 200 tysięcy euro. Prezydent Pertini powołał też specjalne konsorcjum naukowe, któremu przewodniczył znany profesor rzymski, były opiekun naukowy Enrico. Zadaniem konsorcjum było czuwanie nad prawidłowym przebiegiem tej akcji. Moja radość, że w końcu mój oponent przestanie mieć lewe dochody (powołana komórka dysponowała zbyt dużymi kwotami, jej przewodniczący musiał być czysty, co innego doradcy czyli członkowie konsorcjum) trwała jednak krótko, pan minister szkolnictwa wyższego specjalnym dekretem zezwolił mu na udział w grantach. Pozostało mi pocieszenie, że po wykonaniu zadania w nagrodę zostanie przeniesiony do Rzymu i w końcu uwolnię się od stałych ataków. Tak się też stało. Już jako pracownik uniwersytetu rzymskiego Enrico odwiedził mnie z butelką koniaku, a w trakcie rozmowy w przypływie szczerości stwierdził, że u mnie pracowało mu się lepiej. Nie odebrałem to jako komplement, po prostu łatwiej mnie ogrywał. Nie trudno się domysleć, że w Rzymie takich kombinatorów było więcej, musiał liczyć się z konkurencją, a swoje lewe dochody dzielić z nowymi przełożonymi.

Stopień gradacji pracowników państwowych techniczno-administracyjnych we Włoszech wynosi od 4 do 10. Najniższy to stopień 4 (np. portier, goniec), najwyższy 10 (pion kierowniczy). Czynności wyższego stopnia można bez konsekwencji wykonywać do 3 miesięcy. Jeśli pracownik potrafiłby wykazać, że przez okres dłuższy wy-

konywał czynności stopnia wyższego i oddałby sprawę do sądu administracyjnego, ten automatycznie przekwalifikowałby jego stanowisko, a różnice poborów musiałyby pokryć z własnej kieszeni bezpośredni przełożony czyli w naszym przypadku dyrektor, a zatem piszący. Tak się złożyło, że moimi pracownikami było w tym czasie dwóch informatyków, obaj na stanowiskach o dwa stopnie niższym w stosunku do wykonywanych czynności. W sprawie ich awansu rektora i dyrektora administracyjnego uczelni odwiedziłem pewno powyżej 30-ści razy. Awans zależał od nich, odpowiedzialność finansowa spoczywała na mnie. Moje zdenerwowanie cynicznie uspakajano stwierdzeniem, że: *„to porządne chłopaki, kawału nie zrobią a mają pracę państwową, takiej się nie zmienia”*. Ratowałem się pozostawiając im dużą swobodę (świadoma dewiacja), gwarancji jednak, że nie upomną się formalnie o przysługujące im stanowiska nie miałem.

Pewnego razu jakiś geniusz biurokracji ministerialnej postanowił wykazać się racjonalizacją administracji. Aby uzyskać przegląd sytuacji administracji w skali kraju, opracowano wielostronicowe formularze w których każda czynność rozłożona była na czynniki pierwsze (np. korespondencja: otworzenie listu 30 sekund, czytanie 2 minuty, analiza treści i odpowiedź 15 minut). Kompletny nonsens. Aby uzasadnić nasze etaty techniczno-administracyjne musieliśmy wykazać faktyczne czynności wykonywane. Z dokumentacji wynikało jasno, że moi technicy praktycznie cały rok pracują na wyższych stanowiskach. Moje autentyczne zaniepokojenie przekonało wreszcie władze i upragnione awanse dostałem. Wspomniany pomysł wyprodukował tysiące ton kwestionariuszy, których pewno nikt nie przeglądał, żadnych bowiem efektów tej akcji nie było. Zyskali jedynie moi technicy.

Należy też wspomnieć niektóre akcje, które często w sposób zaskakujący budowały moją popularność. Niewątpliwie jedną z ważniejszych w tym zakresie było 8 marca. Otóż żona oburzona pozycją kobiet w tamtejszym środowisku wymogła na mnie, abym zwyczajem socjalistycznym w tym dniu złożył paniom życzenia. Wybitnie nie miałem ochoty, ale któryż mężczyzna potrafi się oprzeć kobiecie. Zakupiłem szampana oraz skromne wiązanki kwiatów, żona zrobiła wypieki, w tym dorodne ciastka w kształcie róży z autentyczna różą jadalną (we Włoszech raczej nieznaną). W kwaciarni panie były tak zszokowane, kiedy wyjaśniłem im po co potrzebne mi są bukiety, że policzyły mi cenę symboliczną. Wbrew tekstowi w moim podręczniku włoskiego, iż 8 marca każda kobieta w tym kraju dostaje mimozę, panie o tym zwyczaju słyszały chyba po raz pierwszy. Impreza, a zwłaszcza polskie wypieki, zrobiły furorę. Efekt był taki, że w następnych latach liczba pań na tej imprezie systematycznie rosła. Zamiast około dwudziestu paru z mojego departamentu liczba ich często przekraczała 50. Po prostu również panie z departamentów sąsiednich chciały być świętowane, a przynajmniej oglądać to dziwne wydarzenie. W następnych latach, czasami brakowało mi kwiatów, czasami kupowałem ich zbyt dużo. Po prostu nie wiedziałem ile pań pojawi się na imprezie. Któregoś roku byłem na wyjeździe, uroczystości nie zorganizowałem w terminie i już się cieszyłem że uda mi się wymigać. Niestety, po przejeździe panie się upomniały, pozostało mi z opóźnieniem uczynić zadość zwyczajowi. Kiedy

udałem się do mojej kwiaciarni, okazało się że właścicielki były poważnie zmartwione dlaczego nie było uroczystości. Uspokojone chciały mi kwiaty ofiarować. Niespodziewanie zaczęła natomiast buntować się żona, której znudziło się wymyślanie nowych wypieków. Wypada dodać, że zwyczaj ten przez mojego następcę nie został podtrzymany, chociaż zachował prawie całkowicie mój sposób prowadzenia departamentu.

Aby przedstawić dość specjalne poczucie humoru moich włoskich kolegów przypomnę dwa fakty. W ramach międzynarodowej współpracy zwykle instytucja zapraszająca pokrywa koszty pobytu gości. Pieniądze na pokrycie kosztów pobytu we Włoszech docierają normalnie z paromiesięcznym opóźnieniem. Taka jest natura tu-tejszej biurokracji. W przypadku gości z Zachodu nie był to problem, płacili własnymi środkami, a zwrot docierał po paru miesiącach na podane konta bankowe. Goście z bloku socjalistycznego takiej możliwości na ogół nie mieli. W stosunku do moich zagranicznych współpracowników rozwiązałem to w ten sposób, że przyznana im kwotę zakładałem z moich prywatnych środków, a zwrot wpływał po paru miesiącach na moje konto. Znaleźli się koledzy miejscowi, którzy zażyczyli sobie, abym podobną szczerzość wykazał również w stosunku do ich gości, bo: *też współpracują naukowo*. Żądanie to tak mnie zaskoczyło i rozbawiło, że umieszczam go nawet po latach w moich wspomnieniach. Jak widać tupet nie zna granic.

Dyrektorowi przysługiwał fundusz reprezentacyjny. Początkowo była to kwota około 3000 euro, z czasem zmalała do 1500 euro. Tak z biegiem lat malały wszystkie nakłady na naukę. Wyznam, że na cele reprezentacyjne przez 13 lat dyrektorowania nie wydałem nawet jednego euro. Zawsze były jakieś potrzeby na które brakowało pieniędzy: biblioteka, części do komputerów itd. Gości najczęściej przyjmowałem u siebie w domu, albo też pokrywałem rachunki z własnych funduszy. (Trudno nie wspomnieć tu naszych reprezentantów rządu beztrósko płacących kartami rządowymi prywatne rachunki w restauracjach, jak też nie wspomnieć panią minister w Szwecji, która z braku portmonetki zapłaciła za pieluszki kartą służbową co kosztowało ją dymisję). Podobnie nigdy nie skorzystałem z przysługującej mi możliwości zmniejszenia obciążenia dydaktycznego, należałem zawsze do nielicznej grupy prowadzącej najwięcej zajęć. To było nawet opłacalne, kiedy skłócone towarzystwo nie mogło ustalić obciążeń dydaktycznych, odpowiedzialni za dydaktykę (organizacja dydaktyki nie należała do departamentu) nierzadko prosili mnie o pomoc. Nie zdarzyło się, aby propozycja z mojej strony spotkała się z odmową. Po prostu wiadomo było że od pracy nie uchylam się, odmawiać mi nie wypadało.

Część tubylców raczej źle znosiła moją funkcję. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy nie mogli uzyskać kolejnych awansów. Po prostu wymagania w konkursach krajowych były większe niż prezentowany przez nich poziom. Stany frustracji często kierowali w moim kierunku, chociaż obiektywnie możliwości wpływu na ich awanse nie miałem. Jeden z takich kolegów po kolejnym niepowodzeniu przestał odpowiadać na moje pozdrowienia. Reagowałem spokojnie, ze sprawą nie miałem nic wspólnego, on widać miał psychiczną potrzebę znalezienia winnego. W pewnym momencie wyjechał do RPA na okres 6-ciu miesięcy. Ponieważ nie załatwił spraw urlopowych

wstrzymano mu pensję. Po powrocie zgłosił się do mnie z prośbą, abym stosowne podanie zaopiniował z datą wsteczną. W ustawodawstwie włoskim to poważne przestępstwo (fałszowanie dokumentów), ale bez słowa podpisałem i poprosiłem sekretarkę, aby wciągnęła podanie do dziennika podawczego pod stosowną datę. Uznałem, że gdyby złożył podanie we właściwym czasie sprawę załatwiłbym pozytywnie, dla mnie sytuacja nie uległa zmianie. Była to jednak duża uprzejmość z mojej strony. Następnego ranka spotkałem owego kolegę na korytarzu i ponownie na moje pozdrowienie nie odpowiedział. Miał chłopak charakter.

Parę miesięcy później wędrując po Republice Południowej Afryki dotarłem na konferencje w Cape Town (Kapsztad), której ów kolega był przewodniczącym. Zgodnie z prawdą zauważył, że większość referatów nie jest dla mnie interesująca, a dwa które mnie interesowały przesunął na pierwszy dzień stwierdzając, że w okolicy jest zbyt wiele interesujących miejsc abym tracił czas na dalsze wykłady. Tak też zrobiłem. Nawet w pierwszy dzień, poczuwając się do roli gospodarza, zabawił się w naszego przewodnika. Reakcje ludzi są często nieprzewidywalne. Prawdopodobnie będąc poza terenem L'Aquila nie czuł obowiązku demonstrowania swojego sprzeciwu względem mojej osoby a raczej funkcji, a być może spowodowała to obecność mojej żony (zawsze działa na otoczenie kojąco). Był to jedyny raz kiedy harmonogram konferencji międzynarodowej został tak zdecydowanie dostosowany do moich prywatnych potrzeb.

Opisana dotąd działalność dotyczy głównie wydarzeń humorystycznych i patologicznych, które mocno wypaczają właściwy obraz rzeczywistości polegający na codziennej solidnej pracy, właściwego wyboru badań naukowych, rozsądnego ustawiania programów i zaangażowanej realizacji dydaktyki. Muszę stwierdzić, że tematykę badań koledzy dobierali odpowiedzialnie i ambitnie. Jako dyrektor miałem wpływ umiarkowany, aczkolwiek badania, które wydawały mi się bardziej obiecujące, w jakimś stopniu mogłem popierać. Natomiast moim zdecydowanie rozsądnym wyborem była rezygnacja z powszechnie stosowanej zasady „dziel i rządź”, starałem się natomiast znaleźć możliwość ułożenia współżycia zwaśnionych stron. Ta polityka dała doskonałe rezultaty, a departament poprzednio uważany za siedlisko konfliktów, po paru latach osiągnął opinie najlepszego na uczelni, zarówno ze względu na atmosferę, jak i osiągnięte wyniki naukowe. Rzecz jasna zasługa to głównie moich kolegów, którzy prowadzili istotne badania naukowe, ponadto wykazali wiele dobrej woli do ułożenia właściwych relacji z przedstawicielami konkurencyjnych grup.

Tak się złożyło, że działalność administracyjną podjąłem w momencie, kiedy we włoskim systemie edukacyjnym pojawiły się – trwające do dziś – znaczne ograniczenia etatowe. Większość uczelni swoje środki przeznaczała na awanse pracowników, my – pomimo silnych oporów – postawiliśmy na inwestowanie w młodzież, a zdolnych młodych adeptów wiedzy było wielu. Jako człowiek z zewnątrz nie ulegałem łatwo naciskom lokalnych grup i mogłem popierać decyzje rokujące dalszy rozwój kierowanej przeze mnie placówki. W wyniku tej polityki po paru latach dorobiliśmy się licznej grupy młodych pracowników mających dorobek umożliwiający objęcie sta-

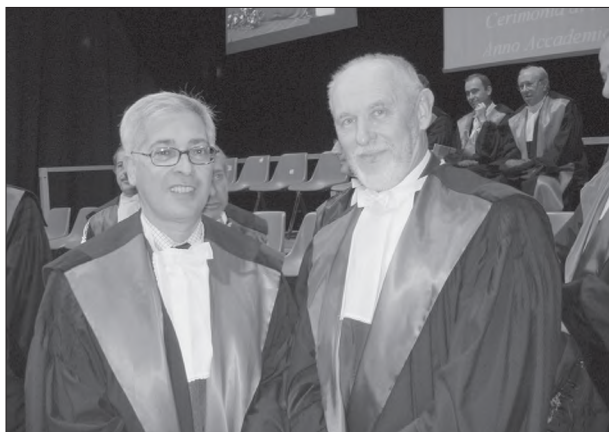
nowisk profesorskich. Niestety, zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Nasze skromne środki nie pozwalały awansować wszystkich zatrudnionych młodych pracowników i część z konieczności musiała odejść do innych placówek, a zaostrzone przepisy uniemożliwiły odzyskanie opuszczonych przez nich etatów. Również dzisiaj wszyscy młodzi pracownicy mojego byłego departamentu mają dorobek naukowy i tytuły wystarczające z nawiązką na istotny awans. Ze względu na brak finansów wciąż jest to niemożliwe. Z tego powodu znaczna ilość wykształconych u nas matematyków objęła stanowiska w innych uczelniach włoskich jak i zagranicznych (między innymi Francji, Niemiec, Anglii, Ameryki). Jeden z absolwentów kierunku matematycznego w L'Aquila, dr Massimiliano Rosini, po obronieniu w Polsce rozprawy habilitacyjnej, od 1 października 2014 roku objął etat profesora w Centrum Zastosowań Matematycznych w Warszawie, placówce Polskiej Akademii Nauk. Wcześniej uzyskał „*idoneita*” we Włoszech, czyli tytuł pozwalający objąć tam stanowisko profesora. Tak więc zrobił podobną drogę jak przed laty ja, tylko w stronę przeciwną. Mogę więc spokojnie stwierdzić, że „wypożyczenie” mojej osoby do Włoch zostało z procentem zwrócone.

Na forum kraju polityka nasza została jednak odnotowana. Z zupełnie nieliczącego się Instytutu Matematycznego w pewnym momencie na cztery istniejące w Abruzji uczelnie i 57 departamentów zostaliśmy uznani za departament najlepszy. Aby to podkreślić przyznano nam 314 milionów (jeszcze lirów) na dalszy rozwój. Przeprowadzony ze mną wywiad z okazji tego wyróżnienia – na interwencje lokalnych ośrodków wpływu – nie ukazał się w prasie, obcięto go do podania suchego faktu. Byliśmy ciałem obcym, któremu nie należało robić propagandy. W obszernym regulaminie przyznanej nagrody była również wzmianka, że środki te w przypadku uzasadnionym decyzją uczelni mogą być użyte na inne cele. Oczywiście uczelnia z tej możliwości skorzystała (wy jesteście mocni, wspomóżmy słabych, do naszej kasy nie wpłynął nawet jeden lir). Mieliliśmy jednak już na tyle ugruntowaną pozycję, że kiedy ruszyły programy unijne, jeden z największych programów matematycznych (Hyperbolic Conservation Laws), realizowany w latach 1996 – 2000, obejmujący siedem krajów, był kierowany przez kolegę z naszego departamentu, prof. Pierangelo Marcatiego, u nas też prowadzone były wszystkie rozliczenia. Od tego czasu departament partycypuje wciąż w różnych europejskich programach.

W mojej opinii najlepszym miernikiem osiągnięć kierunku matematycznego w L'Aquila jest następujący fakt. W latach 2004 – 2009 według wskaźników ministerialnych produkowaliśmy około 2% totalnej ilości absolwentów matematyki we Włoszech, a wśród przyjętych na studia doktoranckie nasi absolwenci stanowili od 5 do 6 procent, często pokonując kandydatów miejscowych w Rzymie, Neapolu, Mediolanie. Niestety trzęsienie ziemi w 2009 roku zburzyło tę piękną sytuację i dalsza przyszłość jest mniej pewna.

Departament miał też poważne osiągnięcia w przygotowaniu ludzi do pełnienia funkcji administracyjnych. Dość wspomnieć, że obecny rektor uniwersytetu w L'Aquila, prof. Paola Inverardi, była pracownikiem naszego departamentu, pierwotnie moim oponentem a później sprawdzonym współpracownikiem. Inną ważną funk-

cje uczelnianą aktualnie pełni prof. Bruno Rubino, który swoją karierę jako asystent zaczynał w momencie mojego przejścia z Inżynierii na Sienze. Podpisując ostatnio w Polsce umowę o współpracy Uniwersytetu w L'Aquila z AGH nie omieszczał wspomnieć, że ma zaszczyt pełnić funkcje dyrektora jako kolejny mój następca, a umowa jest naturalną kontynuacją stosunków nawiązanych przeze mnie. Wyznam, że było



Z dyrektorem medycyny

mi przyjemnie. Nadzieje na dalszy naukowy rozwój tamtejszego środowiska budzi powołany ostatnio do życia tzw. Park Naukowy czyli centrum nauk ścisłych i ich zastosowań, któremu szefuje mój bezpośredni następca w departamencie matematyki, wspominany już prof. Pierangelo Marcati.

Wydaje się, że najtrafniejszą ocenę mojej pracy na stanowisku dyrektora wydał jeden z moich włoskich kole-

gów. Zakończyłem właśnie czwartą kadencję i rozmowa dotyczyła spraw związanych z funkcjonowaniem uczelni. W pewnym momencie zamyślony kolega wyszeptał „*tyle straconych lat*”. Widząc moje zdziwienie wyjaśnił, „*ileż spraw ludzie mogliby sobie załatwić, a ty blokujesz stanowisko i nikt nie ma żadnych korzyści. Jak oni to znoszą?*”. Jako obcokrajowiec nie mogłem sobie pozwolić na żaden przekręt czy nawet drobny błąd, niewątpliwie w zespole znalazły by się jednostki, które nie omieszczałyby to wykorzystać. Z takiego punktu widzenia istotnie marnowałem możliwości stanowiska.

Bardziej bezlitośnie moją działalność dyrektorską ocenił mój nauczyciel, współpracownik i przyjaciel prof. Andrzej Lasota we fraszce „*O Józku*”²⁴ którą pozwolę sobie zacytować:

*Józeczek lubi być dyrektorem,
Lecz zamięłowanie to jest chore.*

Po zakończeniu piątego mandatu stwierdziłem stanowczo, że z działalności zarządzania departamentem całkowicie się wycofuję. Sytuacja była już całkowicie stabilna, a moim następcą został wysoko notowany matematyk, mający duże doświadczenia kierownicze i zupełnie inne pochodzenie polityczne. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu po objęciu stanowiska poinformował personel, że wszystkie zasady wprowadzone przeze mnie pozostają bez zmian. Kiedy zaś po pewnym okresie, doceniając parę wartościowych inicjatyw wyraziłem przekonanie, iż zmiana zarządzającego wniosła wiele dobrego, wyrażony wyraźnie sprzeciw i żal moich rozmówców za poprzednim stylem był dla mnie dużą satysfakcją.

²⁴ Ze zbioru poezji p.t., „Albo w migdały patrzeć niebieskie” A. Lasoty wydanej własnym sumptem przez T. Szarka, również doktoranta prof. Lasoty.

5. Adaptacja

Podejmując pracę we Włoszech w tamtejszym środowisku matematycznym tkwiłem już mocno, niewątpliwie bardziej niż w polskim, dlatego też z przystosowaniem się do nowych warunków nie miałem żadnych problemów. Ponadto środowisko uniwersyteckie jest bardzo specyficzne. Znacząca większość kadry na każdej włoskich uczelniach to element napływowy, słabo związany z miejscowymi układami, na ogół znający realia zagraniczne, mający też za sobą staże w różnych ośrodkach. Stąd porozumienie się, przynajmniej wstępne, nie stwarzało problemów. Nie umiem do końca wyjaśnić dlaczego, ale we Włoszech zawsze pracowało mi się lepiej niż w Polsce.

Zupełnie inna historia z rodziną. Nikt z rodziny nie znał włoskiego (w chwili obecnej w rodzinie po włosku mówię najgorzej). Najstarsza córka w chwili wyjazdu ukończyła w Polsce trzecią klasę, młodsza pierwszą. Postanowiliśmy rzucić je na szeroką wodę i zapisaliśmy je odpowiednio do klasy czwartej i drugiej. L'Aquila była prowincją gdzie obcokrajowcy, zwłaszcza reprezentujący jakiś poziom, zdarzali się rzadko. Nauczyciele w szkole nie mieli zupełnie doświadczenia jak należy podchodzić do takich przypadków. Szokujące były moje pierwsze doświadczenia z nauczycielami. Po zapisaniu córek do szkoły udałem się na rozmowę, aby wyjaśnić sytuację, w szczególności uczulić panie nauczające, iż córki w pierwszym okresie nauki nie będą w stanie niczego zrozumieć. Grzeczne potakiwanie przyjąłem za zrozumienie. Już następnego dnia zostałem wezwany do szkoły. Okazało się, że sprawdzającego wypracowania z lektury przerabianej poprzedniego roku córka nie napisała. Ponowne tłumaczenie, że dziecko nie mogło napisać bo jeszcze po włosku nie rozumie, ponowne złudzenie, iż pani zrozumiała problem i ponowne wezwanie, że córka nie napisała również kolejnego sprawdzianu, pomimo że temat był łatwiejszy. Po paru nieudanych próbach wyjaśnienia sytuacji musiałem interweniować poprzez kuratorium. Na szczęście na tym szczeblu znalazłem ludzi, którzy rozumieli sytuację. W ciągu roku córki chwyciły kontakt z otoczeniem, stosunkowo łatwo z klasą, znacznie trudniej z nauczycielami. Spośród wielu idiotycznych argumentów wspomnę tylko wywód nauczycielki języka włoskiego, która próbowała mnie przekonać, że każdy błąd córki musi liczyć dwukrotnie, bowiem w przypadku włoskiego dziecka zawsze dopuszcza możliwość, że pisownie zna a błąd zrobiło w wyniku zwykłego roztargnienia, natomiast w przypadku córki to z pewnością brak wiedzy, a ten zobowiązana jest odpowiednio wyeksponować.

Abruzja należy do południa Włoch. Jedną z konsekwencji tego faktu jest pozycja kobiety w lokalnym społeczeństwie²⁵. Można to było odnotować już w praktyce szkolnej. Z rodziców szkoła uznawała właściwie tylko ojca. Wszelkie oświadczenia związane ze szkołą, na przykład usprawiedliwienia, musiał podpisywać ojciec. W przypadku braku ojca – dziadek, w przypadku braku dziadków – opiekun. Jeśli nie było również opiekuna wówczas pozostawała matka, ale takie oświadczenie nie było

²⁵ Uczciwość wymaga odnotowania że również w Polsce, wbrew obiegowej opinii, z równością płci nie jest jeszcze najlepiej (mówi to piszący który jest raczej konserwatystą mało podatnym na modne trendy).

zbyt dobrze widziane. Moje głębokie zdumienie budził fakt, że w egzekwowaniu tych rasistowskich wymagań zdecydowanie bardziej zajadłe były panie. Według informacji jakie zdobyłem, inne części Włoch były bardziej wyrozumiałe, a raczej bardziej normalne, ta paradoksalna sytuacja aquilańska należała raczej do rzadkości. Z drugiej strony programy szkoły włoskiej oraz efekty nauczania oceniam zdecydowanie wyżej niż obecnej szkoły polskiej. Ze szkoły włoskiej, pomimo jej wielu wad, dzieci wciąż wynoszą pokąźny zasób wiedzy.

Specyficzną mentalność aquilańską w zakresie równości płci doskonale oddaje moja przygoda z bankiem. Po podjęciu pracy założyłem wspólne konto bankowe z żoną. Dokonaliśmy stosownych formalności, ale w pierwszych miesiącach do banku chodziłem tylko ja. Pewnego dnia poszła pobrać pieniądze żona. Uwaga kasjera by wzięła kwotę niewielką nieco nas zszokowała. Podobny problem pojawił się parę tygodni później, bardzo niechętnie bank załatwił żonie dewizy na mój zagraniczny wyjazd. Zacząłem rozmyślać o zmianie banku podejrzewając, iż powodem są trudności finansowe tej instytucji. Sprawa wyjaśniła się po moim powrocie. Kiedy stałem w kolejce do kasy, podszedł znajomy urzędnik, zapraszając mnie na kawę do dyrektora banku. W gabinecie zostałem poczęstowany kawą, a objawiana serdeczność gospodarza rodziła przypuszczenie, że członek rodziny bankiera ma widocznie problemy z jakimś egzaminem. Wyłuszczonego powód tego zaproszenia omal nie zwałił mnie z fotelu. Otóż dyrektor zapytał poważnie: „*Pan profesor rzeczywiście chce abyśmy wypłacali żonie każdą żądaną kwotę?*”. Oboje z żoną byliśmy takimi samymi właścicielami konta. Uświadomiłem sobie, że nie mieszkam już w Europie, a raczej w Afryce i to nie w jej części rozwiniętej. Należy dodać, że po uzgodnieniu dalszych problemów z wypłatami nie było.

Kolejne wydarzenie tego typu. Otóż zorganizowano żonie wystawę ikon w L'Aquila, która zebrła dość pozytywne opinie. Kilkanaście miesięcy później zorganizowano jej z kolei wystawę olejnych obrazów z kwiatami. Podczas tej drugiej wystawy podeszło do mnie dwóch tubylców, aby złożyć mi gratulacje z powodu poprzedniej wystawy oraz wyjaśnić dlaczego nie mogli uczestniczyć w jej otwarciu. Wyjaśnienie że autorką jest moja żona nie trafiały do panów, a kiedy próbowałem ją przedstawić, moi interlokutorzy dość grubiańsko odsunęli ją na bok kontynuując słowa gorących pochwał pod moim adresem. Tu można jeszcze dodać, że w wielu regionach Włoch wprawdzie wita się mężczyzn, jak również ich przepuszcza się pierwszych.

Włosi są narodem towarzyskim, aczkolwiek poruszają się na ogół w kręgach zamkniętych, przy czym stopień hermetyczności zależy od regionu. O Florencji w tym aspekcie wspominałem już w poprzednich odcinkach. Więzy rodzinne są silne, zdecydowanie ważniejsze niż w Polsce, przy czym najsilniejsze są na południu Włoch. Południowcy są przy tym bardzo wrażliwi, nietrudno ich urazić nie zdając sobie nawet sprawy z tego faktu. Na przykład bardzo poczuł się urażony zaprzyjaźniony z naszą rodziną Kalabryczyk, kiedy nie poinformowałem go o zakupie nowego samochodu. Pamiętajmy, że wymiana samochodu we Włoszech nie jest wydarzeniem do którego przywiązuje się dużą wagę, na myśl mi nie przyszło, że należy o tym prze-

kazać informacje znajomym. W gronie przyjaciół istnieje obowiązek informowania o każdej sprawie. Bywałem zaskoczony, kiedy powiadamiano mnie np. o zajściu w ciążę. Który miesiąc? Trzeci. Pamiętam jeszcze we Florencji codzienne wałkowanie sprawy aborcji u przyjaciół gospodarzy, którzy mnie gościli. Podobnie w gronie przyjaciół roztrząsano konflikty małżeńskie, zdrady, choroby i wszelkiego typu zdarzenia, które dotknęły któregoś członka grupy. W tym też gronie podejmowano decyzje. Jako współmieszkańca uznano mnie za członka rodziny i wraz z gospodarzami wieczory spędzałem u kolejnych ich przyjaciół. Dokładnie moi gospodarze pięć dni w tygodniu mieli zarezerwowane na wspólne wieczory. Towarzystwo zawsze to samo, zmieniało się tylko lokum. Należy podkreślić, że informacje na zewnątrz absolutnie nie wyciekały. Część uczestników znała się od lat przedszkolnych, niektórzy na dzień dzisiejszy już nie żyją. Całe życie spędzili w takim zamkniętym kręgu. Oczywiście ogranicza to ilość bliskich znajomych, po prostu stopień zażyłości angażuje zbyt dużo czasu i nie pozwala aby ten krąg był zbyt liczny. Z drugiej strony daje on poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Kiedy do Florencji dojechała do mnie żona na okres jednego roku, na tego typu wieczorne spotkania przestałem być zapraszany. Tworzyłem już inną komórkę rodzinną i zmienił się nasz status przyjaźni. Wyznaje, że dla mnie ten styl życia na dłuższą metę byłby nie do przyjęcia.

Cechą mieszkańców Abruzji jest wyjątkowa pamiętliwość. Spotykałem skonfliktowane od wieków rodziny, w których żadna ze stron nie umiała wyjaśnić, co było przyczyną konfliktu, ale jego podtrzymanie uważała za swój święty obowiązek. Jeśli nawet ustała walka między rodami, o normalnych wzajemnych kontaktach mowy raczej nie było. Z drugiej strony wielokrotnie zostawiałem w L'Aquila samochód otwarty, parokrotnie z portmonetką, nigdy nic nie zostało ukradzione. Portmonetka pozostawiona wewnątrz samochodu w Rzymie zniknęłaby pomimo zamknięcia wozu. Niestety, w ostatnich latach również w L'Aquila słyszy się o kradzieżach. Być może jest to konsekwencja mieszania się ludności oraz coraz liczniejszego elementu napływowego.

L'Aquila została ufundowana przez 99 zamożnych rodzin z Abruzji, które konkurują ze sobą do chwili obecnej. Większość stanowisk obsadzana jest tutaj przez element napływowy, tubylcy bowiem starannie pilnują, aby swoi nie awansowali zbyt wysoko. Kiedy w Departamencie Matematyki pojawiła się nowa koleżanka pochodząca z L'Aquili, pracująca już u nas przedstawicielka rdzennej ludności nie omieszkała życzliwie mnie ostrzec że niestety nowa siła pochodzi z rodziny upadłej. Indagowana wyjaśniła sens owego upadku, otóż pradziadek owej koleżanki ożenił się z dziewczyną z ludu. Wbrew tej klasyfikacji „podupała rodzina” należała wciąż do bogatej i aktywnej rodzimej burżuazji. Ze zrozumieniem pokiwałem głową stwierdzając *„to wyjaśnia skąd bierze się jej uroda i inteligencja”*²⁶.

Bezpośrednio po przyjeździe dałem się wciągnąć w lokalne życie towarzyskie. Obowiązującą regułą, że *„moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi”* zaakceptowałem

²⁶ Aktualnie koleżanka ta pełni funkcje rektora Uniwersytetu w L'Aquila będąc chlubnym wyjątkiem reguły iż tubylcom nie udaje się osiągać stanowisk w macierzystej miejscowości.

z łatwością. Oczekiwanu, że również zaakceptują drugi człon reguły „*moi wrogowie są twoimi wrogami*” nie uległem i świadomie zacząłem ograniczać stopień zażyłości, zwłaszcza z kolegami z uniwersytetu. Nie chciałem mieć żadnych ograniczeń i tak pozostało do końca. Oczywiście wybór pozostania wolnym i niezależnym miał znaczną cenę, nie wpisałem się do żadnej grupy wpływów co w środowisku włoskim jest wyborem mało rozważnym. Świadomie uznałem jednak, że skoro w warunkach komunizmu pozostałem niezależnym, na ten sam komfort mogę sobie pozwolić w warunkach kapitalistycznych, „*costa che costa*” (kosztuje co ma kosztować). Miało to też pewien walor, żadna z grup wpływu nie miała w swój statut wpisany obowiązek zwalczania mnie.

W czasie licznych spacerów i wycieczek po okolicznych górach dość często ucinałem sobie pogawarki z napotkanymi mieszkańcami okolic. Uderzało mnie, iż ludzie którzy uprawiali zawód wieśniaka, posiadali zaskakujący zasób wiadomości z zakresu geografii, historii i kultury. Zdarzyły się też niezwykle miłe konsekwencje takich wycieczek. Na przykład dzwonek do drzwi a zupełnie obcy człowiek, okazuje się jednym z takich rozmówców. Rozmawialiśmy, kiedy sadził ziemniaki, teraz je wykopał i uznał za stosowne dostarczyć swojemu rozmówcy dorodny worek „gruli”. Niewątpliwie w czasie rozmowy wspomniałem, iż pracuje na uniwersytecie i jestem Polakiem. W miejscowości typu L'Aquila adres jedyne profesora z Polski nietrudno było zdobyć. Mniej więcej w taki sposób nawiązałem sieć znajomości w sąsiednich siołach, które bardzo z żoną ceniliśmy. Oboje pochodzimy ze wsi i była to kontynuacja kontaktów z naszym naturalnym środowiskiem, ponadto uczestnictwo w rodzinnych imprezach typu chrzty, komunie, wesela bardzo wzbogacało naszą wiedzę o okolicznej ludności.

Podczas wyjazdów z Polski do Włoch bardzo często byłem goszczony przez przyjaciół matematyków, czasem mieszkalem u nich przez dłuższe okresy. Kiedy zamieszkałem we Włoszech za swój obowiązek uważałem oddanie tego długu społeczności matematycznej, dlatego też prowadziliśmy dom otwarty, również u nas często mieszkali odwiedzający mnie znajomi matematycy jak również koledzy z innych branż. Dom pełnił równocześnie rolę pracowni malarskiej, magazynu obrazów i hotelu. Było wiadomo, że u nas jest zawsze gorący posiłek i kąt do spania. Z tymi wizytami mamy związany cały szereg miłych wspomnień, a w przypadku obcokrajowców również sporo zaskakujących i humorystycznych sytuacji wynikających z różnicy zwyczajów i kultur. Kilka takich sytuacji przypomnę w dalszej części. Tutaj oddam głos jednemu z naszych częstych gości, pełniącego też rolę nadwornego poety (L'Aquila 1994):

*U Myjaka gości wiele,
W świątek, piątek i niedziele.
A najgorszy jest Lasota,
Z miną nadętego kota,
Gospodarzom miast zapłaty,
Pisze kiepskie poematy.*

Muszę też oddać hołd moim paniom (żonie i córkom), które wielokrotnie w kilka godzin potrafiły przygotować przyjęcia nawet na kilkanaście osób²⁷. Jest to możliwe w kuchni włoskiej, kuchnia polska wymaga zdecydowanie dłuższego okresu przygotowań.

Główny nurt towarzyskiego życia we Włoszech zawdzięczam żonie. Otóż żona od najmłodszych lat interesowała się malarstwem. Kiedy uczęszczała do technikum księgarskiego, jedna z jej nauczycielek, żona profesora ASP i sama malarka, zauważyła te zainteresowania i prywatnie udzielała małżonce porad, a troskliwa opieka zamieniła się w długoletnią przyjaźń. Tak więc chociaż nie ukończyła żadnej oficjalnej szkoły malarskiej, jako dyletantka zawsze parała się malowaniem. Wśród różnych malarskich technik czasami malowała (właściwie pisała) też ikony techniką oryginalną (farby pigmentowe na desce pokrytej zaprawą kredową). Ikonę taką zauważyła właścicielka galerii w sąsiednim Montorio, odnalazła żonę i namówiła ją do skoncentrowaniu się na pisaniu ikon techniką oryginalną. Sprawa zaangażowała również mnie. Chodziło o opracowanie właściwego przygotowania kredowego podkładu. W tym celu odwiedziłem paru malarzy w Polsce, próbowałem wykorzystać znajomości w branży malarskiej zawarte jeszcze w okresie studiów, zdobyłem szereg przepisów ale zadawalającej techniki nie udało mi się wypracować.

Zachęcona małżonka z zapalem zabrała się do malowania. Wkrótce mieliśmy spory zapas olejnych obrazów, ikon oraz akrylowych kompozycji. Znów odwołam się do wierszyka prof. A. Lasoty ze wspomnianego tomiku „Albo w migdały patrzeć niebieskie”, który dworując z naszej sytuacji atmosferę jednak oddaje dobrze:

*U Myjaka dom w ikony
Szczyt malarstwa jego żony
Otoczony kultem dawnym
Czujesz się jak Prawosławny
I choć brak tu świec i dzwonów,
Masz ochotę do pokłonów.*

W tym czasie zorganizowano żonie sporo wystaw. Były to wystawy ikon, obrazów olejnych, kompozycji oraz udział w wystawach zbiorowych. Zwykle wyglądało to tak.



Zgodnie z wierszem „dom w ikony”

²⁷ Za każde takie sprowadzenie niespodziewanych gości dostawałem solidną burę, niewątpliwie dostanę ją też za tę wzmiankę.

Galeria zdobywała informacje o istnieniu żony i kontaktowała się z nią telefonicznie. Wówczas odwiedzaliśmy zainteresowaną placówkę, aby omówić warunki oraz zakres materiału na wystawę. Później należało zamówiony materiał dowieść, czasami uczestniczyć w organizacji wystawy. Oczywiście na otwarciu nasza obecność była obowiązkowa. Jeśli wystawa była na zewnątrz L'Aquila, zwykle w programie było przyjęcie, w którym uczestniczył lokalny establishment. Ta część wydarzenia była zwykle najbardziej zabawna. Miejscowi działacze uważali za swój obowiązek poinformowanie pana profesora kto, z kim i dlaczego. Po zdobyciu pewnej ilości informacji, w drugiej rundzie rozmów zwykle udawało mi się sprowokować rozmówcę, aby nie oszczędzał obmawianego. Myślę, że uzyskane w ten sposób informacje nierzadko były ciekawsze od sławetnych nagrań warszawskich kelnerów. Był to doskonały obraz mentalności prowincji.

Odwiedzaliśmy też galerie w trakcie trwania wystawy. Na końcu należało odebrać niesprzedane obrazy, czasami kontynuować kontakty handlowe. Majątku w ten sposób nie zrobiliśmy, ale uzyskany przychód pokrywał z reguły poniesione koszty wystawy i wyjazdów. Pozwalał też na dokładne zwiedzenie okolicy w której była wystawa. Była to impreza głównie towarzysko-turystyczna. W moim odczuciu ta działalność żony uchroniła nas przed typową u wyjeżdżających rodaków tęsknotą za krajem. My nie mieliśmy czasu, wciąż działa się coś ciekawego, często miłego. Ponadto działalność ta w naturalny sposób odrywała mnie to od spraw służbowych i pomagało wyrobić sobie niezbędny dystans do uczelnianych kłopotów. Zająć i obowiązków było tak dużo, że nie było czasu aby się nudzić czy tęsknić za krajem.

Przypomnę jedną z humorystycznych historii związanych z malarstwem żony. Organizowano jej wystawę obrazów olejnych z kwiatami pod ładną nazwą „*Giardino di Barbara*”, czyli „Ogródek Barbary”. Ze względów ekonomicznych ramy do obrazów zamówiliśmy w Polsce, po przewiezieniu ich do Włoch w domu odbyło się masowe oprawianie. Otóż jeden z obrazów o charakterze abstrakcyjnym oprawiłem do góry nogami. Rozłoszczony, co to za obraz ze nie wiemy jak należy go oprawić, odmówiłem dalszej oprawy. Obecny przy tej awanturze prof. Lasota – nasz częsty gość w L'Aquila – oprawił go ponownie już bez mojej pomocy. Obraz ten został sprzedany jako pierwszy, bezpośrednio po otwarciu wystawy. Pamiętam, że zakupił go młody duchowny, a moja znajomość sztuki malarskiej stałem się przedmiotem bezlitosnych kpin profesora Lasoty.

Z działalnością artystyczną żony dotarliśmy do Polski, gdzie również zorganizowano jej podobne imprezy. Należy tu wspomnieć wystawę w dworku Kirchmajerów²⁸, obecnie siedziby Podgórskiej Biblioteki Publicznej oraz w renesansowym pałacyku w Skawinie zbudowanym przez Pawła Korytkę w latach 1540–1580. Szczególnie mile wspominam wystawę w siedziby Podgórskiej Biblioteki Publicznej, bodajże pierwszą

²⁸ Dworek Kirchmajerów, rodziny spokrewnionej z Janem Matejko, został wzniesiony pod koniec XIX wieku w stylu neogotyku i secesji. Jedną z późniejszych właścicielek była córka Jana Matejki. W czasie wojny dom został zajęty przez gestapo, a po 1945 roku przeznaczony na cele społeczne. W 1988 roku Skarb Państwa wykupił budynek od rodziny Braunów, ostatnich właścicieli dworku. Aktualnie jest to siedziba Podgórskiej Biblioteki Publicznej, która systematycznie organizuje wernisaże, wystawy i spotkania z ludźmi kultury i nauki.

wystawę żony w Polsce. Było to spotkanie rodzinno-przyjacielskie okraszone wystawianymi obrazami i ikonami. O jego sukcesie w dużej mierze zdecydowało 50 butelek schłodzonego wina które nielegalnie (stary przemysł) przywiozłem z Włoch. Chłodny napój doskonale harmonizował z lipcowym upałem stwarzając przyjacielski nastrój. Otwarcia wystaw kończą się zwykle około godziny 20, nasza trwała do 24, a na pożegnanie kierowniczką domu stwierdziła, że tak milej atmosfery za jej panowania jeszcze na żadnej wystawie nie było.

Jak większość malującego towarzystwa stałego rynku zbytu żona nie znalazła. Spece od organizowania wystaw próbowali namówić ją na wystawy za granicą, szczególnie w USA, ale uznaliśmy, że jest to inwestycja zbyt ryzykowna. Argumentacja „*aby mieć należy zainwestować*” w tym przypadku nie przekonywała nas. Dużą rolę odegrała tu moja góralska nieufność: „*ludzi słuchoj, a swoje se wiedz?*”. Ponadto zaangażowanie się we władzach uczelni, udział w komisjach konkursowych, podjęcie wykładów w Polsce wymagało sporo czasu, w końcu trzęsienie ziemi zmieniło mocno nasz rytm życia, małżonka nie miała już czasu aby dalej intensywnie uprawiać swoje hobby, ktoś musiał dbać o ognisko domowe. Jako dorobek tego okresu pozostało nam parę lokalnych albumów, gdzie żona wymieniana jest w gronie malarzy z Abruzji.

6. Trochę o Włochach

Z perspektywy Polski państwo włoskie wydaje się być naturalną kontynuacją Cesarstwa Rzymskiego, oczywiście we współczesnych realiach (podobnie jak Związek Radziecki był niekwestionowaną kontynuacją Rosji). Już podczas pierwszego pobytu we Włoszech z dużym zdziwieniem stwierdziłem, że Cesarstwo Rzymskie dla dzisiejszych Włochów jest tworem obcym, kawałkiem istotnej historii, ale właściwie nie należącym bezpośrednio do historii Włoch. Oczywiście świadomi są, że ich kultura wywodzi się z kultury Rzymu, ale równie wysoko oceniany jest wpływ Grecji, Persji czy Egiptu.

Podobnie, według naszej wiedzy, podczas drugiej wojny światowej Włochy były państwem Osi, naturalnym sprzymierzeńcem Niemiec. Natomiast wielu moim włoskim znajomym druga wojna światowa kojarzyła się z walką o wyzwolenie od okupacji niemieckiej. Naturalne zakłamywanie historii związane prawdopodobnie z powojennym programem zwalczania faszyzmu. Pamiętajmy, że Mussolini w swojej manii wielkości często odwoływał się do Cesarstwa Rzymskiego, stąd pewno przeciwnicy jego ideologii układając programy szkolne starali się te więzy osłabić.

Drugie zderzenie z realiami włoskimi dotyczyło współczesnych kwestii politycznych. Dla nas Polaków wrogiem i zaborcą w okresie powojennym był Związek Radziecki, Ameryka jawiła się nam krajem objawionym. Dla moich nowych kolegów krajem imperialistycznym były przede wszystkim Stany Zjednoczone, Kraj Rad, albo był im obojętny, albo nawet symbolizował postęp. Aby zrozumieć przyczynę takiego nastawienia należy zdać sobie sprawę, że ingerencja Ameryki we wewnętrzne sprawy Włoch była po wojnie bardzo silna, pewne strategiczne gałęzie przemysłu, na przy-

kład obrót ropą, były całkowicie kontrolowany przez Amerykę, natomiast Związek Radziecki bezpośrednio Włoch ekonomicznie nie wykorzystywał, a partię komunistyczną wprost dofinansowywał. Z pewną trudnością dotarło do mojej świadomości, że Stany Zjednoczone i Związek Radziecki były (i są) krajami imperialistycznymi o analogicznych zasadach z tym, że imperializm radziecki kontrolował i wymuszał nawet sposób myślenia poszczególnych jednostek, natomiast imperializm amerykański zadawał się jeśli jednostka nie działała wbrew jego interesom. Ludzie nie zaangażowani w działalność polityczną mogli w amerykańskim systemie swobodnie żyć niezależnie od ich przekonań. Różnica istotna. Należy dorzucić, że większość lewicujących kolegów włoskich po poznaniu naszej socjalistycznej rzeczywistości i wielogodzinnych wspólnych dyskusjach bardzo zmieniła swoje poglądy. Niewątpliwie bardziej niż moja argumentacja na zmianę ich poglądów wpłynęły wizyty w Polsce, a zwłaszcza w Związku Radzieckim.

Wracając do moich gospodarzy bardzo uderzył mnie fakt, że poczucie państwa Włosi mają bardzo słabo rozwinięte. Niewątpliwie wynika to z historii, rozbicia na małe państewka i wieloletnich konfliktów między tymi tworam. Liczy się interes grupy, a ponieważ są narodem *stadnym*, zwykle łączą się w grupy. Pierwszą i to niezwykle ważną grupą jest rodzina. Następne to partie polityczne, ale chyba jeszcze ważniejsze to stowarzyszenia o mocnych więzach, na przykład łoże masońskie²⁹, grupy religijne czy grupy o charakterze przestępczym.

Pamiętam, że indagujący mnie pracownik Kwestury we Florencji uporczywie pytał mnie kim właściwie jestem. Odpowiedź matematyk lub nauczyciel akademicki wyraźnie go nie zadawała, *nie o to chodzi, pytam kim pan jest?* Sens pytania zrozumiałem po latach, chodziło mu po prostu o to jaka grupa mnie popiera, do jakiego stowarzyszenia należę, jakie interesy reprezentuje. Dla niego było niezrozumiałe, że można żyć i działać nie będąc członkiem jakiegoś zgromadzenia (np. łoży masońskiej, stowarzyszenia typu Opus Dei, w najgorszym przypadku partii politycznej). Parasol ochronny jakie roztoczyło nade mną środowisko uniwersyteckie musiał według niego mieć jakieś wytłumaczenie. Niestowarzyszony obywatel włoski czuje się bezbronny w sytuacjach awaryjnych np. braku pracy, choroby czy innych nieszczęść losowych. Obawiam się że analogiczny schemat społeczeństwa dociera również do Polski. W chwili obecnej znaczną część dóbr (np. miejsca pracy) w naszym kraju zagarnęły i rozdzielają wśród swoich zwolenników partie polityczne. Można się spodziewać, że z czasem partie stracą na atrakcyjności, a ambitni i pazerni obywatele zaczną organizować się w grupy wzajemnego poparcia. Widać już zresztą pierwsze jaskółki takich stowarzyszeń.

Wróćmy jednak do Włoch. Jednym z pierwszych nie matematycznych naszych miejscowych przyjaciół został wspomniany już wcześniej Kalabryjczyk, osiadły w pobliskiej historycznej miejscowości Fossa, parający się budownictwem. Firma rozwijała się wspaniale, a jego front robót stale rósł. Zwyczajem włoskim część rachunkowości

²⁹ Ponoć w samej Florencji istnieje 600 łoży masońskich. Oczywiście większość z nich ma wyłącznie charakter lokalny.

prowadził nieformalnie, a w ramach finansowych nadwyżek wykupił połowę zabytkowego miasteczka. Kiedy podjeżdżaliśmy na plac parkingowy w Fossa, wysiadający w pobliskim barze miejscowi podbiegali z ukłonem, aby zaprowadzić nas w miejsce, w którym w danej chwili bawił „*Signor imprenditore*” (Pan Przedsiębiorca). Niefortunny wypadek samochodowy spowodował powtarzające się stany nieświadomości oraz zanik pamięci. Nieuczciwi dłużnicy zapomnieli o swoich zobowiązaniach, a wierzyciele pomnażali żądania, w efekcie firma zbankrutowała. Pozostaliśmy jedynymi z nielicznych starających się pomóc w nieszczęściu. Kiedy parkowałem, kłaniający się nam poprzednio mieszkańcy starannie odwracali się plecami, aby nas nie zauważyć. Na szczęście po paru latach przyjaciel częściowo powrócił do zdrowia, uzyskał też odszkodowanie i sytuacja uległa normalizacji.

Powstawanie i kreowanie opinii w dzisiejszym świecie oddaje dobrze małe zdarzenie, którego wraz z żoną byliśmy głównymi bohaterami. Jak wspominałem już miałem w departamencie dwóch świetnych techników informatyków. Z pomocą kolegi matematyka przygotowali sito informacyjne dotyczące Uniwersytetu, miejscowości L'Aquila i jej okolic. Ponieważ było to pierwsze takie sito informacyjne na tamtejszym terenie, zorganizowano uroczystą prezentację z udziałem dziennikarzy i lokalnej telewizji. W dniu otwarcia, jedząc śniadanie zastanawiałem się poważnie czy w otwarciu wziąć udział. Jako urzędujący dyrektor niewątpliwie znajdę się na pierwszym planie pomimo, że mój udział w przygotowaniu był zerowy, lokalna telewizja nie była dla mnie ważna, natomiast u kolegów którzy to przygotowali pozostanie zadra niechęci. Problem rozwiązał znajomy z Rzymu, który niespodziewanie przyjechał aby ze mną porozmawiać. W efekcie wylądowaliśmy w kawiarni, na uczelni nie pojawiłem się w ogóle. Następnego dnia spędziłem w Rzymie. Wracając z Rzymu nabyłem lokalną gazetkę poświęconą kulturze, w której był obszerny artykuł poświęcony malarstwu żony, w szczególności pisaniu ikon. Napisała to osoba nam nieznana, podając szereg faktów z rzeczywistością niemających nic wspólnego. Na przykład dowiedzieliśmy się, że żona swoje umiejętności zdobywała w Rosji (w tym kraju wówczas jeszcze nie była), podziwiała ikony Zagorska prześiadując w tamtejszych muzeach godzinami itd. Moje dworowanie tego wieczora z nieznanymi mi fragmentów życiorysu małżonki przerwała sąsiadka przynosząc lokalną gazetę, w której podawano fragmenty moich wypowiedzi na uroczystości prezentacji. Tego samego dnia dwie tak bez potrzeby sfalszowane informacje nie mieszczą się w normalnej wyobraźni. Po tym doświadczeniu nie mam trudności wierzyć specjalistom od środków masowego przekazu, którzy twierdzą, że obecnie ponad 30% informacji jest fałszowane na zamówienie. Pewno następne 30% fałszowane jest z lenistwa dziennikarzy (to nasz przypadek), informacji prawdziwych pozostaje raczej niewiele.

Ciekawy przyczynek do opisu mentalności Włochów – przynajmniej tych z Południa – daje historie związane z moją profesurą. Skąd wzięła się idea zatrudnienia obcokrajowców wyjaśniłem poprzednio. Członkiem Komisji rozstrzygającej konkurs w którym startowałem był prof. Pucci i to On głównie optował za moją kandydaturą. Jak wiem z późniejszych relacji, starcia między zwolennikami i przeciwnikami

zatrudnienia obcokrajowców były ostre. Prof. Pucciego znałem ale nas stosunek był raczej oficjalny, dość wspomnieć, że był jednym z nielicznych profesorów włoskich z którym pozostałem w oficjalnej formie „lei” czyli „pan”. Niewątpliwie istniał wzajemny szacunek. Ponieważ było tajemnicą poliszynela, że to prof. Pucci przeforsował moją kandydaturę, dla Włochów nie ulegało wątpliwości że jesteśmy przyjaciółmi, próby wyjaśnienia sytuacji nie dawały żadnego rezultatu, raczej potwierdzały siłę więzów. Zdarzyło się parokrotnie, że podczas moich pobytów na Południu Włoch wydawano ekskluzywne przyjęcia aby fetować „Grande Amico di Pucci” (czyli wielkiego przyjaciela Pucciego), co było dla mnie nieco krępujące. W końcu pojąłem, że akcja na bazie przyjaźni była dla nich zrozumiała, akcja w interesie polityki uczelnianej i dobra ogólnego byłaby rzeczą dziwną. Ponieważ w tamtych rejonach prof. Pucci był niezwykle szanowany za przeforsowanie szeregu decyzji które przyczyniły się do rozwoju tamtejszych uczelni, jego postępowanie musiało mieć racjonalne przesłanki (przyjaźń!), dla utrzymania dobrej opinii o moim dobroczyńcy w końcu zaakceptowałem taką interpretację wydarzeń.

Mówiąc o Włoszech nie można zapomnieć o zorganizowanej przestępczości, która opanowała już całe Włochy. Organizacja ta zależy od regionu. Na Sycylii jest to *Cosa Nostra*, w Kalabrii *'Ndragheta*, w Kampanii *Camorra*, a w Pugli *Sacra Corona Unita*. Są to organizacje formalnie niezależne, często współpracujące. Kiedyś Północ Włoch była wolna od tego typu organizacji, ale inteligentni sędziowie wpadli na pomysł, aby miast do więzienia sądzonych członków organizacji przestępczych wysyłać na Północ, gdzie pracowite społeczeństwo wyprostuje ich wykrzywiony kręgosłup moralny. Rzeczywiście, w pierwszych miesiącach *mafiosi* na pracującej Północy czuli się zagubieni, ale kiedy zdeorientowany Giuseppe spotkał równie zagubionego Vincenzo wspólnymi siłami zorganizowali analogiczną strukturę na Północy. Dzisiaj organizacje te kontrolują praktycznie całe Włochy.

Przykład tej działalności. W pierwszym okresie pobytu, gdy zacząłem uczestniczyć w życiu tamtejszych sfer poznałem przemysłowca, który produkował koszulki w Hongkongu i rozprowadzał je na rynku europejskim. Narzekając na podatki wyznał mi, że państwu opłaca około 40% towaru rozprowadzanego na miejscowym rynku, natomiast mafii dokładnie 100%. Gdyby chciał państwu wypłacić wszystko musiałby interes zamknąć. Mafia wylicza mu podatek tak, aby mógł prosperować. Owe 40% wypłacane państwu ustaliła mu również mafia. Ciekawe były jego dalsze losy. Kiedy Hongkong miał wrócić do macierzy chińskiej, należał do grupy przemysłowców, którzy w obawie przed komunistami postanowili swój interes przenieść do RPA. Aby przeprowadzić tę operację, zainwestował środki swojego banku we Włoszech i w efekcie bank stracił płynność. Według informacji, które miałem od niego, wykorzystując przejściowe trudności, załatwiła go włoska konkurencja, po prostu szereg klientów jednocześnie zażądało wypłat, których bank nie był w stanie zrealizować. Prokuratura wydała za nim list gończy. We Włoszech pozostała żona. Pamiętam z tego okresu przyjęcie weselne. Gospodarz, krewny ukrywającego się już za granicą biznesmena, poprosił nas abyśmy wzięli małżonkę do naszego stolika. Cały wieczór spędziliśmy

w swoim towarzystwie, nikt więcej przy nas nie usiadł. Na poprzednich przyjęciach, będąc w tym samym towarzystwie, byliśmy w centrum uwagi. W swoich dwukrotnych podróżach do RPA miałem olbrzymią ochotę go odwiedzić, niestety intensywny harmonogram pobytu nie pozwolił na wygospodarowanie czasu. Z informacji, które do mnie docierały wynikało, że przeniesiona tam fabryka prosperowała dobrze.

Powód znaczenia mafii w moim odczuciu doskonale wyraża następujące wydarzenie. Byłem z odczytem w Cosenza. W drodze powrotnej postanowiłem zatrzymać się w Paola. Zwiedzanie miasta rozpocząłem od Sanktuarium św. Antoniego. Pod świątynią było kilka osób, którym miejscowy proboszcz opowiadał, że ostatniej nocy zostały skradzione zmunifikowane zwłoki św. Antoniego wraz z pięcioma relikwiarzami zawierającymi palce świętego. Przy wybitym oknie stała jeszcze drabina, którą wykorzystali złodzieje. Następnego dnia nocnym pociągami wróciłem do Florencji, a w zakupionej już we Florencji prasie porannej wyczytałem, że na apel miejscowego bossa mafii mającego specjalne nabożeństwo do świętego Antoniego z Paoli, skradzione relikwie zostały zwrócone, przy czym zwrócono sześć relikwiarzy z palcami. Ten szósty palec robi wrażenie. Widać złodziej połączył relikwiarze razem z już posiadanymi, w momencie oddania nie umiał rozpoznać świeżego nabytku, na wszelki wypadek wołał zwrócić wszystkie. Nie chciał ryzykować. Strach złodzieja doskonale wyjaśnia skąd bierze się siła mafii.

7. Trochę o zwyczajach

Włosi są narodem, który w porównaniu do Polaków jest o wiele bardziej pogodny i wesoły, ceniący znacznie mocniej publiczne spektakle, manifestacje i uroczystości. Widać tu wyraźny wpływ historii, przecież już w starożytnym Rzymie teatr, łaźnie, wyścigi np. kwadryg, cyrk, stanowiły niezwykle ważny element życia. W czasach dzisiejszych każda miejscowość ma zwykle kilka imprez w ciągu roku, które przygotowane są z dużym rozmachem i licznym udziałem mieszkańców. Te święta i manifestacje odmierzają lokalny rytm życia, są w ciągu roku wydarzeniami najważniejszymi, w których organizowaniu uczestniczą wszyscy mieszkańcy. Robią to bardzo poważnie i z niezwykłym zaangażowaniem. To zaangażowanie budziło zawsze moje zdumienie i podziw. Niewątpliwie najważniejszą manifestacją tego typu w samej L'Aquila jest *Perdonanza Celestiana*.

Perdonanza jest wydarzeniem religijno-historycznym, które corocznie odbywa się w L'Aquila w ostatni tydzień sierpnia, a punktem kulminacyjnym jest procesja połączona z otwarciem 28 sierpnia Świętych Drzwi w bazylice Collemaggio. Nazwa i historia tej ceremonii sięga 1294 roku, kiedy to papież Celestyn V wydał Bullę Papieską na mocy której każdy, kto przystąpi do sakramentu spowiedzi i komunii oraz wejdzie do bazyliki Collemaggio w L'Aquila podczas uroczystości *Perdonanza* uzyska odpust zupełny, czyli zmażenie wszystkich win. Z biegiem lat dołożono warunek, że do bazyliki należy wejść przez Drzwi Święte. Jest to do chwili obecnej jedyny obrzęd religijny w Kościele, który pozwala uzyskać odpust zupełny każdego roku. Przypomnijmy, że

termin i idea *Giubileo* pochodzi z języka i kultury hebrajskiej, oznacza rok odpuszczenia, przebaczenia, pokuty i zmazania win. Idea Celestyna V została podjęta przez papieża Bonifacego VII, który w 1300 roku ustanowił *Giubileo* połączone z otwarciem Drzwi Świętych³⁰ w bazylice San Pietro. Miało ono odbywać się co sto lat. Okres ten był zmniejszony wpierw do 50 lat, następnie 33, a ostatecznie decyzją papieża Pawła II od 1475 roku odbywa się co 25 lat. Podobnie jak podczas *Perdonanza* również podczas *Giubileo* można uzyskać odpust zupełny.

Od 2011 roku *Perdonanza* jako obrzęd tradycyjny zaliczana jest do majątku kulturalnego Włoch, aktualnie prowadzone są starania o wpisanie jej na listę światowych zasobów kulturalnych.

Warto przypomnieć niektóre historyczne fakty. W XIII wieku L'Aquila była małym warownym grodem ufundowanym przez 99 okolicznych baronatów. Każdy z feudałów oprócz swojego pałacu przy przypisanym mu placu budował również kościół i fontannę (Stąd popularna nazwa – miasto 99 kościołów, 99 placów i 99 fontan). W trwającym wówczas sporze pomiędzy papieżem i cesarzem, L'Aquila opowiedziała się po stronie papieża, pozostawała zawsze w sferze wpływów Watykanu i jeszcze dzisiaj procent praktykujących katolików jest tu wyraźnie wyższy niż w innych regionach Włoch.

W 1275 roku eremita Pietro da Morrone (Piotr z Morrone) żyjący dotąd w pustelni na stokach pobliskich gór Maiella³¹ schronił się na pewien okres w klasztorze na wzgórzu Colle di Maggio położonym poza murami grodu. Podczas pobytu w klasztorze we śnie zobaczył Matkę Bożą, która poleciła mu wznieść w tym miejscu świątynię ku jej chwale. Realizując sen przystąpił do budowy świątyni nazywanej dzisiaj Bazyliką Collemaggio i będącej jednym z głównych zabytków w L'Aquila³². W tymże kościele po śmierci papieża Mikołaja IV w 1292 roku zebrał się synod, aby wybrać nowego papieża. Skłócenie dostojnicy nie byli w stanie dokonać wyboru, a panująca epidemia spowodowała przeniesienie synodu do Pescary. W wyniku zewnętrznych żądań zakończenia synodu i niemożliwości ustalenia kandydata spośród liczących się dostojników kościelnych, zdecydowano na papieża powołać wspomnianego pustelnika Pietro da Morrone, który po dokonaniu dzieła budowy świątyni ponownie powrócił do swej pustelni. Raczej niechętnie zaakceptował On nominację i przyjął imię *Celestino V*. (Zachowały się wspomnienia kardynałów których synod wysłał po podjęciu decyzji do Pietro da Morrone). W tym samym roku Pietro da Morrone złożył dymisję z tej zaszczytnej i odpowiedzialnej funkcji, został uwięziony i zmarł w więzieniu w 1296 roku. Jego cztery miesiące sprawowania władzy papieskiej miały wiele konsekwencji dla Kościoła. Jednym z istotnych wydarzeń była wspomniana Bulla Papieska (Bolla del Perdono), na mocy której każdy, bez wyjątku, kto spełni wyznaczone warunki, może

³⁰ La Porta Santa czyli Drzwi Święte są to drzwi bazylik zamurowane, które otwiera się tylko z okazji *Giubileo*. Aktualne Święte Drzwi mają cztery bazyliki Rzymu: San Pietro (św. Piotra), San Giovanni di Laterano (św. Jana na Lateranie), San Paolo fuori le Mura (św. Pawła za Murami) i Santa Maria Maggiore (św. Marii Większej). Ponadto oprócz Collemaggio Święte Drzwi ma Cattedrale di Santiago di Compostela oraz Cattedrale di Atri. Niewątpliwie wszyscy pamiętamy *Giubileo* w 2000 roku któremu przewodniczył Jan Paweł II.

³¹ Jeden z masywów Apenin, najwyższy szczyt Monte Amaro 2793 m n.p.m..

³² Cennym zabytkiem w bazylice Collemaggio są duże olejne obrazy przedstawiające życie św. Celestyna wymalowane przez gdańszczanina Carlo Ruterą (obecnie po trzęsieniu ziemi znajdują się w renowacji).

uzyskać odpust zupełny. Podobny przywilej uzyskała od Celestyna V również katedra w Atri, ale stosowne dokumenty nie zachowały się. Aby zrozumieć znaczenie tych decyzji przypomnijmy, że w tym czasie rozwinął się niezwykle handel relikwiami



Bazylika Collemaggio. L'Aquila

i odpustami, przebaczenie związane było ze spekulacją i korzyściami finansowymi. Bulla miała poważne konsekwencje polityczne i w znacznej mierze przyczyniła się do pacyfikacji konfliktów i pojednania w Kościele.

Pierwsza ceremonia *Perdonanza* odbyła się w 1295 roku pomimo oporu papieża Bonifacego VII, następcy Celestyna V. Wydał on nawet bullę unieważniającą dokument

swojego poprzednika. Wierni przy poparciu władz cywilnych wymogli jednak odbycie się ceremonii i powtarzano ją odtąd co roku. Nabrała ona szczególnego znaczenia, kiedy decyzją papieża Klemensa V w 1313 roku Celestyn został wyniesiony na ołtarze. a Jego szczątki doczesne pierwotnie pochowane w kościele Św. Antoniego w Ferentino, w 1317 roku zostały przeniesione do Bazyliki Collemaggio. Od 1983 roku oprócz tradycyjnej procesji kościelnej odbywa się również manifestacja organizowana przez władze cywilne, a jej kluczowym elementem jest pochód podczas którego Bulla św.

Celestyna z pałacu Margherita (gdzie przechowywana jest w specjalnej kaplicy) przenoszona jest do Bazyliki Collemaggio. W ciągu tygodnia poświęconemu obchodom *Perdonanza* odbywa się szereg imprez promujących kulturę regionu. Udział w pochodzie uznawany jest za zaszczyt. Mieszkańcy już parę miesięcy wcześniej piszą podania zgłaszając swój akces do wystąpienia w licznych grupach reprezentujących dawne stany i zawody. Interesujące są historyczne grupy popisujące się swoimi umiejętnościami, na przykład żonglerką chorągwiami. Osobiście miałem przyjemność uczestniczenia w tej ceremonii jako członek reprezentacji władz uczelni.



Papież Benedykt XVI przy sarkofagu św. Celestyna, Collemaggio (Trzęsieniu ziemi w 2009 r. zniszczyło kaplicę grobu. Sarkofag ocalał)

Podobnie jak w Polsce najwięcej zwyczajów i obrzędów związane jest z okresem Bożego Narodzenia. Niewątpliwie w Polsce najpowszechniejszy zwyczaj to drzewko. We Włoszech drzewko jest również bardzo popularne ale na pierwszym miejscu należy umieścić szopkę. Jest ona w okresie Bożego Narodzenia komponowana i ustawiana w każdym kościele, w każdej rodzinie i często są to prawdziwe dzieła sztuki. Do interesującego wydarzenia w okolicy L'Aquila należy niewątpliwie ekspozycja szopek w rozległych podziemnych korytarzach jaskini *Grotte di Stiffe*.

Presepe vivente (żywa szopka) to teatralne przedstawienie narodzenia Chrystusa z udziałem ludzi i zwierząt w środowisku naturalnym. Pierwsza *presepe vivente* była dziełem św. Franciszka, który w 1223 roku zorganizował go w borgo Greccio leżącym niedaleko miasteczka Rieti. Od tego czasu zwyczaj ten rozpowszechnił się w całych Włoszech. W organizowaniu żywych szopek biorą udział wszyscy mieszkańcy danej miejscowości czy dzielnicy miasta, przy czym aktorami tego przedstawienia mogą być tylko ludzie tam zamieszkali. Często przyznawanie ról, np. Matki Bożej, odbywa się na zasadzie konkursu. Wytworzył się też zwyczaj, że Jezusem jest ostatnie urodzone w tej miejscowości dziecko. Ponoć marzeniem wielu rodziców jest, aby ta rola przypadła ich potomkowi. Uroczystość ta jest również okazją aby pokazać życie w dawnych czasach, w szczególności wystrój domów, ubiory i zawody które dzisiaj zniknęły.

Żywa szopka „*Come a Betlem*”, czyli „jak w Betlejem”, przedstawiana jest 25 grudnia w pobliskiej miejscowości Pianola. W obszernej dolinie u stóp góry wzniesiona jest scenografia obrazująca Betlejem wśród której porusza się w strojach epoki ostatnio około 200 osób, mieszkańców wioski, którzy z tej okazji przeistaczają się w obywateli biblijnego miasteczka. Na zboczach góry w wieczornym zmroku widać poruszające się światła, to pasterze i trzej królowie nadchodzą, aby złożyć pokłon dziecięciu. W tok przedstawienia wkomponowane są sceny z epoki jak również sceny odnoszące się do wydarzeń aktualnych. Spektakl ten wzbudza duże zainteresowanie nie tylko we Włoszech, zdarzyło mi się widzieć między innymi nagrywającą spektakl telewizję japońską. Od 10-ciu lat ten sam spektakl powtarzany jest w Rzymie 6-tego stycznia na placu Vitorio Emanuele.

Z kolei 26 grudnia żywa szopka odgrywana jest w Camarda. Opustoszałe przez cały rok stare domy w tym dniu nabierają życia. W oświetlonych na te okazje pomieszczeniach i ulicach mieszkańcy w starodawnych strojach zajmują się czynnościami, które kiedyś wykonywali ich przodkowie. Szopka w Camarda nastawiona jest głównie na prezentację dawnych zawodów. Widzimy tu prądkę przędzącą wełnę, kobiety szydełkujące lub robiące na drutach, pracujących kowali, sznycerów, bednarzy, garncarzy, rymarzy, stolarzy, piekarzy.

Podobnie 26 grudnia w pobliżu L'Aquila szopka odgrywana jest jeszcze w Coppito, w Massa D'Albe, w Pareto. Również w kolejnych dniach możemy uczestniczyć w podobnych imprezach w sąsiednich miejscowościach. Na szczególną uwagę zasługuje szopka w Rivisindoli odgrywana 5 stycznia. Szopka ta po raz pierwszy została zorganizowana w 1951 roku, a ideą było uczczenie pamięci miejscowej ludności wymordowanej przez Niemców w ramach represji podczas ostatniej wojny. Rolę Matki

Bożej odgrywała wówczas dziewczyna, która wydostała się z rąk faszystów, cudem unikając śmierci. Nawiązanie do tragicznych wydarzeń drugiej wojny światowej ściągало uczestników i dzisiaj to najbardziej popularna szopka w całej Abruzji. Ilość widzów w ostatnich latach systematycznie przekracza 10 tysięcy. Od wielu lat wybór kandydatki na Matkę Boską odbywa się 8 grudnia i jest to prawdziwy konkurs, natomiast rola Bożego Dzieciątka tradycyjnie przypada ostatniemu urodzonemu dziecku. Wyjątek od tej tradycji nastąpił 2012 roku. Otóż pani D'Amicone w 57 roku życia urodziła upragnione pierwsze dziecko i mieszkańcy aby uczcić to wydarzenie postanowili rolę Rodziny Świętej obsadzić rodziną D'Amicone. Ponoć był to też pierwszy przypadek że rolę św. Józefa odgrywał prawdziwy ojciec dziecka. Akcja przedstawienia rozpoczyna się od snu pasterzy, dalej odgrywane są sceny biblijne ze znaczną ilością aktorów, starannie przygotowanymi strojami epoki, a wszystko w specjalnie na ten cel przygotowanej scenerii.

Warto wymienić też parę przykładowych uroczystości innego rodzaju.

Święto węży. Bardzo interesujące jest święto węży w miejscowości Cocullo (Abruzja), od 2012 roku obchodzone 1 maja (poprzednio obchodzono go w pierwszy czwartek maja). Początki święta, niewątpliwie pogańskie, związane są z kultem bogini Anghizia protektorki trucizn, między innymi jadowitych węży. Oddawanie



Procesja w Cocullo (figura św. Dominika z węzami)

hołdu węzom pochodzi od starożytnych Marsi. Aktualnie w Cocullo świętowany jest *San Domenico* (św. Dominik), który chroni przed bólem zębów, wścieklizną, ugryzieniami jadowitych pajaków oraz węży. San Domenico, patron wioski, był benedyktyinem z Foligno, w Cocullo spędził 7 lat. Pozostawił tutaj ząb i podkowę swojego konia. Dzisiaj są to miejscowe relikwie, które w dniu

święta wraz z posągiem św. Dominika ubranego obficie węzami niesione są podczas procesji ulicami miasta. Wężami przystraja się też część uczestników procesji.

Pierwszy etap tego wydarzenia to poszukiwanie i łowienie węży, które rozpoczyna się po stopnieniu śniegu. Jest to sztuka kultywowana od wieków z zastosowaniem technik używanych w czasach antycznych. Łowcy, tzw. *serpari*, używają drewnianych skrzyń wypełnionych *terracotta*, a złapane węże trzymają w tych skrzyniach żywiąc je myszami i gotowanymi jajkami. Łowi się cztery niejadowite gatunki: *cervone*, *saettone*, *biscia del colore* oraz *bianco*. W czasie procesji węże noszone są wśród publiczności, można je dotykać. Ładnej dziewczynie w dowód zainteresowania lokalny wielbiciel może ulokować węża na szyi lub za bluzką (porównaj z naszym śmigusem-dyndu-

sem). Zdarza się też, że rozbawiony młodzieniec wypuści dorodnego węża między publiczność wzbudzając, zwłaszcza wśród turystów, znaczny popłoch. Po zakończeniu święta prawdziwi *serpari* wypuszczają węże w miejscach gdzie zostały złapane. Jest to ważne ponieważ węże są zwierzętami terytorialnymi, które w ciągu życia przemieszczają się bardzo nieznacznie, od miejsca urodzenia (najwyżej do 2 km).

Ju calenne to starożytny pogański zwyczaj pochodzący z terenów Lombardii, wciąż kultywowany między innymi w Tornimparte i okolicznych miejscowościach. Grupa młodzieńców ścina upatrzone wcześniej drzewo, obcina wszystkie gałęzie z wyjątkiem wierzchołka, następnie własnymi siłami przenosi i ustawia go w pozycji stojącej na placu przy kościele parafialnym. Drzewo powinno być możliwie najwyższe. Cała akcja musi się odbyć w tajemnicy w nocy z 30 kwietnia na 1 maja i zakończyć przed świtem. Jeśli właściciel lasu zauważy kradnących drzewo po świetle, muszą swoją zdobycz oddać. Ciekawa jest reguła ustalenia świtu. W odległości 100 kroków ustawia się osobę i jeśli właściciel jest w stanie ją rozpoznać oznacza to że już jest świt.

Obrzęd ten miał na celu zapewnienie urodzaju, a uczestniczącym w akcji mężczyznom wirtualność i męskość. W pewnych okresach zwyczaj ten jako pogański był mocno potępiany przez kościół. Tak było w pierwszym okresie chrześcijaństwa, a w wieku XIV został nawet oficjalnie zakazany na wiele lat. Również w dobie obecnej wielu księży uważa go za przejaw pogaństwa, na przykład ostatniego lata (2014) w Colle di Santa Maria, frazione Tornimparte, „*Ju calenne*” (tak nazywa się osadzone drzewo) wobec sprzeciwu miejscowego proboszcza zostało ustawione nie przy kościele lecz na miejskim placu. Dla innych, w tym również przedstawicieli Kościoła, jest to piękne połączenie zwyczajów pogańskich z tradycją kościelną.

La notte delle streghe czyli „noc czarownic”. W Castel del Monte, średniowiecznym miasteczku w prowincji L'Aquila każdego roku 17 sierpnia odbywa się tak zwana „noc czarownic”. Impreza zaczyna się wczesnym rankiem targiem zwanym *Mercatino delle Streghe* (Targ czarownic), gdzie można zakupić lokalne produkty, jak też uczestniczyć w degustacji miejscowych wyrobów żywnościowych. Wieczorem rozpoczyna się trwający całą noc spektakl teatralny którego sceną jest antyczna część miasta, akcja rozgrywa się bezpośrednio na ulicach i placach, pośród asystujących widzów. Artyści wmieszani w tłum co jakiś czas powtarzają swoje kwestie, a przechadzający się widzowie mogą oglądać różne sceny, właściwie w nich uczestniczyć. Średniowieczna architektura, antyczne stroje, liczne grono aktorów i dziesiątki czarownic pojawiających się w różnych zaskakujących miejscach, stwarzają rzeczywiście atmosferę czasów, które odeszły już bezpowrotnie do historii. Zaangażowany widz może zgubić orientację w jakiej epoce żyje.

Warto przypomnieć skąd pochodzi ten zwyczaj. Otóż w dawnych czasach, kiedy lekarze nie mogli sobie poradzić z chorobą, miejscowa ludność wierzyła, że schorzenie jest dziełem czarownic, które w ciągu nocy dostają się do mieszkania jakąś szparą, na przykład dziurką od klucza czy dziurą w dachu i wysysają z ofiary krew. Aby uchronić chorego przed czarownicami należało przez osiem dni i nocy nieustannie go pilnować, a ostatniej nocy odzież używaną w tym czasie przez chorego wynieść

poza miasto na rozstajne drogi i po solidnym przetrzepaniu kijami spalić. Podobno po takiej praktyce przypadki uzdrowień rzeczywiście się zdarzały. Trudno nawet dziwić się, że tak sugestywny zwyczaj powoduje, iż jeszcze dzisiaj żyją tutaj ludzie którzy wciąż wierzą w świat czarownic.

W Castel del Monte warte odnotowania są również inne imprezy: pierwszej niedzieli stycznia odbywa się „*Presepe Vivente*” (żywa szopka), 6 i 7 sierpnia obchodzone jest święto patrona San Donato, 8 września odbywa się procesja *Della Madonna di Pastori* (Madonny Pasterzy). Na rozległych halach pobliskiego Campo Imperatore³³ (Pole Cesarza) w dniu 5 sierpnia spędza się stada bydła. Wśród uroczystego nastroju, przy muzyce i występach regionalnych zespołów, wybiera się najpiękniejsze okazy, rozdaje dyplomy i nagrody. Ostatnia impreza jest pozostałością czasów gdy podstawowym zajęciem tutejszej ludności było pasterstwo.

Festa dei Cornuti czyli „Święto Rogaczy” połączona z procesją zdradzonych mężów obchodzona jest w Citeriore (okolice Pescary) w dniu San Valentino. Święto to nawiązuje do San Valentino, który podobno nie potrafił upilnować swojej rozpustnej siostry. Wiąże się też z obowiązującym dawniej zwyczajem młodzieńców w tej okolicy którzy, by zatrzeć swój niegodny czyn, mieli obowiązek w dniu San Valentino zapalić świeczkę przed domem gospodarza któremu uwiedli żonę. Tak działo się w XVIII wieku. Z biegiem lat święto zmieniło charakter. Obecnie momentem kulminacyjnym święta jest procesja, podczas której ostatni żonkoś poprzedniego roku wręcza namalowany na tę okazję obraz z narządami męskimi ostatniemu żonkosio-wi roku bieżącego. Obecnie jest to manifestacja typowo folklorystyczna, pełna często frywolnego humoru, dawniej była to okazja do nieraz krwawych porachunków rogaczy z uwodzicielami.

Trudno tu nie odnotować z nostalgią, że piękne słowiańskie obrzędy i wierzenia na naszym terenie zostały niemal doszczętnie wytępione. Wśród nielicznych pozostał zwyczaj puszczania wianków, lanie wosku czy palenia sobótek (niestety coraz rzadsze). Z zazdrością możemy zauważyć, że na terenie Włoch wiele rzymskich mitów i starodawnych zwyczajów przetrwało do dnia dzisiejszego.

Włosi nigdy nie zapominają o przyjemnościach podniebienia. Można zrealizować je między innymi na licznych imprezach typu *sagra*. Oto przykłady kilku takich imprez.

Sagra delle lenticchie e delle salicce czyli „Święto soczewicy i kiełbasy” obchodzone jest na początku września przez dwa dni w Santo Stefano di Sassano. Santo Stefano jest to średniowieczne *borgo* wybudowane z *pietra calcarea* czyli wapiennego białego kamienia³⁴, który z biegiem lat przyjął kolor szary. Obecnie miasteczko liczące 120 mieszkańców leży na terenie Narodowego Parku Gran Sasso. Wąskie uliczki, tajemnicze przejścia, łuki i arkady stwarzają niepowtarzalny nastrój. Niestety, trzęsienie ziemi w 2009 roku zniszczyło średniowieczną wieżę, z której rozciągał się wspania-

³³ Campo Imperatore wpisało się w kroniki drugiej wojny światowej. Uwięzionego tutaj przez partyzantów Mussoliniego wyzwoliła grupa niemieckich spadochroniarzy pod dowództwem sławnego Otto Skorzenego. Akcja odbyła się w iście niemiecko-włoskim stylu, bez oddania jednego strzału.

³⁴ Warto odnotować że sławny marmur jest też pochodną wapienia.

ły widok na otaczające miasteczko niezalesione i niezamieszkałe góry. Była to moja świątynia dumania. Wśród bogatego zestawu potraw na bazie soczewicy oferowanego podczas święta najbardziej popularna jest „*zuppa alle salicce*” czyli „zupa z soczewicy z kielbaskami” oraz „*dolci alle patate*” czyli słodczy na bazie ziemniaków. O smaku oferowanych potraw decyduje drobna ciemno-brązowa soczewica o specyficznym mocnym zapachu, produkt tutejszej ziemi.

Sagra della patata czyli „Święto ziemniaka” obchodzone jest w Barisciano w ostatni weekend sierpnia. Barisciano położone jest na wysokości 940 m wśród malowniczych gór. Posiada bogatą historię, liczne ślady osadnictwa pochodzą jeszcze sprzed Chrystusa, a obecna osada ukształtowała się między VI a VIII wiekiem. Barisciano było jednym z 99 fundatorów L'Aquila chociaż należało do konkurencyjnej diecezji Valvense. W uznaniu tego faktu jedna z 12 bram L'Aquila nosiła nazwę *La Porta Barisciano*. Do połowy dwudziestego wieku okoliczna ludność żyła głównie z pasterstwa. Na niezbyt urodzajnych górskich glebach uprawiano: ziemniaki, szafran, soczewicę, pszenicę, migdały. *Przemysł pasterski*³⁵ oraz handel szafranem, serem i wełną nie wytrzymały konkurencji z rozwijającym się na świecie kapitalizmem. W konsekwencji emigracja zarobkowa do Ameryki i Europy trwająca właściwie do lat 70 poprzedniego stulecia wyludniła okolice. W ostatnich latach obserwuje się nieśmiałe próby uprzemysłowienia terenu. Organizowane imprezy na przykład: *festa del mandorlo* (święto migdałów) w kwietniu, *sagra degli strozzapreti* (rodzaj makaronu) w połowie sierpnia, *sagra della patata* (święto ziemniaka) również w sierpniu, połączone z pokazem zwyczajów i degustacją lokalnych potraw mają na celu promowanie miasteczka i przyciąganie turystów. W przeszłości szczególnie ważny dla ekonomii okolicy był tutejszy jarmark 25 grudnia, tak zwana *Fiera di Santa Caterina*, ustalano bowiem na nim cenę szafranu dla całej Abruzji, podstawowego obok serów produktu tej ziemi, który kiedyś był istotnym źródłem bogactwa.

Oczywiście święto ziemniaka promuje potrawy z ziemniaka. Najbardziej popularne dania to: *patate lesse con soffritto di assogna i peperoncino*, czyli ziemniaki ugotowane, smażone z Fried Marella i chili oraz *gnochi di patate con contimento a base di agnello e maiale*, czyli kluski z ziemniaków przyprawione sosem przygotowanym na bazie jagnięciny i wieprzowiny. Wśród pierwszych dań warto odnotowania są jeszcze: *fettucine* i *stracciarelle*. Podstawowy składnik drugich dań to ziemniaki, jagnięciny i wieprzowina. Dużym wzięciem cieszą się również: *gnocchi con saliccia*, *patate con pecora alla cottora*³⁶, *patate a chianese*, *baccala con patate*, *zeppole*, *pizze fritte*. Aromatyczne miejscowe słodczy przygotowane są na bazie migdałów.

Zasadniczym celem imprez typu sagra jest promowanie lokalnych produktów. Wymieńmy jeszcze przykładowo kilka takich manifestacji w Abruzji: Avezzano – Sa-

³⁵ Pasterstwo w okolicach L'Aquila nazywa się przemysłem pasterskim, co budziło u mnie zawsze lekkie zdziwienie (pasając w dzieciństwie krowy w Łącku byłem nieświadomie pracownikiem przemysłu!). Ze względu na wspomnienia z dzieciństwa podczas pobytu w L'Aquila parokrotnie zaglądałem na konferencje poświęcone *przemysłowi pasterskiemu*.

³⁶ *La pecora alla cottora*, czyli mięso z owcy dla zabicia zapachu gotowane długo w bogatym zestawie tutejszych ziół było jednym z podstawowych dań pasterzy w dni świąteczne.

gra delle patate (święto ziemniaka), Cagnagno Amiterno – *Sagra del cinghiale* (święto dzika), Calascio – *Sagra del pecorino* (święto sera owczego), Capestrano – *Sagra della trota* (święto pstrąga), Celano – *Sagra del tartufo* (święto trufli), Navelli – *Sagra dei ceci e del zafferano* (święto ciecierzycy i szafranu), Ocre – *Sagra delle castagne* (święto kasztanów), Tagliacozzo – *Sagra della salciccia* (święto kiełbasy).

8. Polska emigracja

Włochy były krajem do którego Polacy wyjeżdżali od dawnych czasów. Tam kiedyś studiowali nasi wybitni naukowcy, kształtowali się artyści, zdobywali wiedzę administratorzy państwowi i kościelni, osiedlali się polityczni emigranci. Znacznie później Mekką artystów i emigrantów politycznych stał się Paryż, a wiedzę zaczęto zdobywać również w Niemczech, Austrii czy Anglii. Z tych historycznych względów można było spodziewać się, że polskie placówki dyplomatyczne we Włoszech będą miały godną obsadę. Niestety, moje doświadczenia z ambasadą w Rzymie z czasów socjalizmu realnego przypuszczeń tych nie potwierdziły. Już na furcie siedzące panie niechętnie spoglądały na wchodzących, z trudem dukając po włosku kilka prymitywnych sformułowań³⁷. Na ogół na placówki zagraniczne zsyłano wówczas podpadniętych działaczy partyjnych, a owe panie, dorabiające małżonki zesłanych dostojników, były żywym świadectwem właściwego pochodzenia i społecznego awansu swoich mężów. Pobyt na zagranicznej placówce był okazją dorobienia się. Aby wykazać swą użyteczność towarzystwo zgodnie z socjalistycznym duchem zajmowało się głównie pisanem raportów i donosów, na ogół – spoglądając na moje doświadczenia – zupełnie nieistotnych.

Otóż przy okazji pobytu w ambasadzie poznałem attache do spraw kultury, podobnie jak ja docenta jednej z polskich uczelni. Gwarzyło nam się miło, dlatego też przy kolejnych pobytach w Rzymie (jako visiting profesor pracowałem wtedy we Florencji) zwykle wpadałem do niego na kawę i lampkę koniaku. Zaintrygowało mnie, że w czasie rozmowy miał zwyczaj zaglądania do szuflady swojego biurka. Kiedy w czasie mojej obecności wywołano go z biura niedyskretnie zaglądałem do półotwartej szuflady, w której kręciło się włączone urządzenie nagrywające. Rzuciłem w powietrze kilka słów pożegnania, a siedzibę ambasady unikałem przez kolejnych parę lat. Do pana docenta żywiłem uczucia szczerej przyjaźni i poczułem się mocno oszukany. Tematy naszych rozmów spraw związanych z polityką zupełnie nie dotyczyły, informacji ciekawych dla reżymu po prostu nie posiadałem, były to co najwyżej moje osobiste odczucia i refleksje dotyczące włoskiej rzeczywistości, sensu nagrywania takiej rozmowy zupełnie nie było.

W początkowym okresie pracy w L'Aquila dałem się zaciągnąć lokalnym działaczom polonijnym na jakąś uroczystość w ambasadzie, jednak moje wrażenia potwierdziły zrodzoną wcześniej niechęć do tego środowiska. W efekcie również po

³⁷ Wypada zaznaczyć że po zmianach ustrojowych na placówkach zagranicznych pojawili się ludzie świetnie władający miejscowym językiem.

zmianach, kiedy w placówkach dyplomatycznych pojawili się ponoć pracownicy znacznie lepiej przygotowani do pełnienia swych funkcji, z przyzwyczajenia siedziby ambasady dalej unikałem. Ambasada moich danych nie miała i nigdy żadne zaproszenia (czy też zawiadomienia) na organizowane przez nią imprezy do mnie nie trafiały. O działalności pracowników ambasady miałem trochę informacji od szefowej towarzystwa polonijnego w Abruzzi, która prowadziła coś w rodzaju desy a część zaopatrzenia drogą kontrabandy dostarczali jej pracownicy ambasady. Nawet fakt, że sam kiedyś paralem się handlem nie zachęcił mnie do nawiązania kontaktów. Wspomniane aquilańskie towarzystwo polonijne, złożone głównie z szefowej (żona powołana na vice dość szybko się zraziła), współpracowało z ambasadą, na przykład pomagając gościom odwiedzających Włochy polskich dostojników zwykle drugiego kalibru. W takiej roli podobno odwiedziła L'Aquila między innymi żona Jaruzelskiego. W tych imprezach nigdy nie uczestniczyłem, korzystaliśmy natomiast z odwiedzin polskich artystów. Na przykład trzykrotnie uczestniczyliśmy w interesujących spotkaniach z panem Bogusławem Kaczyńskim. Pamiętam, że na jednym z takich spotkań dokładnie połowę uczestników stanowiła moja rodzina. Nie jest to fakt zaskakujący. Bardzo często w spotkaniach Polonii z przedstawicielami kraju frekwencja bywa śladowa. Składa się na to wiele przyczyn, a niewątpliwie jedną z ważniejszych jest skonfliktowanie ośrodków polonijnych. Taka to już nasza cecha narodowa.

Jednym z podstawowych celów ambasady winna być opieka nad swoimi obywatelami przebywającymi w danym kraju. Zawsze miałem wrażenie, że poczucie tego obowiązku do przedstawicieli naszych placówek zagranicznych – przynajmniej okresu poprzedniego – zupełnie nie dotarło (Na temat sytuacji obecnej nie mam danych). Ambasada była natomiast wyraźnie zainteresowana dbaniem o wpływy finansowe oraz zbieraniem wiadomości o rodakach. Stwierdzenia to poprę drobnymi faktami z moich osobistych doświadczeń. W pewnym okresie w ramach organizowanej współpracy polsko-włoskiej potrzebowałem aby świeżo uchwalone ustawy w kraju dotarły do włoskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Wersji włoskiej tych ustaw ambasada polska w Rzymie nie posiadała. Zdenerwowany długim procesem przekazywania informacji poprosiłem o odpłatne przetłumaczenie, które wykonano od ręki i osobiście dostarczyłem go do placówki włoskiej. Nie tylko wykonałem pracę należącą do obowiązków ambasady, ale również ją opłaciłem.

Bardziej humorystyczny była sprawa mojego prawa jazdy. Dla uzyskania prawa włoskiego zgodnie z posiadaną informacją udałem się do ambasady polskiej, aby uzyskać tłumaczenie prawa polskiego na włoski. Dokonano tłumaczenia, a kiedy pobrano stosowną opłatę (było to 70 000 lirów, czyli całkiem sporo), panienska z okienka humorystycznie zapytało po co to zrobiłem skoro umowa z Włochami o wymianie praw jazdy właśnie wygasła, a nowa – znając sprawność administracji obu krajów – wejdzie pewno w życie dopiero za parę lat. Uzyskany dokument był więc zupełnie nieużyteczny. Tak też było, a ja bez ważnego prawa jazdy prowadziłem samochód we Włoszech przez pełne lat dziesięć. Oczywiście zwrotu opłaty za niepotrzebny dokument nie otrzymałem, praca przecież została wykonana, pieczętka przybita.

Chociaż Włochy nie są ulubionym kierunkiem polskiej emigracji był czas (lata 1986–1990) kiedy na ulicach Rzymu biwakowało ponad 10 tysięcy rodaków. Próbowali sobie radzić na różne sposoby, między innymi wymyśleli mycie okien samochodów na skrzyżowaniach ulic, zawód nazwany szybko *lavavetri*, czyli myjący szyby. Polacy dość szybko zostali wchłonięci przez społeczeństwo włoskie, znaleźli różne zatrudnienia, jako pamiątka pozostał zawód *lavavetri* podjęty przez przedstawicieli trzeciego świata, znalazł też naśladowców w innych krajach, również w Polsce.

Kiedy nocnym autobusem wracałem z Rzymu do L'Aquila wieczorną porą, plac Republika skąd wówczas odjeżdżał autobus do L'Aquila, był okupowany przez rodaków. Z początku zamieniałem parę okolicznościowych zdań, ale język i typ dyskusji szybko mnie z tego wyleczył. O tej porze towarzystwo zwykle miało już mocno w głowie, a tęsknotę za rodziną starali się jakoś rozładować. Nie jestem moralistą, ale było to zachowanie nie zbyt budujące, przy czym bardziej skandalicznie w moim odczuciu zachowywały się niekiedy nasze panie.

Pewnego razu do nocnego autobusu w kierunku L'Aquila wraz ze mną wsiedli trzy panie z dzieckiem. Dziecko oraz dwie towarzyszki przyleciały z Polski ijechały do miejscowości w okolicy Popoli, gdzie pracowała trzecia z pań. Nieśmiało wtrąciłem się do rozmowy sugerując, że wygodniej byłoby im wziąć z Rzymu autobus w kierunku Pescary. Okolice znałem dobrze, sugerowana droga byłoby bliższa, a i połączenia lepsze. Zrugany i pouczony przez panią pracującą we Włoszech, iż ona jako tu mieszkająca okolice zna lepiej, zamilkłem. Mając jednak świadomość, że po przyjeździe do L'Aquila muszą parę godzin z małym dzieckiem czekać na zewnątrz, a noce były już chłodne, postanowiłem wziąć samochód i w ramach uczynków samarytańskich odwiedzić ich na miejsce. Zagadałem ponownie. Indagowany co właściwie we Włoszech robie, odrzekłem że nic specjalnego ale jakoś sobie radzę (z zasady nigdy nie przyznawałem się do swojej profesji, a naciskany czasem zdradzałem – zgodnie z prawdą – że pomagam przy malowaniu. Istotnie przygotowywałem deski pod ikony, pytający kojarzył to zwykle z malowaniem ścian). Pracująca pani wytłumaczyła mi, że w przeciwieństwie do mnie jest osobą poważną, szanowaną, ma stałą pracę (przypuszczalnie pomocy domowej), a okolicę zna bo pracuje już tutaj od roku. Z pokornie spuszczoną głową wysłuchałem dość długiej litanii pouczeń ciesząc się w duchu, iż nie od razu wyskoczyłem z ofertą pomocy. Byłoby to około dwóch straconych godzin nocnych nie licząc kosztów benzyny, z L'Aquila do celu ich podróży było jeszcze ponad 30 kilometrów górskiej drogi. Parokrotnie zdarzyło mi się, że wyrażona chęć pomocy rodakom spotykała się z arogancką reakcją. Czasami była to zrozumiała nieufność, częściej jednak potrzeba wykazania swojej wyższości, jak w przytoczonym przypadku: ja tu jestem lepiej urządzona, ty zagubionym nieudacznikiem poszukującym dorywczych zajęć. Myślę że w ten sposób próbowano odreagować fakt wykonywania prac poniżej własnych aspiracji.

W pewnym okresie zaczęto w Polsce organizować wycieczki handlowe. Autobus zatrzymywał się w jakiejś miejscowości, a towarzystwo rozkładało na ulicy przywieziony towar. Zwykle właściciele pobliskich sklepów zdenerwowani zamieszaniem wywo-

łanym przez samozwańczych handlarzy i blokowaniem przejścia do sklepu, wzywali policję która musiała handlarzy związać. Zabierano ich na posterunek i przystępowano do sporządzenia protokołu. Zgodnie z prawem przy przesłuchaniu musiała być osoba z językiem macierzystym polskim. Parokrotnie ściągano do tej roli żonę. Zaskakująca była reakcja przesłuchujących policjantów. Musieli to robić bowiem wymagały tego przepisy, ale w dużej mierze ich sympatia była po stronie przesłuchiowanych. Niektórzy w rozmowie z żoną podkreślali, że kiedyś ich rodziny podobnie wyruszały za granicę, aby szukać szczęścia i zarobku w innych krajach.

Na zakończenie wspomnień o rodakach parę historii z elementami humorystycznymi. Kiedyś dotarła do nas wiadomość że w szpitalu leży Polak mocno poturbowany w wypadku. Dobroduszone miejscowe Polki wybrały się w odwiedziny. Okazało się, że pracujący na budowie rodak wybrał się do baru gdzie osuszył sporą butelkę i wracając do domu na prostym odcinku skręcił z drogi i wylądował na drzewie. Poskładano go, wyszedł ze szpitala i podjął pracę. Dokładnie po roku historia powtórzyła się z tym samym barem, z tym samym drzewem i tym samym szpitalem. Ponieważ droga w tym miejscu była idealnie prosta, trzeba było wykazać wiele zacięcia aby dwukrotnie zrealizować taki przebieg wydarzeń.

Inna sprawa z motywem alkoholowym. Zaprzyjaźniony mieszkaniec Kamienicy poprosił mnie o znalezienie pracy we Włoszech dla swojego zięcia murarza, który w rodzinnej miejscowości zbyt często zaglądał do kieliszka. Liczył na to, że praca na zagranicznej budowie być może zmieni jego przyzwyczajenia. Po przyjeździe do L'Aquila udałem się do zaprzyjaźnionego przedsiębiorcy, który na prowadzonych przez siebie budowach zatrudniał sporo Polaków. Zanim zdążyłem zreferować moją sprawę opowiedział mi, że polscy pracownicy tak się zapili, iż ze względu na sprawy bezpieczeństwa był zmuszony wyrzucić wszystkich i ściągnął do pracy południowców. Polaków postanowił więcej nie zatrudniać. Oczywiście w takiej sytuacji z prośbą nie wystartowałem, sprowadzilibyśmy zresztą chłopaka z deszczu pod rynnę.

Wiele Polek znajduje pracę jako opiekunki ludzi starszych. Kiedyś na uczelni w moim gabinecie dyrektorskim pojawił się pan dobrze po siedemdziesiątce. Upewniwszy się kim jestem wyjaśnił, że przychodzi z prośbą abym napisał list do jego żony. Dlaczego ja? *Bo pan profesor jest Polakiem, a moja żona też z Polski.* A gdzie jest teraz żona. *U swojego męża w Polsce.* Zaraz, a pan kim właściwie jest? *No jej mężem.* Czyli pańska żona teraz jest u swojego męża w Polsce? *No tak, uciekła, ale jak wróci do mnie to niech pan pisze, że tego zapisu dokonam.* Oczywiście listu nie napisałem. Opisana sytuacja – z pewnością nietypowa – uzupełnia jednak obraz naszej emigracji.

Historia rodziny Łąckich Chwalibogów – część XI *Trzech braci i siostra*

Miałem już pisać o Łącku, o wakacjach. O losach wnuków doktora Henryka, jednak godzi się wcześniej przedstawić jak potoczyły się po wojnie losy jego trzech synów i córki.

Pomimo trudnej sytuacji materialnej, dzięki pomocy rodziny Uhmów – z której pochodziła żona Doktora, zostali patriotycznie wychowani i dobrze wykształceni. Najpierw gimnazjum i liceum sądeckie, gdzie wykładano nie tylko łacinę ale także grekę. Później Lwów (Henryk – mechanika, Jaś – weterynaria, Zbyszek – architektura), a Maryna – seminarium nauczycielskie w Nowym Sączu. Po kilku latach w wolnej Polsce, 5 lat wojna i okupacja. Po tej tragicznej przerwie bracia rozpoczęli pracę w kraju rządzonego przez komunistów. Natomiast Maryna po przejściu Sybiru i kampanii włoskiej z korpusem Andersa, nie mogła do takiej rzeczywistości powrócić, pozostała więc w Anglii na tej wysepce polskości jaką tworzył polski szpital w Penley Hall, a potem polski ośrodek w Penrhose w Walii.

Brat najstarszy – Henryk –inżynier mechanik



1944 – w Krakowie



Młody inżynier mechanik 1948



Główny projektant przy makiecie zakładu

przemysłu chemicznego GBiJ – późniejszy Biprochem i Biprokwas. Pełni funkcję dyrektora technicznego tej jednostki (nie będąc członkiem PZPR) przez 15 lat. I projektuje. Jest autorem licznych fabryk kwasu siarkowego – szlagentu polskiego przemysłu chemicznego.

Ta historia zaczyna się od uruchomienia fabryki w Policach (wielkiej inwestycji tych lat). Następnie (lata 70 – te), po sukcesie w Niemczech Zachodnich, pojawia się eksport takich zakładów do wielu krajów świata. Niestety RWPG, dokładniej ZSRR, przejmuje całą polską produkcję, płacąc za nią *rublami transferowymi*.

Za te fabryki kwasu siarkowego otrzymał szereg odznaczeń – krzyże kawalerski i oficerski Polonia Restituta, tytuł Mistrza Techniki Polskiej (1973), Nagrodę NOT (1973) i Nagrodę Państwową (1974), wreszcie złote odznaki zasłużonego dla Gliwic i województwa katowickiego.

Również z autorem był problem – „dobry fachowiec ale bezpartyjny”. To miało oczywisty wpływ zarówno na warunki materialne, jak i uprawianie zawo-

Henryk, pod koniec wojny kierownik kuźni w Sułkowicach, skąd musiał uciekać do Krakowa w związku z udziałem w AK. Po przejściu frontu w styczniu 1945 roku i połączeniu się z żoną Ireną i dziećmi (Agnieszka, Maryna i Wojtek), którzy ewakuowani po powstaniu z Warszawy, przez Pruszków i Skiernewice dotarli do Krakowa, jedzie do Gliwic. Tam znajduje pracę w biurze projektowym



Wizja terenu w Policach – miejsce po niemieckiej fabryce

du. I choć zasług nie dało się zupełnie nie docenić – w czasach Edwarda Gierka otrzymał Nagrodę Państwową I-go stopnia, to jednak możliwości realizowania rozwiązań nowatorskich w skali światowej (Polska była wówczas potęgą w *kwase siarkowym*) były ograniczone. Tym bardziej, że pomysły Henryka w coraz większym stopniu doty-



Łącko przed werandą Chwalibógówki



W rysunku brata Zbyszka

czyły ochrony środowiska, wówczas problemu lekceważonego. Pozostało Mu wiedzę przekazywać studentom Politechniki Gliwickiej i młodej kadry inżynierskiej.

Kiedy odesłano go na emeryturę sytuacja materialna rodziny nie była łatwa.

Jego umysł potrzebował gimnastyki, dlatego oprócz długich dyskusji – był znawcą historii – uwielbiał grę w szachy. Kiedyś, gdy najmłodszy syn Andrzej, już jako pracownik Politechniki Białostockiej wracając z konferencji we Wrocławiu, po długiej nieobecności o trzeciej w nocy odwiedził ojca, bez słowa ustawił szachy i grali do rana.



Henryk z żoną Ireną



Kraków – powrót rodziny z wakacji w Łącku

Ja zapamiętałem pochwałę jakiej udzielił mi stryj w czasie swojego pobytu w Warszawie kiedy przyjechał w związku ze sprawami eksportowymi. Docenił wówczas mój artykuł „Murarze z łacina” opublikowany przez Krzysztofa Toeplitza w „Przeglądzie Kulturalnym”, a dotyczący architektów. Sprawił mi tym dużą radość.

Zachowało się szereg stron z tego dziennika. Warto wspomnieć niektóre fragmenty jak ten o pierwszej wizycie Jana Pawła w ojczyźnie:

„...O 16 tej cała msza na placu Zwycięstwa (obecnie Marszałka Józefa Piłsudskiego). Charakterystyczne że brak dekoracji domów. Może to nakazane, może koncepcja aranżerów, bo na tle szarych bloków Krzyż ze stulą czerwoną występował wspaniale. W czasie mszy wielka mowa Papieża o roli Chrześcijaństwa i Chrystusa w historii Polski. Mani-

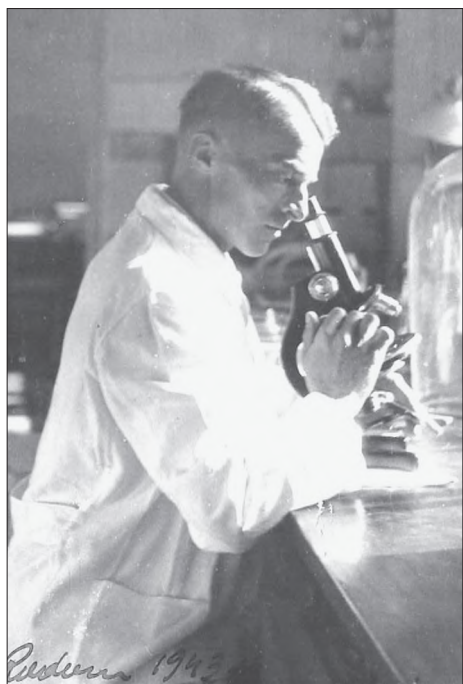
festacje i śpiewy „My chcemy Boga” – ale innych manifestacji brak. Wyszyński dyskretny ale mówił o kazaniu Piusa XI w 1944 roku w Rzymie do Polaków w czasie Powstania. Bardzo mocne a nie znane...”

Nieco dalej :

„Myślę o zrobieniu pewnego rachunku – opisu mojej działalności domowo – rodzinnej społeczno – patriotycznej i technicznej. Wziąłem się mocno za emisję SO₂ – dzwoniłem do Sanepidu. Nie mają korelacji emisja-inmisja. Obliczanie szkód w oparciu o emisję nie jest kompletne. Nie ma bilansu SO₂ dla kraju. To przychodzi z Czech i wychodzi od nas na północ pewnie i wschód...”

Brat średni – Jaś –doktor weterynarii

Doktor weterynarii pracujący przed wojną na Polesiu i Wołyniu potem krótko we Lwowie i Krakowie, trafia wreszcie do Radomia, gdzie poznaje swoją żonę Marię. W 1945 roku decyzją ministra rolnictwa Stanisława Mikołajczyka jako znawca produkcji surowicy przeciw różycowej zostaje skierowany do Gorzowa (Ziemia Lubuska) z poleceniem jak najszybszego uruchomienia tam jej wytwarzania. Realizuje to za-



anie za co otrzymuje pochwałę i nagrodę. W lipcu 1946 roku broni pracę doktorską na uniwersytecie Marie Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Staje się jednym z kreatorów i animatorów Lubuskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych. W 1948 roku obejmuje kierownictwo Laboratoriów Chemiczno Bakteriologicznych Ubezpieczalni.

Z kolei w 1953 roku powstają w Gorzowie zakłady przemysłu bioweterynaryjnego „Biowet”, a Dr. Jan Chwalibóg zostaje zastępcą dyrektora. Natomiast w 1958 roku musi podjąć istotną decyzję. Rada Robotnicza zakładu i Dyrekcja Naczelna Przemysłu Bioweterynaryjnego proponują mu stanowisko dyrektora. Można się domyślać że pożądanę jest wstąpienie do PZPR.

Reaguje stwierdzeniem że nie odpowiada mu praca administracyjna. Zostaje kie-

rownikiem Wojewódzkich Zakładów Higieny Weterynaryjnej. Przeglądając wycinki prasy lubuskiej z tych lat można znaleźć smakowite teksty w obowiązującym wówczas „partyjnym stylu” dotyczące działań mojego stryja: *„Bo i walka którą prowadzi teraz bezpartyjny towarzysz dr Jan Chwalibóg – to przecież właśnie mała ale widoczna częśćka tych przeobrażeń, które (chyba raczej których) dokonała partia...”*

Stopień samodzielnego pracownika naukowego uzyskuje w 1968 roku a w 1974 zostaje docentem.

Jego dorobek naukowy to ponad 70 pozycji ale nie liczy się tu 10 prac nad chorobą Aujeszkyego, które podlegały utajnieniu. Stosowany przez szereg lat „Servoitulifor” oraz cieszący się do dziś dobrą opinią „Su-



Zastępca dyrektora gorzowskiego „Biowetu”



Kierownik Wojewódzkich Zakładów Higieny Weterynaryjnej

Warto także przytoczyć fragment opinii zamieszczonej w *Lubuskim Centaurze* z 2004 roku: „Wszyscy jego byli współpracownicy zgodnie też podkreślają prawość charakteru docenta i jego pogardę dla matactw. Jego spokój i godne zachowanie także wtedy gdy kręactwa itp. sztuczki kazały rodzinie zmieniać kolejne mieszkania jakoś nie na lepsze...Ile razy wchodził w grę merkantylizm – był Pan Docent ponad.”

W młodości jeździł konno (w wyniku wypadku stracił nerkę). Także polował, jednak w początku lat pięćdziesiątych broń zarekwirowano. Pozostało wędkarstwo zarówno w lubuskich i po-

ierroviit” są autorstwa zespołu Docenta Jana Chwaliboga. Receptury tych leków opracowane przez niego nie mogły być opatentowane! W normalnym świecie przyniosłyby mu miliony złotych zysku – gdyby nie te wspomniane wyżej „przeobrażenia które dokonała partia...” Przyznano mu jednak Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Działalność społeczna to cecha tego (ale nie tylko) pokolenia Chwalibogów.



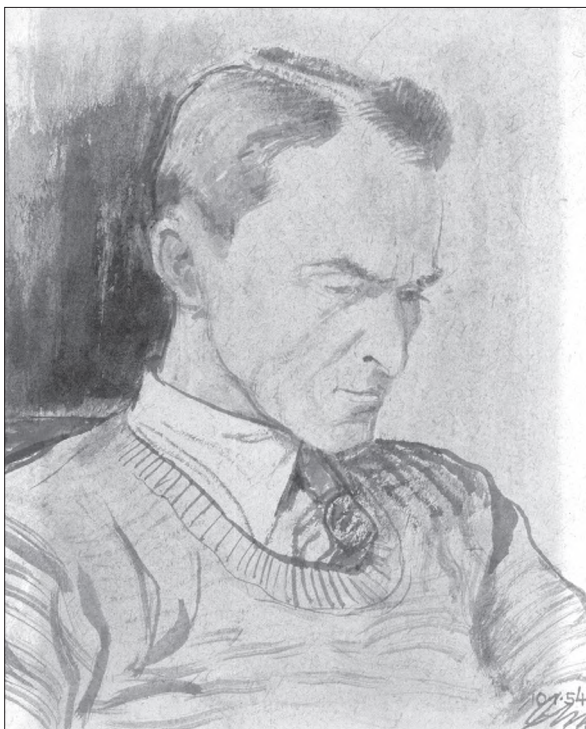
Na zjeździe naukowym we Wrocławiu



morskich rzekach jak w Dunajcu podczas łąckich wakacji.

Magda Chwalibóg Kopyczyńska dosłała mi jeszcze fragment który zacytuję:

Przemyślałam sobie i jeszcze to dopiszę Krzysiu. Tata, jak pisałam skromnym był człowiekiem i o zaszczyty nie zabiegał, ale po śmierci wszyscy lekarze weterynarii postanowili i zwrócili się do nas z prośbą o wyrażenie zgody na pochowanie Ojca w głównej alei zasłużonych gorzowskiego cmentarza i umieszczenie na jego grobie tablicke pamiątkowej o treści – „Pionier Ziemi Gorzowskiej i Lubuskiej, nauczyciel i luminarz zawodu weterynaryjnego – cześć jego pamięci – gorzowska i zielonogórska służba wet.” I tak się stało, choć pewnie wołał by Tato



Jaś w rysunku Zbyszka 1954

leżeć sobie w skromnym grobie, gdzieś z boczku, pod brzošką i dunajcowymi kamieniami. Ale taki kamień po latach przywiozłam i przy grobie położyłam.

Najmłodszy brat – Zbyszek –inżynier architekt

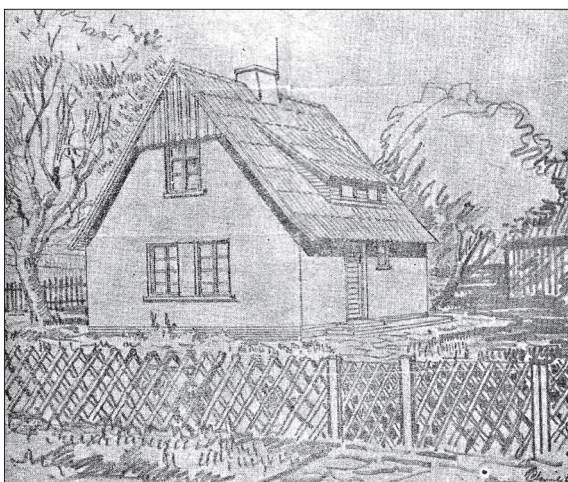


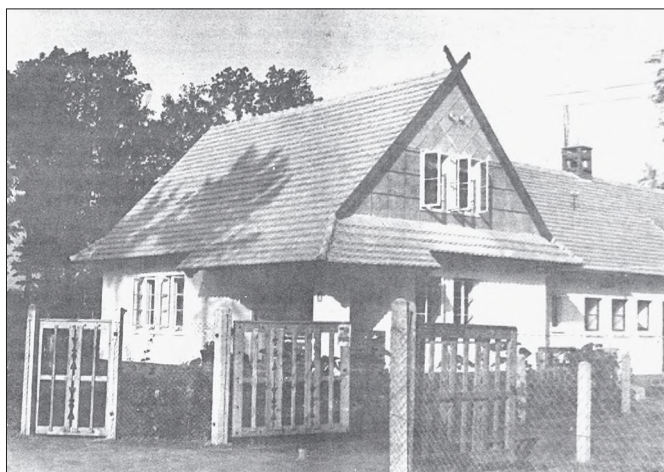
O ile w przypadku starszych braci sylwetka zawodowa była jednoznacznie zbudowana wokół wyraźnej specjalności, o tyle ze Zbyszkciem sprawa jest bardziej złożona. Od wczesnych lat miał wybitne uzdolnienia artystyczne. Rysował i malował. Uzyskał dyplom magistra inżyniera architekta i przed wojną rozpoczął działalność projektową. Sytuacja powojenna skierowała go do Ministerstwa Odbudowy gdzie zajmował się problematyką wiejską jako naczelnik wydziału odbudowy wsi. Jednak dalej czynnie projektował. Na wrocławskiej wystawie Ziemi Odzyskanych w 1948 roku według jego projektu ukształtowano Pawilon Rolnictwa.

Ważną potrzebą tych lat było wzniesienie na wsi nowych domów mieszkalnych a do tego niezbędne były odpowiednie projekty. Dlatego opracował

cały szereg koncepcji, które miały stanowić wzór do wykorzystania lub naśladowania. Patrząc dziś na nie jesteśmy zaskoczeni ich niezwykłą skromnością i prostotą. Ale tak ograniczone były ówczesne możliwości materialne rolników. Z dzisiejszej perspektywy trudno uwierzyć że dom mógł mieć powierzchnię zabudowy poniżej 60-ciu metrów kwadratowych.

Zbyszek zaprojektował go na planie kwadratu 7.65 x 7.65 m nie przypadkowo. Jak tłumaczył) powierzchnia ujęta w kwadrat ma najmniejszy obwód z powierzchni prostokątnych. Chodziło więc o maksymalną oszczędność. Program użytkowy to kuchnia, izba,



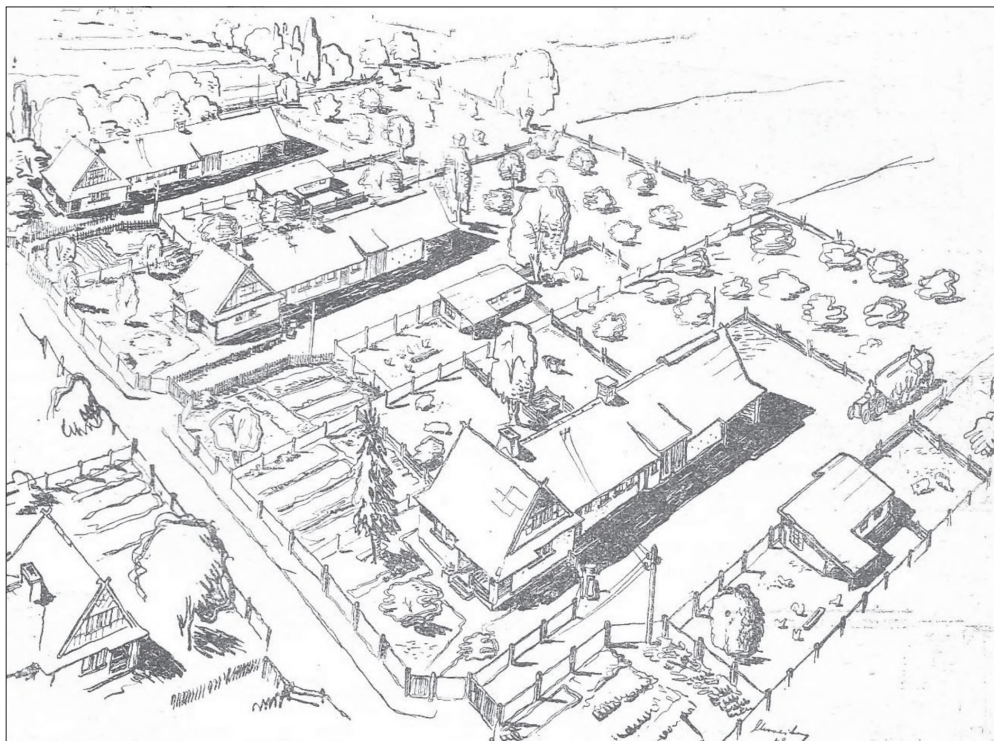


umywalnia i spiżarnia na parterze oraz dwie niewielkie izby na poddaszu.

Trzeba jednak zauważyć że ten minimalistyczny dom z estetycznego punktu widzenia jest bez zarzutu. Składa się na to dobre wyważenie proporcji, rozmieszczenie otworów, nachylenie dachu. Każdy szczegół jest starannie przemyślany. Przykładem może być umieszczenie

niewielkiego okienka z kuchni pozwalającemu dostrzec kto zbliża się do drzwi. Autor wykazał dobrą znajomość warunków życia na wsi oraz doświadczenie jakiego nabył jeszcze przed wojną projektując zagrodę dla Pasiuda w Czerńcu.

Kolejne opracowania dotyczyły już całych zagród. Tak właśnie było z modelową zagrodą zrealizowaną na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Tu już większy projekt ale w dalszym ciągu oszczędność jest ważna. Osiągnięta jest poprzez połączenie pod jednym dachem budynku mieszkalnego oraz budynków gospodarczych.





1958 Zbyszek z grupą studentów architektury na Warmii

Jednak nie powstał w efekcie nudny „ta-siemiec” ponieważ architekt znakomicie ukształtował dachy i elewacje.

Kalenica części mieszkalnej jest prostopadła do kalenicy ciągu gospodarczego. Tu znowu wykazał wyczucie proporcji. Co bardzo istotne na koncepcji zagospodarowania pokazany

został cały zespół tak ukształtowanych domów tworzących harmonijną całość, jakiej trudno się dopatrzeć w chaotycznym krajobrazie polskiej współczesnej wsi.

Ten sposób myślenia o przestrzeni jako funkcjonalnej i wizualnej całości nie miał jednak szans w ówczesnych warunkach politycznych. Nie chodziło bowiem o jakość gospodarczą czy przestrzenną. Ważniejsza była ideologia komunizmu. Zgodnie z nią takie zagrody indywidualnych rolników nie miały racji bytu. Zamiast nich już wkrótce powstawały pegeerowskie „czworaki”. Wydano wojnę także spadzistym dachom. Na wsi miało być tak jak w mieście. Wymyślono nawet „ekonomiczne pseudo uzasad-



Ocena prac



Konferencja w Czechosłowacji

twia nie dawała jednak satysfakcji architektowi o ambicjach twórczych i naukowych. Dlatego rozpoczyna pracę na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. I to w dwóch katedrach. W Katedrze Rysunku jako wykładowca geometrii wykreślnej i perspektywy (na Politechnice Lwowskiej był dobrym uczniem świetnego profesora tego przedmiotu Kazimierza Bartla – dwukrotnego premiera w dwudziestolecu międzywojennym, zamordowanego przez Niemców w 1941 roku). Druga katedra to oczywiście Planowanie i Architektura Wsi prowadzona przez profesora Franciszka Piaścika. Wieś była zawsze przedmiotem zainteresowania Zbyszka wychowanego w Łącku. Miał też serdeczny stosunek do studentów pochodzących ze wsi i opiekował się nimi rozumiejąc trudności jakie mogą oni mieć w nowym środowisku. Zresztą w ogóle wielu studentów zapamiętało go jako wykładowcę przyjaznego.

Jego naukowe zainteresowanie wsią znalazło wyraz w temacie pracy doktorskiej dotyczącej typologii osadnictwa wiejskiego a mówiąc prościej poszukiwań

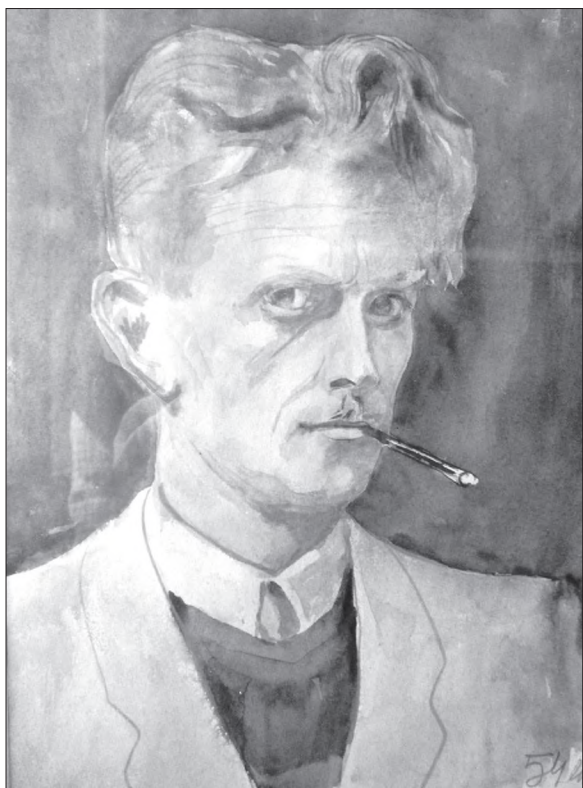
nienie”. Otóż rzekomo chodziło o oszczędność drewna potrzebnego na więźbę dachową... Od tego czasu zaczęły się mnożyć tak zwane „kostki” czyli sześciennie domy z płaskimi dachami.

Ciągle jeszcze pojawia się cień akowskiej przeszłości. To powtarzające się „wizyty” w zajęтым przez UB baraku nad Wisłą. Przesłuchania które mogły się różnie kończyć...

Funkcja naczelnika wydziału w Ministerstwie Odbudowy a potem Budownictwa



Z żoną Jadwigą na Politechnice Poznańskiej



Autoportret

takich zasad przestrzennego rozmieszczenia które byłyby najbardziej korzystne dla krajobrazu i warunków produkcji rolnej. Pracę tę obronił w 1961 roku, a trzy lata później uzyskał habilitację i tytuł docenta. W tej dziedzinie stał się uznanym naukowcem i uczestniczył w szeregu wyjazdów studialnych.

Jeden z takich wyjazdów do Holandii stał się okazją do spotkania z siostrą, bo Maryna nie mogła przecież przyjechać do komunistycznej Polski.

Od października 1965 roku został kierownikiem Katedry Budownictwa Wiejskiego na Politechnice Poznańskiej. Warto zacytować fragment opinii jaką sformułowały władze Politechniki i Wydziału Budownictwa Lądowego:

„W krótkim okresie pracy na Poli-

technice Poznańskiej ujawnił niezwykłą bezinteresowność i umiłowanie swej pracy naukowej i dydaktycznej oraz ukochanie młodzieży. Mimo że zaczynał organizację swej katedry od zera, z największym zapałem gromadził materiały, modele, plansze, tworzył bibliotekę, analizował każdą pracę studencką. Bezinteresownie kierował i wspólnie wykonywał projekt architektoniczny rozbudowy gmachu wydziału Budownictwa Lądowego...”

Zbyszek zaprojektował jeszcze szereg obiektów, uzyskał kilka nagród i odznaczeń. Obok pracy naukowej i dydaktycznej był ciągle twórcą i artystą. Jego projekty sakralne tak jak i malarstwo akwarelowe wymagają jednak kolejnego tekstu.

Siostra – nauczycielka Maryna

Teraz kiedy mamy już obraz działalności zawodowej trzech synów doktora Henryka i jego żony Józefy z Uhmów – przenieśmy się do Anglii, gdzie po zakończeniu kampanii włoskiej przez korpus generała Andersa znalazła się Maryna (Jeszcze przed wojną w Łącku wróżyła jej Cyganka: *Nie tu będziecie, daleko będziecie...*).

Ta odznaka 2 korpusu podobnie jak krzyż pamiątkowy Monte Cassino oraz gwiazda „Italy Star”, to wszystko co weteranom Andersa zostało po latach wojny,



w której utracili ojczyznę, bliskich i pięć lat życia. Anglicy odebrali im nawet radość zwycięstwa odmawiając im udziału w defiladzie. Pozostał los tułaczy.

Podczas gdy wielu rozjechało się po świecie, polski szpital w Penley Hall stał się jeszcze na parę lat miejscem dla garstki pozostałych. Maryna nie mogła wrócić do kraju rządzonego przez komunistów. Nie pozwalały na to ani jej patriotyczne poglądy ani przeżycia z za Uralu.

W batalionie sanitarnym korpusu, a po zakończeniu działań wojennych w ośrodku polskim w Penley Hall pracowała w laboratorium. Jednak tak jak zawsze, tak jak jeszcze w Łącku,

podstawową treścią jej życia była działalność społeczna. Tu na tej małej wysepce polskości jaką stanowił szpital gdzie przebywali ranni i chorzy żołnierze oraz personel lekarski wraz z rodzinami, ta działalność jest szczególnie potrzebna.

Po zamknięciu szpitala w Penley Hall polskie środowisko przenosi się do ośrodka w Penrhose w Walii

Życie w Penrhose ma swoją specyfikę. Ta gromada Polaków, którzy nie mogą wrócić do ojczyzny zagarniętej przez komunistów na sowieckiej służbie, ma jeszcze w pamięci mroź syberyjskiej tajgi i głodowe racje chleba za wyrąbany las. Wiadomo jak potraktowano wielu tych którzy powrócili. Maryna nie zobaczy już ukochanego Łącka. Szuka namiastki Dunajca w pobliskim jezioru. Oni wszyscy żyją wspomnieniami utraconego kraju i rodzin. Czasem pisze listy.

Na kilku zdjęciach jakie się zachowały widać fragmenty aktywności z których można tworzyć wyobrażenie o jej życiu w tamtych latach.

Życie Maryny w Penrhose najlepiej charakteryzują jej własne słowa w liście do bratanka – Krzysztofa z 9 tego maja 1977:



POLISH HOSPITAL, PENLEY (FROM PHOTO BY W. WERNIK).

2

Moje święta były pracowite i owocne w wynikach. Ale właśnie nam chodzi o zachowanie starych naszych polskich tradycji, bo tego pragną nasi mieszkańcy i ten nastrój polskości wśród obcych to największy magnes Penrhose. Teraz też obchodziliśmy Majowe rocznice właśnie tak po dawnemu „jak u nas bywało”.



A więc w grupie przyjaciół w lokalnym klubie gdzie toczą się „rodaków rozmowy”



W czasie spotkania z okazji pierwszej komunii polskich dzieci kiedy zwraca się do nich z serdecznym uśmiechem

Ogromna jest ofiarność tych ludzi – wszystkie zbiórki zawstydzają po prostu inne bogate ośrodki. Urządziłam Majową wieczornicę, która udała się bardzo – bo było i na poważnie i wspólne śpiewanie przy herbatce i pączkach.



Na uroczystości patriotycznej z okazji rocznicy 3-go Maja, na której na pewno przygotowała program artystyczny (widać osoby w kostiumach ludowych i Marynę w centrum osób-organizatorów)



Wreszcie w swoim pokoju w ośrodku w trakcie pisania tekstu – być może programu

A Penrhose to cudo – leży wśród wzgórz złotych obecnie od żarnowców i janowców. Na horyzoncie wspaniałe góry Snowdonii – a tuż prześliczne plaże, urocze bo skaliste i pełne złotego piasku – och jakbym chciała pokazać wam to polskie miejsce na walijskiej ziemi...

mamy teraz obraz powojennych losów całego rodzeństwa Chwalibogów Łąckich. Wszyscy oni w swoim środowisku zawodowym i społecznym pełnili rolę liderów tak jak ich rodzice.

Można więc powiedzieć że utrzymali poziom jakiego można się było po nich spodziewać. Chociaż każda z tych osób działała w innym otoczeniu i na innym polu to chyba to co mieli wspólnego to inteligencja, pracowitość i taka „społecznikowska” bezinteresowność, a zarazem patriotyczna postawa wykształcona w rodzinnym domu, w międzywojennym środowisku łąckim, nowosądeckim i lwowskim. (Ta cecha może być trudna do zrozumienia z dzisiejszej materialistycznej perspektywy). Tę postawę przenieśli bracia na Śląsk, Ziemię Lubuską, do Warszawy. Wbrew barierom komuny pracowali i tworzyli jak było to możliwe. A ich siostra Maryna pielęgnowała polskie tradycje w Penrhose z takim sercem jak robiła to przed wojną w Łącku.

W tekście zostały wykorzystane wspomnienia i fotografie dostarczone przez: Marynę (młodszą), Andrzeja i Grzegorza Chwalibogów, Magdę Chwalibóg-Koziczyńską oraz z materiałów gromadzonych przez Jadwigę Chwalibóg z Wojciechowskich.

Wspomnienie o Franciszku Kurzei z Kiczni – znakomitym skrzypku, prymiście

Franciszek Kurzeja urodził się w Kiczni dnia 28 stycznia 1919 roku, jako syn Franciszka i Katarzyny z domu Jurkowskiej. Jego dziadek, Wojciech Kurzeja pochodził z rodziny osiadłej od wielu pokoleń na roli, położonej w Zabrzeży – Bocowie.

Dziadek Wojciech był żonaty dwukrotnie. Pierwszą jego żoną była Maria Gromala z Kiczni. Po jej śmierci która nastąpiła w wyniku choroby, ożenił się po raz drugi w Czerńcu z Marią Ćwikowską, córką Antoniego Ćwikowskiego.

Dzieciństwo Franciszka przypadło na pierwsze lata II Rzeczypospolitej. Z młodości zapamiętał wiele opowieści przekazanych przez rodziców i krewnych o ciężkim życiu na wsi galicyjskiej w okresie zaborów, o austriackim monarsze Franciszku Józefie I. Po rodzicach odziedziczył pracowitość i niezwykle zdolności muzyczne. W domu rodzinnym, jego starszy brat Antoni, zajmował się wyrabianiem skrzypiec, dla początkujących wiejskich muzykantów.

Franciszek od najmłodszych lat podpatrywał ojca, który grywał często w niedzielne popołudnia na skrzypkach. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Kiczni w okresie, kiedy zajęcia prowadziła lubiana przez dzieci nauczycielka – Maria Chwalibóg. W dzieciństwie i wczesnej młodości na wsi, obowiązkowym zajęciem w dość dużym gospodarstwie ojca, było pasienie owiec. Toteż Franciszek podążał przez lato z pokaźnym stadkiem na pastwisko z fujarką w kieszeni i skrzypkami pod pachą. Nauka grania w dużej mierze zależała od pogody, w dni słoneczne grał na skrzypkach,



Franciszek Kurzeja, Nowy Sącz 11 stycznia 2013 r. Fot. St. Śmierciak

czego niestety nie mógł robić w czasie deszczu, gdyż rozmoknięte struny z jelit cielęcych oraz smyczek nie umożliwiały ćwiczeń. W słotną pogodę grał na fujarce, którą sam sobie wystrugał.

Muzykowanie przynosiło mu wiele radości. Na początku grywał z ojcem w towarzystwie rodziny, umilając im długie zimowe wieczory i świąteczne popołudnia. W 1936 roku stworzył wraz z muzykującymi chłopakami z sąsiedztwa własną kapelę, której został prymistą. Muzykę tworzyły cztery instrumenty: skrzypce-prym, skrzypce-sekund, klarnet i basy. Chłopcy grywali w Kiczni na weselach i potańcówkach, organizowanych przez młodzież zrzeszoną w organizacji p.n. Związek Młodzieży Wiejskiej „Znicz”, działającą pod patronatem Stronnictwa Ludowego.

W czasie wojny Kurzeja działał w partyzantce. Należał do tzw. „trójki politycznej lasu”, której celem była konspiracyjna walka z okupantem.

Na początku okupacji będąc w Zarzeczcu, poznał Mieczysława Czcibora – Cholewę, działacza partyzanckiego. Ten znany już przed wojną sądecki regionalista, zafascynowany strojem, tańcem i muzyką Górali i Lachów sądeckich, w roku 1935 założył swój objazdowy zespół regionalny na wzór zespołu Michała Piksy.



Na zgłiszczach Warszawy 1946 r. Stoją od lewej: Antonina Tatar, Józef Marek, Józef Galica, Franciszek Kurzeja, Mieczysław Czcibór-Cholewa i Wojciech Klag.

Gdy Cholewa po wojnie w 1946 roku reaktywował swoją muzykującą grupę, przyjął również do jej grona Franciszka Kurzeję. Pierwszy zespół składał się z 6 osób. Byli to: Józef Marek z Łacka, Wojciech Klag z Zarzeczca, Józef Galica z Zakopanego, (dudziarz), Antonina Tatarówna, Franciszek Kurzeja i Mieczysław Czcibór-Cholewa jako kierownik. Kurzeja grał w zespole na fujarce i góralskich złubcokach – gęślikach. Stolica była pierwszym miejscem występów. Warszawa w tym okresie (jak wspominał Franciszek) wyglądała przynębiająco. Zburzone domy, pełne gruzu ulice, brak perspektyw na życie, wszędzie rozpacz, smutek i cierpienie. To tutaj właśnie chodząc po

szczątkach ulic i rumowiskach Nasi górale grali..., a rzewne nuty wydobywające się ze skrzypiec rozczulały i dawały otuchy wracającym z wojennej tułaczki mieszkańcom.

W marcu 1947 roku zespół zaprezentował się ówczesnemu ministrowi Kultury i Sztuki Stefanowi Dybowskiemu, czego następstwem było wydanie przez ministerstwo zezwolenia na propagowanie kultury ludowej Podhala na terenie całego kraju.

Od tego czasu grupa przybrała nazwę „Zespół Wsi Tworzącej”. Na jej repertuar muzyczny składały się melodie i piosenki sądeckie, z okolic Łącka, Krościenka, Zakopanego, a nawet z Żywiecczyny.

Z zespołem Czсібora-Cholewy Franciszek przemierzył Polskę wzdłuż i wszerz, występując w szkołach, świetlicach przy dużych zakładach pracy, teatrach i domach kultury.

W latach 1946 – 1948 przy Kole ZMP „Wici” w Zagorzynie, działała grupa taneczna pod kierownictwem Antoniego Wnęka (nota bene brata bliźniaka mojego dziadka Andrzeja Wnęka). Franciszek Kurzeja występował okazjonalnie z tym zespołem, między innymi w roku 1947 podczas „Dni Krakowa” oraz w 1948 na Zjeździe Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Warszawie. Do zespołu Antoniego Wnęka należało wówczas także kilka młodych osób z Kiczni, Woli Kosnowej i Piskulinek.

W roku 1946 został reaktywowany zespół regionalny w Łącku. Do współpracy przystąpił Franciszek, jako prymista. Grający przed wojną Wincenty Pyrdoł z Zarzecza powrócił z wojny z mocno nadszarpniętym zdrowiem. Toteż jego miejsce zajął Franciszek Kurzeja wraz z kapelą, w skład której wchodził: Franciszek Kurzeja skrzypce – prym, Józef Marek (z Podgrabia) – sekund, Jan Dziedzina – sekund, Franciszek Szczepaniak – basy.

Pierwszy większy występ kapeli Kurzei na terenie Łącka odbył się w maju w 1947 r., podczas pierwszego Święta Kwitnącej Jabłoni, co zostało udokumentowane w Kronice Filmowej z tego okresu. W 1949 roku odbył się w Warszawie Festiwal Muzyki Ludowej. Zespół i kapela z Łącka wypadła znakomicie, czego następstwem było reprezentowanie folkloru podczas wystawy polskiego przemysłu lekkiego w Moskwie, w sierpniu 1949 roku. W roku 1955 zespół zakwalifikował się również do udziału w Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Program występu przygotowali wówczas Józef Marek i Kazimierz Bogucki.

W pierwszych 25 latach powojennych członkami kapeli Franciszka Kurzei (występującej z zespołami regionalnymi) byli: Jan Dziedzina, Wojciech Klag, Antoni Baziak, Józef Marek, Władysław Kurzeja, Franciszek Szczepaniak (Cuś), Stefan Franczyk, Józef Biernacki i Jan Gorczowski. Kurzeja grywał także z innymi muzykami na weselach i różnych uroczystościach kościelnych, byli wśród nich m.in. Stanisław Wąchała, Józef Talarczyk, Bolesław Chlipała, Józef Rusnak.

W latach siedemdziesiątych (XX w.), po śmierci Franciszka Szczepaniaka kapela została odmłodzona – zaczęli grać kolejno: Jan Kurzeja, (syn Franciszka), Witold Tadeusz Moryto, a w następnych latach Kazimierz Talar, Stanisław Strączek, Antoni Plechta i Stanisław Wolański. Z czasem wszyscy starsi przyjaciele Franciszka (S. Franczyk, S. Wąchała, W. Kurzeja), odeszli na wieczny spoczynek, a Kurzeja obracając się

w towarzystwie dużo młodszym od siebie muzyków nie stracił nic z wigoru, spontaniczności działań i świeżości gry.

W latach 1967–1987 kapela Kurzei wraz z łąckim zespołem odnosiła spore sukcesy, m.in. na Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich w Zakopanem, Festiwalu Górali Polskich w Żywcu, Góralskim Karnawale w Bukowinie oraz na licznych przeglądach powiatowych i wojewódzkich. Oczywiście co roku zespół występował na Święcie Kwitnących Jabłoni – organizowanym z przerwami od 1947 roku.

Drugim zespołem regionalnym, z którym związany był Kurzeja, jest zespół „Małe Łącko”, powstały w roku 1952 staraniem łąckich nauczycieli. Pierwszymi instruktorami byli Stanisław Baziak, Józef Marek i Jadwiga Kędzierska. Program zespołu stanowiły łąckie tańce i piosenki ludowe. Franciszek był członkiem tego zespołu do roku 1966.

W latach 1957–1965 Franciszek Kurzeja wraz z Franciszkiem Szczepaniakiem i Władysławem Kurzeją przygrywali także zespołowi regionalnemu przy Technikum Rolniczym w Nawojowej podczas ważnych występów.

Jesienią 1967 roku odbył się Telewizyjny Turniej Miast – współzawodnictwo powiatów Nowy Sącz – Nowy Targ. Podczas transmitowanego na żywo widowiska, biorąca udział Kapela Franciszka Kurzei połączona z kapelą Józefowskich, wypadła imponująco, a tym samym godnie reprezentowała Sądcczyznę.

W 1970 rozpoczął Franciszek stałą współpracę z zespołem „Dolina Dunajca”, która trwała prawie dwadzieścia lat. W tym okresie zespół podróżował po całej Europie, występując m.in. w Szwecji, we Włoszech, Francji, Finlandii, Związku Radzieckim, odwiedził także Libię. Uczestniczył również w wielu prestiżowych przeglądach i festiwalach krajowych m.in. w Kazimierzu Dolnym, Żywcu i Zakopanem.

W latach 1986–91 prowadził Franciszek szkołę muzykowania ludowego, ucząc dzieci gry na skrzypcach metodą beznutową. W uznaniu zasług dla kultury ludowej w 1986 roku otrzymał Nagrodę im. Oskara Kolberga.

W czerwcu 1998 roku Kapela Franciszka Kurzei z Kiczni podczas Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym, zdobyła najwyższe trofeum – dyplom laureata tzw. „Basztę”, i nagrodę pieniężną ufundowaną przez Zarząd Polskiego Radia w Warszawie. Kapela wystąpiła wtedy w składzie: Franciszek Kurzeja, Jan Kurzeja, Wojciech Bogucki i Kazimierz Talar.

22 sierpnia 2005 roku otrzymał Franciszek przyznany przez Prezydenta Rzeczypospolitej – Aleksandra Kwaśniewskiego Złoty Krzyż Zasługi za całokształt pracy na niwie kultury ludowej.

Od listopada 1999 do 2009 związany był również z zespołem „Gorce” z Kamienicy.

W 2001 był nominowany do tytułu „Sądcczanin Roku”.

Z okazji 80. urodzin (1999), staraniem Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu, ukazała się płyta CD pt. „Kapela Franciszka Kurzei z Kiczni. Podczas 90. urodzin, które obchodził w styczniu w 2009 r. otrzymał wiele życzeń i gratulacji od przedstawicieli wszystkich zespołów regionalnych, z którymi współpracował.

Decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Bogdana Zdrojewskiego, został uhonorowany najwyższym odznaczeniem resortowym, przyznawanym za

wybitne zasługi w dziedzinie twórczości artystycznej, działalności kulturalnej oraz ochrony kultury i dziedzictwa narodowego – Medalem „Gloria Artis”. Odznaczenie to wręczył **Franciszkowi Kurzei** dnia 11 stycznia 2013 r. przewodniczący **Komisji Kultury woj. Małopolskiego Leszek Zegzda**. Na tą doniosłą uroczystość przybyli parlamentarzyści: **Andrzej Romanek**, **Stanisław Kogut**, były poseł **Stanisław Pason**, starosta nowosądecki **Jan Golonka**, wójt gminy Łącko **Janusz Klag**, członkowie **Związku Podhalan**, wójtowie, radni, samorządowcy, reprezentanci wielu zespołów ludowych z Sądecczyny i powiatu limanowskiego a także miłośnicy i znawcy kultury oraz rodzina i liczni przyjaciele.

Gratulacjom i owacjom na stojąco nie było końca, sam Franciszek nie krył wzruszenia. Pod koniec uroczystości wystąpiła kapela złożona z łąckich muzyków. Fotoreporter Stanisław Śmierciak, chcąc uchwycić Franciszka ze skrzypcami w ręku na swoich fotografiach, pożyczył skrzypce od uczennicy Szkoły Podstawowej z Kiczni – Faustyny Myjak i dał do ręki Franciszkowi Kurzei, który po chwili zaśpiewał:

*a wy mili goście
Prose sie nie gniywać
ze jo se pozwoło
po swojemu śpiywać.

To moje śpiywonie
i to moje gronie
Niechze wom w pomiyci
długo pozostonie.*

Na koniec muzykowania zagrał Franciszek swoją słynną „polkę”. Po odśpiewaniu „Dwieście lat”, goście poczęstowani zostali winem i tortem udekorowanym „łąckimi parzenicami”, przygotowanym specjalnie na tą okazję przez firmę „Farma Rossa” ze Stróż. Franciszek Kurzeja do końca życia pozostał sprawny, zarówno umysłowo jak i fizycznie. Podejmując gości był zawsze pogodny, wesoły, wspominał często swoje dawne wojaże z zespołami regionalnymi.

Gdy w marcu 2014 roku w Krakowie zginęła tragicznie 20-letnia Joanna Świętochowska, mieszkanka Kiczni – wychowywana przez Mariana i Janinę Kałużnych, Franciszek przeżył tą śmierć bardzo boleśnie. Nie mógł się pogodzić, że zmarła tak młoda i zdolna dziewczyna. Wówczas miał rzec: „Jak ona teraz umarła, to ja umrę na Wielkanoc.....”. Zmarł późnym wieczorem w Wielki Piątek. Był do śmierci przygotowany, jak większość osób w podeszłym wieku.

Na uroczystość pogrzebową, w Poniedziałek Wielkanocny przybyli licznie mieszkańcy Kiczni, Łącka, Kamienicy, przyległych miejscowości, a także z Podegrodzia, Nowego i Starego Sącza. Pożegnała Franciszka Orkiestra im. Tadeusza Moryto oraz członkowie kapel i zespołów z którymi współpracował. Górale przyszli pożegnać swojego Mistrza, człowieka, który graniem i śpiewaniem rozbudzał przez kilkadziesiąt lat miłość do gór i muzyki. Przeminał..., ale jego nieśmiertelna dusza i pamięć o Nim nie minie.



Franciszkowi Kurzeji gratulacje składa ppłk dr Stanisław Strączek



Gratulacje składa Jan Golonka, Starosta Nowosądecki

Uroczystości pogrzebowe





fot. B. Dybiec

Słowo wstępne

Muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyła propozycja (rok 2013) Pana prof. Józefa Myjaka, potwierdzona później przez Pana prof. Juliana Dybca, aby w wydawanym przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej Almanachu podzielić się z czytelnikami swoją drogą z Łącka w świat. Ponieważ ukazały się już we wcześniejszych egzemplarzach Almanachu informacje z tego cyklu, poświęcone znamienitym Łąckowianom, poczułem się tą propozycją niezasłużenie zaszczycony. Ze względu jednak na szacunek, jakim darzę znanych w środowisku i świecie obu profesorów odmowa raczej nie wchodziła w grę. To jedna strona medalu, druga to wyjątkowa, niezwykle budująca działalność kierownictwa i Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, którym nie chciałbym sprawić zawodu. Rozmyślanie, w jakiej to formie opracować przeplatało się z natłokiem spraw bieżących i nie dawało mi spokoju. Dopiero od kwietnia tego roku dosyć znacznie zmniejszył się zakres moich obowiązków w związku z zakończeniem pracy na Politechnice Śląskiej. Dzięki temu zwiększyła się możliwość pozyskania czasu, którym mogę bez dodatkowych obciążeń dysponować. Pozostało jeszcze dokonanie rozstrzygnięć, co do formy i treści mojego opracowania. Rozwahałem różne warianty, próbowałem różnych form, w końcu ze względu na „uciekający” czas pozostałem przy formie chronologicznej, a więc czegoś w rodzaju pamiętnika z refleksjami. Ktoś znany powiedział, że nic tak nie plami mężczyzny jak atrament. Będąc tego świadomy ufam, że część odpowiedzialności ponoszą też moi koledzy profesorowie.

Początki

Urodziła mnie Mama, to fakt. Odnotował to pan Włodarczyk w swoich księgach nadając mi numer aktu urodzenia 2/1942 z datą urodzenia 1 styczeń 1942 rok, wpisując imiona Zbigniew, Marian, syn Józefy z domu Noworolnik oraz Antoniego Rdzawskiego. Rodzicami chrzestnymi byli Jadwiga Piksa z Czerńca i Stanisław Sopata z „Brzegu”. Przyglądając się temu aktowi urodzenia już w starszych latach, a w szczególności jego numerowi, bardzo mnie ciekawiło, kto otrzymał akt urodzenia o numerze 1/1942? Któż to był przede mną? Sprawa wyjaśniła się dopiero pod koniec moich studiów, kiedy okazało się, że numer aktu urodzenia 1/1942, zapisany w łąckiej księdze aktów urodzenia posiada mój kolega ze studiów z tego samego roku i Wydziału Julian Pęksa z Zakopanego. Ten wątek ma swoje implikacje, ale zostawimy je na boku. Wspomniałem o tym, aby podkreślić, że całe moje dotychczasowe życie składało się z poszukiwania odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, co nadal mi towarzyszy.

Sięgając jak najdalej pamięcią, pozostaje mi przed oczyma obraz mojej Mamy trzymającej przytulonego do siebie młodszego brata Włodka, mój rozbity nos na

łodzi i buty na gołych nogach o kilka numerów za duże oraz potężny huk spowodowany wysadzaniem mostu na ocembrowanej rzece „Czarna woda” przepływającej przez Łącko. Naszą bardzo pospieszną ucieczkę z domu spowodował życzliwy sąsiad krzycząc „ludzie uciekajcie”. Kiedy powróciliśmy do domu na „Roli” wszystkie okna



Józefa Rdzawska z domu Noworolnik, moja mama

pozbawione były szyb, odłamki szkła rozrzucone po podłodze, szafy i komoda na środku pokoju a wewnątrz panował przejmujący ziąb.

Tych nagłych, najczęściej nocnych i zimowych „ucieczek” było więcej. Ojciec brał mnie do specjalnego nosidełka i wynosił gdzieś tam w góry, gdzie przez stajnię z krową wychodziło się po drabinie, aby schować się w sianie. Mama zaś z młodszym bratem znajdowała schronienie u swojej siostry, która z dużą ilością dzieci mieszkała w rynku. Gdy zagrożenie mijało wracaliśmy do domu. Jak się dowiedziałem od Mamy, to ukrywanie się wynikało z faktu, że Ojciec poszukiwany był przez Niemców, a później przez Rosjan. Były to bardzo trudne, tragiczne i dramatyczne czasy, a niektóre zdarzenia znalazły wyjaśnienie w póź-

niejszych latach, jednak nie będę o nich dalej wspominał. Faktem jest, że wywarły na mnie dosyć istotny wpływ. Końcowe lata II wojny oraz okres powojenny obfitowały w dramatyczne i niekiedy tragiczne wydarzenia, w tym także związane z „zabawami” z pozostałościami amunicji rozmieszczonej w najmniej oczekiwanych miejscach. W tych trudnych i dalszych latach pogoda i hart ducha naszej mamy był dla nas cennym oparciem. Pamiętam zawsze radośnie śpiewane przez mamę pieśni Maryjne w chwilach trudnych, zwykłych i radosnych.

Pobyt w przedszkolu z bratem Włodkiem był kilkudniowy, a więc bardzo krótki. Związane to było z zamknięciem i pozostawieniem nas samych w „Ochronce”, prawdopodobnie przez nieuwagę. W 1947 roku nasz rodzina powiększyła się o siostrę Stasię. Naukę w szkole podstawowej rozpocząłem we wrześniu 1948 roku. Rozpoczęcie nauki połączone zostało z koniecznością wypicia rano łyżki tranu, co jako uciążliwą torturę wspominam. To odium pozostało we mnie do chwili obecnej, gdyż nawet słaby zapach tranu lub nieświeżej ryby doprowadza do nieprzyjemnych reakcji mojego organizmu. Były to krótkotrwałe „cienie” mojego pobytu w szkole i nie trwały zbyt długo z powodu zahamowania dostaw tranu. W tych powojennych latach buty były szczególnym rarytasem, stąd też zdecydowana większość młodzieży do szkoły uczęszczała „na bosaka” od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Szczególnie miło wspominać, za przekazywanie wiedzy w sposób niezwykle ciepły i życzliwy, panie nauczycielki: Jadwigę, (Alicję) Kasprzykiewicz, Irenę Smajkiewicz oraz nauczycieli: Tadeusza Zygałło (uczył mnie także grać na skrzypcach), Franciszka Łacny, Józefa Biernackiego i wielu, wielu innych. Nauczycielami, którzy nas i mnie „formowali” byli także wspaniali księża katecheci: ks. J. Bajor, ks. F. Uryga, ks. P. Tyrawski oraz inni. Niezapomnianym przeżyciem była dla mnie pierwsza komunія święta: odświętny ubiór, przybrana świeca, udział we mszy świętej oraz przyjęcie komunii, a po zakończeniu wspólne śniadanie na plebanii i duma rodziców. Po tych radosnych doświadczeniach zapragnąłem być ministrantem, ale to wymagało nauczania się „łacińskiej ministrantury” oraz umiejętności godnego służenia do mszy. Trwało to dosyć długo. Ministranturę „wkuwałem” podczas wypasania krowy, co opóź-



Antoni Rdzawski, mój ojciec

niało moje postępy. Wreszcie dostąpiłem możliwości służenia do mszy, którą odprawiał ks. Paweł Tyrawski. Msza święta odbywała się w bocznej nawie, w Kaplicy Matki Boskiej. Wszystko szło dobrze do momentu wypełnienia końcowej ceremonii przed głównym Ołtarzem: zamiast położyć Mszal na Głównym Ołtarzu zanieśliśmy go do zakrystii, doprowadzając do konsternacji mojego ulubionego księdza. Zawstydzony tym uczynkiem wycofałem się z tej szlachetnej służby. To wydarzenie wywarło znaczny wpływ na moją psychikę, nauczyło mnie pokory...

W 1951 roku powiększyła się nasza rodzina o kolejną siostrę Tereskę. Przybyło też nam z bratem trochę obowiązków związanych z dorywczą opieką nad siostrami. Zmiana miejsca zamieszkania z Łącka na dom rodziny Kasprzaków w Czerńcu zwiększyła zakres moich obowiązków i zajęć. Wydłużyła się również moja droga do szkoły w Łącku. Ojciec pracował jako listonosz na pocztce

w Łącku, zaś mama zajmowała się gospodarstwem domowym. Obowiązków było sporo, wynikały one z pracy na roli, hodowli prosiaka, kur, kaczek, gęsi, indyków, królików. Wypasanie krowy w okresie letnim i jesiennym oraz towarzyszącego jej zawsze barana dzieliłem z moim bratem. W pozostałych okresach karmienie zwierząt polegało na dostarczeniu odpowiedniej ilości słomy, siana, buraków, wody do picia itp., jak też na okresowym oczyszczaniu stajni. Dodatkowo, jako starszemu przypadł mi obowiązek oporządzania i karmienia „Miśka”, naszego konia oraz dbania o wozy

i narzędzia rolnicze, dzięki którym udawało się w miarę na czas wykonywać prace we własnym gospodarstwie i czasami pomagać innym. Szczególnie okres wiosenny i wakacyjny obfitował w wzmożone prace polowe, sadzenie ziemniaków, buraków i prace pielęgnacyjne okopowych, koszenie traw, koniczyny a później żniwa (koszenie kosą zbóż), zwózkę zbóż do stodoły oraz omłoty. Prace jesienne obejmowały podorywkę, oranie i sianie zbóż a także obieranie śliwek i jabłek u siebie, a szczególnie u sąsiadujących gospodarzy. W tych okresach zwiększała się też częstotliwość kontaktów z grodem kuzynów i kuzynek (rodzina Piksów i Kasprzaków) oraz kolegów (Jurkowskich, Kłagów, Sopotów, Staniszków, Baziaków). Pozostawało też trochę czasu na zabawę i kontakty z kolegami. Czas na odrabianie lekcji miałem tylko wieczorem przy oświetleniu świecą lub lampą naftową. Czytanie lektur odbywało się najczęściej podczas wypasania krów, co miało czasem nieprzyjemne skutki, kiedy krowa wykorzystując nieuwagę pasterza wyrządzała szkody w uprawach kapusty, buraków, ziemniaków itp. W miesiącu maju, po wypełnieniu swoich obowiązków uczestniczyliśmy w wieczornych nabożeństwach „majówkach” przy kapliczce.

Do przyjemniejszych zajęć letnich należała kąpiel w Dunajcu i wygrzewanie się na kamieniach, otoczakach, jak też zbieranie, jagód, borówek, malin, ostrężyn oraz grzybów w okolicznych lasach.

Nasza rodzina powiększyła się o kolejną siostrę Barbarę. Idea budowy własnego domu pojawiła się podczas spotkania mojego ojca ze znanym i cenionym architektem Zbigniewem Chwalibogiem, który projekt domu opracował. Po zatwierdzeniu projektu, ojciec zaczął starania i prace zmierzające do wybudowania własnego domu. Zadanie dosyć trudne i złożone. Dzięki pomocy wielu ludzi oraz gospodarzy zgromadzone zostało drzewo, które należało ciesielsko obrobić a wybrane miejsce przyszłej budowy odpowiednio przygotować. W tym celu wybudowany został ocieplony barak składający się z dwu części, mieszkalnej i stajni z odpowiednim strychem na paszę dla krowy. Było ciasno, ale byliśmy „na swoim”. Po wodę schodziliśmy z wiadrami kilkaset metrów w dół, do strumyka przepływającego obok domu „Michałów” (Arendarczyków). Ciężki to był obowiązek związany z zapewnieniem odpowiedniej ilości wody dla zwierząt domowych i na własny użytek, szczególnie w porze deszczowej oraz okresie zimowym.

Drugim podstawowym materiałem do budowy były kamienie piaskowca, które pozyskiwaliśmy z własnego gospodarstwa przy pomocy kilofa, łopaty i łomu. Były to w miarę foremne bryły o masie od kilku do kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu kilogramów. Kamienie te zwożone były taczkami na składowisko przed barakiem. Trzecim materiałem była glina, której nie brakowało na miejscu. Piasek zaś przywożony był znad Dunajca.

Wspominałem o składowisku odpowiednio ułożonych kamieni piaskowca, bo właściwe w tym miejscu zaczęła się moja „podróż z Łącka w nieznane”. Pamiętam rozmowę mojego ojca przy tym składowisku z dalekim krewnym Antonim Chrobakiem, który był v-dyrektorem Technikum Hutniczego Metali Nieżelaznych w Czechowicach-Dziedzicach. Rozmowa dotyczyła mojej przyszłości, bo akurat kończyłem naukę

w szkole podstawowej. Pamiętam strzępy argumentacji, że to nowa i perspektywiczna dziedzina gospodarki a hutnictwo potrzebuje wykształconych specjalistów, którzy będą mieli prace i będą godnie wynagradzani. W odpowiednim czasie, w wyniku tych rozmów ojciec zabrał mnie samochodem pocztowym do Nowego Sącza, a stamtąd jechaliśmy pociągiem do Chabówki, po długim oczekiwaniu z Chabówki do Suchej, z Suchej do Żywca, a z Żywca do Czechowic-Dziedzic. I w taki to sposób wkroczyłem na moją drogę z Łącką w świat...

Technikum – z dala od domu...

Po zdaniu egzaminów wstępnych zostałem przyjęty do technikum. Ulokowano mnie w pokoju wieloosobowym, wyposażonym w żelazne piętrowe łóżka, w barakowym internacie szkoły przy ulicy G. Narutowicza. Internat ten był przeznaczony głównie dla szkoły zawodowej. Znalazłem się w zupełnie nowym środowisku i otoczeniu. Zabudowa Internatu, zbliżona kształtem do litery U obejmowała dwa parterowe bloki spięte częścią gospodarczą przylegającą do terenu Walcowni, od której oddzielona była wysokim, betonowym płotem. Od ulicy teren Internatu zamykał płot z wysoką siatką z drutu, zamykana brama i furtka. Pomiędzy blokami znajdowało się wąskie podwórko, na którym odbywały się (przy sprzyjającej pogodzie) apele oraz ćwiczenia gimnastyczne. Pieczę nad uczniami technikum i zawodówki sprawował kierownik internatu oraz wychowawcy, zaś wyżywieniem zajmował się pan Gajdaczek i panie kucharki. Umywalnia i toalety były wspólne, podobnie stołówka, którą po obiedzie i kolacji zamieniano na świetlicę z przeznaczeniem do odrabiania lekcji. Mieszkalem w pokoju ośmioosobowym, razem z kolegami ze starszych klas. Po śniadaniu wychodziliśmy do szkoły oddalonej od internatu około 800m. Po zajęciach w szkole wracaliśmy na obiad i do własnych zajęć. Po kolacji odbywały się codziennie wieczorne apele na korytarzu. Do prac porządkowych wyznaczani byli codziennie dyżurni, których zadaniem było pilnowanie porządku w pokojach, pomoc w stołówce jak też w zaopatrzeniu w żywność oraz pisanie raportu na zakończenie dyżuru. Trudno było tak od razu przyzwyczaić się do panującej w internacie dyscypliny „obozowo-wojskowej”, apeli, śpiewania wojskowych i patriotycznych piosenek na zakończenie apelu wieczornego oraz do wielu innych uciążliwości organizacyjnych.

Ze względu na znaczną odległość, do rodzinnego domu przyjeżdżałem w okresie świąt Bożego Narodzenia, świąt Wielkanocnych oraz na wakacje. Podróż ta zajmowała sporo czasu i była uciążliwa ze względu na liczne przesiadki i panujący tłok tak w pociągach jak też w autobusie z Nowego Sącza do Łącka i odwrotnie. Nauka w technikum, a w szczególności silne osobowości nauczycieli wносиły wiele nowego dobra w zakresie wiedzy, kultury, doświadczenia zawodowego jak też kształtowały nasze charaktery. Klasy były mieszane miej więcej połowę stanowiły dziewczęta. Fakt ten miał też dla nas duże znaczenie wychowawcze. Bardzo dużo zawdzięczaliśmy pani mgr Irenie Skórnik – polonistce, która wiele trudu i ciepła wkładała, aby nas zmobilizować do czytania książek, nie tylko przewidzianej lektury, do wyraźnego podniesienia kultury życia. Za-

chęcała nas do czytania także twórczości poetyckiej a nawet do pisania esejów, opowiadań, wierszy, które prezentowaliśmy na naszych lekcjach. Bardzo często zabierała nas do teatru w Bielsku-Białej. Po powrocie z teatru, na kolejnych lekcjach poświęcała sporo czasu na właściwe zrozumienie przedstawienia. Uczyla nas miłości do języka polskiego i do niezachwianego patriotyzmu. Podobnie zajęcia z matematyki z panem dr Mykitą („dziadkiem” – kibicem Cracovii) sprzyjały przyswajaniu nowych abstraktów i umiejętności posługiwania się nimi. Pani mgr Limbach, która uczyła nas chemii, w sposób niezwykle przystępny i interesujący (uczestnictwo w doświadczeniach, biegłość w pisaniu reakcji chemicznych) wpajała nam metody sprzyjające łatwiejszemu zrozumieniu i umiejętnym korzystaniu przyswajanej wiedzy z tego zakresu. Podobnie było z zajęciami z fizyki, które prowadził z przerwami nauczyciel z jedenastolatki.

W ten program nauczania wplecione były też zajęcia techniczne, tzw. warsztaty (zlokalizowane w piwnicach technikum), na których zdobywaliśmy praktyczne umiejętności posługiwania się (pod nadzorem nauczycieli zawodu pana Kajstury i pana Śliża) narzędziami ślusarskimi, kuźniczymi, urządzeniami i narzędziami do obróbki skrawaniem, do spawania elektrycznego i gazowego oraz wieloma innymi narzędziami. Zwracano szczególną uwagę na bezpieczeństwo i higienę pracy jak też na perfekcyjny porządek na stanowisku pracy. Przedmiotem, który nam zabierał sporo czasu był rysunek techniczny i pismo techniczne. Nasz nauczyciel pan inż. Ślosarczyk był niezwykle wymagający, zorganizowany i pedantyczny. Nie znosił „bylejakości” i chyba udało się te pozytywne cechy w nas zaszczerpić. Wspaniale organizował wycieczki techniczne do innych zakładów jak też turystyczne, z których wracaliśmy zawsze bogatsi w nowe doświadczenia i wiedzę.

Drugim nurtem nauki w technikum były zajęcia z przedmiotów zawodowych, które prowadzili pracownicy kadry inżynierskiej z Walcowni Metali „Dziedzice”. Szczególne znaczenie miały zajęcia z metaloznawstwa, które prowadził z nami Pan inż. Władysław Suchy Dyrektor Techniczny Walcowni, z walcownictwa (mgr inż. Sochacki) oraz z ekonomiki (mgr Bohdziewicz). Uzupełnienie stanowiły zajęcia z elektrotechniki oraz materiałów ogniotrwałych. Wiedza z tych przedmiotów w połączeniu z zajęciami praktycznymi w Walcowni Metali „Dziedzice”, na które w starszych klasach przeznaczono jeden dzień w tygodniu pozwalała lepiej zrozumieć stosowane procesy oraz ich różne aspekty. Zajęcia te ułatwiały poznanie organizacji, struktury, wyposażania, technologii, ekonomiki, jak też poznanie znacznej części załogi i kadry przedsiębiorstwa. Sprzyjało to oswojeniu w poruszaniu się w przedsiębiorstwie, poznaniu pracy na poszczególnych stanowiskach a także uczestniczeniu w wykonywaniu dozwolonych zajęć. Zapewniano nam opiekę ze strony kadry inżynierskiej przedsiębiorstwa, która nie tylko dbała o nasze bezpieczeństwo (topienie i odlewanie metali, zagrzewania i przeróbka plastyczne na gorąco, na zimno, procesy chemiczne trawienie etc.), ale także służyła informacjami i wiedzą na temat przerabianych materiałów, urządzeń produkcyjnych (piece topielne, odlewnicze, piece grzewcze, walcarki do walcowania na gorąco i zimno, prasy do wyciskania metali, etc.), technologii oraz zagadnień dotyczących ekonomiki.

Duchową opiekę nad nami sprawował ksiądz dr Kruszec. Przy technikum działało szereg kółek zainteresowań: kółko teatralne, muzyczne, fotograficzne, sportowe itp. Okres nauki w technikum obfitował w różne zdarzenia i sytuacje, które wywierały wpływ na dalsze nasze życie. Duża w tym rola niezwykle pozytywnego wpływu kadry nauczycielskiej, która nie szczędziła trudu, aby nas przygotować do samodzielnego życia.

W maju 1959 roku pojawiła się okazja do udziału w egzaminach wstępnych na wyższą uczelnię (AGH w Krakowie), ze względu jednak na dodatkowe koszty (budowa domu) przerwałem kompletowanie potrzebnych dokumentów. Po zdaniu matury i otrzymaniu świadectwa maturalnego, nie czekając na komers, pojechałem w połowie czerwca do rodziców, aby pomagać w pracach związanych z przygotowaniem do zamieszkania w nowo wybudowanym domu.

Dzień 19 czerwca 1959 roku, był podobny do dni poprzednich, rano ciepły i słoneczny a około południa słońce z trudem przebijało się przez ołowiane chmury, zrywał się silny wiatr a z nim pojawiały się błyskawice i głuchy pomruk wyładowań atmosferycznych. Widząc co się dzieje pospiesznie opuściliśmy Dunajec. W połowie drogi do domu zerwała się ogromna burza z przerażającymi błyskawicami i potwornym hukiem piorunów, której towarzyszył rześisty deszcz. Przemoczeni dotarliśmy do domu Antka, który mieszkał kilkadziesiąt metrów poniżej nas. Matka Antka uspakajała mnie, że jak przejdzie ta nawałnica to wtedy pójde do domu. Nagle usłyszeliśmy potężny grzmot, oślepiło nas światło błyskawicy i krzyk Antka: „Zbyszek wasz dom się pali!!!”.

Zrobiło mi się ciemno w oczach i jak oparzony wybiegłem z domu nie zważając na błyskawicę i deszczową nawałnicę. Biegłem po górę, co sił w nogach. Ktoś mi podał wiadro z wodą, wpadłem do środka oblewając ściany. Nie pamiętam, kto mi podawał wodę (drogą, ścieżkami płynęły strugi wody), ja zaś starałem się nie dopuścić, aby ściany domu też się spaliły. Przyjechali strażacy. Ze względu na dużą odległość do potoku połączyli szeregowo pompy i polewali dom. Dach runął przebijając płonącymi żagwiami strop. Ktoś krzyczał wychodź z tego domu, bo się usmażysz. Któryś ze strażaków wyciągnął mnie na zewnątrz. Włosy miałem opalone, koszula namoczona deszczem miejscami z wypalonymi dziurami parowała. Szkiełko zegarka (*Ruhla*), który dostałem od ojca za dobre wyniki na świadectwie maturalnym było stopione. Po jakimś czasie, którego nie jestem w stanie określić pożar został ugaszony. Po domu pozostał tylko sterczący komin i opalone od wewnątrz ściany, które swoją czernią przedstawiały żaloszny obraz. Nowy, zbudowany z bali drewnianych dom, do którego mieliśmy się przeprowadzić za kilka dni przestał istnieć. Był to cios dla nas wszystkich a najbardziej dla naszych rodziców. Widziałem smutek i troskę w oczach ojca. Pamiętam jego słowa: „musimy sobie jakoś z tym poradzić”. Mama pocieszała: „dobrze, że nikt nie zginął”.

Moje plany i zamiary runęły. Dzięki staraniom ojca i pomocy życzliwych ludzi rozpoczęliśmy ratowanie tego, co zostało. Rano pomagałem przy wyrobie dachówek cementowych, później przy pracach murarskich i ciesielskich. Udało się przed zimą

zdążyć z przykryciem domu dachem. W te prace zaangażowana była cała rodzina, każdy w swoim zakresie. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy już w lepszym nastroju, patrzyliśmy w przyszłość bardziej optymistycznie. Od listopada rozglądałem się za pracą dla siebie, zwracając się z podaniami do różnych zakładów przemysłu metali nieżelaznych. W połowie grudnia otrzymałem pozytywną odpowiedź tylko z Walcowni Metali „Łabędy”, gdzie odbywałem praktykę zawodową objętą programem szkolenia. W domu pozostało młodsze rodzeństwo, brat i trzy siostry.

Pierwsza praca – samodzielność....

Pierwszą pracę zawodową podjąłem 4 stycznia 1960 roku jako stażysta w Walcowni Metali „Łabędy”. Pokój w hotelu robotniczym dzieliłem ze starszym kolegą z zawodówki, który pracował na zmiany. Zatrudniono mnie w dziale normowania pracy ze stawką 4,35 zł/godzinę, w którym pracowało już kilka osób. Ze względu na fakt, że pierwsze wynagrodzenie przysługiwało dopiero po miesiącu pracy, dzięki staraniom pani mgr B. Świeykowskiej (od której doświadczałem wiele życzliwości i pomocy), otrzymałem niewielką zapomogę na zagospodarowanie. Moim bezpośrednim przełożonym był kierownik działu pan Edward Skóra, który wprowadzał mnie w zakres moich praw i obowiązków. Opracowując normy wydajnościowe zapoznawałem się pracą na poszczególnych stanowiskach roboczych jak też z pracownikami, którzy z początku raczej niechętnie patrzyli na moją pracę. Czułem się nieswojo, bo przecież nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Aby rozładować tę nieufność przedstawiałem zainteresowanym wyniki chronometraży. Bardzo często wywiązywała się rzeczowa dyskusja i pomysły, co poprawić, aby było lepiej. Zauważyłem, że zmieniło się ich podejście do mnie. Chętnie rozmawiali, dzielili się swoimi problemami w pracy, a czasem sprawami osobistymi. Sprawy trudniejsze pomagał mi rozwiązywać mój bezpośredni przełożony.

Dzięki zdobytej wiedzy w technikum oraz podczas praktyk zawodowych z łatwością przyswajałem sobie stosowane procesy technologiczne i podstawowe charakterystyki urządzeń produkcyjnych oraz pomocniczych. Wiele urządzeń produkcyjnych było obsługiwane przez starszych kolegów, absolwentów technikum i zawodówki z Czechowic-Dziedzic, co ułatwiało moją adaptację w nowych warunkach. Pani Basia (tak zwracali się wszyscy do pani mgr B. Świeykowskiej), prawnik z wykształcenia, była osobą bardzo lubianą i szanowaną. Jej życzliwość, wiedza, doświadczenie i talent organizacyjny stanowiły oś życia zawodowego i towarzyskiego kadry inżynierskiej i kierowniczej. Organizowane pod jej kierownictwem konferencje naukowo-techniczne, do przygotowania których byłem często angażowany, cieszyły się dużym zainteresowaniem. W organizowaniu konferencji brała też aktywny udział pani Anna Sobczyńska (Oklek), kierowniczka działu administracji, której też podlegał hotel robotniczy. Efekty tych przygotowań sprawdzali zastępcy dyrektora, a bardzo często dyrektor naczelny Pan Eugeniusz Kalarus. Udział w tych pracach sprzyjał poznaniu kadry inżynierskiej i kierowniczej przedsiębiorstwa.

W hotelu robotniczym mieszkali także świeżo zatrudnieni magistrowie inżynierowie, głównie absolwenci Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, z którymi łatwo nawiązałem kontakt. Byli bardzo otwarci, dzielili się wiedzą o uczelni, studiach a także o technologii, urządzeniach i przetwarzanych materiałach. Dzięki tym kontaktom oraz własnym obserwacjom badanych stanowisk rodziły się w mojej głowie różne pomysły służące usprawnieniu, które stanowiły przedmiot zgłaszanych wniosków racjonalizatorskich. Docenione to zostało przez „moich opiekunów”, gdyż podczas akademii z okazji „Dnia Hutnika” nagrodzony zostałem książką F. Sztamba „Metaloznawstwo”.

Do podjęcia studiów zachęcił mnie mgr inż. Marian Balcerowski, który dostarczył mi odpowiednie formularze zgłoszeniowe. Swoim zamiarem podzieliłem się z panią Basią i mgr Wilhelmem Zwerdlingiem, którzy pomysł zaakceptowali przekonując do jego poparcia dyrektora naczelnego oraz szefa działu kadr, Henryka Sosinkę. Wymagane dokumenty związane z przystąpieniem do egzaminu wstępnego wysłane zostały na Wydział Metalurgiczny AGH. Po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi wydelegowany zostałem na AGH na czas egzaminów wstępnych.

Po przyjeździe do Krakowa na początku lipca zakwaterowany zostałem razem z innymi uczestnikami w akademiku AGH przy ulicy Reymonta 17. Był to pokój wieloosobowy z łózkami piętrowymi, podobnymi jak w internacie technikum. Jak się zorientowałem było bardzo dużo kandydatów do egzaminu wstępnego na ten wydział. Podzieleni zostaliśmy na liczne grupy kilkudziesięcioosobowe a egzaminy pisemne i ustne (matematyka, fizyka, chemia) odbywały się w różnych salach uczelni. Na jednym z korytarzy bloku BSW spotkałem mojego kolegę z technikum, Staszka Zielińskiego. Akurat wyszedł z sali egzaminacyjnej z bardzo kwaśną miną. Kiedy mnie zauważył siarczyście zaklął i powiedział „nie zdałem”. Trochę to mnie zaniepokoiło, bo Staszek był bardzo zdolnym uczniem. Pomyślałem, a co będzie ze mną?... Opuszczając uczelnię przeczytałem informację, że oficjalne wyniki egzaminów zostaną wywieszone w holu budynku głównego na początku sierpnia.

Po powrocie do pracy pytaniami jak ci poszło nie było końca. Bardzo mnie to męczyło, bo nie miałem pewności czy zostanę przyjęty. Wreszcie na początku sierpnia dotarła informacja, że zostałem przyjęty na I rok studiów na Wydziale Metalurgicznym AGH w Krakowie. Informacja ta bardzo ucieszyła panią Basię i mgr W. Zwerdlinga, którzy wspomnieli o możliwości pomocy w formie stypendium fundowanego.

Studia

Stosownie do otrzymanego pisma z Dziekanatu Wydziału Metalurgicznego pojawiłem się na uczelni na początku trzeciej dekady września 1960 roku rozpoczynając nowy okres w moim życiu. Po różnych perypetiach zakwaterowany zostałem w akademiku przy ulicy Reymonta 17, który częściowo poznałem podczas egzaminów wstępnych. Podobnie jak poprzednio był to pokój wieloosobowy, który dzieliliśmy z kolegami oraz zapóźnionym dyplomantem, który kończył pisanie pracy magister-

skiej. Problem spania jakoś został rozwiązany. Gorzej było z wyżywieniem, bo otrzymałem tylko bon obiadowy w stołówce akademickiej dosyć odległej od uczelni.

Ze względu na dużą liczbę przyjętych (około 270 osób) podzieleni zostaliśmy na dwie zasadnicze grupy, a mianowicie Rok A i Rok B, a te z kolei na kilka podgrup (a, b, c, d,...). Plan zajęć obejmował wykłady, ćwiczenia, lektorat oraz zajęcia wojskowe, na które był przeznaczony jeden dzień w tygodniu. Po badaniach lekarskich zdolni do służby wojskowej wyposażeni zostali w odpowiednie umundurowanie, które było obowiązkowe na czas zajęć w Uczelnianym Studium Wojskowym. Ze względu na dużą ilość grup zajęcia na uczelni z licznymi „okienkami” zajmowały prawie cały dzień.

Znaczna część studentów nie mieszkała w akademikach, niektórzy mieszkali w kwaterach prywatnych, inni dojeżdżali z pobliskich miejscowości a część mieszkała z rodzicami w Krakowie. Z biegiem czasu powiększały się kręgi znajomych poza utworzone grupy. Szczególne użyteczne były uwagi i „pouczenia” kolegów ze starszych lat. Dzięki ich pomocy w przygotowaniu podania otrzymałem niewielkie stypendium z uczelni, które łagodziło trudności związane z kosztami utrzymania.

W akademiku działał radiowęzeł, który uzupełniał nasze informacje o życiu na uczelni, co też było powodem, że wielu z nas wstąpiło w szeregi ZSP. Nowe formy zajęć, inna organizacja nauczania, wymuszającą dużą samodzielność, zajmowała na początku sporo czasu. Pewną niedogodnością było, że część nas, mieszkańców pokoju, miała zajęcia w różnych grupach i różnych godzinach. Na samodzielną naukę pozostawały godziny późno popołudniowe lub wieczorne. Dłuższe „okienka” sprzyjały odwiedzinom w bibliotece, gdzie w spokoju można było utrwać zdobywane wiadomości, a bardzo często korzystać z odpowiedniej literatury.

Na Święta Bożego Narodzenia przyjechałem do domu. Na początku stycznia 1961 roku wróciłem do akademika, aby przygotować się do pierwszej sesji egzaminacyjnej. Jakoś szczęśliwie z przeciętnymi ocenami przebrnąłem przez pierwszy semestr. Bogatszy o nowe doświadczenia rozpocząłem drugi semestr. W połowie semestru otrzymałem wiadomość, że 24 kwietnia nasza rodzina się powiększyła o najmłodszego braciszka Stanisława, Wojciecha.

Drugi semestr z poprawkowym egzaminem też zaliczyłem. Pozostała jeszcze praktyka przemysłowa w Hucie Bankowej w Dąbrowie Górniczej i egzamin wrześniowy z fizyki u Pana prof. M. Jeżewskiego. Sytuacja była dramatyczna, gdyż na „giełdzie” przewaga profesora była zdecydowana. Jednak wakacyjna nauka fizyki z książki profesora wyszła mi na dobre, gdyż egzamin zdałem wyjątkowo pomyślnie i gdyby nie słaba ocena z matematyki byłbym otrzymał jeszcze lepszą ocenę. Zdanie egzaminu otwarło mi możliwość kontynuowania studiów na drugim roku, na którym liczba studentów została wyraźnie okrojona.

Od drugiego roku studiów, po różnych zawirowaniach otrzymałem stypendium fundowane od mojego ostatniego pracodawcy to jest Walcowni Metali „Łabędy”. Wszystko wydawało się być już jakoś ułożone, lecz po rozmowie z ojcem pojawił się niepokój o Jego zdrowie. Kolega ze studiów Rysiek pomógł mi umówić wizytę dla ojca u znanego lekarza (profesora) w Krakowie. Po tej wizycie ojciec powrócił do domu

z odpowiednim zapasem leków. W połowie grudnia ojciec został przewieziony z Nowego Sącza do Krakowa do Kliniki na ul. Botanicznej w stanie bardzo ciężkim. Ze względu na krytyczny stan ojca odwiedziny były utrudnione. Wreszcie przed samymi Świątami Bożego Narodzenia udało mi się dotrzeć do ojca. Rozpoznał mnie i lekko się uśmiechnął, chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł, tylko oczy wyrażały jakiś nieopisany spokój. Zapytałem czy mam pojechać do domu na parę dni. Skłonił potakująco głową. Lekarz pozwolił mi ojca ucałować nadmienając, że jest po trepanacji czaszki. On też zaakceptował mój wyjazd do domu, do Łącka. Smutne to były Świąta. Mój przyjaciel Rysiek, który mieszkał w Krakowie obiecał mi odwiedzić mojego ojca w Świąta. Po Świątach, 28 grudnia 1961 roku wysłał telegram do mnie, że niestety mój ojciec odszedł do Pana nad ranem tego dnia. Przyszła też odpowiednia depesza do mamy oraz do Urzędu Pocztowego gdzie ojciec pracował, jako listonosz. Mama zaczęła załatwiać przy pomocy życzliwych ludzi sprawy pogrzebowe a mnie przypadło jechać z przedstawicielem Poczty do Krakowa po zwłoki ojca. Byłem wdzięczny Poczcie za ten rodzaj pomocy. W Sylwestra wyjechaliśmy wczesnym rano do Krakowa furgonetką pocztową. Dzięki wyjątkowej operatywności i spokojowi przedstawiciela Poczty wszystkie dokumenty zostały dostarczone a ciało ojca w trumnie umieszczone w samochodzie. Ponieważ w sfoferce były tylko dwa miejsca dla kierowcy i przedstawiciela Poczty, moje miejsce było przy trumnie ojca. Po paru godzinach przyjechaliśmy do domu, gdzie już zgromadziło się bardzo dużo ludzi, a orszak strażaków w mundurach siedł obok trumny, która była wieziona aż do kościoła w Łącku. Następnie po ceremoniach pogrzebowych w kościele trumnę z ojcem nieśli strażacy na cmentarz, gdzie został pochowany. Po tych ogromnych tłumach, które towarzyszyły pogrzebowi ojca widziałem, że nasz ojciec był powszechnie lubiany i szanowany. Trudne to były przeżycia. Wszystko się zawaliło...

Tak zakończył się rok 1961 a rozpoczął Nowy 1962 rok. Mama została z siostrami i najmłodszym braciszkiem. Brat Włodek pojechał do Bielska do swojej pracy a ja za zgodą mamy na studia do Krakowa. Ciężko nam wszystkim było się pozbierać. Na duchu nas podtrzymywał optymizm mamy, która z niepojętą pogodą ducha i energią pokonywała piętrzące się trudności. Swoje troski topiła w śpiewaniu pieśni Maryjnych. Brat Włodek, który już częściowo zarabiał wspierał jak mógł finansowo działania mamy. Zabrał siostrę Barbarę do Bielska do Technikum Włókienniczego, gdzie się nią opiekował. Najstarsza siostra Stacha, po skończeniu pomaturalnej szkoły pielęgniarzkiej podjęła pracę w Ośrodku Zdrowia w Łącku. Siostra Teresa ukończyła Technikum Gastronomiczne w Krościenku pomagając mamie w prowadzeniu gospodarstwa domowego.

Te trudne przeżycia były przyczyną moich kłopotów ze zdrowiem. Długo nie mogłem się pozbierać i „dogonić” powstałe zaległości w nauce. Rozpaczliwie szukałem jakiegoś uspokojenia, które na chwilę znajdowałem na modlitwie w kościele. Zapisalem się też do chóru uczelnianego, lecz po kilku miesiącach zrezygnowałem z uczestnictwa w próbach i występach. To nie było to, czego szukałem.

Z dużym wysiłkiem kolejny, trzeci semestr też zaliczyłem. Z nastaniem wiosny, w wolnych chwilach, wspólnie z kilkoma kolegami z akademika zaczęliśmy poznawać

szerzej Kraków i jego najbliższe okolice. Do tradycji należały wyprawy do Lasu Wolskiego, na Kopiec Kościuszki i Kopiec Piłsudskiego, spacer po parku Krakowskim, Jordana, po Błoniach, wzdłuż Wisły i Rudawy etc. Spacerując po ulicach starego Krakowa rozbudzona została we mnie ciekawość do teatru, którą nam wpajała nasza Pani polonistka z technikum. Ocieranie się o kulturę i historię było powodem ciągłego pogłębiania wiadomości także z tego zakresu. Zafascynowany nowymi doznaniem próbowałem je utrwaląc szkicami, wierszami, krótkimi esejami, a dostęp do ciemni fotograficznej w akademiku zachęcił mnie do robienia zdjęć. W czerwcu uporałem się z zaliczeniami i egzaminami, a po ich zdaniu przyjechałem do domu na kilka dni. Do zamknięcia drugiego roku studiów pozostały jeszcze wakacyjne, lipcowe zajęcia poligonowe w jednostce wojskowej. Nasze zajęcia poligonowe wizytował Prorektor AGH Prof. Wacław Leskiewicz, który wręczał nagrody za najlepsze wyniki strzelań artyleryjskich. Jakaż to była dla mnie radość, że znalazłem się w gronie laureatów. Po przyjeździe z poligonu, sierpień i wrzesień spędziłem pomagając w zajęciach gospodarskich mamie i rodzeństwu.

Trzeci rok studiów rozpocząłem z niewielkim opóźnieniem spowodowanym pomocą w pracach polowych oraz zrywaniu śliw (węgiełki) i jabłek. Moje wcześniejsze zaangażowanie się w działalność Zrzeszenia Studentów Polskich (ZSP) sprawiło, że zostałem wybrany do studenckiej Rady Wydziału, do której zadań należało między innymi opiniowanie wniosków o stypendia, akademik, bony stołówkowe itp. Rzetelne spełnianie podjętych zadań wymagało dobrego rozeznania wśród braci studenckiej, a szczególnie w ich sytuacji materialnej. Doświadczenia z tego zakresu były bardzo pouczające życiowo. Zaangażowanie się w tę działalność było powodem włączenia się w „ruch informacyjny”, w tym w działalność radiowęzła akademickiego i ogólnopolskie czasopismo uczelni technicznych „Politechnik”, którym w ośrodku krakowskim kierował Janek Forowicz. Osiągnięcia w tej dziedzinie zaowocowały przyjęciem mnie do Komisji Kultury Rady Okręgowej ZSP w Krakowie, gdzie spotkałem ciekawych ludzi, z których chciałbym wymienić między innymi: Mieczysława Czumę, Kazimierza Karpa, Hieronima Kubiaka, Zbyszka Święcha.

Działalność radiowęzła w akademiku polegała głównie na zapewnieniu transmisji programu radiowego, jak też na czytaniu z własnego studia, bieżących komunikatów oraz obsługi muzycznej na cotygodniowych wieczorkach tanecznych. Prowadzone też były własne audycje, które przygotowywali członkowie zespołu radiowęzła. Transmitowane były też na żywo organizowane przez kierownika Klubu Studenckiego „Karlik” spotkania wieczorne z ludźmi radia, prasy oraz literatami znanymi z pierwszych stron gazet. Moim obowiązkiem, poza pełnieniem dyżurów w radiowęźle, było prowadzenie audycji o tematyce teatralnej, muzycznej, krótkich reportaży, etc. W naszym studiu radiowym przy ul. Reymonta 17 nagrywaliśmy Pana Tomasza Stańko razem z Arturem Blumem, który prowadził u nas audycje na temat jazzu. Zaangażowanie się w tę dziedzinę działalności uszczuplało czas na naukę, lecz znacznie poszerzało horyzonty.

Kolejnym nurtem poza podstawowymi zajęciami związanymi ze studiowaniem były rajdy turystyczne oraz słynne obozy narciarskie prowadzone przez wspaniałych

fachowców. Mile wspominam nasze zajęcia w Radiu Kraków oraz praktykę wakacyjną w Radiu Szczecin. Działalność w tym zakresie zbliżała nas do ludzi nauki i kultury. Mimo znacznego zaangażowania we wspomnianą działalność moje studia przebiegały bez większych problemów. Kolejne semestry zaliczałem w przepisowym terminie.

W tym czasie, na Uczelniach krakowskich studiowało wielu Łąckowian. Często spotykałem się z Józkiem Myjakiem studiującym na Uniwersytecie Jagiellońskim (byłoby o czym pisać) i Marysią Więclawek studiującą na Akademii Medycznej, rzadziej z Julianem Dybcem, studiującym na Uniwersytecie Jagiellońskim. Musze jednak pozostawić tę tematykę na boku aby nie wypaść z głównego nurtu, którego się podjąłem. Wspomniałem o tym, gdyż ten wątek wywarł znaczny wpływ na moje dalsze życie.

Trzeci rok studiów zamykała wakacyjna, miesięczna praktyka zawodowa u fundatora stypendium w Walcowni Metali „Łabędy” w Gliwicach, gdzie spotkałem się z dużą życzliwością ludzi, których poznałem wcześniej. Wiele się zmieniło w przedsiębiorstwie, rozszerzono skalę produkcji, zakupiono współczesne, bardzo drogie zagraniczne urządzenia produkcyjne, powiększyła się też kadra inżynierska o młodych magistrów inżynierów, o różnych specjalnościach. Moim opiekunem podczas praktyki był mgr inż. Benedykt Gutkowski absolwent Politechniki Częstochowskiej. Po odbyciu praktyki zawodowej na wniosek Rady Naczelnej ZSP udałem się do Radia Szczecin w celu podwyższenia kwalifikacji w działalności radiowej. Resztę wakacji, podobnie jak poprzednio spędziłem z rodziną pomagając w pracach domowych i gospodarskich.

Czwarty rok studiów rozpoczął się z różnymi emocjami, gdyż został utworzony nowy Wydział Metali Nieżelaznych. Ze względu na moją wcześniejszą edukację zgłosiłem swój akces do nowo utworzonego Wydziału. Niestety, na skutek nieporozumień i niedopatrzeń nie znalazło się tam miejsce dla mnie. Na liście podziału studentów znalazłem się po długich poszukiwaniach na najmniej obsadzonym kierunku (7 studentów) inżynierijno-ekonomicznym. Moje żale i protesty nie przyniosły efektu. Nie będę przytaczał argumentów, jakimi mnie przekonywano do pozostania na tej sekcji. No, cóż pogodziłem się z losem. Na tej sekcji przybyło nam nowych zajęć, zaliczeń i egzaminów (księgowość i finanse, ekonomika produkcji, ekonomia polityczna, organizacja pracy i produkcji, handel zagraniczny, modelowanie procesów, metody statystyczne). Dzięki wspomniałym wykładowcom (Prof. Andrzej Zalewski, Prof. Ludwig Mayr'e) wprowadzeni zostaliśmy w nurt problematyki przemysłowej oraz w metody skutecznego zarządzania tymi procesami. Wprowadzane w przemyśle nowe systemy pracy (czterobrygadowy), stanowiły przedmiot naszych badań w ramach Naukowego Koła Studenckiego. Wyniki tych badań prezentowane były w ramach sesji studenckich podczas obchodów „Dnia Hutnika”.

Znaczne obciążenie zajęciami i projektami oraz tzw. pracą społeczną odbiły się niekorzystnie na stanie mojego zdrowia. Dzięki kuzynce Marysi Więclawkównie, która swoją wiedzą medyczną mnie wspierała jakoś się wygrzebałem z męczących mnie dolegliwości. Pomogły mi w tym także polecane przez Marysię i jej koleżankę Teresę obozy narciarskie. Były to trudne chwile słabości i załamań, które w końcu

przewyciężyłem otrzymując promocję do piątego roku studiów. Ale aby to wszystko stało się możliwe pozostał mi jeszcze miesięczny, wakacyjny poligon wojskowy, wraz z egzaminami końcowymi, ale i z tym sobie poradziłem awansując na kaprała podchorążego.

Zaczynając piąty, ostatni rok studiów postanowiłem jak najwięcej czasu poświęcić na jak najlepsze przygotowanie się do kolokwium Dziekańskiego, którego zaliczenie było warunkiem dopuszczenia do praktyki dyplomowej oraz przygotowania pracy dyplomowej. Kolokwium Dziekańskie okazało się bardzo ciasną bramą. W pierwszym terminie ten trudny próg zaliczyło około 30 studentów, w gronie których i ja się znalazłem. Wynik był szokujący, na pierwszy rok zostało przyjętych około 270 studentów, a po pięciu latach studiów kolokwium zaliczyło tylko około 30 studentów.

Zasadnicze zajęcia programowe zawierał semestr zimowy, semestr letni to głównie kolokwium dziekańskie, praktyka dyplomowa i pisanie pracy dyplomowej. Jak to czasami się zdarza w tym właśnie okresie pojawiły się problemy z ustaleniem tematu mojej pracy dyplomowej. Opiekun, którego mi przydzielono specjalizował się w metalurgii aluminium i nie bardzo był zainteresowany tematyką przystającą do mojego „Fundatora stypendium”. Po długich rozważaniach roboczy temat mojej pracy dyplomowej obejmował badania zdolności produkcyjnej Wydziału Walcowni Folii Aluminowej w Zakładach Metali Lekkich w Kętach.. Moim opiekunem podczas praktyki był mgr inż. Kazimierz Wybraniec. Dzięki Jego pomocy i doświadczeniu dosyć sprawnie zebrałem potrzebne dane do obliczeń, a pomiary chronometrażowe dzięki zdobytemu doświadczeniu podczas mojej pierwszej pracy wykonałem samodzielnie. Zebrany materiał, dyskusje z opiekunem i jego rady umocniły mnie w przekonaniu, że dalej poradzę sobie sam.

Z kompletem danych wracałem do domu na ostatnie wakacje, gdzie spotkałem mojego kolegę Jasia Stanisza, który właśnie wrócił do domu po odbyciu służby wojskowej w marynarce wojennej. Obaj lubiliśmy wędrowki po górach, jednak na przeszkodzie planowanych wypraw stały problemy finansowe związane z zakupami odpowiednich butów (pionierki), spodni, koszul, okryć przed deszczem i wiatrem, a także sprawy wyżywienia. Ja wprawdzie miałem na własność drelchowy mundur wojskowy ale Jaś nie. Z pomocą przysłała nam Marysia Więclawkówna, która poradziła udać się do jej znajomego leśniczego Bolesława Kurnyty na Szczawę, który mówił, że przyjąłby kogoś do pomocy w leśnych robotach. Widziałem, że Jasiowi ta propozycja przypadła do serca, oczka mu się zaświeciły. Podziękowaliśmy Marysi za radę i nie pytając o więcej wróciliśmy do swoich domów.

Widać, że ten pomysł nurtował zarówno Jasia jak i mnie, gdyż po kilku dniach spotkaliśmy się znów i padło oczekiwane pytanie: „idziemy do Szczawy?”. Odpowiedź mogła być tylko jedna. Spojrzeliśmy w górę i obraliśmy drogę przez Byniową, Pasudówkę Kamienicę do Szczawy. Ugasiwszy pragnienie wodą mineralną zapytaliśmy mężczyznę wyglądającego na drwala (miał siekierę ze sobą), gdzie możemy spotkać leśniczego Bolesława Kurnytę? Powiedział nam, że on mieszka w leśniczówce na Bukówkach a teraz to chyba będzie gdzieś w lasach pod Gorcem, może w okoli-

cach Nowej Polany, lub Kiczory. Wyglądało to na szukanie igły w stogu siana. Wracać z niczym? To nie dla nas.

Ruszyliśmy w górę, w stronę lasu wzdłuż niewielkiego strumyczka. Po osiągnięciu wierzchołka wzniesienia zaczęliśmy nasłuchiwać czy nie dobiegają jakieś odgłosy wywołane obecnością człowieka. Po kilku godzinach poszukiwań spotkaliśmy mężczyznę, który obcinał gałęzie leżącego na ziemi suchego świerka. Zapytany o leśniczego spytał nas, co my za jedni? Po naszych wyjaśnieniach odpowiedział, że widział leśniczego przeszło godzinę temu jak szedł (tu wskazał ręką) w tym kierunku, a więc w stronę Gorca. Po zastanowieniu się, było już późne letnie popołudnie, doszliśmy do wniosku, że skoro mieszka na Bukówkach to będzie chyba w tym kierunku zmierzał do domu. Przedzierał się przez las, zatrzymując się, aby wyłować jakieś odgłosy. Po jakimś czasie doszedł do nas gwar rozmowy i siarczyste przekleństwo. Skierowaliśmy się w tym kierunku. Zastaliśmy kilku mężczyzn prowadzących jakiś spór a wśród nich leśniczego ubranego w zielonkawy mundur z przepasaną raportówką. Po grzecznościowym powitaniu i przedstawieniu się zapytaliśmy czy mieliśmy szczęście zastać leśniczego Bolesława Kurnytę?. Tak, to ja jestem. Jak wy mnie znaleźliście? Resztę drogi do rzeki Kamienicy wypełniała rozmowa o pracy w lesie, etc. Widać, że nasza determinacja spodobała się leśniczemu, gdyż obiecał, że nas zatrudni po uzyskaniu akceptacji Nadleśnictwa. Wspomniał, że w związku z potężną wichurą, która 19 listopada 1964 roku wyrządziła ogromne szkody w drzewostanie jest bardzo dużo pracy, stąd nasza pomoc będzie cenna. I tak się zaczęła nasz przygoda, która wypełniła czas wakacji i nie tylko, dostarczając nowych doświadczeń a czasami ekstremalnych przeżyć.

Pisanie pracy dyplomowej i pracę w lesie trudno było ze sobą pogodzić. Termin oddania pracy zbliżał się nieuchronnie. Napisaną i odpowiednio oprowadzoną pracę oddałem w ostatniej chwili ku niezadowoleniu ją oceniających. Wreszcie pod koniec października dopuszczono mnie do obrony. Wszystko się dobrze skończyło, zostałem magistrem inżynierem metalurgiem, ale nie obyło się bez nieuzasadnionych uszczypliwości. Związane to było prawdopodobnie z niecierpliwością Fundatora, który oczekiwał na rozpoczęcie pracy, a mnie się jakoś nie spieszyło. Chciałem jak najwięcej pomóc mamie i rodzeństwu w przygotowaniach do zimy. Wreszcie w połowie grudnia dotarło do mnie ponaglające pismo od Fundatora, nie było wyjścia należało jakoś zareagować. Napisałem grzeczny list - prośbę z odpowiednim uzasadnieniem, że pojawia się odrabiać otrzymane stypendium na początku 1966 roku. Wyrażono zgodę, a ja słowa dotrzymałem.

„Pańszczyzna”

W Łabędach pojawiłem się na początku stycznia 1966 roku. Idąc w stronę Walcowni, w pobliżu rynku, przy budce z piwem stała grupka ludzi. Dziwiłem się jak oni mogą pić piwo w tak siarczysty mróz i to jeszcze wcześniej rano. Po krótkiej rozmowie z Kierownikiem Działu Kadr Panem Henrykiem Sosinką (którego poznałem wcześniej), udałem się do odpowiednich komórek, aby załatwić niezbędne formalności

związane z zakwaterowaniem w hotelu robotniczym, badaniami lekarskimi, szkoleniem bhp, etc.

Zatrudniony zostałem, jako stażysta w Dziale Głównego Technologa. Ze względu na postępy, jakie wykazywałem, skrócono mi znacznie okres stażu i po wewnętrznym egzaminie zostałem awansowany na starszego technologa. Pracując na tym stanowisku mogłem z powodzeniem wykorzystywać wiedzę, którą zdobyłem na uczelni. To był wspaniały poligon doświadczalny do konfrontacji teorii z praktyką. Zacząłem doceniać los, który mi wyznaczył niechcianą specjalizację. Zdobyta wiedza na uczelni pozwalała mi bardziej skutecznie wniknąć w złożone procesy topienia metali, odlewania, przeróbki plastycznej na gorąco i na zimno, obróbki cieplnej i chemicznej, etc. W tym czasie wytwarzano ponad 70 gatunków miedzi, stopów miedzi, niklu, stopów niklu, srebra, stopów srebra, aluminium, stopów aluminium, termobimetalu oraz wyrobów platerowanych, w tym stali platerowanej dwustronnie tombakiem. Z tych stopów wytwarzano kilka tysięcy asortymentów w postaci, wlewków, płyt po gorącym walcowaniu, blach, taśm i pasów o różnych stanach umocnienia oraz wymiarach dla ponad 1000 ważniejszych odbiorców, głównie krajowych, ale też i zagranicznych. Do wytwarzania tych wyrobów stosowano wyspecjalizowany, kapitałochłonny park urządzeń produkcyjnych, dla utrzymania sprawności, których pracowały specjalistyczne warsztaty, kierowane przez odpowiednie służby. Uchwycenie tych wzajemnych, czasami skomplikowanych powiązań pozwalało na lepsze zrozumienie stosowanych procesów technologicznych.

Wśród wielu asortymentów, bardzo ważną rolę odgrywała produkcja stopów na monety, głównie w postaci pasów, które stanowiły półwyrob do wytwarzania monet obiegowych a także numizmatycznych. Włączenie się w tę problematykę zapoczątkowało moją kilkudziesięcioletnią współpracę z Mennicą Państwową w Warszawie. Napawał mnie dumą fakt, że prawie każdy, kto używał monet spotykał się z pracą, w której miałem swój udział. Podołanie obowiązkom wymagało częstego sięgania także do literatury, stąd często korzystałem z szerokich i wartościowych zasobów biblioteki technicznej.

W czasie wolnym graliśmy w siatkówkę, rzadziej w piłkę nożną. Dosyć intensywnie angażowałem się w działalność i treningi sekcji strzeleckiej. Brałem też udział w wycieczkach technicznych, turystycznych, naradach i konferencjach naukowo-technicznych organizowanych przez Koło SITPH, (a właściwie z inicjatywy Pani Basi – Barbary Świeykowskiej). Cieszyłem się, że byłem zapraszany do pomocy w pracach organizacyjnych jak też do przygotowania i wygłaszania referatów naukowo-technicznych. Wyniki tych działań zbliżały mnie do szerokiego Kierownictwa Przedsiębiorstwa. Stały się też powodem mojego awansu na kierownika WBD (Wydziału Badawczo-Doświadczalnego) tworzonego w tym czasie w przemyśle metali nieżelaznych.

W tym czasie odbywała praktykę dyplomową w „Walcowni” między innymi śliczna Alicja, studentka Wyższej Szkoły Ekonomicznej z Katowic. Znajomość ta z koleżeńskim poziomem przerodziła się, dzięki wyprawom wspinaczkowym w Skałki, rajdom turystycznym a także wspólnym zainteresowaniem metodami matema-

tyczno-statystycznymi w mocniejsze uczucia potwierdzone zawarciem związku małżeńskiego. Po pokonaniu różnych trudności, dzięki temu, że pracowaliśmy razem w „Walcowni” przydzielono nam pokój w hotelu robotniczym w wydzielonej części dla małżeństw.

W rytm pracy zawodowej wplecione zostały specjalistyczne kursy i szkolenia do uczestnictwa, w których byłem delegowany, w tym na trzyletnie studia podyplomowe z ekonomiki przemysłu.

W styczniu 1968 roku przysła na świat nasza córka Elżbieta. Dzięki życzliwości Kierownictwa przydzielono nam niewielkie, mieszkanie w budynku zakładowym. Pojawiły się dodatkowe kłopoty z pogodzeniem pracy zawodowej z opieką nad dzieckiem. W rozwiązaniu tego problemu pomagała nam rodzina małżonki oraz moje siostry, najpierw Stacha, a później Teresa.

Niezależnie od podstawowych obowiązków związanych procesami technologicznymi, bardzo często byłem delegowany do uczestnictwa w specjalistycznych kursach i szkoleniach. Ukończyłem też trzyletnie studia podyplomowe z „Ekonomiki Przemysłu” w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach, macierzystej uczelni mojej małżonki.

W międzyczasie pojawiły się moje samodzielne publikacje w czasopiśmie naukowo-technicznym „Rudy i Metale”, zespołowe projekty racjonalizatorskie jak też zgłoszenia patentowe. Prawdopodobnie to było przyczyną, że włączony zostałem do współpracy z naukowcami uczelni technicznych w celu wspólnej realizacji zadań określonych planem postępu technicznego. Osiągane wspólnymi siłami korzystne wyniki badań były często przedmiotem wspólnych publikacji jak też wystąpień na konferencjach naukowo-technicznych. Efekty tej współpracy były powodem powierzania mi opieki nad przemysłowymi praktykami uczniów szkół średnich a w szczególności opieki nad studenckimi praktykami dyplomowymi. Powierzono mi też prowadzenie zajęć dokształcających z pracownikami ubiegającymi się o tytuł robotnika kwalifikowanego oraz mistrzami ubiegającymi się tytułu mistrza dyplomowanego.

Jedną z prac, z którą dotychczas nie można było sobie poradzić był brak niemożności osiągnięcia wartości współczynnika ugięcia produkowanych termobimetali na poziomie ofert z importu, a więc na znacznie wyższym poziomie. Dotychczasowe, szerokie badania z udziałem pracowników naukowych Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach mimo uzyskiwania zakresu zmienności składu chemicznego warstw w przedziałach zgodnych z normami zagranicznymi gwarantowały one tylko osiągnięcie tego współczynnika na poziomie przeciętnym, a więc nie zadowalającym odbiorców. Uporanie się z tym problemem przypadło mnie w udziale.

Wykorzystując bogatą dokumentację oraz odpowiednie statystyczne metody opracowania wyników jak też rozważania i obliczenia teoretyczne z wykorzystaniem obliczeń numerycznych znalazłem drogę do osiągnięcia sukcesu. Z otrzymanymi rezultatami moich badań pojechałem do Krakowa na AGH. Podobnie jak z wcześniejszymi badaniami o konsultację poprosiłem życzliwego Pana profesora Jerzego Rysia. Okazało się, wyniki badań obliczeniowych były zbieżne z wynikami eksperymental-

nymi, co pozwalało na osiągnięcie wyższego niż w ofertach zagranicznych współczynnika ugięcia. Po bardzo wnikliwej analizie przedstawionej dokumentacji Pan profesor stwierdził, że nie widzi żadnych uchybień praca jest na wysokim poziomie, merytorycznie bez zarzutu. Pogratulował mi znacznego rozszerzenia metodyki stanowiącej przedmiot jego wykładów podczas studiów. Na zakończenie wielogodzinnych konsultacji stwierdził, że otrzymane wyniki i poszerzony poziom wiedzy kwalifikują mnie do udziału w otwieranych na Wydziale Metalurgicznym 3-letnich Studiach Doktoranckich.

Z inicjatywy Pana profesora Jerzego Rysia zostałem zaproszony na Seminarium, na którym przed gronem profesorskim oraz pozostałymi pracownikami naukowymi przedstawiłem w formie referatu swoje wyniki badań, które wzbudziły szerokie zainteresowanie tak, co do użytych materiałów, technologii, metod badawczych, jak też wniosków. Zastosowana metodyka badawcza i sposób prezentacji znalazła uznanie także u Pana profesora Stanisława Gorczyca, Kierownika Studium Doktoranckiego, który z własnej inicjatywy przygotował polecające pismo do Dyrektora W. M. „Łąbędzy” o umożliwienie mi udziału w zajęciach. Do spełnienia wszystkich formalności konieczna była też zgoda Dyrektora Generalnego Zjednoczenia, którą osobiście otrzymałem.

Po ukończeniu miesięcznego kursu dla rezerwy kadrowej ministerstwa w CODKK (Centralny Ośrodek Doskonalenie Kadr Kierowniczych) w Warszawie, w październiku 1969 roku rozpoczęły się zajęcia w ramach Studium Doktoranckiego, w których uczestniczyło ponad 30 osób z całego kraju, głównie z ośrodków przemysłowych. Zajęcia odbywały się w piątek i sobotę, na które dojeżdżałem w każdy dzień z Gliwic do Krakowa i z Krakowa do Gliwic. Wyjeżdżałem wówczas rano o 4,30 a wracałem późnym wieczorem do Gliwic. Mimo znacznych utrudnień staraliśmy się uczestniczyć we wszystkich zajęciach ze względu na sposób i zasób przekazywanej wiedzy.

Warunkiem otwarcia przewodu doktorskiego, poza pozytywnym wynikiem egzaminów było wyrażenie zgody przez delegujące przedsiębiorstwo na zaproponowany temat rozprawy. Temat mojej rozprawy dotyczył, mówiąc bardzo ogólnie, problemu termobimetalu, który ciągle wzbogacałem nowymi metodami badawczymi oraz zdobytą wiedzą podczas Studiów Doktoranckich. Pod koniec Studiów Doktoranckich, już po zdaniu egzaminów końcowych. Kierownik studiów zwrócił się do mojego pracodawcy o zatwierdzenie proponowanego tematu pracy, który był wcześniej uzgodniony. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy przyszła odpowiedź, że niestety temat jest nie aktualny ze względu na przekazanie tej produkcji w ramach specjalizacji RWPG do NRD. Przygotowaną rozprawę wsadziłem do pieca...

Dla „osłody” awansowano mnie w 1972 roku na stanowisko Szefa Produkcji przedsiębiorstwa, chyba z myślą, aby mi doktorat wywietrzał z głowy. Rzeczywiście, praca na tym stanowisku pochłaniała mi ogromną ilość czasu, lecz pozwalała zbliżyć się do newralgicznych problemów decydujących o losach całego przedsiębiorstwa. W działalności tej przeplatały się zagadnienia obejmujące wiedzę z różnych dziedzin nauki, doświadczenie, ekonomikę produkcji, sprawy ludzkie, organizację i zarządza-

nie, przepisy prawne itp., na wierzchołku, których postawiona była odpowiedzialność osobista. Duże znaczenie posiadała także umiejętna i efektywna współpraca z odbiorcami krajowymi i zagranicznymi.

Dużo korzyści i nowej wiedzy oraz doświadczenia wносиła moja współpraca z Centralą Handlową Metali Nieżelaznych, a szczególnie z Centralą handlu zagranicznego „Impexmetal”. Owocem tych kontaktów była wizyta techniczno-handlowa w Szwajcarii w 1973 roku (*Metaux Precieux, Microtube, Castolin-Eutectic*). Ta wizyta pozwoliła mi na zorientowaniu się jaki dystans naukowy i techniczny nas dzieli. Właściwie od tego momentu zaczął się mój szeroki kontakt ze „światem”. Konfrontacja ta pozwoliła mi ukierunkować moje zainteresowania zawodowe. Dużo też skorzystałem podczas wizyty techniczno-handlowej zakładów *Csepel* w Budapeszcie.

Rosnące zapotrzebowaniem na półwyroby z miedzi chromowej w głównej mierze importowane z zachodu stanowiło nowe wyzwanie. Podołanie zapotrzebowaniu na te półwyroby wymusiło konieczność uruchomienia prac naukowo-badawczych, których realizację powierzono mojej osobie. Podstawowe badania wykonywałem w oparciu o wysokiej jakości i na światowym poziomie aparaturę badawczą Instytutu Metali Nieżelaznych oraz konsultacje z naukowcami z AGH w Krakowie. Tematyka ta mieściła się też w Programie Rządowy (PR2), stanowiąc źródło finansowania badań. W tę tematykę włączonych zostało kilka ośrodków naukowych.

W grudniu 1974 roku nasza rodzina powiększyła się o syna Adama, w którego opiekę i wychowanie chętnie się angażowałem.

Kierowanie produkcją przedsiębiorstwa, uczestnictwo w kolejnych ogólnopolskim szkoleniu (1975r.) dla rezerwy kadrowej przemysłu utrudniało prowadzenie badań naukowych i licznych prób przemysłowych. Wyniki moich badań były prezentowane podczas międzynarodowej konferencji „*Copper’77*”. Posumowanie tych badań zawarte zostało w rozprawie doktorskiej (promotor prof. J. Ryś), którą obroniłem na Wydziale Metalurgicznym AGH w Krakowie w 1977 roku uzyskując stopień doktora nauk technicznych.

Dużo wysiłku wymagało łączenie badań naukowych z kierowaniem na bieżąco produkcją zakładu, naradami, wyjazdami do odbiorców, kontaktami z Centralami handlowymi, bieżącymi operatywkami etc. Sporo kłopotów sprawiało uzyskiwanie wysokiej jakości dla półwyrobów przeznaczonych do wytwarzania monet obiegowych, okolicznościowych oraz numizmatycznych. Bardzo wysokie wymagania jakich żądała Mennica Państwowa zmuszało do ciągłego usprawniania procesu technologicznego. Szczególnym zadaniem, którym kierowałem było wykonanie odpowiedniej ilości o wysokiej jakości pasów ze stopu srebra, które były użyte do wytwarzania monet okolicznościowych z wizerunkiem Ojca Świętego Jana Pawła II. W efektywnym wywiązaniu się z tego zadania bardzo mi pomogło zdobyte doświadczenie ze współpracy z *Metaux Precieux* z Neuchatel w Szwajcarii jak też bieżące śledzenie doniesień literaturowych.

Rosnąca skala produkcji półwyrobów ze srebra oraz pojawiające się trudności jakościowe i ilościowe zmuszały mnie do stworzenia hipotetycznej koncepcji utworze-

nia niewielkiego wydziału poświęconego tej produkcji. Widziałem w mojej wyobraźni linie technologiczne, urządzenia produkcyjne, aparaturę analityczną i badawczą, marzenia, które się stały moją obsesją. Pomysł budowy takiego niewielkiego wydziału przemyciłem do rozważenia podczas roboczego spotkania z przedstawicielami wyższego szczebla. Zastanawiano się do którego przedsiębiorstwa udałoby się ten pomysł wszczepić. Do zgłaszanych pomysłów było wiele za i przeciw. Zniecierpliwiony przedłużającą się dyskusją zaproponowałem, że znam takie miejsce, gdzie ta produkcja doskonale by się przyjęła, to jest Łącko nad Dunajcem. Po chwilowej konsternacji poproszono mnie abym ten pomysł uzasadnił. Uczyniłem to z przekonaniem. Zrobiło się cicho. Ktoś wyrażał wątpliwość czy władze lokalne, ze względu na brak tradycji, zechcą się zaangażować. Gdzieś tam, po drodze propozycja została wygaszona.

Działalność zawodowa, naukowa, publikacyjna, aktywne uczestnictwo w konferencjach spowodowały, że panowie prof. Józef Zasadziński i prof. Andrzej Korbel z Wydziału Metali Nieżelaznych AGH, z którymi współpracowałem zwróciło się do Dyrektora Generalnego Zjednoczenia o służbowe przekazanie mojej osoby na Wydział Metali Nieżelaznych. Sprawę skomplikowało stanowisko pana prof. Jana Golonki, posła na Sejm, Dyrektora Naukowego IMN w Gliwicach, który chciał abym zasiłił szeregi naukowców IMN. W efekcie tych działań przeniesiony zostałem służbowo z WM „Łabędy” do IMN Gliwice z dniem 1 kwietnia 1979 roku.

„Okno” na świat

Zatrudniony zostałem w IMN na stanowisku kierownika pracowni walcownictwa w Zakładzie Technologii Przetwórstwa Metali, którym kierował Pan prof. Zbigniew Misiołek (recenzent mojej pracy doktorskiej). W 1980 roku wydelegowany zostałem do udziału w międzynarodowej konferencji walcowniczej w Sofii w Bułgarii z własnym referatem. Program konferencji umożliwiał wizytę w zakładach przetwórczych „Ganeva” w Sofii, z której skorzystałem wzbogacając swoją wiedzę i doświadczenie.

W krótkim czasie awansowałem na zastępcę kierownika zakładu, a po przejściu pana prof. Zbigniewa Misiołka na stanowisko Dyrektora naukowego IMN, zostałem kierownikiem tego Zakładu. Z tym awansem związane było powierzenie mi koordynowania fragmentu tematyki badawczej objętej Programem Rządowym (PR2) a później Centralnym Programem Badawczo Rozwojowym (CPBR). Nowy zakres obowiązków obfitował w częste kontakty z placówkami naukowo-badawczymi, uczelniami, jednostkami PAN a głównie z ośrodkami przemysłowymi. Sprzyjało to przyswajaniu nowych metod badawczych oraz umiejętności posługiwania się współczesną aparaturą naukowo-badawczą (mikroskopia świetlna, transmisyjna i skaningowa mikroskopia elektronowa, rentgenografia, mikroanaliza składu chemicznego itp.). Również zakłady przemysłowe wyposażały się w nowoczesne i kapitałochłonne urządzenia produkcyjne pozwalające na rozszerzanie skali produkcji jak też zapewnianie jej wysokiej jakości. Troska o rozszerzenie opłacalnego eksportu była stymulatorem tematyki badawczej obejmującej zarówno pozyskiwanie surowców, hutnictwo oraz przetwórstwo

metali nieżelaznych. Podjęte działania sprzyjały poszerzaniu kontaktów i współpracy międzynarodowej.

Ważną tematyką, którą kierowałem przez wiele lat w trybie specjalnym było opracowanie nowego krajowego ciągu monet. Tematyka ta była realizowana we współpracy IMN Gliwice z Mennicą Państwową, Skarbcem Emisyjnym NBP, WM „Łabędy” oraz WM „Dziedzice” a powiązana była z wytycznymi Konferencji Dyrektorów Mennic. Problem polegał między innymi na opracowaniu nowych stopów trudnych do podrobienia i przydatnych do automatów kasujących a przy tym spełniające wysokie wymagania jakościowe i nie kolidujące z istniejącymi stopami i ciągami monet stosowanych w świecie. Innym, bardzo ważnym zagadnieniem było określenie ilości poszczególnych monet potrzebnych do dokonywania najróżnorodniejszych transakcji, co było bezpośrednio związane z określeniem niezbędnego zapotrzebowania na krążki przeznaczone do bicia monet. Końcowym efektem tych prac było wybranie jednego z kilkudziesięciu zaproponowanych wariantów ciągu monet, który aktualnie jest w obiegu. O doborze stopów zadecydowały nie znane mi powody.

W listopadzie 1982 roku wydelegowany zostałem razem z dyrektorem WM „Dziedzice” Panem mgr inż. Kazimierzem Tatarzyńskim oraz Projektantem BP ”Bipromet” Panem mgr inż. Januszem Stolarskim do rozeznania możliwości współpracy naukowo-technicznej z odpowiednimi ośrodkami w Chinach. Poza rozmowami i kontaktami



Chiny, listopad 1982 r.

z odpowiednimi specjalistami zajmującymi się metalami nieżelaznymi i szlachetnymi w Pekinie mieliśmy też możliwość zwiedzenia dwu przodujących przedsiębiorstw a to „Shenyang Non-Ferrous Metals Factories” oraz „Laoyang Non-Ferrous Metals Plants”. Te spotkania, wizyty i rozmowy przynosiły obopólne korzyści. Dużym zaskoczeniem było dla mnie, kiedy jeden z Dyrektorów oświadczył, że moje publikowane za granicą prace są im znane i pokazał mi tłumaczenie naszego artykułu w „Blech Rohre Profile” na język chiński. Okazało się, że na wysokich szczeblach zarządzania było kilku absolwentów różnych Wydziałów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, w tym Wydziału Metalurgicznego, których poznałem podczas moich studiów. Po przełamaniu „lodów” nasze dyskusje stały się

bardziej otwarte, chętnie dzielili się z nami swoimi sukcesami jak też i trudnościami. Ich problemy techniczne niewiele się różniły od naszych. Umożliwiono nam zapoznanie się ze stanem technicznym ich parku produkcyjnego, organizacją procesów

produkcyjnych, jak też z ich własnymi konstrukcjami urządzeń. Wracaliśmy do kraju bogatsi o nowe doświadczenia i wiedzę a także z przyrzeczeniami dalszej, bardziej zogniskowanej współpracy, co w niedalekiej przyszłości zostało potwierdzone.

Pogoń za zdobywaniem dewiz nie ominęła także Instytutu, który zaangażował się wspólnie z przedsiębiorstwem „*Polservis*” w szkolenie kilkudziesięciu irackich inżynierów i techników w zakresie przetwórstwa metali nieżelaznych. Miała to być kadra dla budującego się tam nowego zakładu, który wyposażała w technologię i urządzenia firma z Austrii. Szkolenie obejmowało zarówno zagadnienia teoretyczne jak i prak-



Irak, Babilon

tyczne. W tym celu opracowane zostały pomoce naukowe w języku angielskim w formie skryptów, a zajęcia praktyczne odbywały się w krajowych przedsiębiorstwach przemysłu metali nieżelaznych. Do moich obowiązków poza normalną pracą należało opracowanie skryptu z walcownictwa, prowadzenie wykładów z tego przedmiotu oraz nadzór i opieka na szkoleniem

w przedsiębiorstwach przemysłowych. Zajęcia te, ze względów organizacyjnych nie odbywały się codziennie, realizowane były w oparciu o uzgodniony harmonogram z przedsiębiorstwami. Z różnych przyczyn szkolenie to było rozciągnięte w czasie na okres dwóch lat. Zakończenie szkolenia powiązane było z terminem przekazania do eksploatacji poszczególnych wydziałów budowanego zakładu. Posiadany kontrakt obejmował także zatrudnienie polskich specjalistów w Iraku w ramach „*technical asistance*”. Tak się też stało. Pierwsza duża grupa polskich specjalistów wyjechała do Iraku w przewidzianym terminie, którą po pewnym czasie uzupełniano o nowych specjalistów, względnie zastępowano wracających do kraju. Trzeba przyznać, że był to okres bardzo niespokojny, trwała wojna Iraku z Iranem, a wybudowany zakład na pustyni zajmował się produkcją materiałów dla potrzeb wojskowych. W październiku 1985 roku, po załatwieniu całego szeregu formalności, samolotem PLL „*LOT*” przyleciałem połowie nocy do Bagdadu. Po odbyciu odprawy, w hallu lotniska spotkałem kolegę, który przyjechał, aby mnie przywieźć na miejsce, odległe od lotniska o około 120 km. Obok zakładu otoczonego rozległą pustynią wybudowane zostały baraki, w których byli zakwaterowani obcokrajowcy (Austriacy, Niemcy, Anglicy, Filipińcy, Jugosłowianie i Polacy). Polską grupę stanowili specjaliści promowani przez IMN Gliwice oraz Mostostal. Grupa ta obejmowała operatorów urządzeń produkcyjnych z przemysłu metali nieżelaznych (wytapiacze, walcownicy, ciągnące, piecowi, operatorzy pras hydraulicznych) specjalistów utrzymania ruchu (mechanicy, elektrycy, elektrycy) oraz pracowników naukowo-badawczych, wspierających skutecznie wdraża-

nie technologii. Iracka kadra inżynierska była mi znana z zajęć, które prowadziłem z nimi w Polsce. Stąd bardzo często zwracali się do mnie o pomoc w rozwiązywaniu bieżących problemów. Był to czas rzetelnej konfrontacji posiadanej wiedzy i doświadczenia z konkretnymi warunkami produkcyjnymi oraz konkurencją specjalistów zagranicznych. Mimo złożonej sytuacji panującej w Iraku udało nam się zwiedzić wiele historycznych miejsc i doświadczyć bezpośrednich kontaktów z miejscową ludnością. Niezatarłe wrażenia zostawiło we mnie bezpośrednie zderzenie fizyczne i duchowe z pustynią. Stosownie do przyjętej konwencji ten ciekawy i czasami bardzo dramatyczny wątek iracki zostawiam w zawieszeniu. Długa rozłąka z małżonką i dziećmi oraz narastające napięcia w Iraku były powodem moich starań o powrót do domu. Po pokonaniu najróżnorodniejszych przeszkód wreszcie otrzymałem wyjątkowo „*re-entry wisa*”, co umożliwiło mi powrót do kraju. Ale i ten lot był z przeszkodami. Z Bagdadu do Warszawy, samolot PLL „LOT” odleciał punktualnie. Coś jednak się wydarzyło, bo lądowaliśmy awaryjnie w Bułgarii i po wielu kłopotach innym samolotem (turbośmigłowiec) ze znacznym opóźnieniem wylądowaliśmy w Warszawie. Niechciałem czekać wiele godzin na połączenie kolejowe do Gliwic, pomyślałem, stać mnie i przyjechałem taksówką do domu. Po radosnym powitaniu i wielogodzinnym odsypianiu okazało się, że w tym czasie, kiedy lecieliśmy do Warszawy uległa katastrofie elektrownia jądrowa w Czarnobylu.

Po kilkudniowym odpoczynku wróciłem do pracy w Instytucie. Niedługo po tym wydelegowany zostałem do wzięcia udziału w kilkudniowej, międzynarodowej konferencji „Metals Engineering’86” w Birmingham w Anglii, w której uczestniczyli: przedstawiciel CIE „Impexmetal” oraz dyrektor „ZAMET” Strzybnica. Dzięki temu pobytowi mogliśmy się zapoznać z nowoczesnymi maszynami i urządzeniami prezentowanymi podczas targów. Szczególne moje zainteresowanie wzbudziło urządzenie do ciągłego odlewania metali nieżelaznych i szlachetnych prezentowane przez Szkocką firmę „Rautomead”.

W związku z prowadzonymi pracami na wytwarzaniu podkładek katodowych dla Wydziałów Elektrorefinacji Huty „Głogów” na początku wiosny 1987 roku uczestniczyłem łącznie z przedstawicielem CIE „Impexmetal” w pracach odbiorowych szerokoformatowych, polerowanych blach miedzianych przeznaczonych dla KGHM w firmie Hidrisch-Aufermann (Niemcy). Dzięki uprzejmości i pomocy Kierownika FLT Metal w Dusseldorfie umożliwiono mi zapoznanie się z procesem wytwarzania szerokoformatowych blach miedzianych w Kabelmetalwerke Osnabruck (Niemcy).

Te dwa wyjazdy służbowe umożliwiły mi zapoznanie się z kierunkami rozwojowymi w przemyśle metali nieżelaznych jak też z najnowocześniejszym wyposażeniem produkcyjnym i aparaturą naukowo-badawczą. Zaowocowało to usprawnieniem naszych własnych technologii, co zostało udokumentowane Nagrodą Ministra.

Na początku grudnia 1987 roku brałem czynny udział w międzynarodowej konferencji „Copper Forum II”, „Business and Technology Symposium”, które odbyło się w Bombaju (Indie). Wspólnie z mgr inż. Piotrem Sychą przedstawicielem BP „Bipromet” prezentowaliśmy osiągnięcia naukowo-badawcze i projektowe związane

z przemysłem miedziowym. Swoje osiągnięcia przedstawiał też przedstawiciel firmy „Rautomead”, dzięki czemu mogłem uzyskać nowe, niezbędne informacje o procesie i urządzeniach do ciągłego odlewania. W kuluarach Sympozjum prowadziliśmy dyskusje z innymi twórcami współczesnych technologii, w tym także z przedstawicielem



Indie - Bombay 1987. Sympozjum

firmy „Outocumpu” z Finlandii, z którą to firmą nasz Instytut ściśle współpracował.

Uczestniczyliśmy też czynnie w Sympozjum organizowanym przez nasz Konsulat w Bombaju w ramach polsko-hinduskiej izby handlowej. Dzięki tym kontaktom zwiedziliśmy jeden z zakładów zajmujący się łożysk ślizgowych dla kolejnictwa metodą odlewania odśrodkowego. W rozmowach ze specjalistami hinduskimi

pojawiło się ich zapytanie o możliwość dostarczania do Indii krystalizatorów ze stopu miedzi niezbędnych dla procesów ciągłego odlewania stali. Dokonane po przyjeździe rozeznanie krajowych możliwości nie pozwoliło na podjęcie tej opłacalnej produkcji. Głównym powodem rezygnacji była konieczność utworzenie ścisłych powiązań kooperacyjnych, co nie gwarantowało powodzenie temu przedsięwzięciu.

Nawiązane kontakty z firmą „Rautomead” zaowocowało złożeniem zamówienia przez IMN na wykonanie prób kilku stopów na osnwie miedzi i srebra. Próby te były prowadzone w 1989 roku w firmie „Rautomead” oraz w Dundee Institute of Technology w Szkocji z naszym udziałem, w których to próbach uczestniczyłem. Z wynikami naszych badań zapoznaliśmy specjalistów z Mennicy Państwowej, z którymi kontynuowaliśmy wieloletnią ścisłą współpracę. Osiągnięte rezultaty utwierdziły kierownictwo Mennicy Państwowej w podjęciu decyzji o zakupie takiej linii.

Prowadzone badania nad stopami miedzi do szczególnych zastosowań oraz zebrane wyniki tych badań były przedmiotem mojej prezentacji podczas międzynarodowej konferencji „Copper’90”, która odbyła się Vasteras w Szwecji. W ramach tej konferencji wizytowaliśmy przodujące zakłady przemysłu przetwórczego metali nieżelaznych. Była to wspaniała okazja do zapoznania się z najnowszymi technologiami, urządzeniami jak też organizacją produkcji. Podczas tej konferencji spotkałem wielu wcześniej poznanych specjalistów zagranicznych. Nasze wyniki badań, które przedstawiliśmy wzbudziły zainteresowanie wielu firm zagranicznych. Między innymi zostaliśmy zaproszeni w 1991 do Francji (Paryż oraz firma *Le Bronze Industrielle* w Supisse) w celu wymiany doświadczeń w zakresie technologii i wyposażenia produkcyjnego dla wyrobów ze stopów metali nieżelaznych o szczególnych własnościach.

Prowadzone od kilku lat, wspólnie z Mennicą Państwową i Instytutem Nawozów Sztucznych w Puławach, prace nad stopami platyny, przeznaczonymi do procesu katalitycznego utleniania amoniaku, implementowane w Zakładach Azotowych w Tarnowie, Puławach, Włocławku oraz Kędzierzynie, przynosiły zadawalające, a nawet konkurencyjne wyniki w odniesieniu do produjących firm zachodnich i stanowiły zachętą do konfrontacji na forum międzynarodowym. Wykorzystaliśmy szansę prezentując nasze wyniki badań w USA i Kanadzie na Precious Metals Conference, które organizowane były przez *International Precious Metals Institute (IPMI)* w: Newport (Rhode Island) w 1993 roku, w Vancouver w Kanadzie w 1994 roku oraz w Newport Beach (Kalifornia) w 1996 roku. Przedstawione tam nasze osiągnięcia znajdowały uznanie i były przedmiotem różnych wyróżnień. W latach 1993 i 1994 uczestniczyłem w kilkudniowych wyjazdach do The Institute of Materials w Londynie poświęconym



*International Precious Metals Conference, Vancouver Canada
1994 r. Spotkanie z Panem Prezesem Tanaka – Japonia*

naradom roboczym związanym z przygotowaniem kolejnej międzynarodowej konferencji poświęconej miedzi. Nawiązane kontakty podczas międzynarodowych konferencji organizowanych przez *IPMI* zaowocowały zakupem do IMN Gliwice systemu termowizyjnego *INFRATERICS* nieocenionej aparatury do pomiaru rozkładów temperatury na badanych obiektach, tak w ujęciu statycznym jak i dynamicznym.

Z zakupem tym związane było szkolenie w zakresie termografii w Billerica (Massachusetts – USA) w 1996 roku. W tym samym roku uczestniczyłem w kilkudniowych spotkaniach roboczych w Anglii i Szkocji, jako konsultant Fabryki Przewodów Nawojowych w Będzinie.

We wrześniu 1996 roku, w wieku 77 lat odeszła do Pana nasza ukochana Mama. Powstała pustka, której nie dało się niczym wypełnić. Brakowało nam i dalej brakuje Jej ciepła, pogody ducha, niepojętej życzliwości ...

Nowa i niespodziewana sytuacja rodzinna była przyczyną zagłębienia się w badania naukowe. Powstało w tym czasie wiele nowych opracowań, patentów i publikacji. Zacieśniły się moje kontakty z kolegami i naukowcami z AGH w Krakowie, szczególnie z zespołem Pana prof. Andrzeja Korbla, w który jednym z filarów był Łąckowianin, mój młodszy kolega Pan prof. Henryk Dybiec. W naszych dyskusjach z Henrykiem bardzo często pojawiał się temat: „co możemy uczynić dobrego dla Łącka i okolic?”. Rozważaliśmy różne możliwości mniej i bardziej realne. Ponieważ wielu Łąckowian szło naszą „ścieżką” (technikum, studia, praca w WM „Łabędy” oraz w innych zakła-

dach przetwórczych) zamierzaliśmy nasze przemyslenia im zaszczepić, co udawało się z różnym zresztą skutkiem. Tak, czy inaczej, jakieś ziarno zostało posiane.

Zainteresowanie, jakie wywołały nasze prace i wystąpienia podczas międzynarodowych konferencji organizowanych przez IPMI w USA i Kanadzie zachęciło nas do czynnego udziału w Wire Expo 2000 w Nashville (TN USA). Przedstawiony tam referat poświęcony wytwarzaniu super cienkich drutów ze stopów platyny z rodem przeznaczonych do procesów katalitycznego utleniania amoniaku został bardzo ciepło przyjęty, a jego publikacja w *Wire Journal International* w 2001 roku została uhonorowana przez Wire Associations International nagrodą za najlepszy artykuł z dziedziny metali nieżelaznych. Nagroda ta została nam wręczona podczas kolejnego Wire Expo 2001, które odbyło się w Atlancie w 2001 roku. W tym też roku uczestniczyłem czynnie w międzynarodowej konferencji poświęconej miedzi i jej stopom (Brass – Material, Challanges and Future Needs) organizowanej przez Swedish Institute for Metals Research (SIMR) w Sztokholmie.

Prowadzone wieloletnie badania nad stopami platyny przeznaczonymi do zastosowań w wysokiej temperaturze zebrałem w postaci monografii, która była przedmiotem mojej rozprawy habilitacyjnej na Wydziale Metali Nieżelaznych Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, którą obroniłem w listopadzie 2002 roku.

Część wyników badań zawartych w mojej rozprawie habilitacyjnej przedstawione zostały w 2003 roku na międzynarodowej konferencji Advances in Materials and Processing Technology w Dublinie w Irlandii. Na tej konferencji spotkałem, między innymi znanego mi wcześniej Pana prof. Leszka Dobrzańskiego, Dyrektora Instytutu Materiałów Inżynierskich i Biomedycznych Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach, który imponował mi swoim niezwykle zaangażowaniem w wygłaszanie referatów, prowadzenie sesji, rzeczowy udział w dyskusjach i promienną serdecznością. Zaskoczył mnie propozycją zatrudnienia w swoim zespole. No cóż, moja mogła być jedna, może w przyszłości...

Prowadzenie zajęć ze studentami proponował mi recenzent mojej rozprawy habilitacyjnej Pan prof. Marek Hetmańczyk, kierownik Katedry Nauki o Materiałach Politechniki Śląskiej w Katowicach. Po otrzymaniu zgody Dyrektora IMN Pana prof. Zbigniew Śmieszka zaczęła się w październiku 2003 roku moja nowa przygoda. Zajęcia, które prowadziłem ze studentami piątego roku, ze względu na moją pracę w IMN odbywały się co dwa tygodnie (4 godziny lekcyjne). Pewnym utrudnieniem były dojazdy z Gliwic do Katowic. Muszę przyznać, że te zajęcia dawały mi dużo radości, kiedy widziałem, że wiedza i doświadczenie przemysłowe, które przekazuję jest rozumiane i przyjmowane. Wspólnie z Kierownictwem HMN „Szopienice” prowadzone były co roku na terenie przedsiębiorstwa warsztaty naukowo-techniczne, w których brali udział studenci oraz kadra inżynierska Huty. Ta forma zajęć wносиła wiele korzyści tak dla studentów jak i pracowników przedsiębiorstwa. Referaty, które przygotowywali studenci były konfrontowane z wystąpieniami kadrowych przedstawicieli przedsiębiorstwa. Te dwa skrajne spojrzenia, teoretyczne i praktyczne zaczęły

się w kolejnych latach zacierać. Nauka i praktyka przenikały się w obie strony, nawiązywały się przyjazne kontakty.

Mimo zajęć ze studentami moja podstawowa praca nie ponosiła uszczerbku, realizowane projekty badawcze, a w ich wyniku wdrożenia nowych rozwiązań do praktyki przemysłowej, przebiegały bez zakłóceń. Pojawiła się nowa tematyka obejmująca nano materiały oraz nano technologie i była powodem mojego uczestnictwa w 2004 roku w międzynarodowej konferencji i targach „Nanofar” w Karlsruhe w Niemczech. Na początku roku 2005 ogłoszony został konkurs na stanowisko profesor nadzwyczajnego w Instytucie Materiałów Inżynierskich i Biomedycznym Politechniki Śląskiej, w którym po konsultacjach z Panem prof. L. Dobrzańskim wziąłem udział. Związane to było z koniecznością zatrudnienia w tym Instytucie, na co otrzymałem zgodę Pana prof. Zbigniewa Śmieszka, Dyrektora IMN.

W efekcie porozumienia stron rozpocząłem pracę na Politechnice w Gliwicach w marcu 2005 roku. Dzięki Studiom Doktoranckim uruchomionym na Politechnice Śląskiej w Katowicach, Rada Wydziału Inżynierii Materiałowej i Metalurgii zatwierdziła moją osobę jako promotora dwóch rozpraw doktorskich. Tak więc był to okres wytężonej pracy i zajęć ze studentami w Katowicach, Gliwicach, doktorantami nie wspominając o podstawowej mojej pracy w Instytucie Metali Nieżelaznych.

Regularnie też uczestniczyłem aktywnie w konferencjach międzynarodowych organizowanych w Polsce. W 2007 roku brałem udział w międzynarodowej konferencji *Advances in Materials and Processing Technology* w Las Vegas USA.

Nadmiar intensywna praca odbiła się niekorzystnie na stanie mojego zdrowia. We wrześniu 2007 roku wszczepiono mi stent w jedną tętnicę wieńcową w Śląskim



2010 r. Nominacja profesorska z prezydentem Bronisławem Komorowskim, żoną Alicją i synem Adamem

Centrum Chorób Serca w Zabrzu, a w grudniu kolejny stent w drugą tętnicę wieńcową. Spowodowało to zmianę mojego zatrudnienia w IMN na ½ etatu.

W 2008 roku wypromowałem jednego doktora przed Radą Wydziału Inżynierii Materiałowej i Metalurgii Politechniki Śląskiej w Katowicach a drugiego przed tą samą Radą w 2009 roku. Byłem też członkiem Komitetu Organizacyjnego *International Ma-*

terials Syposium IMSP-2008, IMSP-2010 i IMSP-2012 w Denizli w Turcji.

W 2009 roku wydana została moja książka „Miedź stopowa”, która wraz z zebrany dorobkiem stanowiła podstawę do wystąpienie przez Radę Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach o nadanie tytułu profesora

nauk technicznych. W wyniku obowiązujących procedur tytuł ten otrzymałem z rąk Prezydenta Polski, Pana Bronisława Komorowskiego w październiku 2010 roku.

W 2012 roku wypromowany został przed Radą Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Śląskiej wypromowany mój trzeci doktor. Zebrany dorobek naukowy, organizacyjny i dydaktyczny zaowocował przyznaniem mi w 2013 roku tytułu profesora zwyczajnego Politechniki Śląskiej.

Moją pracę na Politechnice Śląskiej zakończyłem 31 marca 2014 roku przechodząc na emeryturę. Pracuję natomiast dalej na ½ etatu w Instytucie Metali Nieżelaznych w Gliwicach.

Moją drogę z „Łącka w świat” chciałbym zamknąć syntetycznie danymi liczbowymi, a mianowicie:

- Opublikowałem 142 artykuły, z czego:

 - Lista filadelfijska obejmuje: 21 artykuły, 95 cytowań, indeks Hirsha $h = 6$

 - Google Scholar Citations: 135 artykułów, 555 cytowań, indeks Hirsha $h = 12$

 - Research Gate: 77 artykułów, RG score = 14,35, Impact points = 12,30,

 - Herzing's Publish or Perish: 258 cytowań, indeks Hirsha $h = 8$,

- wygłosiłem 70 referatów,

- otrzymałem 44 świadectwa patentowe (rozpatrywaniu jest 9 zgłoszeń patentowych),

- wykonałem 232 opracowania naukowo-badawcze dla przemysłu,

- wdrożono do praktyki przemysłowej 39 opracowań,

- byłem promotorem 86 prac dyplomowych magisterskich, 39 prac dyplomowych inżynierskich i 3 rozpraw doktorskich,

- napisałem 11 recenzji prac doktorskich, 10 recenzji rozpraw habilitacyjnych oraz 2 recenzje „profesorskie”.

Ponadto otrzymałem wiele nagród i wyróżnień, posiadam członkostwo naukowych organizacji krajowych i zagranicznych, etc.

Kilka słów na zakończenie

Właściwie, na zakończenie wypadałoby zadać sobie pytanie o cel tej retrospekcji. Podstawowym moim imperatywem było coś w rodzaju podziękowania i okazania wyjątkowego szacunku moim Rodzicom, rodzeństwu, nauczycielom i wychowawcom, duchowieństwu. Składałem serdeczne podziękowania za nieocenioną pomoc mojej małżonce Alicji, dzieciom Elżbiecie i Adamowi wraz z ich rodzinami a także wszystkim wspierałym i życzliwym mieszkańcom Łącka i okolic. Ilekroć wracam w te strony nie mogę się nacieszyć pięknym krajobrazem, uśmiechniętymi obliczami miejscowej ludności. Smuci trochę powolny rozwój infrastruktury gospodarczej, stanowiącej dodatkowe źródło utrzymania, szczególnie dla młodych i odpowiednio wykształconych

Łąckowian. Taką możliwość upatrywałem w uruchomieniu wysoce wartościowych półwyrobów ze srebra i jego stopów. Warunki są bardzo sprzyjające, bo wynikają z ciągłego i rosnącego zapotrzebowania na takie wyroby. Drugim korzystnym elementem jest rosnąca cena. Rocznie na świecie produkuje się srebra pierwotnego około 19 tysięcy ton, a zapotrzebowanie przekracza ponad 30 tysięcy ton. W krajach o wysokim rozwoju gospodarczym prawie połowę zapotrzebowania zużywa się na cele przemysłowe. Polska produkuje około 1300 ton tego kruszcu, z czego bardzo niski procent przeznaczona się na cele przemysłowe (głębokie przetwórstwo). Czołowy światowy producent srebra KGHM Polska Miedź SA prawie całą swoją produkcję gąsek i granulek srebrnych, a więc o minimalnym stopniu przerobu, eksportuje. Aby zmienić ten niekorzystny kierunek należałoby uruchomić produkcję bardziej przetworzoną i na najwyższym poziomie światowym. To jest możliwe. Uruchomienie takiej produkcji wymaga niewielkiego terenu, czystej wody, świeżego powietrza oraz zdolnej, wykształconej i niewielkiej kadry pracowniczej, której w Łącku i okolicach nie brakuje. To na początek. Najgorzej zacząć. Jakie korzyści by to przyniosło dla Łącka i okolic myślę, że bez trudu można sobie wyobrazić, a nawet wyliczyć. Proszę się przyjrzeć ile Myślenice skorzystały z obecności Telefoniki. Może byłoby łatwiej wybudować szpital? sanatorium? szkoły? hotel?, basen?. Młodym życzę aby się nigdy nie zniechęcali, bo zniechęcenie jest najgorszą przegraną człowieka.

Gliwice 10.10.2014





2013年台北國際發明暨技術交易展
2013 TAIPEI INT'L INVENTION SHOW & TECHNOMART

發明人：Instytut Metali Niezależnych

之

參展作品：Method for production of Cu-Nb multifibre composites

榮獲「2013年台北國際發明暨技術交易展」—發明競賽

銀牌獎

特頒此狀，以茲表揚

發明競賽評審委員會主任委員

2013年9月28日於臺北市

The Silver Medal Award is presented to

Product : Method for production of Cu-Nb multifibre composites

In recognition for the invention of

Inventor : Instytut Metali Niezależnych

2013 Taipei International Invention Show & Technomart
Invention Contest

Award Committee Chair

September 28, 2013, Taipei City



SPECIAL AWARD

This is awarded to

Wojciech GLUCHOWSKI, Justyna DOMAGALA-DUBIEL, Joanna SOBOTA,
Jerzy STOBRAWA, Zbigniew RDZAWSKI, Krzysztof MARSZOWSKI

for

Method for production of Cu-Nb multifibre composites

*in 16th Moscow International Salon of Inventions
and Innovation Technologies 《Archimedes》*

April 02 - April 05, 2013

Chinese Innovation & Invention Society (TAIWAN)

CIIS

Mr. Wu Kou-Chen, President of CIIS

April 5, 2013



Salonul Național al Cercetării și Inovării

BACĂU 2013



DIPLOMĂ DE EXCELENȚĂ

Se acordă:

Instytut Metali Niezelaznych

pentru activitatea de cercetare și inventică.

19-21 SEPTEMBRIE 2013

O MINTECREATIVĂ E MEREU TÂNĂRĂ!

Președinte Juriu

Prof.univ.dr.ing. Gheorghe STAN

Co - organizatori:



Camera de Comerț și Industrie BACĂU



Forumul Inventatorilor Români - Filiala BACĂU

Pomiędzy historią naszej Ojczyzny a historią Gruzji istnieją pewne podobieństwa: walka z przemocą potężnego sąsiada o podstawowe prawa jednostki i narodu – o prawo do wolności i suwerenności własnego kraju.

Na trasie moich wypraw duszpasterskich do Azji Środkowej leży Gruzja. Korzystam z zaproszenia miejscowego biskupa – Giuseppe Passotto, aby zatrzymać się w Gruzji. Lato, rok 2007. O godzinie 21.15 odlatuje z Monachium do Tbilisi samolot „Lufthansy”. Dworzec lotniczy w Monachium, to wielki zakład pracy. Pracuje tam 7,5 tysiąca osób. Rocznie odprawia się 22 miliony pasażerów, ale w przyszłości dworzec może obsłużyć 25 milionów pasażerów. Na wyposażeniu lotniska znajduje się 21 samolotów długorejsowych i 100 krótkorejsowych. Do 2015 roku planuje się kolejne 40 samolotów międzykontynentalnych.

Po 3 godzinach i 15 minutach lotu samolot pokonuje odległość 2720 kilometrów i ląduje na lotnisku „Novo Alexeyevka”. Nieco wcześniej w dole można było zobaczyć światła drugiego miasta Gruzji – Kutaisi. Przesuwam zegarek o 2 godziny do przodu. Kontrola na lotnisku trwa pół godziny. O godzinie 3 nad ranem spotykam się z biskupem Giuseppe Passotto, który przyjechał po mnie samochodem. Został mianowany biskupem Tbilisi 29 listopada 1996 roku a w Gruzji pracuje już 13 lat. Msze święte sprawuje się w Gruzji w języku gruzińskim, a kazania głosi się niekiedy po rosyjsku, który jest tam najbardziej znanym językiem. Śniadanie w kurii przygotowała asyryjka Manana, która wcześniej pracowała w Moskwie. Jeżeli ktoś pragnie odczytywać gruzińskie nazwy, to musi wcześniej nauczyć się gruzińskiego alfabetu, który bardzo różni się od alfabetu łacińskiego.



Autor na tle stolicy Gruzji – Tbilisi

Nawiedzam katolicką katedrę Wniebowzięcia NMP. Przy wejściu umieszczono datę „1804”. W absydzie widać ślady trzęsienia ziemi. Niestety jest to rejon sejsmiczny. W 1999 roku włoski kardynał Battista Re konsekrował świątynię, bo w czasach radzieckich mieściła się w niej sala sportowa i sala koncertowa. Bolszewicy wszędzie zaprowadzali tak zwaną „sprawiedliwość społeczną” kradnąc jednym i „dobrotliwie” obdarzając tym innych. Proboszczem katedry jest ksiądz Andrzej Graczyk z diecezji gnieźnieńskiej. Biskup pokazuje mi pomieszczenia kurii. Przylegają do nich sale Instytutu Teologicznego. Cieszy się, że jest 5 kleryków, a w tym roku będzie święcony diakon. Radość misyjnego biskupa. W Tbilisi znajduje się jeszcze druga parafia – pod wezwaniem świętych męczenników Piotra i Pawła. Proboszczem jest tam ksiądz Adam z diecezji wrocławskiej, który pracuje w Gruzji już ponad 16 lat. Jego wikary – ksiądz Maciej Mamaj pochodzi z diecezji warszawskiej i w Gruzji pracuje od niedawna. Kościół został zbudowany przez polskich żołnierzy, a jego konsekracja nastąpiła w 1877 roku. Odpowiednia tablica informuje, że dnia 9 listopada 1999 roku w „polskim” kościele modlił się papież Jan Paweł II. Wierni w Gruzji wiązali z jego pielgrzymką wielkie nadzieje, ale po wyjeździe papieża sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Kiedy Jan Paweł II przybył do Gruzji, to prawosławny patriarcha nie zgodził się nawet na wspólne odmówienie z nim modlitwy „Ojcze nasz”. Zapalili więc tylko razem świece. Prawosławni nie chcieli, aby sprawował Mszę świętą polową, bo w ten sposób gruzińska ziemia zostałaby „zbeszczeszczona”. Ostatecznie Jan Paweł II sprawował Eucharystię w hali. Uczestniczyło w niej 10 tysięcy osób. Prezydent Szewardnadze dostrzegał niezręczność sytuacji, dlatego też w pewnym momencie podszedł do papieża, uklęknął i podziękował mu za wizytę w Gruzji. Patriarcha pozostał chłodny.

W Gruzji pracuje 18 kapłanów, w tym 12 Polaków, mieszka od 30 do 50 tysięcy katolików, z czego w liturgii niedzielnej regularnie uczestniczy 10 tysięcy. W Gruzji wolność religijna katolików jest ograniczona. Prawosławni chcą wszystkim rządzić, a katolicy czują się dyskryminowani. Nawet prezydent Michaił Saakaszwili – który był katolikiem – i jego żona, pochodząca z Holandii, przyjęli chrzest w cerkwi. W ten sposób prezydent chciał podnieść swoją pozycję w prawosławnym kraju. Katolickie dzieci w szkole dostają gorsze oceny, a katolik, pracujący z prawosławnymi, nagle traci pracę. W szkole katechizować może tylko duchowny prawosławny. Wyższe stanowiska i lepsze możliwości rozwoju zarezerwowane są dla prawosławnych.

Słucham wielu opowieści miejscowych katolików. Pewnego razu odbywała się pielgrzymka katolicka. W pewnym momencie podjechało kilka samochodów z młodymi ludźmi i zagrozili pielgrzymom, że połamią im nogi, jeśli pójdą dalej. Zaczęli szarpać i dusić kapłana, a cała grupa pielgrzymów usłyszała, że jest to ziemia prawosławnych. Za chwilę podjechali przedstawiciele miejscowych władz i prosili, aby katolicy nie przerywali swojej pielgrzymki, ale duchowny uznał, że bezpieczniej jest powrócić do Tbilisi. Pisemne protesty pozostały bez odpowiedzi.

Gruzja (gr. *Sakartwelo*) to bardzo stary kraj z wieloma tradycjami. Nazwa „Gruzja” pochodzi z greckiego *geo* (Georgia) i oznacza ziemię oddaną w opiekę świętemu Jer-

zemu. Jest on także patronem Litwy i Anglii. Torturowano go i zamordowano w 305 roku, gdyż zrywał z murów antychrześcijański dekret cesarza Dioklecjana. Zazwyczaj przedstawiany jest w walce ze smokiem. Perskie słowo *gordzi* lub tureckie *gur'zy* oznacza „potęgę walczącą z islamem”. Na zachodzie Gruzji ciągnie się wybrzeże Morza Czarnego, a północna granica państwa przebiega wzdłuż pasma Wielkiego Kaukazu. Najwyższą górą jest Szchara (5068 m), a na drugim miejscu znajduje się Kazbek (5047 m). Południową granicę wyznacza pasmo Małego Kaukazu, które dochodzi do wysokości 2850 metrów. Pomiędzy pasmami Kaukazu rozciągają się równiny Niziny Kolchidzkiej. Najdłuższe rzeki to: Mtkwari /Kura/ (390 km), Rioni (327 km) i Enguri (213 km). Tbilisi leży nad rzeką Kurą. Największe jeziora to: Parawani (37 km²) i Tabackuri (14,2 km²). Powierzchnia Gruzji wynosi 69, 7 tys. km². W skład państwa wchodzi dwie republiki autonomiczne: Adżaria, ze stolicą w Batumi, i Abchazja, ze stolicą w Suchumi, oraz jeden region autonomiczny – Osetia Południowa. Te dwie ostatnie jednostki administracyjne odpadły od Gruzji po konflikcie zbrojnym z wojskami rosyjskimi w lecie 2008 roku. Faktu tego nie uznaje jednak społeczność międzynarodowa. W Gruzji mieszka 6 milionów ludzi, z czego w Tbilisi 1,3 miliona. Gruzinów jest 70 procent, a resztę społeczeństwa stanowią Ormianie, Rosjanie, Azerowie i Abchazi. Gruziński jest językiem urzędowym, a dominującą religią – prawosławie. Gruziński alfabet wynalazł w III wieku mnich – święty Mesrop Masztoc. Wygląd gruzińskich liter jest bardzo oryginalny i nieporównywalny z żadnym alfabetem na świecie. Gruzja graniczy z Rosją, Azerbejdżanem, Armenią i Turcją. Jest to kraj górzysty, gdyż 50 procent jego powierzchni leży powyżej 1000 metrów wysokości. W listopadzie 1995 roku wprowadzono nową walutę – lari, która dzieli się na 100 tetri. Za przyjaciół wznosi się toasty winem, a za wrogów piwem. W czasie uczty przewodniczy „tamada”, którego wybiera się na początku spotkania. Niekiedy wino pije się z rogów krowy. Gruzińskie pieśni słyną z oryginalności, a najbardziej znanym chórem jest chór Rustawi. Gruzińskie świątynie mają centralnie umieszczoną kopułę. Od XI wieku wykształcił się charakterystyczny dla sztuki gruzińskiej typ bogato ozdobionej bazyliki na planie łacińskiego krzyża.

Źródła asyryjskie mówią o gruzińskiej państwowości już w XII wieku przed Chrystusem. Greckie zapisy z IV wieku przed Chr. wymieniają dwa państwa, istniejące na omawianych terenach: Kolchidę i Iberię (Kartlia). Powstały one w VI wieku przed Chr. w miejsce państwa Urartu. Według mitologii greckiej do Kolchidy miał udać się, po złote runo, Grek Jazon. W I wieku przed Chr. Kolchida i Iberia znalazły się pod zwierzchnictwem Rzymu. Święty Andrzej Apostoł w I wieku utworzył w Ackuri pierwsze biskupstwo, stąd gruziński Kościół nazywa się „Apostolskim”. Za sprawą świętej Niny – niewolnicy z Kapadocji – zaczęło przenikać tam chrześcijaństwo. Pewnego razu splotła ona krzyż z gałązek winnej latorośli i związała je kosmykiem własnych włosów. Poziome ramię wygięło się końcami ku dołowi, przybierając charakterystyczną postać. Gruzińscy katolicy cieszyli się, że krzyż Jana Pawła II przypomina krzyż ich świętej patronki, która spoczęła w klasztorze Bodbe w gruzińskiej Kachetii. Może nie zawsze uświadamiamy sobie rolę kobiet w niesieniu światła Ewangelii całym narodom,

ale wystarczy tu wspomnieć księżniczkę Dąbrówkę w Polsce, Olgę na Rusi, Bertę w Niemczech i królową Teodolinę wśród Longobardów.

W 337 roku król Iberii – Mirian (Mirwan) uznał chrześcijaństwo za religię państwową. W czasie polowania nastąpiło zaćmienie słońca. Przerażony król zaczął wzywać imiona różnych bogów, ale dopiero po wypowiedzeniu imienia „Jezus Chrystus” zaćmienie ustąpiło. W VII wieku Gruzja została podbita przez Arabów, a od IX do XI wieku władzę sprawowali w niej Bagratydzi. Proces jednoczenia się Gruzji zakończył się za panowania Dawida IV Budowniczego. Odrodzone państwo obejmowało dzisiejszą Gruzję, Armenię i Azerbejdżan. Złoty wiek, czyli okres politycznej potęgi i gospodarczego rozwoju państwa przypadł na czasy rządów królowej Tamary (1184–1213), jednakże najazdy mongolskie z 1221 i 1231 roku, na nowo zniszczyły państwo. Podzielono jego terytorium, a tysiące Gruzinów znalazło się w niewoli. Dopiero król Giorgi V Wspaniały przywrócił niezależność Gruzji w XIV wieku. Jednak przez 25 lat Gruzini musieli walczyć z wojskami Tamerlana. Pod koniec XV wieku Gruzja została rozbita na 3 królestwa: Kartlię, Kachetię i Imeretię, a islam odgrywał w niej coraz większą rolę. Pod koniec XVIII wieku ziemie te pustoszył chan perski – Aga Muchammad. W ostatnich latach XVIII wieku król Giorgi XII usiłował odbudować zniszczone państwo, lecz coraz więcej napływało do Gruzji wojsk rosyjskich. W 1783 roku Gruzja przyjęła protektorat Rosji, wyzwalając się w ten sposób spod wpływów Persji i Turcji. W 1810 roku została włączona do Cesarstwa Rosyjskiego. Odtąd dzieje Gruzji przypominają dzieje Polski: utrata niepodległości, kolejne przegrane powstania, praca organiczna i odbudowa świadomości narodowej, wreszcie niepodległość na gruzach Związku Radzieckiego. Po śmierci króla, rodzinę królewską deportowano w głąb Rosji. W 1811 roku zlikwidowano autokefalię gruzińskiego prawosławia, a katolikos Mtschety Anton II został internowany. Ponieważ kolejne powstania Gruzinów kończyły się klęską, zaczęto więc kłaść nacisk na odbudowę gruzińskiej świadomości narodowej. Równocześnie spoglądano na zachód, a Tbilisi nazwano „Paryżem Wschodu”. W 1862 roku brat panującego cara – Michał Romanow, został namiestnikiem cara na Zakaukaziu. Tak bardzo zachwycił się pięknem wąwozu Bordżomi, że zbudował w nim swoją letnią rezydencję.

Na przełomie lat 1905/1906 szwadrony kozackie pacyfikowały buntujących się Gruzinów, a w niedługim czasie zginął patron gruzińskiego odrodzenia narodowego – Ilja Czawczawadze. W czasie I wojny światowej Gruzini opowiedzieli się po stronie prawosławnej Rosji. Dnia 25 marca 1917 roku wyżsi duchowni ogłosili przywrócenie autokefalii, a nowym katolikosem został Kirion II. Dnia 22 kwietnia 1918 roku proklamowano Zakaukaską Federacyjną Republikę Demokratyczną Gruzinów, Ormian i Azerów, która przetrwała tylko 35 dni. Dnia 26 maja 1918 roku proklamowano niepodległość Gruzji, a na miejsce wojsk niemieckich do kraju wkroczyły wojska brytyjskie. Otwarto szkoły oficerskie i kolegia teologiczne. Po przegranych walkach z bolszewikami, Gruzja weszła w skład Związku Radzieckiego. Już wtedy oderwano od niej Adżarię, Abchazję i Południową Osetię. Tysiące przedstawicieli gruzińskiej inteligencji opuściło kraj. Zaczęto myśleć o niepodległości wraz z innymi naroda-

mi całego Kaukazu. Na początku lat 30. XX wieku zbrodniczy Ławrientij Beria stał się tu panem życia i śmierci. Po śmierci Stalina wydano na niego w Moskwie wyrok śmierci. Bezszykownie błagał na kolanach, aby darowano mu życie. Trząsał się o swoje życie, a bez mrugnięcia okiem posyłał na śmierć tysiące ludzi. Jego podpis znajduje się pod rozkazem dotyczącym wymordowania polskich oficerów w Katyniu i w innych miejscach na wschodzie. W kwietniu 1989 roku Gruzini w manifestacjach, które odbywały się w Alei Rustawelego, zaczęli domagać się niepodległości. Radzieckie wojska generała Igora Rodionowa użyły gazu. Wkrótce też zginął w wypadku samochodowym Merab Kustawa – przywódca Gruzinów. Dnia 28 października 1990 roku odbyły się pierwsze wolne wybory, a przewodniczącym Parlamantu został Zwiad Gamsahurdia. Został on także pierwszym prezydentem po odzyskaniu niepodległości i miał odwagę powiedzieć, że Gruzja jest niepodległa. Był to naukowiec ze stopniem profesora. Wprowadził dyktaturę, która nie podobała się Gruzinom. Później uciekł do Abchazji. Po ponad roku obalono go. Zginął na granicy z Czeczenią 31 grudnia 1993 roku. Po pewnym czasie sprowadzono jego zwłoki i został pochowany na terenie rodzinnej posiadłości. Badano okoliczności związane z jego śmiercią. Dnia 7 marca 1992 roku przybył do Tbilisi Eduard Szewardnadze. Poproszono go, aby objął władzę. Katolikos Ilja II na jego prośbę udzielił mu chrztu. Przyjął imię patrona Gruzji – świętego Jerzego. Kiedyś Szewardnadze pełnił w Gruzji obowiązki pierwszego sekretarza Partii, później został ministrem spraw zagranicznych Związku Radzieckiego. Ze względu na przebiegłość i białe włosy nazywano go „białym lisem”. Początkowo sprawował władzę z nadania, ale w wyborach został wybrany prezydentem. Kiedy Gamsahurdia zaczął mieć pretensje do fotela prezydenckiego, Szewardnadze powiedział ludziom, że jego władza pochodzi z wyboru i może ją oddać. Wtedy ludzie uklękli i zaczęli go prosić, aby tego nie robił. W czasie kolejnych wyborów Szewardnadze został oskarżony przez opozycję o sfałszowanie wyborów. W 1995 i 1998 roku przeżył dwa zamachy na swoje życie. Jego mercedes ostrzelano z granatnika, ale wyszedł cało z zamachu. Niemcy po kilku dniach przysłali mu nowy samochód, bo byli mu wdzięczni za zjednoczenie Niemiec. W lipcu 1992 roku wybuchła wojna o Abchazję. W wojnie domowej inspirowanej przez Rosjan zginęło 10 tysięcy ludzi, a 280 tysięcy opuściło swoje domy. W wyniku tego Szewardnadze objął kurs zachodni. W 2000 roku sfałszował wybory i ponownie został prezydentem. Kiedy przemawiał w dniu 21 listopada 2003 roku, do gmachu Parlamentu wtargnął tłum z goździkami. Rozpoczęła się „rewolucja goździków”. Prezydent został poproszony o ustąpienie. Uczynił to po dłuższych rozmowach i omówieniu warunków rezygnacji. Przeniósł się do rezydencji pilnowanej przez ochronę. 5 stycznia 2004 roku na prezydenta wybrano Michaiła Saakaszwilego, którego ludzie zwali „Miszą”.

Rano biskup przewodniczy Mszy Świętej w rycie ormiańskim w kaplicy sióstr misjonek miłości. Wspólnota liczy 6 sióstr, w Baku znajduje się również wspólnota sióstr, a w Armenii kolejne dwie wspólnoty. W sumie na Zakaukaziu pracuje około 20 sióstr misjonek miłości. W Tbilisi prowadzą dom starców. Jadę z biskupem 25 kilometrów poza miasto, gdzie znajduje się dom rekolekcyjny. Biskup spowiada. Nie-

dawno znajdowało się tam Seminarium Duchowne z ośmioma klerykami. Obecnie pięciu kleryków mieszka przy kurii.

Tbilisi należy do najstarszych miast świata, o czym świadczą pozostałości po obecności pierwotnego człowieka na tych terenach. Miasto leży nad rzeką Kurą tak jak Warszawa leży nad Wisłą, Praga nad Wełtawą, Budapeszt nad Dunajem, Paryż nad Sekwaną, Rzym nad Tybrem, Berlin nad Sprewą, a Londyn nad Tamizą. Nazwa miasta pochodzi z gruzińskiego „tbili”, które oznacza „ciepły”, bowiem w mieście znajdują się ciepłe źródła, wąwozy i wzgórza. Już w 368 roku istniała tam twierdza, a od VI wieku z woli Daczego – który był synem króla Wachtanga Gorgasała – miasto pełniło rolę stolicy Państwa Wschodniogruzińskiego. Od lat 30-tych XVII wieku rezydował w nim arabski emir. W okresie od IX do XI wieku Persowie i Turcy Seldżucy wielokrotnie najeżdżali miasto. W 1122 roku Tbilisi uwolniło się od wrogów za króla Dawida IV Budowniczego i zostało stolicą zjednoczonej Gruzji. W mieście znajdowała się rezydencja Bagratydów. W następnych latach Tbilisi niszczyły najazdy Mongołów i wojsk Tamerlana. W 1795 roku miasto zniszczył perski szach Agi Mahomet. Od 1845 roku urzędował w nim namiestnik carski na teren Kaukazu.

Zwiedzam główne zabytki miasta. Sobór Metechi, który jest symbolem Tbilisi, jest zawieszony malowniczo na wysokiej skale nad rzeką Kurą. Obok monasteru znajdował się pałac królewski, ale w czasie najazdu Mongołów miasto i pałac spłonęły. Później świątynię odbudowano i ta w obecnym kształcie pochodzi ona z XIII/XIV wieku. Obok niej w 1967 roku wzniesiono konny pomnik króla Wachtanga Gorgasała. Z okrągłego balkonu pałacu Deredżani („Saczino”) roztacza się wspaniały widok na stolicę i rzekę. W katedrze Sion przechowywana jest największa relikwia Kościoła gruzińskiego – krzyż świętej Niny. Pierwszą katedrę wybudowano w tym miejscu w VI wieku, ale w następnych wiekach wiele razy była niszczona i odbudowywana. Nazwa Bazyliki Anczischatyjskiej, która pochodzi z V/VI wieku wywodzi się od ikony, którą sprowadzono tu z Anczi. Obecnie znajduje się ona w Muzeum Sztuki Gruzji. Warto zobaczyć Carskie Banie. Niegdyś w mieście istniało 68 łaźni z ciepłą wodą, a jego mieszkańcy chętnie spędzali w nich wolny czas. Na stromym wzgórzu znajduje się twierdza Narikała z IV wieku, którą przebudowano w XVI – XVIII wieku. Przylega do niej gruzińska cerkiew, również odbudowywana. Wyjeżdżam na górę, aby zobaczyć szklaną rezydencję żydowskiego milionera. Nieco dalej znajduje się pomnik „Matki Gruzji” (*Kartlis Deda*) z lat 60-tych XX wieku. Majestatyczna postać kobiety z aluminium liczy 20 metrów wysokości. W prawej ręce trzyma miecz, a w lewej kielich z winem (*piala*). W jej geście zawarte jest pewne ostrzeżenie dla obcokrajowców: co wybierzesz, to będzie ci dane. Miasto przecina Aleja Szoty Rustawiego. W pobliżu Placu Wolności znajduje się gmach seminarium duchownego, w którym uczył się Stalin. Ciekawy jest gmach Ministerstwa Dróg i Transportu. Poszczególne jego kondygnacje ułożone są jak klocki: wzdłuż i szerz. W mieście buduje się rezydencję dla prezydenta. Posiada ona szklaną kopułę, na którą można wejść po szklanych schodach. W czasie wspinania czuje się lęk, że zaraz zleci się w dół. Na spacer po kopule trzeba mieć pozwolenie od miejscowej policji politycznej. Powyżej rezydencji Saakaszwilego

znajduje się potężna, nowowyprowadzona, prawosławna Bazylika Patriarchalna Świętej Trójcy (Cmida Sameba). Jest to obecnie największa świątynia na terenie całego Kaukazu. Nawiązuje swym stylem do starych gruzińskich świątyń. Jej budowę rozpoczęto



Tbilisi – gmach ministerstwa transportu

w 1998 roku, a konsekrowano ją w listopadzie 2004 roku. We wnętrzu brakuje wyposażenia i miną lata, zanim świątynia zostanie pięknie ozdobiona. Jej wysokość wynosi 98 metrów. W Tbilisi funkcjonują dwie linie metra. Jego budowę rozpoczęto w 1966 roku, gdyż uważano, że każde miasto powyżej pół miliona mieszkańców powinno posiadać metro.

Z księdzem Andrzejem jadę na wysoką górę Mtacminda (Święta Góra), która położona jest nad Tbilisi. Jej szczyt wznosi się na wysokość 727 metrów. Zbudowano na nim maszt telewizyjny. Sporo terenu wykupił tam wspomniany żydowski milioner.

Ze szczytu rozlega się wspaniała panorama miasta leżącego w dole. Nie działa kolejka linowa, którą zbudowano w 1905 roku. Po urwaniu się liny kabina kolejki poleciała w dół razem z Japończykami, ale na szczęście obyło się bez ofiar. Gdzieś w połowie góry znajduje się kościół Mtacminda (świętego ojca Dawida). Pochowano w nim Ilię Czawczawadze i matkę Stalina – Ekaterinę Dżugaszwili. Stalin na jej pogrzeb wysłał Berię i innych dostojników, a sam ograniczył się do wysłania telegramu. Matka wielokrotnie krytykowała życie byłego ucznia prawosławnego seminarium duchownego i wyrzucała mu to, że nie został kapłanem.

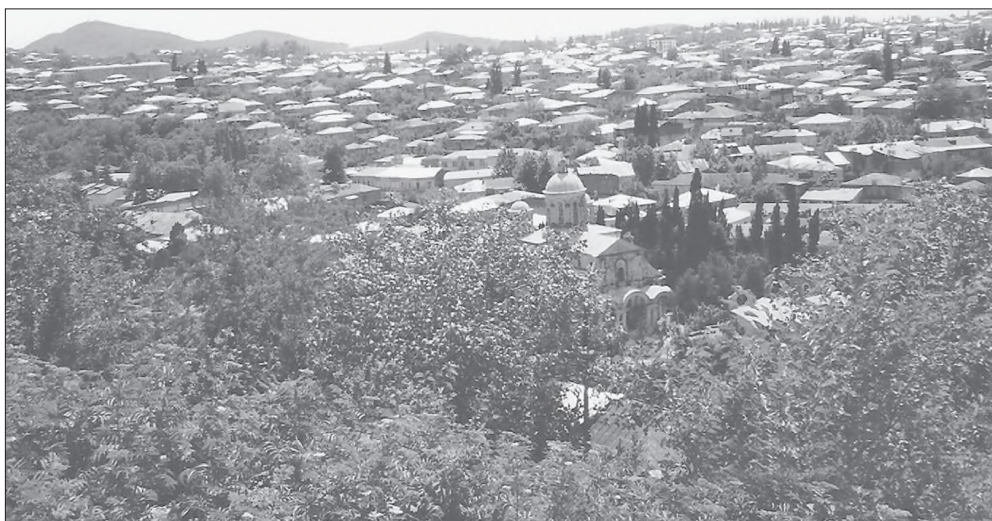
Po południu kierowca biskupa, Nodari, wiezie mnie poza miasto. Przejeżdżamy obok gmachu parlamentu. Powiewa nad nimi flaga Gruzji: biała, z czerwonym krzyżem pośrodku i czterema małymi, czerwonymi krzyżykami na białych polach wyznaczonych przez duży krzyż. Stoi przed nim policjant w czarnym berecie ozdobionym gruzińskim orłem, niebieskiej koszuli i czarnych spodniach. Wchodzę do cerkwi Kaszwedzkaja. Przed nią tłum biednych ludzi. Panuje bezrobocie i wielu Gruzynów marzy o emigracji. W czasie drogi rozmawiam po rosyjsku z Nodarim. Dowiaduję się, że Bóg to w języku gruzińskim „Ghmerti”. Podjeżdżamy na bardzo strome wzgórze. W połowie IV wieku znajdował się na nim ogromny krzyż oraz twierdza. Podziwiam monastyr Dżwari (Krzyża), który budowano w latach 585–605. Kościół stoi nad wysokim urwiskiem i jest dobrze widoczny z dużej odległości z każdego miejsca w mieście. Dżwari stał się wzorem świątyń na planie krzyża.

Zjeżdżamy w dół i przejeżdżamy przez rzekę. Mccheta, to dawna stolica Królestwa Iberii. Została wpisana na listę UNESCO. Pierwszy gruziński, drewniany kościółek zbudowano tam w latach 30. IV wieku za króla Wachtanga Gorgasała. Kiedy gruziński Kościół uzyskał niezależność od Patriarchatu w Antiochii i stał się Kościołem autokefalicznym, Mccheta stała się duchowym centrum chrześcijaństwa na Kaukazie. Zbudowano nowy kościół, który przebudowano w latach 1010–1029. Tym, czym dla nas jest Wawel, dla Anglików Westminster, a dla Francuzów Saint Denis, tym dla Gruzinów jest właśnie Mccheta. Znajdują się tam groby królewskie, katedra patriarchalna i siedziba katolikosy. Pochowano tam ponad 10 królów. Mccheta znajduje się w odległości 25 kilometrów od Tbilisi u ujścia rzeki Aragwi do rzeki Kury. Tam mieściło się duchowe centrum Gruzji: koronowano królów i konsekrowano wyższych duchowych. Jest to jedno z najładniejszych miejsc w Gruzji. W tle widać piękną panoramę gór. W zespole budowli można podziwiać katedrę Sweti Cchoweli (Drzewo życia) z grobami Bagratydów. Jest to najważniejszy zabytek gruzińskiej kultury, sztuki i architektury. W zadumie stoję nad grobem cara Iraklija II (1720–1789). Manuskrypty wraz ze skarbami świątyni przechowywano w specjalnych schowkach, ukrytych wysoko w ścianach. Mogli się w nich chronić także ludzie. Wejście do nich było zasłonięte ikoną i można było się do nich dostać jedynie po drabinie ze sznurów. Na terenie kompleksu znajduje się również klasztor Samtawro, który również pochodzi z XI wieku. Spoczywa w nim pierwszy chrześcijański król Kartli – Mirian i jego żona Nana. Twierdza Bebriscyche broniła dostępu w głąb kraju. W odległości 57 kilometrów od Mccheta znajduje się Gori – rodzinne miasto Stalina.

Na trasie wysokogórskiej „gruzińskiej drogi wojennej” przez którą wojska rosyjskie wkraczały do Gruzji znajduje się forteca Ananuri, która pochodzi z przełomu XVI i XVII wieku. Znajdujemy się w odległości 66 kilometrów od Tbilisi. Granica z Rosją jest już niedaleko. Z wieży fortecy można podziwiać piękno górskiego krajobrazu. Miasto Kazbegi znajduje się u stóp góry Kazbek. Według mitologii greckiej Prometeusz miał zostać przykuty kajdanami do góry Kazbek, gdyż wykradł ogień bogom i przekazał go ludziom. W wiosce Gergeti położony jest kościół Tsminda Sameba z XIV wieku. Położony jest on na wysokości 2170 metrów i jest symbolem Gruzji.

Drugim miastem Gruzji jest Kutaisi, które leży nad rzeką Rioni. Urodził się w nim tragiczny poeta radziecki Majakowski. Sławił rewolucję bolszewicką, a kiedy przejrzał na oczy, odebrał sobie z rozpaczny życie. Miasto zostało założone w 792 roku jako stolica Abchazji. Znajdują się tam ruiny świątyni Bagrata III z 1003 roku. Do Kutaisi udaję się autobusem z siostrami salezjankami i z młodzieżą. Opiekuje się mną siostra Teresa. Po drodze uczę się niektórych słów gruzińskich:

- Bóg – Ghmert,
- modlitwa – locwa,
- Tbilisi – Tybilisi,
- dziękuję – gmadlobt,
- dobry wieczór – saghamo mszwidobisa,
- dobranoc – ggame mszwidobisa (dzyli nebisa),



Miasto Kutaisi

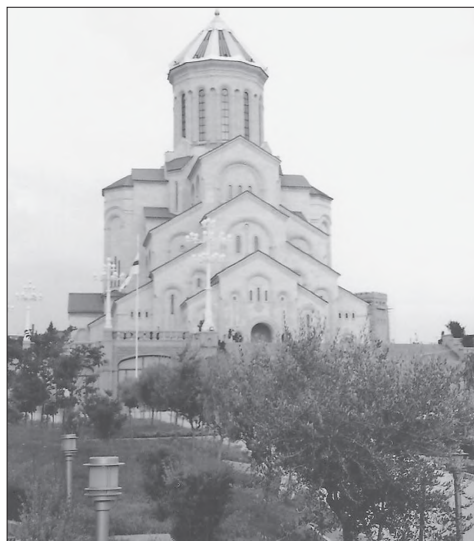
- dzień dobry – gamardzioba,
- dzień dobry (odpowiadając) – gagimardžot,
- dzień dobry (rano) – dila mszwidobisa,
- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Na wieki wieków. Amen – Qebuli ikos Iesos sacheli – ukunithi ukunisamde. Amen. (Dideba Ieso Kristasi).
- do widzenia – nachwamdis,
- cześć – kargat.

Mijamy rodzinne miasto Stalina – Gori, które znajduje się w odległości 89 kilometrów od Tbilisi. W miejscowym muzeum, które otworzono 10 listopada 1937 roku, znajduje się wagon, którym Stalin podróżował po kraju. Przeniesiono tam także mały domek jego ojca – szewca Wissariona Dżugaszwili. Pomnik Stalina do tej pory stoi w centrum miasta. Próbowano go usunąć w 1956 i 1988 roku, ale za każdym razem mieszkańcy Gori protestowali. Nad miastem znajduje się twierdza Gori. Z rzeki Lichawi specjalnym kanałem dostarczano wodę do zbiornika w twierdzy, która należała do najpotężniejszych w kraju. Na wzgórzu stoi kościół Goridżwari. W odległości 6 kilometrów od Gori znajduje się skalne miasto Upliscyche. Jest to typowe miasto hellenistyczne, a jego początki sięgają II tysiąclecia przed Chr. Tym czym dla Jordanii jest skalna Petra, tym Upliscyche dla Gruzji. Niegdyś mieściła się tam twierdza przywódców plemiennych (gruz. *upali* – przywódca, *cyche* – twierdza).

Droga jest kręta i poruszamy się po terenie pagórkowatym. O godzinie 11 koncelebruję w Kutaisi Mszę świętą z włoskim księdzem Gabrielle Bragantinim. Eucharystię sprawuje w języku gruzińskim i kazanie głosi również w tym języku. Ja czytam Ewangelię w języku rosyjskim, a wierni część pieśni śpiewają po łacinie. Gabrielle przyjechał do Gruzji z biskupem, gdyż obydwaj należą do zgromadzenia zakonnego Stygmatyków, i pracuje w Gruzji ponad 13 lat. Oprócz niego w domu zakonnym mieszka jeszcze dwóch starszych ojców: Luigii i Camillo. Dzisiaj wylatują do Werony.

Założycielem stygmatyków był święty Gaspere Bertoni. Gabrielle obsługuje nie tylko tutejszy kościół, ale dojeżdża jeszcze w niedziele po południu do kościoła w Batumi, a także do kościołów w innych miejscach. W Kutaisi kiedyś mieszkało 250 tysięcy ludzi, ale obecnie wielu z nich wyemigrowało za chlebem. Jest to jedno z najstarszych miast świata. Miało już istnieć za czasów króla Minosa (XVII – XI wiek przed Chr.). Do 1122 roku pełniło rolę stolicy zjednoczonego kraju. W 1080 roku Turcy spalili Kutaisi. Król Dawid Budowniczy wypędził ich i przeniósł stolicę do Tbilisi, ale w obliczu najazdu mongołów królowa Rusudan przeniosła ją w 1230 roku na powrót do Kutaisi. Miasto było wielokrotnie niszczone i odbudowywane. Ciekawe są ruiny katedry Bagrati z roku 1003, która położona jest na wzgórzu Ukimerion. W dole widać Kutaisi. Katolicy chcieli odbudować Bagrati w zamian za oddanie katolickiego kościoła, ale prawosławny patriarcha nie zgodził się. W 1691 roku Turcy zburzyli katedrę Bagrati, która była symbolem dumy Gruzinów i ich politycznej potęgi. 6 sierpnia 1770 roku ostrzał rosyjskiej artylerii dopełnił dzieła zniszczenia: rozsypała się kopuła i zniszczone zostały kolumny oraz okna. Pomimo tego ruiny katedry nadal zachwycają i w roku 1996 zostały wpisane na listę UNESCO. Dnia 10 marca 1921 wkroczyły do miasta oddziały bolszewików. Oprócz głównej cerkwi z trzema absydami, w Kutaisi znajduje się także kościół świętego Jerzego i kościół świętego Mikołaja. Biskup, z pomocą księży, procesował się w sądzie o zwrot katolickiej świątyni, ale patriarcha z łańcuchem obchodził świątynię i groził, że przykuje się do niej i wysadzi ją w powietrze w razie przegranej w sądzie. Kiedy wygrał w sądzie, to kazał bić w dzwony. Katolicy chcieli odnieść się do sądu w Starsburgu, ale nadeszły sygnały, aby zrezygnować z tego zamiaru. Prawosławni wykorzystali upadek Związku Radzieckiego i zawłaszczyli kościół, a w dokumentach przesłanych do władzy radzieckiej wymazali nazwę „katolicki”. Zbierali podpisy katolików, a ci byli przekonani, że składają je w dobrej wierze, że świątynia zostanie im zwrócona. Do niesprawiedliwości dołączono więc i oszustwo. Tak niekiedy wygląda „ekumenizm” na dole. W 1989 roku prawosławni zajęli pięć katolickich świątyń: w Kutaisi, Batumi, Ude, Gori i Iwłita. Gruzja miała być wyłącznie prawosławna, ale stało się jednak inaczej, bo pracuje w niej już kilkunastu kapłanów katolickich oraz 20 siostr zakonnych. Przed laty zagrozili jednemu kapłanowi otruciem, ale uspokoili się, gdy ten zwrócił się do miejscowych władz i do ambasady polskiej z prośbą o interwencję.

Z Kutaisi do Batumi jest około 160 kilometrów. Po drodze mijamy sporo podświetlonych krzyży. Nawierzchnia drogi jest w bardzo dobrym stanie. Porusza



Tbilisi- katedra prawosławna Miasto Kutaisi

się po niej sporo wozów policyjnych. Są pomalowane na biało, z ciemnoniebieskim malowaniem na drzwiach, masce i bagażniku. Jedni policjanci noszą szare spodnie i czarne koszule, a inni czarne spodnie i niebieskie koszule oraz czarne berety. W stolicy Adżarii, Batumi, mieścił się w starożytności rzymski fort Batis. Nie ma w okolicach miasta już słynnych herbacianych pól, o których śpiewano w czasach Związku Radzieckiego. Z Batumi do Suchumi jest 250 kilometrów, a do Tbilisi 390 kilometrów. Pierwszy neogotycki kościół konsekrowano w Batumi w 1903 roku, ale prawosławni zajęli go siłą po odzyskaniu niepodległości. W tej pięknej świątyni obecnie mieści się cerkiew. Prawosławni kierowali się siłą, a nie sprawiedliwością, katolicy ustąpili i wybudowali nowoczesny kościół nieco dalej. Gdyby tak samo postępowali jak prawosławni, to słusznie oskarżono by chrześcijan o skandal. Na Mszy świętej o godzinie 17.00 jest około 30 osób, a miasto liczy 150 tysięcy mieszkańców. Kościół pod wezwaniem Ducha Świętego konsekrował dnia 24 czerwca 2000 roku miejscowy biskup. Prawosławni na jednym ze wzgórz nad Batumi budują cerkiew Trójcy Świętej. W mieście znajduje się słynny ogród botaniczny i muzeum Stalina. Znajduje się w nim łóżko *generalissimusa*, czyli generała generałów, i największy jego portret. W pobliskim Gonio zobaczyć można dobrze zachowany rzymski obiekt obronny. Jedno z podań głosi, że miałby znajdować się tam grób świętego Mateusza Apostoła. Wieczorem wracamy do Kutaisi.

Z Kutaisi jedziemy dwoma busami na piknik w górach. Po drodze mijamy takie miejscowości jak: Nogha, Zemo i Khevi. W pewnym momencie wyjeżdżamy na wysokość 2050 metrów. Dojeżdżamy do Bakhmaro, gdzie kończy się droga. W szerokiej dolinie zbudowano dziesiątki dacz, ale mają one wygląd nędznych chat, a nie luksusowych domków wypoczynkowych. Przed nami góra Sakornia (2755 m). Jedna z parafianek tłumaczy teksty z włoskiego. Wypisuję sobie kilkanaście zwrotów po gruzińsku i czytając je niepostrzeżenie z karteczki umieszczonej w dłoni, rozpoczynam zabawę. Do mijanych mężczyzn wołam: *Gamardzioba* (dzień dobry). Rozumieją, ale nie odpowiadają tylko się uśmiechają. Nie dadzą się nabrać, bo pozdrowienie trzeba wypowiedzieć w sposób gardłowy. Na pikniku podchodzi do mnie mała dziewczynka. Przedstawiam się: *Me mqwia Henri* (mam na imię Henryk). Z kolei pytam: *Ragqwia* (jak masz na imię?). Ludzie śmieją się, gdy jakiejś kobiecie mówię: *Me czamowedi Polonetidan rom menache* (przyjechałem z Polski, żeby cię zobaczyć). Szczególną wesołość biesiadników wzbudza wyznanie: *Me szen mikwarchar* (kocham cię!). Wiedzą, że staram się ich rozweselić i są mi za to bardzo wdzięczni. Na zakończenie uczty na łonie przyrody kilku osobom zadaję pytanie: *kmaqofili char(t)?* (jesteś zadowolony?). Znowu śmieją się, a ja jestem zadowolony, że wszystkie swoje codzienne smutki zostawili gdzieś w dole.

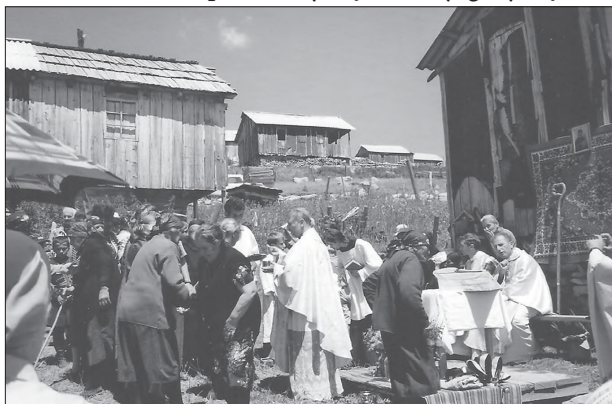
W Ozurgeti mieszka 3 tysiące osób. Jest to jeden z punktów dojazdowych księdza Gabrielle. Na Mszy świętej jest około 70 osób, głównie kobiet. Następnego ranka nawiedzamy prawosławny monastyr Gelati z XII wieku. Jest to jedno z najważniejszych centrów kultury średniowiecznej Gruzji. Jego budowę rozpoczął w 1106 roku król Dawid Budowniczy, który zjednoczył ziemie gruzińskie i założył tam

Akademii. Gruzja uwolniła się od wpływu islamu i Turków Seldżuckich i przez dwa wieki umacniała się. Król wysyłał młodych ludzi na studia do jego ojczystego Bizancjum, a w Gruzji budował szkoły. Klasztor znajduje się w odległości 11 kilometrów na wschód od Kutaisi. W nim znalazło się nie tylko centrum życia religijnego, ale i centrum gruzińskiej myśli filozoficznej i teologicznej. Cerkiew Dziewicy Maryi zbudował w 1130 roku syn króla Dawida – car Demetriusz, który ozdobił ją i konsekrował. W absydzie znajduje się wspaniała mozaika Maryi z Dzieciątkiem w otoczeniu archaniołów Michała i Gabriela. Wspaniałe są także freski, które pochodzą z XVI – XVII wieku. Jeden z nich ukazuje króla Dawida. Król w lewej ręce trzyma model głównej cerkwi, a w prawej dokument fundacyjny. Jest to jedyny portret króla, który dotrwał do naszych czasów. Dołączono do niego napis: „Na wieczną pamiątkę Wielkiego Króla Dawida Budowniczego. Amen”. Obok niego znajduje się portret katolikos Zachodniej Gruzji – Eudemona Chkhetidze z XVI wieku. Następny portret ukazuje króla Bagrata III (1510–1565). Freski przedstawiają także siedem pierwszych ekumenicznych soborów. UNESCO przeznaczyło sporo funduszy na odnowę tego zabytku, ale sporo pieniędzy rozpułynęło się. Poniżej kompleksu zbudowano małą kaplicę. Od XII do XV wieku w monasterze Gelati grzebano gruzińskich władców. W jednym z budynków znajduje się grób króla Dawida Budowniczego. Płyta nagrobna jest tak umieszczona, że wchodzący deptając swoimi nogami zagłębia się w płycie. Zgodnie z testamentem zmarłego, trzeba postawić stopę na jego sercu. Z woli króla na jego grobie umieszczono napis: „To jest moje wieczne miejsce. Tylko tym miejscem teraz władam”. Obok grobu znajduje się brama z arabskimi napisami, którą król Dademetriusz I – uczestniczący w wyprawie krzyżowej – przywiózł z Jerozolimy. Cerkiew świętego Jerzego wybudowano w XIII wieku. W czasie inwazji Turków w 1510 roku uszkodzono ją, ale odbudował ją król Bagrat III i przeniósł tam Patriarchat Zachodniej Gruzji.

Z księdzem Gabrielle nawiedzam także klasztor Mozzameta. Żył w nim mnich, który przyjaźnił się z obecnym biskupem Tbilisi. Zmarł w wieku 94 lat. Modłę się nad jego grobem. W cerkwi znajduje się trumna z kośćmi dwóch żołnierzy męczenników z VIII wieku: Dawida i Konstantyna. W czasie władzy radzieckiej ich szczątki obnoszono po Kutaisi w szydycznej procesji. Podobnie czyniono i w czasie rewolucji francuskiej. Rewolucjoniści, którzy wyrzucili prochy swoich królów do fosy w Saint Denis, nie uznawali żadnych świętości. Podobnie było po rewolucji październikowej. Ludzie, którzy wzajemnie się mordowali, a dla narodu zgotowali piekło, szydzili z Boga i religii. Później kości Dawida i Konstantyna znalazły się w muzeum, ale wydobrano je stamtąd zmarły mnich.

Z biskupem i księdzem Maciejem jedziemy do Khashuri. U miejscowego piekarza kupujemy świetny, gorący jeszcze chleb. Dalsza droga prowadzi przez Borżomi nad granicę z Turcją. Borżomi jest chlubą Gruzinów. Tam butelkuje się słynną wodę mineralną „Borżomi”. W Achalcyche dołączają do nas jeszcze dwie siostry zakonne z Kutaisi. W Arali gości nas ksiądz Jerzy – były proboszcz z diecezji ełckiej. Nie tęskni za probostwem w Polsce. Odnalazł się w Gruzji i najlepiej z księży opanował język gruziński. Wspominamy dwóch młodych kapłanów z Polski, którzy zginęli na stokach

góry Kazbek (5033 m). Uprawiali sporty ekstremalne: przepłynęli kajakiem potężną rzekę Jenisiej, pływali kajakiem po morzu i wspinali się na szczyty wysokich gór. Biskup Mazur pokrył koszty sprowadzenia ich ciał do Polski. Na pogrzebie jednego z nich ułożono napis: „Góry cię kochały, góry cię zabrały”. Biskup Passotto uczestniczył



Wizyta biskupa na letnim koczowisku

w ich pogrzebie w północnej Polsce. Patrząc na zdjęcia zmarłych kapłanów i zadając sobie szereg pytań. Czy kapłan powinien uprawiać hobby, rozwijać własne zainteresowania? Oczywiście, że tak, gdyż uprawianie hobby przynosi relaks, daje radość i poczucie realizacji samego siebie. Kapłani często zbierają znaczki, zajmują się pszczołami, łowią ryby, jeżdżą na wycieczki. Nie

powinni jednak lekkomyślnie narażać własnego życia i narażać wiernych na osamotnienie poprzez uprawę niebezpiecznych form sportu. Aby uformować kapłana, to trzeba w niego włożyć wiele pracy, gdyż trzeba go wykształcić i ukształtować. Potrzebna jest tutaj praca wychowawców, ojców duchownych, wykładowców oraz ofiarność wiernych. W Arali spotykam dwóch Kamilianów: ojca Zygmunta i ojca Akaki. Ksiądz Zurab Kakachishvili, zwany Zura – studiował w seminarium misyjnym w Warszawie i w Polsce ukończył doktorat z patrologii, pisząc rozprawę pod kierunkiem księdza profesora Naumowicza pod tytułem *Męczeństwo gruzińskich chrześcijan w V – X wieku*. Z uśmiechem mówi, że korzystał również z tekstów starogruzińskich, których w Polsce nikt nie rozumie. Dzisiaj w górach odbywa się odpust. Ta część Gruzji, nad granicą z Turcją, jest najbardziej katolicka. Po okropnej, kamienistej drodze wyjeżdżam z księdzem Jerzym i jego katechetką z Polski na wysokość ponad 2 tysięcy metrów. Na „koczowisku” (*kaczowka*) w górach przebywa wiele rodzin. Przybywają tam w maju i zostają do jesieni. Śpią w drewnianych chatkach. Przeważnie przebywają tam dziadkowie z wnukami, a średnie pokolenie zostaje w wiosce, aby pilnować dobytku i pracować zawodowo. Takich koczowisk jest sporo w Gruzji. Poszczególne wioski mają przydzielone odpowiednie części gór i odpowiednie łąki. Tego typu duszpasterstwo spotykam po raz pierwszy w życiu. Ludzie spędzają z krowami, owcami i innymi zwierzętami całe lato na wysokości ponad 2000 metrów. Trzeba do niech dojechać, aby sprawować tam ofiarę Mszy świętej. Przychodzi sporo ludzi. Z biskupem koncelebruje Mszę świętą pięciu księży, a biskup udziela pierwszej Komunii Świętej dwu starszym kobietom. Jest bardzo zadowolony. Następnie młodzież przedstawia artystyczny program: tańce, śpiewy i recytacje. W pewnym momencie śpiewają także hymn państwowy. Na głowę dostaję czapkę baranicą, a później jemy obfity obiad. Z biskupem i siostrami zjeżdżam samochodem do uzdrowiska w Abastiumani. Co chwila uder-

zam głową o dach samochodu. W uzdrowisku ksiądz Artur z diecezji białostockiej, który pracuje razem z księdzem Zura w Wale, prowadzi rekolekcje oazowe dla młodzieży. Programu formacyjnego jako takiego nie ma, ale młodzież przywiązuje się do Kościoła i do kapłanów. Dzisiaj młodzież przygotowuje kolację, ponieważ kucharz jest nietrzeźwy. Biskup spotyka się z młodzieżą. Nad uzdrowiskiem znajduje się obserwatorium astronomiczne, a wokół niego zbudowano kilka bloków mieszkalnych. Śpię w Wale. Tutejszy kościół został zbudowany w 1862 roku. W czasach sowieckich znajdował się w nim magazyn ze zbożem. Największą ruinę pozostawiała po sobie sól, którą perfidnie magazynowano właśnie w kościołach. Przy wejściu do świątyni umieszczono zdjęcie księdza Szymona, który zginął podczas wspomnianej wyprawy na górę Kazbek. Ksiądz Artur obsługuje dwie parafie: w Borżomi i Wale, natomiast ksiądz Zura parafie we Wlita i Achalcyche. Biskup życzył sobie, aby mieszkali razem i wspomagali się wzajemnie. Z kolei wspomniany wcześniej ksiądz Jerzy pracuje w sześciu parafiach, a w pracy duszpasterskiej pomagają mu kamilianie. W sumie na tych terenach kapłani obsługuja dziesięć parafii.

Szota Rustaveli to słynny gruziński poeta, który zakochał się w carycy Tamar i na jej cześć napisał poemat miłosny. Gdy miała 14 lat ojciec ogłosił ją królową, bo nie miał syna. Około trzech lat rządziła razem z nim, ucząc się trudnej sztuki sprawo-



Gruzinki na tle kaplicy

wania władzy. Pod jej rządami w Gruzji nastał złoty okres. Przejeżdżam z Zuri koło twierdzy Khertvissi. Zginął w niej męczeńską śmiercią gruziński dowódca Gabron i jego 153 towarzyszy. Turcy długo szturmowali zamek. Gdy weszli do niego, zażądali od żyjących obrońców aby przeszli na islam. Gdy ci nie zgodzili się na to kilku z nich torturowno i zabito. Reszta wraz z dowódcą

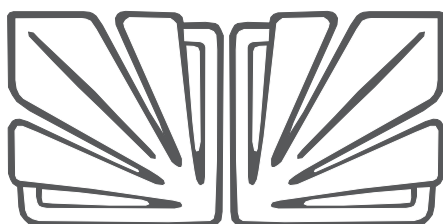
wolała ponieść śmierć męczeńską niż wyrzec się swojej wiary. Jednym z najciekawszych fenomenów w Gruzji jest miasto wykute w skale – Wardzia. Leży ono na zboczu głębokiego i niezwykle malowniczego wąwozu i wznosi się do wysokości 1300 metrów. W systemie jaskiń znajduje się główna świątynia, sala balowa, jadalnie, magazyny i mieszkania. W XII wieku mieściła się tam twierdza dla wojska, którą następnie przebudowano na klasztor. Kompleks mógł pomieścić od 20 do 60 tysięcy osób. Nad nim rozciąga się równina. Pewnego razu wojska gruzińskie przegrywały bitwę na równinie z muzułmanami. Jakie było zaskoczenie przeciwnika, gdy nagle Gruzini rozplynęli się uciekając do skalnego miasta. Miasto rozbudowała królowa Tamara. Pierwotnie było całkowicie ukryte w skałach, ale w wyniku trzęsienia ziemi w XVII wieku pomieszczenia zostały odsłonięte. W cerkwi widać prawosławnego duchownego i stary

fresk królowej Tamar z ojcem. Miasto połączone jest wewnętrznymi korytarzami i schodami. W niektórych pomieszczeniach widać zagłębienia na amfory z winem lub zbożem. Droga u stóp skalnego miasta prowadzi do Turcji.

W drodze powrotnej mijamy klasztor w skałach – Kumurdo. Wewnętrznym tunelem można było niegdyś zejść na dół po wodę do rzeki. Nieco dalej znajduje się inny klasztor w skałach – Wanis Krabebi. Na terenach tych znajduje się także poligon wojskowy. Jest to zdecydowanie jeden z najpiękniejszych wąwozów w całej Gruzji. W Iwlita kaplica znajduje się w jednym z domów. Właściciel oddał swój dom do dyspozycji wiernych. Po jego śmierci rodzina zażądała miesięcznego czynszu lub wykupienia domu. Poniżej znajduje się murowany kościół katolicki, który przerobiono na cerkiew. Prawosławni nie chcą go zwrócić. Wyrzucili nawet prochy dwóch zmarłych, które umieszczono pod posadzką świątyni. Działają niestety bardzo podstępnie, co jest bardzo smutne. Niegdyś znajdowało się tam katolickie sanktuarium maryjne. Po odzyskaniu niepodległości zorganizowano zebranie mieszkańców wioski i poinformowano ich, że z braku katolickiego kapłana Gruzina, może służyć im kapłan prawosławny. Ten powiedział katolikom, że mogą modlić się po swojemu, a on będzie odprawiał swoje modlitwy. Pewnego dnia powiedział katolikom, że trzeba odnowić i odmalować świątynię. Poprosił ich, aby wynieśli katolickie obrazy. Po pewnym czasie wstawił do środka ikonostas. Katolicy zaczęli protestować, więc zorganizowano zebranie. Osoby aktywniejsze wypraszano na zewnątrz i zastraszano przy pomocy broni. Straszono ich tym, że ich rodzinę spotka nieszczęście. Ludzie przestali chodzić do „cerkwi”, więc prawosławny kapłan własnym autobusem zaczął przywozić swoich ludzi na nabożeństwa z okolicznych miejscowości. W czasie nabożeństw „mdlał”, ale kiedy spod posadzki usunięto szczątki świątobliwych zmarłych, przestał „mdleć”. Wieczorem Zura odprawia Mszę świętą po gruzińsku w Wale. Głoszę kazanie po polsku, a on tłumaczy na język gruziński. Przyszło około 30 osób. W Achalcyche (Nowa Twierdza) zwiedzamy miejscowe muzeum. Przewodniczka tłumaczy nam w języku rosyjskim rozwój kultury gruzińskiej. Niegdyś lekarstwa przechowywano w małych naczynkach. Zobaczyć można broń i naczynia codziennego użytku. Obok muzeum położony jest meczet i medresa – symbol dawniejszych najazdów muzułmanów. Zwiedzamy stare miasto, które leży na wzgórzu. Pozostały w nim ruiny trzech kościołów katolickich. Niegdyś katolicyzm rozwijał się na tych terenach. Prawosławna katedra została ostatnio ozdobiona freskami w dobrym stylu. Prawosławni wybudowali w centrum miasta kolejną cerkiew, której nie mogą ukończyć od kilkunastu lat. Jednakże w ten sposób zajęli dobre miejsce pod budowę ewentualnego kościoła katolickiego. Katolicy zwracają się o pozwolenie na budowę kościoła, ale władze odsyłają ich do prawosławnych, którzy mają swoje „zastrzeżenia”. Kupili więc mieszkanie, wyburzyli w środku ściany i w ten sposób powstała kaplica, gdzie odprawiane są nabożeństwa.

W Gruzji jest bardzo dużo zabytków i ciekawych miejsc do zwiedzania. W portowym mieście Poti w starożytności mieściła się grecka kolonia Fasis. Do najstarszych miast świata należy portowe miasto Suchumi, które jest stolicą separatystycznej Abchazji. Od VI do I wieku mieściła się tam kolonia grecka Dioskurias, a Rzymianie

wzniesli tam twierdzę Sebastopolis. W Kachetii znajduje się kompleks klasztorny Dawid Garedża, który został założony w VI wieku przez 13 mnichów syryjskich. Pro-
wadzi do niego piękna, malownicza droga. Cudne widoki ! Znajdują się tam wspaniałe
freski, ale w czasie najazdów mongolskich spalono manuskrypty. W 1615 roku wojska
perskie dopełniły zniszczenia. Monastyr obecnie jest zamieszkały. Signagi, to miasto
położone na szczycie góry, które powstało w II połowie XVIII wieku. Długość murów
tej twierdzy wynosi 2,5 kilometra. W monastyrze Bodbe pochowano świętą Ninę,
a w Batoniscyche znajduje się królewska rezydencja z XVIII wieku. Tam urodził się
i zmarł (+1798) król Herakliusz II, który całe życie walczył o niepodległość Gruzji
i dlatego został zaliczony w poczet bohaterów narodowych. Katedra Alawerdi, to re-
ligijne centrum Kachetii. Tam znajduje się jeden z najwspanialszych gruzińskich mo-
nastyrów. Twierdza Udżarma ma ponad 1500 lat. Biskup Passotto odwozi mnie nocą
na lotnisko. Krótkie, męskie, serdeczne pożegnanie i prośba biskupa: „Proszę dać nam
znać, gdy ukaże się księdza książka”.



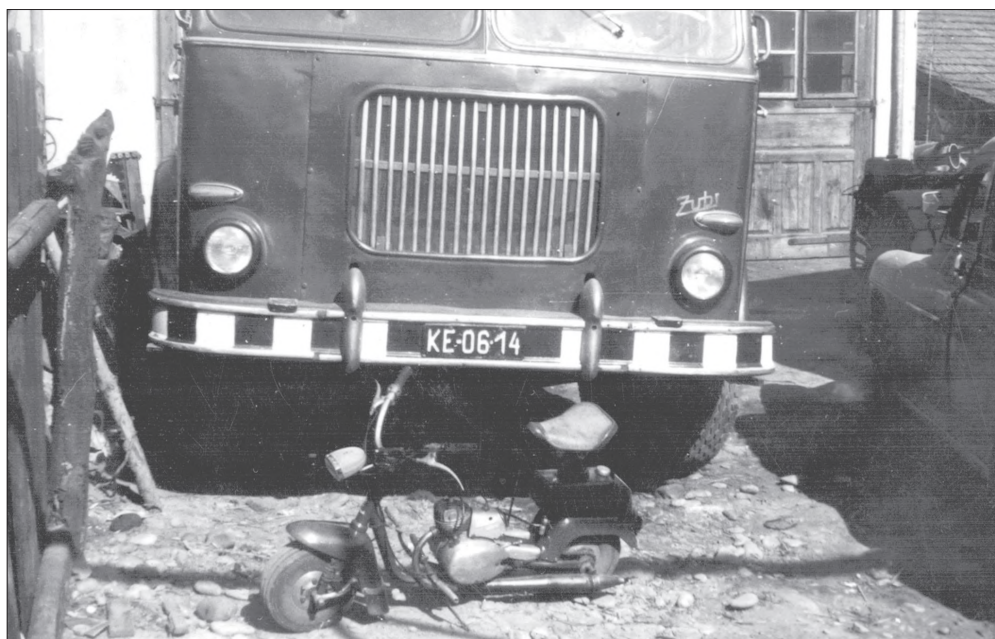
Zawsze byłem dumny, że pochodzę z Łącka. Moją dumę wzmacniają dodatkowo dokonania mniej lub bardziej znanych moich rodaków, szczególnie w dziedzinie nauki i kultury. Ich ilość jest imponująca i zdecydowanie przekracza średnią dla takich małych Ojczyzn jak Ziemia Łącka. Wśród prezentowanych w Almanachach osób nie dostrzegam inżynierów (a może niezbyt starannie czytam każdy numer). Ponieważ ja do nich należę prowokacyjnie przedstawię jakieś tam moje „dokonania” z młodości. Inżynierowie pochodzący z Łącka zaprezentujcie swoje osiągnięcia! Literackich talentów mi brak więc będzie krótko.

Urodziłem się w Łącku w 1943r. W 1968r. (rok pamiętny dla studentów i nie tylko) ukończyłem kierunek Samochody i Ciągniki na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej.

Mój ojciec ś.p. Józef był przedsiębiorcą i posiadał samochody ciężarowe. „W słusznym minionym okresie” takich jak On pogardliwie nazywano „prywaciarzami” co niestety ma miejsce i dzisiaj. W warsztacie Ojca od ś.p. Józefa Czocho i Pitra Słabaszewskiego, uczyłem się od dziecka rzemiosła samochodowego, co okazało się bezcenne w przyszłej pracy. Moi koledzy po ukończeniu politechniki posiadali niejednokrotnie większą ode mnie wiedzę teoretyczną, ja jednak posiadałem dodatkowo umiejętności praktyczne.

W wakacje w 1965r zrobiłem sobie coś takiego, co nazwałem „Dziubdziusiem”





Dziubdziś przed Żubrem Ojca

ECHO KRAKOWA

artykularz

— stali mieszkańcy
olajającego na puszczy.
sawosć kuracyjna, jest
Wszystkie roboty re-
si się w lipcu i sierp-
Zdroju, jak i w jego
mane skandalicznie.
bioto. Ulicie: Orkana,
przyleżdża letników,
są to główne arterie,
ale pełne wody, błota,
pełne kamieni.

rok grozić do grozzą,
mieszkając w tych
o kostki, a biada, im
uje biedaka od stóp
jeżdżą rowery, moto-
Podczas pogody, kurz
ysokości.

zgależenia na Zaryte,
ka i stworzył: czelusi-
a i nie stawia wiezo-
dpowiedzialny w razie
zmar. Mięso — sama
się pojawiające, brak

nia. Kawiarnia zdro-
i dobrych ciastek, ani
oda bez cukru i sm-
lach na obrzydliwych
dyby nie jadalajnie
orował. W autobusach
ejscie panu X zajmie
nogi; po co kupował
o samo miejsce sprze-

Miała sensa-
cję, zwłaszcza
wśród młodszych
mężskich przed-
stawicieli miasta
Krakowa budził
widoczny na
zdjęciu motocykl
— najmniejszy,
jaki kiedykol-
wiek kursował
po krakowskich
ulicach.

Fot. J. Lewicki

J

Wieś oszczędza

Z okazji zbliżającego się Pożyczkowe są książeczki bu-

Rozpoczyna się kultura

Rozpoczyna się n
pracy kultura'no-oś
Już dziś inauguruje
skie Przedsiębiorstw
nikacyjne prelekcją o
łym księciem" w w
T. Małaka. 2 paździ
godz. 11 w Woj. Rad
cowej spotkanie prac
i działaczy kultury
stawicielami władz w
twa. Po spotkaniu
cy obejrzą „Popioły”
interesujący film.

Z okazji rozpoczęci
roku kult.-oświat. Mi
blioteka Publiczna
przy ul. Brackiej 17
jąca wystawę proble
n. „Rodzina wspo

„Polfa” weszła w nową pięć

Krakowskie Zakłady
tyczne „POLFA” już w
wrześniu wykonały zad
5-letniego wartości 3.18
Trzeba podkreślić, że
dobiegającej końca
KZF zaznaczył się wz

Wzmianka w Echo Krakowa z dnia 30 września 1965 r.



Juwenalia 1966r. Kraków



Przed akademikiem PK ul. Bydgoska Kraków

W latach 1968–71 byłem kierownikiem w Zakładzie Transportu Samochodowego Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu.

W roku 1971 rozpocząłem pracę w Ośrodku Badawczo Rozwojowym Samochodów Małolitrażowych (OBR) przy Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Bielsku Białej kolejno na stanowiskach; – konstruktora, starszego konstruktora i kierownika pracowni konstrukcji nadwozi.

Ale do rzeczy:

Przed VI zjazdem PZPR w grudniu 1971r. z przecieków dowiedzieliśmy się, że zjazd podejmie uchwałę o produkcji samochodu osobowo-towarowego dla rolnictwa (ciekawe czasy!). W tym czasie z Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie przenoszona była do Wytwórni Sprzętu Mechanicznego w Bielsku Białej (którą przekształcono w Fabrykę Samochodów Małolitrażowych) produkcję Syreny 104. W OBR powołano zespół młodych konstruktorów do których należałem. W prototypowni wykonaliśmy w ciągu czterech miesięcy prototyp samochodu towarowo – osobowego Syrena Bosto bezpośrednio w prototypowni, bez dokumentacji konstrukcyjnej tylko na pod stawie szkiców, z wykorzystaniem pewnych elementów blacharskich z samochodu Żuk (patrz zdjęcie).

Nazwa auta BOSTO była skrótem od **Bielski OSobowo TOwarowy**



Zespół konstruktorów ośrodka naukowo-technicznego Wytwórni Sprzętu Mechanicznego „Polmo” w Bielsku-Białej, opracował prototyp samochodu dostawczego na bazie „Syreny”. Nowy model może służyć do przewozu ładunku o wadze około pół tony, lub pomieścić 5 osób z większym bagażem. Dzięki uniwersalności, nowa „Syrena” znajdzie zapewne wielu nabywców, szczególnie na wsi. Na zdjęciu zespół konstruktorski: inż. Bolesław Sablik, kierownik mgr inż. Jan Haubner, technik Renata Piątkowska, mgr inż. Roman Podolak, technik Marceli Kłoda, mgr inż. Andrzej Dietrich oraz mgr inż. Stefan Pasoń.

fot. St. Jakubowski



W mojej Pracowni Konstrukcji Nadwozi



W prototypowni



W prototypowni przy Syrenie 104 Bosto



„Chrzest” pierwszej Syreny 104 Bosto



Syrena 104 Bosto. Nogi Renatki, kreślarki w mojej pracowni

Konkurencją dla naszego samochodu była Syrena R20 z FSO, Tarpan i Warta z Poznania.

Po prezentacji w Komitecie Centralnym, na wystawie rolniczej w Bydgoszczy i TVP, podjęto decyzję w sprawie uruchomienia produkcji Syreny Bosto. Wykonaliśmy trzydzieści sztuk prototypów na bazie Syreny 104 i rozpoczęto stosowne badania.

W związku z tym, że w FSM produkcja modelu 104 była wygaszana i rozpoczęto produkcję Syreny 105 zapadła decyzja o przygotowaniu dokumentacji konstrukcyjnej do produkcji seryjnej Syreny 105 Bosto.

W tym czasie byłem kierownikiem Pracowni Konstrukcji Nadwozi OBR przy FSM. Powierzono mi obowiązki konstruktora prowadzącego samochodu Syrena 105B. Do moich obowiązków należało wykonanie całej dokumentacji konstrukcyjnej. Większość zadania to prace w mojej Pracowni Konstrukcji Nadwozi jak również:

- koordynacja prac z innymi pracowniami: konstrukcji podwozi, konstrukcji wyposażenia, elektryczna i silników
- nadzór konstrukcyjny w prototypowni
- współpraca ze służbami technologicznymi
- koperacją itp.

Na marginesie wspomnę, iż nikt z mojej pracowni nie należał do PZPR. Robotę mogli zrobić tylko tacy, którzy potrafili. Pogląd do dzisiaj często głoszony, że aby dostać jakieś stanowisko w "minionym okresie", trzeba było należeć do partii traktuje z przymrużeniem oka. Ja i moi koledzy byliśmy w wieku ok.30 lat. Modzieńcza nieświadomość pozwoliła nam podjąć wyzwanie i je zrealizować.

Jakie to były czasy, jak robiło się rzeczy niemożliwe niech świadczy poniższa historia.

W gabinecie u p. dyrektora technicznego FSM odbywa się narada. Udział w niej biorą dyrektorzy, kierownicy zakładów i działów mających przygotować produkcję Bosto. Ze strony OBR ja konstruktor prowadzący.

Pan dyrektor zagaja:

-Panowie, najwyższe czynniki partyjno – rządowe podjęły decyzję o uruchomieniu produkcji samochodu osobowo – towarowego dla rolnictwa. Mamy przygotowaną dokumentację konstrukcyjną i przeprowadzone niezbędne badania.

W związku z tym, że jest to sprawa wagi państwowej, priorytetowa możecie żądać ode mnie wszystkiego z wyjątkiem dodatkowych;

- powierzchni.
- maszyn,
- ludzi,
- pieniędzy.

Zapada cisza. Po chwili jeden z uczestników narady (60-cio letni, doświadczony inżynier) mówi:

- Panie dyrektorze, ale to się nie da.

Pan dyrektor na to:

- Gdzie my jesteśmy, niech się Pan rozejrzy.

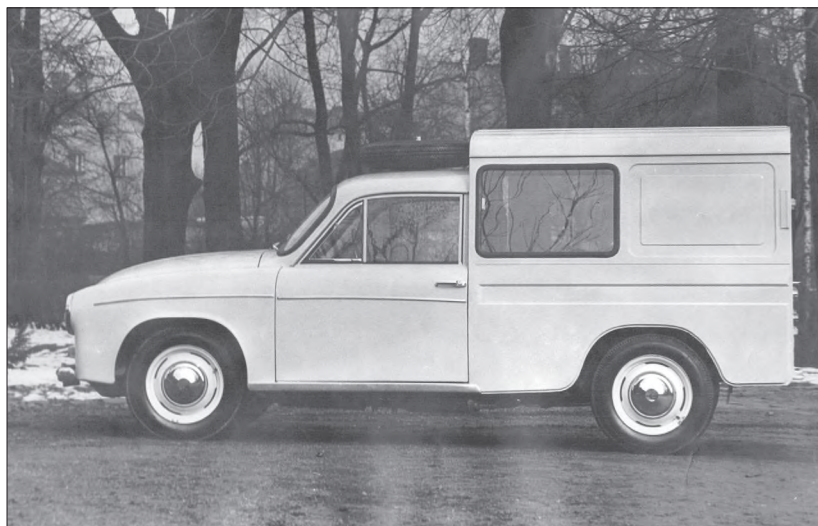
Inżynier rozgląda się i odpowiada

- W gabinecie pana dyrektora.

Pan dyrektor:

- Dobrze. I w moim gabinecie Pan pieprzy, że się nie da.

Koniec dyskusji, dało się. W roku 1974 rozpoczęto produkcję seryjną Syreny 105 Bosto w wersji podstawowej (towarowo – osobowej), przygotowane były inne wersje (patrz zdjęcia) niestety nie uruchomione.



Syrena 105 Bosto osobowo - towarowa



Syrena 105 Bosto pick up



Syrena 105 Bosto pick up



Syrena 105 Bosto strażak



Syrena 105 Bosto strażak



Syrena 105 Bosto osobowo – towarowy

W tym czasie w FSM rozpoczęto produkcję licencyjnego Fiata 126p, na bazie którego, opracowaliśmy dokumentację konstrukcyjną i prototypy Fiata 126p Bombel, (zdjęcie poniżej) niestety skończyło się tylko na prototypach.



„Spreparowane” nadwozie Fiata 126p na bazie którego wykonaliśmy Bombla



Fiat 126p Bombel towarowy



Fiat 126p Bombel towarowo - osobowy

Gama samochodów osobowych polskiej konstrukcji w okresie powojennym nie jest zbyt duża a mianowicie

- modernizacja licencyjnej Warszawy M20,
- 204 sedan
- 204 kombi
- całkowicie polska konstrukcja Syreny 101 – 105 powstała w FSO w Warszawie
- w FSM w Bielsku Białej Syrena 105 Bosto



i to niestety wszystko. Pozostałe to samochody licencyjne:

- Warszawa M20
- Fiat 125p
- Polonez
- Fiat 126p

Mam olbrzymią satysfakcję, że mogłem się przyczynić do produkcji w pełni polskiego samochodu osobowego jakim była Syrena Bosto.

W tym roku minęło 40 lat od uruchomienia jego produkcji, co zostało zauważone m.in. przez pokazane tytuły:



Produkcję Syreny 105 i Syreny Bosto zakończono w 1983 roku, był to smutny fakt, koniec produkcji w pełni polskich samochodów osobowych, pozostały tylko licencje i montownie, a szkoda.

Panie i Panowie inżynierowie, ujawnijcie się, choć nie wierzę, w zmianę dość powszechnej opinii

- eeeeeee tam „inżynierzy” przecież Oni nie wiedzą jak się buduje drogi, mosty, domy, maszyny itp.

Poglądy te niestety prezentują ludzie, którym: „wiem, że nic nie wiem” Sokratesa – nic nie mówi.

P.S.

Kilka lat temu do pracy w sadzie „popęłniłem” fiacika, który służy m.in. jako holownik przyczep z jabłkami.



Jak wynika z przedstawionych materiałów archiwalnych, powszechnym ubezpieczeniem emerytalnym w II RP byli objęci pracownicy umysłowi i zawodowi robotnicy.

Pani Marii Machetowej należało się stałe zaopatrzenie emerytalne po zmarłym mężu, który był woźnym w państwowym gimnazjum, a także pensja sieroca na synów, do uzyskania przez nich pełnoletności tj. 18 roku życia.

Co ciekawe powszechnym ubezpieczeniem społecznym nie byli objęci nauczyciele, funkcjonariusze administracji państwowej, wojskowi, funkcjonariusze poczty i kolei oraz monopoli państwowych. Polska po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, miała nieuregulowaną kwestię ubezpieczeń społecznych, były bowiem one inne w każdym zaborze. Nagłącą więc sprawą było ujednolicenie systemu ubezpieczeń społecznych na obszarze całej II Rzeczypospolitej Polskiej. Jednolity system ubezpieczeń społecznych w II RP, wprowadzono ustawą scaleniową z dnia 28 marca 1933 roku, oprócz jednolitego systemu prawnego ubezpieczeń społecznych, wprowadzono także scalenie organizacyjne. Ustawa scaleniowa była podwaliną dla dalszego rozwoju polskich ubezpieczeń społecznych. Najważniejszym dokonaniem w doskonaleniu ubezpieczeń społecznych w II RP, było powołanie mocą rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 24 października 1934 roku, centralnej, powszechnej instytucji ubezpieczeniowej: Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

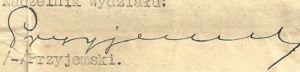
O ubezpieczeniach w zaborze austriackim w kolejnych numerach Almanachu Łąckiego.

Pensja wdowa 50 %	111.36 pktów
Pensja sieroca dla 2 sierot po 1/4 pensji wdowej	
tj. po 27.84 punktów dla każdej, łącznie	55.68 "
Razem 167.04 pktów	

Przeciw ustaleniu podstawy wymiaru pensji wdowej i sieroczej przysługującej Pani prawo wniesienia w ciągu 14 dni zażalenia do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. -

O wszelkich zmianach w stanie rodzinnym np. śmierć dziecka, zawarcie związku małżeńskiego, objęcie posady państwowej lub samorządowej przez dziecko i t.p. należy pod rygorem skutków, przewidzianych w art. 4. pow. ustawy, bezwzględnie zawiadomić Izbę Skarbową we Lwowie i dołączyć odnośne dokumenty jak: metrykę śmierci dziecka, metrykę ślubu i t.p. -

Zakończili proszę zwraca się.

Naczelnik Wydziału:

 Przyjaciński.

 DYREKTA PAŃSTW. GIMNAZJUM im. C. RYLA, NOWODWORSKIEGO
 PRZEDMIEM I.3 ŚW. ANNY,
 W KRAKOWIE.
 L. 371/28. du. 11. maja 1928.

IZBA SKARBOWA WE LWOWIE.

Nr. II. 40810/1/2 Em/36

Lwów, dnia 5. kwietnia 1936

Za recepisem.

Do
Pani Małgi Szachetowej
wolowy po wojennym praciotr. gimnaz.
w Lesku pow. Nowy Sącz

Na zasadzie postanowień art. 3. Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22. listopada 1935 r. (Dz. U. R. P. Nr. 85, poz. 521) Izba Skarbowa we Lwowie ustala, poczynając od dnia 1. kwietnia 1936 r., wysokość należnej Pani pensji wdowiej na 80.16 punktów złotych 50 gr. 00 miesięcznie, przyjmując za podstawę 50% zaopatrzenia zmarłego męża, obliczonego za 26 lat służby w grupie XII szczeblu C uposażenia 66.8 tj. 66.8% podstawy wymiaru.

Dodatek regulacyjny pobierać Pani będzie w tym samym stosunku procentowym.

~~Pensja sieroca wynosi 1/4 części pensji wdowiej Pani. nie podlega~~
~~umniejszeniu.~~

Obliczenie powyższe oparte jest na postanowieniach art. 2. wspomnianego dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej, w myśl którego przy ustalaniu wysokości zaopatrzenia emerytalnego uwzględnia się tylko 3/4 z czasu, podlegającego zaliczeniu do wysługi emerytalnej z tytułu służby w b. państwach zaborezych i pracy zawodowej, a okresów, doliczonych do wysługi emerytalnej z tytułu korzystniejszego liczenia, nie uwzględnia się.

Od niniejszego orzeczenia służy Pani prawo wniesienia odwołania do Ministerstwa Skarbu przez Izbę Skarbową we Lwowie w ciągu dni 14, licząc od dnia, następującego po doręczeniu Pani tego orzeczenia.

Za DYREKTORA IZBY SKARBOWEJ

[Podpis]
Kier. urzędu.

KURATORJUM
OKRĘGU SZKOLNEGO KRAKOWSKIEGO.

Kraków, dnia 22 grudnia 1927.

L. II. 9660/27.

W odpowiedziach należy powo-
ływać się na powyższą liczbę.

Sprawa: zaopatrzenia.

Do

Pani Marii Moncietowej

wdowy po ważnym państwowego Gimnazjum I.

im. B. Zawadzkiego/dawniej św. Anny/

w Krakowie

Kuratorjum przyznaje Pani w porozumieniu z Izłą Skarbową
w Krakowie jako wdowie po zmarłym w czynnej służbie woźnym gimnazjalnym
z tytułu art. 50 i 51 /wzgl. art. 52/ ustawy z dnia 11 grudnia 1923 r. /Dz. U.
R.P. z 1924 r. Nr. 6 poz. 46/, poczyniony od dnia 1 grudnia 1927 r. na czas
stałego uposażenia emerytalnego zmarłego męża/ w ilości 111.35 punktów
miesięcznie, tudzież pensję sierocą i dla pozostałych sierot tj. 1/ syna
Józefa Marijana, ur. 18 lipca 1910 po koniec lipca 1928, 2/ syna Stanisława
Józefa, ur. 2 marca 1927 r. po koniec marca 1945 r. - ilości po 55.68
punktów miesięcznie, czyli łącznie z pensją wdowią w ilości 167.03 punktów
miesięcznie, których wypłatę wraz z dodatkami regulacyjnymi zarządzą Izba
Skarbowa we Krakowie przez Pocztową Kasę Osobistości.-

Zaległe raty pensji wdowiej i sieroczej otrzyma Pani naraz,
bieżące zaś raty otrzymywać Pani będzie w ratach miesięcznych, przypadają-
cych dnia 1, a płatnych dnia 2 każdego miesiąca pod warunkiem spotykania
pensji w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.-

Obliczenie uposażenia emerytalnego zmarłego męża:

Stale uposażenie zasłużnicze	240 punktów
Za policzoną służbę w ilości lat 38 i 92.80	222.72 "

Jabłko łackie na znaczku Poczty Polskiej

18 lipca 2014 roku wszedł do obiegu Poczty Polskiej znaczek z łackim jabłkiem. Znaczek ma nominal 5 złotych. Projektantką znaczka jest Agnieszka Sancewicz. Z tej okazji wydano także okolicznościową kopertę o specjalnym datowniku.



*Polskie produkty regionalne
jabłko łackie*



Historia

Zgodnie z przekazami historycznymi, sadownictwo kwitło w okolicy Łacka od dawien dawna. W XIII w. wywożono surowe śliwy i jabłka do Gdańska. Sady łackie wymieniane są też (w dokumentach z XVI w. jako ogrody folwarczne) i parafialne. W XVII i XVIII w. istniały już na tych terenach duże sady śliw i jabłoni. Protokoły dworskie z wizytacji przeprowadzonej w 1698 r. informują, m.in. o tym, że część chałupników miała obowiązek zbierania owoców i dostarczania ich do dworu w ramach prac pańszczyźnianych: „Nie ma tu domu, obok którego nie byłoby sadu, lub kilku bodaj drzew owocowych, nadto niektóre drogi i skraje pól ujęte są w szeregi śliw. Sadownictwo jest po rolnictwie najważniejszą gałęzią gospodarstwa i źródłem bogactwa okolicy”. Łacko i okolica zawdzięcza swe sady pracy i wysiłkom wielu ludzi, oraz korzystnym warunkom naturalnym i klimatycznym, sprzyjającym rozwojowi upraw. Już w okresie międzywojennym stwierdzono, że okolice te posiadają swoisty mikroklimat sprzyjający sadownictwu. Bardzo ważną jest niezwykle wysoka kultura sadownicza rozwijana i doskonalona przez wieki.

AUTORKA PROJEKTU ZNACZKA: AGNIESZKA SANCEWICZ
LICZBA ZNACZKÓW: 1
WARTOŚĆ: 5 ZŁ
NAKŁAD: 200 000 SZTUK
TECHNIKA DRUKU: ROTOGRAWIIOWA
FORMAT ZNACZKA: 43 X 31,25 MM
ARKUSZ SPRZEDAŻNY: 9 ZNACZKÓW
PAPIER: FLUORESCENCYJNY
DATA WPROWADZENIA DO OBIEGU: 18 LIPCA 2014 R.

*Poczta Polska S.A. serdecznie dziękuje za pomoc
w realizacji foliery
Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.*

*Wydawca: Poczta Polska S.A.
Biuro Marketingu i Filatelistyki, ul. Ślaska 2, 00-940 Warszawa
Koordynacja projektu: Agnieszka Kłoda-Dybska
Projekt graficzny foliery: Agnieszka Sancewicz
Tekst: Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi*

*Kolekcjonuj znaczki w prosty i wygodny sposób.
Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce pocztowej,
bądź za pośrednictwem strony internetowej:
www.filatelistyka.poczta-polska.pl*



Polskie produkty regionalne
jablko tuckie





✦ *Polskie produkty regionalne*

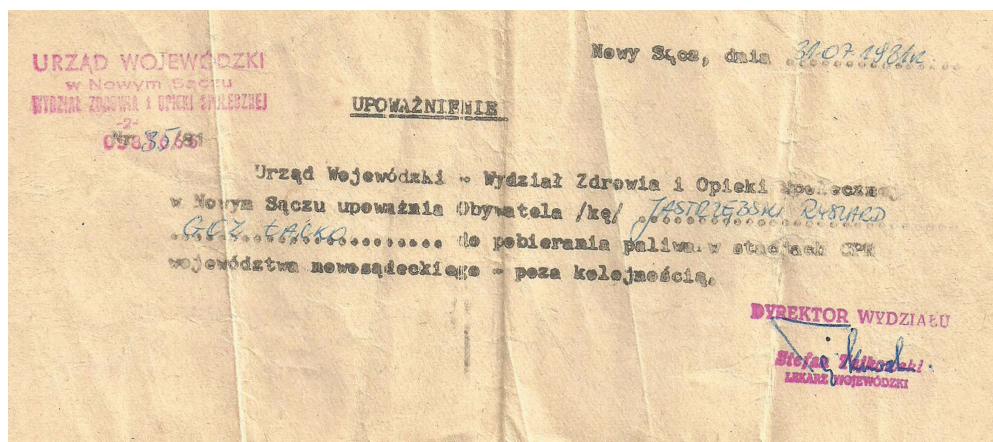
Obszar

Jabłka łuckie produkowane są na obszarze położonym na terenie części województwa małopolskiego, obejmującym gminy: Łucko, Podegrodzie i Stary Sącz, znajdujące się na terenie powiatu nowosądeckiego oraz gminę Łukowica, znajdującą się na terenie powiatu limanowskiego.



Porządkując „domowe archiwum”, znalazłem małe, pożółkłe karteczki. Zacząłem przeglądać i czytać, okazały się ciekawym materiałem archiwalnym z okresu lat 1980-89.

Oto one:



Naczelnik Gminy
Łącko

U P O W A Z N I E N I E

NR 2/10/89

Naczelnik Gminy Łącko upowźnia lekarza medycyny
Ryszarda Jastrzębskiego zam. Łącko 512/9, do nabywania benzyny
w GPN poza kolejnością.

Podstawa: Umowa z Woj. Szpitalem Zespolonym w Nowym
Sączu o ryczałt za używanie samochodu prywatnego nr rej. NSJ 4902
do celów służbowych znak: W.Sz.Z.II.Sł.Prac.173/1/89 z dnia 1989-01-31.

NACZELNIK GMINY

Franciszek Wójcicki

W tej dekadzie mieści się powstanie Solidarności, wprowadzenie stanu wojennego i pierwsze częściowo wolne wybory.

Może te archiwalne materiały staną się przyczynkiem, by pobudzić innych, do zainteresowania się tym okresem historii na Ziemi Łąckiej.



Święto Kwitnącej Jabłoni, 15 maja 1960 r., Lidia i Hania Bodziona (fot. z rodzinnego albumu Marka Nowaka)



Budowa domu w Zarzeczcu, 1971 r. (fot. ze zbiorów Marcina Brzózki)



Święto Kwitnącej Jabłoni, lata 60. XX w., autobus „Gromady” z wycieczką (fot. ze zbiorów TMZŁ)



Kościół w Czarnym Potoku, stan aktualny, fot. Bolesław Faron



Piekarnia GS w Łącku, lata 70 XX wieku (fot. ze zbiorów TMZŁ)



*Zakończenie uroczystości otwarcia szlaku turystycznego "Szlak Kwitnących Sadów", Łącko 1968 r.
(fot. ze zbiorów rodzinnych Marka Nowaka)*



*„Święto Kwitnącej Jabłoni” 1961 r., parking w sadzie
u St. Sopaty z Brzegu (fot. ze zbiorów TMZŁ)*



Powszechny środek lokomocji, „Święto Kwitnącej Jabłoni” 1961 r, jazda na pace (fot. ze zbiorów TMZŁ)



Poświęcenie Szkoły Podstawowej w Łącku, lata 50. XX w. Stoją od lewej: x. Feliks Uryga, Stanisław Baziak, Kazimierz Nowak, inspektor Pisarski i p. Izdebski (fot. ze zbiorów Marka Nowaka)



Zarzecz 1963r, Józef Gromala z wnuczką Anną (fot. ze zbiorów Marcina Brzózki)



Drewniany, wiszący most w Zarzeczcu, lata 60. XX wieku (fot. ze zbiorów Marcina Brzózki)



Stoją od lewej: Jan Więclawek, Józef Ukleja, siedzą od lewej: Jadwiga Kaczor (z d. Klag), Wiktoria Kurzeja (z d. Arendarczyk), Maria Myjak, Zofia Ukleja, Helena Więclawek, za nimi stoja i klęczą ich dzieci



Od prawej: Helena Więclawek (z d. Kurzeja), Maria Myjak (z d. Kurzeja), Zosia Zbozień (z d. Myjak)



Od lewej stoją: Jan Pałka, Wiktoria Kurzeja (z d. Arendarczyk), Janka Kurzeja (z d. Pasiud), Zofia Klag (z d. Kurzeja, Zwoto Ukleja), Stanisław Pasiud, Wiktoria Gorczyca (z d. Pasiud), Michał Ćwikowski, Maria Myjak (z d. Kurzeja), Jan Bogucki, Maria Faron (z d. Pasiud), żona adwokata Władysława Kurzei z Nowego Sącza, Antoni Klag (I mąż Zofi Kurzejanki); siedzą od lewej: Jadwiga Bogucka (z d. Pasiud), Franciszka Pasiud (z d. Ćwikowska), Zofia Pasiud (z d. Kurzeja), Franciszka Pałka (z d. Kurzeja); kucają od lewej: Wiesław Bogucki, Helenka i Jasiu Pasiud, NN



Rodzina Kurzejów na ganku domu w Kiczni



Wystawa „Fotografia komputerowa” Andrzeja Urbanca

W maju tego roku, przy okazji Walnego Zgromadzenia Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, w górnej sali restauracji „Oberża” w Łącku, otwarta została wystawa prac graficznych Andrzeja Urbanca*, wieloletniego członka Towarzystwa.

Andrzej Urbaniec przez większość życia zajmował się hobbystycznie sztuką, uwieczniając głównie na papierze, płótnie i kliszy fotograficznej, malownicze krajo-brazy i architekturę nowosądecką.

Artysta, mimo swojego słusznego wieku (w tym roku obchodziliśmy jego 90te urodziny), nie ogranicza się do znanych sobie i doskonalonych przez całe życie środków wyrazu, pozostając otwartym na nowe możliwości.

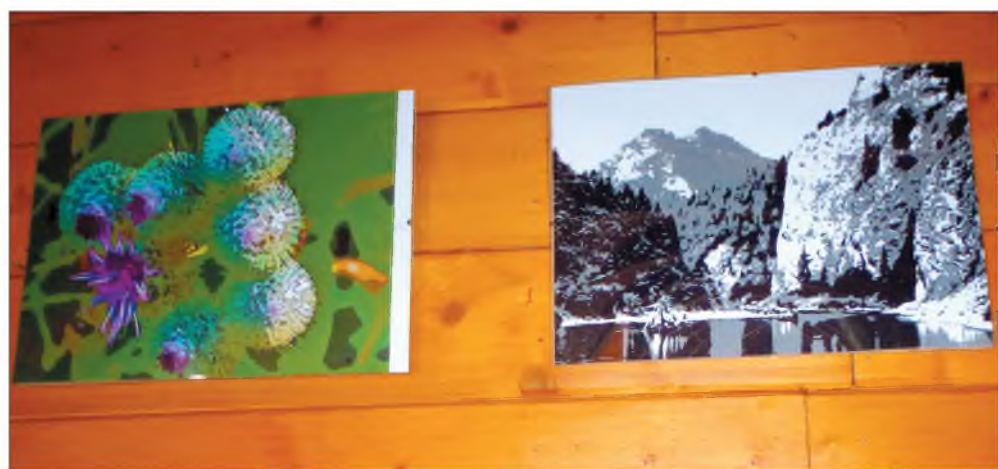
Wykorzystując współczesne narzędzie jakim jest komputer wyposażony w programy graficzne, poddał obróbce komputerowej część swoich prac, tworząc w ten sposób cykl kolorowych grafik komputerowych, które podczas wystawy mieliśmy przyjemność oglądać.

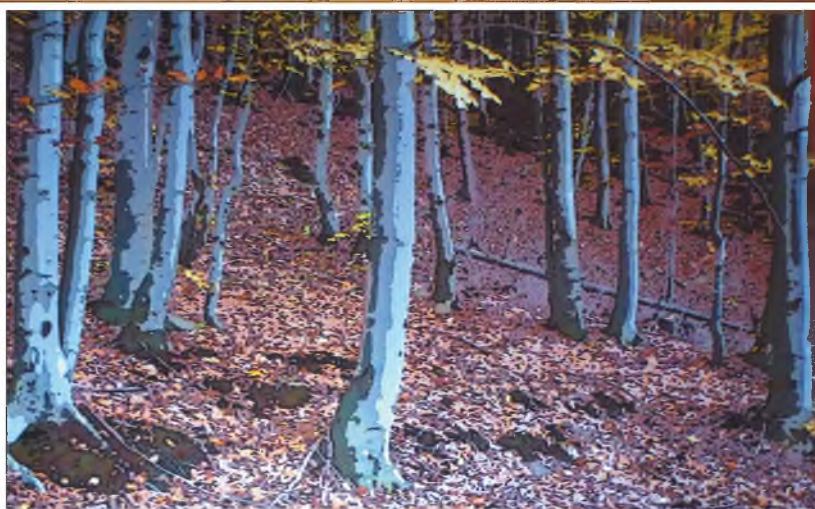
Ekspozycja prezentowana była do lipca tego roku.

* Z dniem 30 września br. Andrzej Urbaniec zrezygnował z członkostwa w Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej.

Komputerowo przetworzone fotografie











fot. ze zbiorów TMZŁ

Gdy na stare fotografie
patrzę z sentymentem w oku
wypowiedzieć nie potrafię
szybkości zmian pór roku.

Narcyz kwitnący po chwili
zmienia się w lilie pachnące
I coraz mniej już motyli
I coraz niżej już słońce...

Dziś woda gorąca w potoku
Jutro już zamarznięta
I łza nieraz błysnie w oku,
że za niedługo święta.

Zapach lata tylko został-
tam znów idę, na poddasze,
gdzie pierwsze wspólne odkrycia...
Wszystko było takie... nasze...

A dziś śnieg i wiatru płacz
i tylko na fotografii,
został śmiech, którego już
nikt powtórzyć nie potrafi.

* * *

W zimowej ciszy poranka,
gdy słyszeć oddech spokojny
śnieg lekko krew ciemną chce zakryć-
pamiętkę wojny.

Jest rok czterdziesty piąty
Warszawa do życia się budzi,
wychodzą z cieni budowli
cienie Tych ludzi.

Zamek królewski znów stoi
Jak dawniej – wielki, wspaniały
Znów Chopin gra na pianinie
Preludium chwały.

Mickiewicz przysiadł na rogu
z Słowackim przeproszać się rady
Na placu przed zamkiem gwarno,
musztry, parady...

Moniuszko do rytmu nogą
głaszcze psa Wyspiańskiego
A Reymont z zamysłem słucha
Preludium Deszczowego

I brzmią w tych nutach polskie
bory, sady i lasy
I mówi zraniona Warszawa:
Ech, gdzie te czasy...

* * *

Przyjdiesz mój Panie
na tę łąkę ziemię
By ugasić łkanie-
lecz czy ludzkie plemie
przyjmie Cię otwarcie?
Otworzy domostwa?
Czy już nie wystarczą
prezenty (lub forsa)?
Nowy Iphone, laptop,
tablet, bluzka w kropki;
długo będziesz, Mario
poszukiwać szopki
Stajnie poburzone,
wszystko takie...nowe...
I sianka by było
mniej już o połowę.
Choć w domach bogatych
Dziś ciepło i granie,
nie znalazłbyś miejsca-
jak w Twych czasach,
Panie.

* * *

Zwolnij świecie, zwolnij
Zatrzymaj się chwilę
Siądźmy raz przy piecu
Wspomnień mamy tyle...

Zwolnij świecie, zwolnij
Rozciągnij się, dobo
Niech ludzkie uczucia
Zakwitną na nowo.

Zwolnij świecie, zwolnij,
Bo wiosnę przeoczysz!
Bzu zapach! Skowronka!
I jasne obłoki...

Zwolnij świecie, zwolnij
Bym kiedyś ze smutkiem
nie musiał powiedzieć
„To życie... za krótkie...”

* * *

Będę szczęśliwy.
Gdy zobaczę te oczy,
Gdy dotknę tej skóry,
Gdy pocałuję te ręce,
Gdy usłyszę ten głos.

Będę szczęśliwy,
Gdy wspomniny zdarzenia,
Gdy siądziemy przy winie,
Gdy będziemy powtarzać:
„Niech ta chwila nie minie...”

Niechaj trwa w noc bezsenną,
gdy nie chce robić się jaśniej.
Bądź wtedy tylko ze mną,
tak, jak to robisz właśnie.

Marcin Wnęk, pochodzi z Czerńca. Absolwent LO w Łącku. Od 1 sierpnia 2014 roku organista w Łąckim Kościele. Członek Zespołu Regionalnego Górale Łąccy, Związku Podhalan o/ Łącko i Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.

Późna jesień

Szaro za oknami,
Wiatr hula górami.
Po polu i lesie
idzie późna jesień.
Nad zimnym Dunajcem
Mgła sina się niesie
Po polu i lesie
Idzie późna jesień.
Ziemia odpoczywa
Po bujnym okresie
Polami lasami
Idzie późna jesień.
Słońce zza chmur zerka:
Czy gdzieś kwiatków nie ma?
Niestety, niestety.
Wkrótce przyjdzie zima,
obieli nam pola,
Mróz w domu zatrzyma.
Piec ci miłym będzie
Gdy nadejdzie zima
Przez okno na góry
Rzucisz wzrok żałosny
I westchniesz cichutko:
Aby znów dowiosny!

Łącko

Leży sobie Łącko w Dunajca dolinie,
A przez jego Rynek Czarna Woda płynie.
Całe otoczone górami dokoła:
Złotne, Cebulówka, Beniowa, Jeżowa.
A od wschodu górką z historyi znana.
Stało tam zamczysko rycerza Zyndrama.
Z ruin tego zamku kościół wystawili
Aby Pana Boga Łącianie chwalili.

Słynie Łącko z jabłek w całej okolicy,
A na całą Polskę ze swej śliwowicy.
Ma orkiestrę i zespół ludowy,
Co zawsze do tańca i śpiewów gotowy.
W nim piękne góralki krasne mają lice,
Strojne są w gorsety, kierpce i spódnice.
Zaś górale portki z parzenicą mają,
Bogatymi pasy je opasywają.
Długo by tak pisać o łąckiej ubocy,
Tu trzeba przyjechać, zobaczyć na oczy.
A jak raz przyjedziesz w tego świata strony,
To mogę ci przyrzec-będziesz zachwycony.
No i jak zobaczysz jakie są tu bale,
To bedziesz co roku przyjeżdżał tu stale!

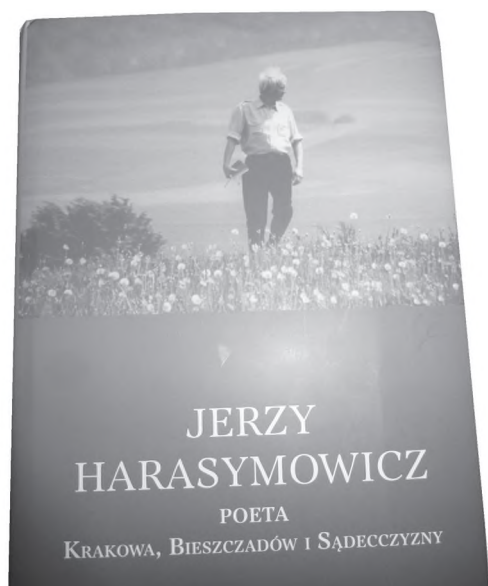
Dobroć

Dobroć to cecha świętych, a to z tej przyczyny,
Że nadmiarem dobroci nigdy nie grzeszemy.
Więc bądź dobrym dla wszystkich bliźnich,
Dzieci, siostr i braci
I pamiętaj: dobrocią dobry się bogaci.

Jesień

Odleciały ptaki, skowronek nie dzwoni,
dzień się budzi senny, nic człeka nie goni.
Czasem gołąb rudy, zagrucha w przelocie
lub sroka zaskrzeczy, przysiadłszy na płocie.
Coraz mniej jest widać soczystej zieleni -
lecz gdy słońce wszędzie, świat cały się zmieni
wszelkimi odcieniami: zółci i czerwieni.
Przysiądź ze mną w słońcu
i chłoń świat radosny,
by nabrać energii i doczekać wiosny.

„W górach jest wszystko, co kocham”¹
**Recenzja książki „Jerzy Harasymowicz. Poeta Krakowa,
Bieszczadów i Sądeckich”**



Pokaźnych rozmiarów publikacja *Jerzy Harasymowicz. Poeta Krakowa, Bieszczadów i Sądeckich* pod redakcją prof. Bolesława Farona jest pokłosiem poświęconej temu twórcy Międzynarodowej Konferencji Naukowej, zorganizowanej w Krakowie w dniach 18–19 października 2013 roku. Urodzony (1933) w Puławach Harasymowicz był twórcą bardzo płodnym i, jak wynika z zebranych w książce tekstów, imponował rozległością poetyckich zainteresowań. Opublikował przeszło pięćdziesiąt tomów wierszy i jako jeden z nielicznych ludzi pióra utrzymywał się wyłącznie z pisania.

Czytelnik znajdzie tutaj bogaty wybór artykułów dwudziestu autorów,

wśród których przewijają się nazwiska znakomitych historyków i teoretyków literatury, poetów oraz przyjaciół zmarłego w Krakowie, w sierpniu 1999 roku, Harasymowicza. Są tu zarówno emanujące sporą dozą nostalgii teksty wspomnieniowe autorstwa prof. Alicji Zemanek i prof. Ladislava Volko, próby nakreślenia portretu psychologicznego poety zafascynowanego tematyką z pogranicza kultur, jak i referaty ukazujące historię debiutu i wpływ autorytetu Kazimierza Wyki na jego umysłowość. Nie brak także krytycznych rozpraw teoretycznoliterackich i tekstów poświęconych fascynacji bieszczadzkiemi czy sądeckimi krajobrazami.

„Od czego zacząć?”, zadając pytanie za prof. Stanisławem Burkotem (UP), najlepiej wyjść od początku, a więc od tekstu *Wokół debiutu...*, w którym poznajemy literacką drogę młodego poety. Harasymowicz debiutował w 1955 roku wraz z czterema innymi poetami – Stanisławem Czychem, Bohdanem Drozdowskim, Mironem Białoszewskim i Zbigniewem Herbertem (tzw. debiut pięciu), co dało początek pokoleniu „Współczesności”. Wydarzenie to, uważane dziś za odwrót od socrealistycznej poetyki początku lat pięćdziesiątych, zapowiadało w poezji powrót do indywidualizmu, problemów codziennego życia i co za tym idzie – zerwanie z ideą tworzenia w służbie ogółowi.

¹ J. Harasymowicz, *W górach* [w:] *Jerzy Harasymowicz. Poeta Krakowa, Bieszczadów i Sądeckich* pod red. prof. B. Farona, Kraków 2014, skrzydełko przedniej okładki.

Lecz – jak zaznacza badacz – jest to pewne uproszczenie, od lat funkcjonujące w krytyce literackiej. Pierwsze tomy wierszy: *Cuda*, *Powrót do kraju łagodności* oraz *Wieża melancholii* zostały wysoko ocenione przez krytyków i przyniosły Harasymowiczowi opinię poety baśni, ukierunkowanego na powrót do naiwnego, niejako dziecięcego postrzegania świata. Z referatu prof. Burkota wyłania się bliska czytelnikowi postać poety-włóczęgi wrażliwego na piękno przyrody gór i sztuki (również tej prymitywnej) oraz los odmieńców, jak chociażby Nikifor Krynicki. Poety, w którego często odrealnionych wierszach, nasuwających na myśl skojarzenia z baśniowym klimatem utworów Leśmiana, roi się od muzyńskich świątków oraz pojawia się mnóstwo nawiązań do malarstwa (m.in. zegary Dalego, konie Kossaka) i dramatycznego losu wysiedlonych Łemków. Trudno takiego Harasymowicza nie polubić. Bo choć metaforą, groteską i nawiązaniem do surrealizmu komplikuje strukturę wiersza, dzięki kłnącym siarczyście Chrystusikom wydaje się swojski nawet czytelnikowi, któremu nie dane było słyszeć ani o płonących żyrafach, ani o miękkich zegarach Dalego.

Do atmosfery wczesnych lat pięćdziesiątych nawiązuje także referat prof. Faraona (UP) *Mecenas i przyjaciel. Kazimierz Wyka o poezji Jerzego Harasymowicza*. Jednocześnie wyłaniają się z niego niepospolite portrety dwóch ludzi – Harasymowicza i Wyki. Czytamy tutaj między innymi, że młody twórca znalazł w znanym krakowskim krytyku literackim oddanego mentora, który – jak sam potem wspominał – nauczył go, że „najważniejsza dla poety jest wyłącznie poezja” i dzięki niemu jego „działania dostały skrzydeł”, a „życie nabrało sensu”. Otwarty i życzliwy wobec młodych twórców Wyka, zdaniem badacza, „nauczył” Harasymowicza duchowej niezależności. Z artykułu, wzbogaconego o materiały wspomnieniowe i wywiady, m.in. z córką krytyka, Martą Wyką, wynika, że spotkania ucznia z mistrzem w jego prywatnym gabinecie były bardzo częste, że godzinami potrafili rozprawiać tam o literaturze czy analizować wiersze, dokonując ich skrupulatnej selekcji i odrzucając te słabsze, i że... obaj kibicowali Cracovii. Mamy tu więc do czynienia nie z wyidealizowanymi czy schematycznymi postaciami z podręczników, o których nikt nie chce się uczyć, ale z portretami ludzi z krwi i kości, serdecznych przyjaciół, żyjących pasją do literatury oraz piłki nożnej. Wyka nie tylko motywował młodego poetę, ale do końca życia bronił oryginalności jego tekstów przed oskarżeniami o tani sentymentalizm. Jako przyjaciel i znawca realiów, w których Harasymowicz tworzył, widział i potrafił docenić ewolucję jego warsztatu poetyckiego od animizacji do baśni oraz do większej oszczędności w słowach. A jako badacz Młodej Polski, chwalił nawiązania do modernizmu: twórczości Wyspiańskiego czy „przemienione w słowa kompozycje Jacka Malczewskiego”. Wysoko również cenił utwory poświęcone Łemkom i Łemkowszczyźnie oraz tematyce krakowskiej – Harasymowicz był autorem poematu o Wawelu oraz piewą kultury przedmieścia i krakowskiego zaścianka, co widać chociażby w słynnym *Barze na Stawach* (1972).

W książce znajdują się także rozprawy krytyczne, teoretycznoliterackie, poddające szczegółowej analizie wybrane aspekty twórczości Harasymowicza. Przykładowo, prof. Stanisław Stabro (UJ) skupia się na stosunku poety do tradycji, w tekście *Jerzy Harasymowicz wobec tradycji* przekonując, że u jego podstaw legło bezrefleksyjne

podejście do problemu tożsamości historycznej Polaków, czego wyrazem miały być ksenofobiczne akcenty czy idealizacja etnicznych konfliktów w niektórych wierszach. Jednocześnie badacz nadmienia, że poeta potrafił utożsamić się z mitologią wielu narodów, dzięki czemu udało się mu stworzyć popularną dziś postać podmiotu lirycznego funkcjonującego na pograniczu różnych kultur i tradycji. W kolejnych tomach poetyckich ujawniał bowiem fascynację kulturą łemkowską, ukraińską, a nawet ormiańską.

O tym, że Harasymowicz był poetą pogranicza kultur, czytamy także w tekstach Joanny Mazur-Fedak (PWZS w Sanoku) *Wyobraźnia Jerzego Harasymowicza...*, Ladi-slava Volko *Poetyckie reminiscencje słowackie w twórczości Jerzego Harasymowicza* czy Ihora Kałyneć *Motywy ukraińskie w twórczości Jerzego Harasymowicza*, który – jak sam mówi – „zachorował” na poezję Harasymowicza i zaczął pisać jego słowami, ale w swoim języku.

Poeta-samotnik będący piewą nie tylko kulturowych, ale i geograficznych pograniczy, szczególnie upodobał sobie Bieszczady i Sądecczyznę, o czym piszą Agnieszka Lipińska (*Bieszczadzki szlakiem Jerzego Harasymowicza*), Andrzej Szczepiek (*Harasymada w Komańczy*) i Barbara Głogowska-Gryziecka (*Pejzaż sądecki w poezji Jerzego Harasymowicza*). Okolice te stały się dla niego miejscem ucieczki od wielkomiejskiego zgiełku, swoistą „krajną łagodności”, gdzie mógł w spokoju tworzyć. Z czasem jednak ich sielska wizja uległa przeobrażeniu, odkrywając swoje drugie oblicze – mroczne i dotąd ukryte. W wierszach pojawiły się autoironiczne akcenty, motywy cierpienia i pułapek codziennego życia, a bohaterowie stali się niejednoznaczni, chociaż nie zatracili baśniowych cech.

Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie, przynajmniej po części, można odnaleźć w tekście prof. Agnieszki Ogonowskiej (UP): *Słowo i obraz: próba rekonstrukcji portretu psychologicznego poety. Casus Jerzego Harasymowicza*. Na podstawie utworów poetyckich oraz zgromadzonych archiwaliów, badaczka dokonuje tutaj rekonstrukcji portretu psychologicznego poety. Dzięki analizie jego wypowiedzi medialnych i dorobku literackiego, potraktowanego jako studium przypadku, udaje się jej dostrzec typ osobowości niestabilnej, człowieka wciąż poszukującego nowych doznań i odpowiedniego punktu odniesienia dla własnej twórczości.

Słowem, z całej książki wyłania się obraz człowieka o niepospolitym umyśle i talentie, który miał dar przetwarzania wszystkiego w poezję i potrafił zastosować każdą stylistykę, od staropolskiej czy barokowej, poprzez ludową, na wyrafinowanych próbach naśladowania wielkich poprzedników kończąc. Człowieka wrażliwego, ale też nieodżegnującego się od autokreacji. Obrazoburcy i prowokatora, który nie stronił od wulgarności. Ale też wyobcowanego twórczo samotnika, świadomego bólu istnienia.

Zdaję sobie sprawę z faktu, że jest to zaledwie zarys portretu wyłaniającego się z całej książki. Nie sposób również przytoczyć wszystkich wątków zawartych w niej wielogłosowej dyskusji, tak jak i poezji Harasymowicza nie można ująć w wąskie ramy. Lektura warta jest dogłębnego poznania. Podobnie jak twórczość poety Bieszczadów i Sądecczyzny, paradoksalnie na tej ukochanej przez niego Sądecczyźnie wciąż znano go za mało.

Pro memoria – ku pamięci Stanisława Dudy



8 sierpnia 2014 r. w południe dla wielu ludzi z bliższych i dalszych stron naszego regionu, pędzący szybko, czas spowolnił na kilka godzin. Kilku tysięczny kondukt towarzyszył w ostatniej drodze Stanisławowi Dudzie, który niesiony w ostatnim pożegnaniu przez braci strażacką przemierzył drogę przez wioskę, której tyle czasu poświęcił, kościół z którym tak bardzo był związany, by spocząć na cmentarzu parafialnym w Woli Piskulinej.

Zmarł 5 sierpnia br. po krótkiej, ale bardzo ciężkiej chorobie w wieku 53 lat. Wielu na wieść o jego chorobie mówiło: „jest zbyt potrzebny rodzinie i społeczności, jest zbyt silny i pełen wigoru żeby już odchodzić”. Stało się jednak inaczej

– on pomagał wielu, dla niego niestety pomocy nie było – straszna choroba okazała się silniejsza.

Stanisław Duda – radny Rady Gminy w Łącku pięciu kadencji, wieloletni sołtys Woli Kosnowej, zastępca Prezesa OSP w tej miejscowości, organista przed laty parafii Wola Pikulina, a od kilkunastu lat w parafii Jazowsko, wielki społecznik i można by jeszcze tak długo wymieniać, gdyż taki właśnie był. Zawsze zaangażowany w życie swojej wsi i całej gminy, zostawiający własne zajęcia dla spraw wsi i społeczności. Jemu zawsze się „chciało” działać i załatwiać kolejne problemy środowiska lokalnego.

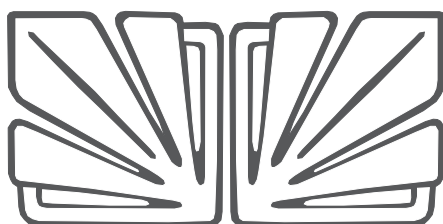
Jest jednak jeszcze coś więcej – był człowiekiem wielkiego serca, pogodnym i uśmiechniętym, zawsze życzliwym i uczynnym, mającym zawsze czas zamienić choćby słowo z napotkanym człowiekiem – a ilu ich było na jego drodze najlepiej świadczą nieprzebrane tłumy na pogrzebie i prawie pół tysiąca zamówionych w Jego intencji mszy pogrzebowych. Jak to trafnie ujął jeden z uczestników „to nie był pogrzeb a manifestacja szacunku wobec wspaniałego człowieka i wyraz żalu z powodu jego przedwczesnego odejścia”.

W zabieganym współczesnym świecie jest coraz mniej ludzi, którzy tak jak on potrafią się „dzielić sobą” z innymi. Własnych spraw miał pod dostatkiem: praca na roli (zawsze walczył z rozpowszechniającym się poglądem, że „się nie opłaca”), czy troska o utrzymanie licznej rodziny nie przesłaniały mu potrzeb i problemów innych ludzi. Kiedy pożar pozostawił bez dachu nad głową jednego z mieszkańców wioski to właśnie on zmobilizował ludzi do bezinteresownej pomocy: jedni pracą, inni mate-

riałami, a jeszcze inni datkami w czasie zorganizowanej przez niego kwesty wsparli poszkodowanego i w szybkim tempie lokum dla pogorzelca powstało.

Potrafił jak mało kto zarażać swoją pozytywną energią i entuzjazmem będąc przy tym człowiekiem o jednoznacznych i wyrazistych poglądach. Pozostał zawsze wierny swoim prostym i czytelnym zasadom: dla niego białe było białe – bez odcieni szarości podobnie jak czarne. Pozostał też zawsze wierny swojej wielkiej pasji – muzyce, którą zaszczepił swoim dzieciom (trójka z nich zasiłiła naszą łącką Orkiestrę Dętą).

Takim go zapamiętajmy: pogodnym, zawsze uśmiechniętym i życzliwym z jego nieodłącznym akordeonem i pięknym śpiewem.



„Razem możemy więcej”

**II Festyn Stowarzyszenia Wspierania Edukacji i Rozwoju
Wsi Zarzecze**

Powoli staje się tradycją, że 15 sierpnia Stowarzyszenie wraz z sołtysem, Radą Sołecką i mieszkańcami wsi, organizuje festyn podczas którego zbierane są fundusze na potrzeby szkoły. Tak było i w tym roku, gdzie w ramach przeprowadzonej publicznej zbiórki oraz odpłatnej działalności pożytku publicznego zebrano 10. 560 zł.

Organizatorzy przygotowali bogaty program i moc atrakcji dla wszystkich. Festyn rozpoczął się pokazem ratownictwa technicznego przygotowanym i przeprowadzonym przez drużyny Ochotniczej Straży Pożarnej Łącka i Zarzecza. Strażacka ekipa ratownicza sprawnie i z wielką znajomością swojego zadania wydostała poszkodowanego i zakleszczonego w samochodzie kierowcę, i przygotowała do przejęcia przez zespół karetki pogotowia ratunkowego. Fachowy komentarz Jana Mrówki, komendanta OSP W Łącku, objaśniający kolejne czynności ekipy ratunkowej pokazał obserwatorom, jak trudna i odpowiedzialna jest pomoc strażaków, którzy zawsze pierwsi pojawiają się na miejscu wypadku. Były także występy artystyczne uczniów Szkoły Podstawowej, rozgrywki sportowe, konkursy z nagrodami, występowały zespoły regionalne Hazyhorizon, Pieśni i Tańca „Górale Łąccy”, Marcin Wnęk, a do tańca podczas zabawy tanecznej przygrywał Zespół Citak Band.

Na stoiskach ustawionych wzdłuż boiska sportowego odbywał się kiermasz rękodzieła przygotowanego przez rodziców oraz uczniów pod kierunkiem nauczycieli. Wyroby te cieszyły się wielkim powodzeniem wśród kupujących. Wśród wyrobów regionalnych uwagę przyciągał piękny kobiecy strój regionalny - gorset wykonany przez miejscową artystkę i przeznaczony na licytację.

Nieopodal sceny rozłożyli swoje stoiska artyści: Józef Tokarz z Jazowska, mistrz rzeźbienia w drewnie, z dumą prezentujący nie tylko swoje świątki, ale i strój góralski, w który był przyodziany. Obok wystawę fotograficzną z cyklu „Zarzecze dawniej i dziś” przygotowali dwaj fotografowie – Józef Gromala Zarzeczanin z pochodzenia i pasjonat fotografii, oraz jego wnuk Marcin Brzózka, fotograf z prawdziwego zdarzenia i Zarzeczanin z wyboru, który z powodzeniem kontynuuje tradycje rodzinne. Ciekawe i oryginalne ujęcia starych domów Zarzecza, pejzaże dawniejsze i obecne pokazywały jak zmieniła się, na korzyść, wieś na przestrzeni kilkudziesięciu lat i przyciągały uwagę raczej starszych osób.

Kawiarenka „Pod lipą” zachęcała kawą, herbatą i napojami, można było nabyć domowy chleb, różnego rodzaju sery, ciastka i ciasto, miód i marynowane grzybki. Grill i bigos wabiły zapachem. Najwięcej atrakcji czekało na najmłodszych. Były tu zjeżdżalnie, malowanie twarzy, animacje, i strażacki tor przeszkód. Na licytacji największe emocje wzbudziła sportowa piłka z podpisami Sandecji.

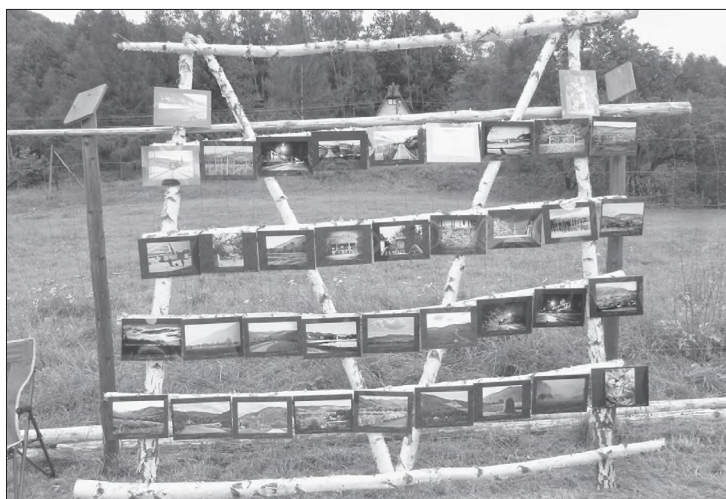
A potem rozpoczęła się zabawa taneczna, której nie przeszkodził nawet deszcz.



Stoisko z fantami



*Stoisko z regionalną
kuchnią*



*Wystawa
Marcina Brzózki*



Fanty na loterię



*Występ dzieci
ze szkoły w Zarzeczu*



Józef Tokarz

fot. Jadwiga Jastrzębska

Fundacja Rozwoju Gminy Łącko

Fundacja Rozwoju Gminy Łącko została ustanowiona przez Franciszka Jana Młynarczyk 8 kwietnia 2004 r. (Akt Notarialny – Repertorium „A” Numer 1718/2004) celem prowadzenia działalności w sferze zadań publicznych wymienionych w ustawie z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i wolontariacie (Dz. U. Nr 96, poz. 878), w zakresie:

- pomocy społecznej, w tym pomocy rodzinom i osobom w trudnej sytuacji życiowej oraz wyrównywanie szans tych rodzin i osób,
- nauki, edukacji, oświaty i wychowania,
- kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury i tradycji.

Zgodnie z oświadczeniem woli fundatora w szczególności celami Fundacji są:

- działalność niosąca pomoc dla mieszkańców wspólnoty samorządowej Gminy Łącko w zakresie możliwości pobierania nauki we wszystkich typach szkół przez dzieci i młodzież niepełnosprawną oraz niedostosowaną społecznie, zgodnie z indywidualnymi potrzebami rozwojowymi i edukacyjnymi oraz predyspozycjami,
- opieka nad uczniami szczególnie uzdolnionymi poprzez umożliwienie realizowania indywidualnych programów nauczania oraz ukończenia każdego typu szkoły,
- upowszechnianie dostępu do szkół, których ukończenie umożliwia dalsze kształcenie w szkołach wyższych,
- zmniejszanie różnic w warunkach kształcenia, wychowania i opieki między ośrodkami wielkomiejskimi i wiejskimi,
- upowszechnianie wśród dzieci i młodzieży wiedzy o zasadach zrównoważonego rozwoju oraz kształtowanie postaw sprzyjających jego wdrażaniu w skali lokalnej, krajowej i globalnej,
- opieka nad uczniami pozostającymi w trudnej sytuacji materialnej i życiowej,
- przyznawanie uczniom i studentom stypendiów,
- udzielanie rolnikom i organizacjom rolniczym pomocy w postaci świadczeń materialnych i niematerialnych na realizację ich zadań statutowych oraz rozwoju gospodarstw rolnych,
- organizowanie i finansowanie różnych form szkolenia.

Na realizację celów Fundacji fundator przeznaczył 1 000 zł oraz 1 000 zł na prowadzenie działalności gospodarczej przez Fundację (przedmiotem działalności gospodarczej miał być handel artykułami rolnymi i spożywczymi, świadczenie usług w zakresie organizacji handlu artykułami rolniczymi i spożywczymi oraz prowadzenie szkoleń doskonalących dla rolników). Fundacja w 2004 r. nie prowadziła działalności, ponieważ fundator nie powołał Rady i Zarządu Fundacji. W 2005 r. fundator zwiększył stan środków fundacji o kwotę 1 000 zł na realizację celów statutowych oraz w dniu 24 listopada 2005 r. powołał Radę i Zarząd Fundacji. W skład Rady weszli:

- Stanisław Strączek – przewodniczący,
- Tomasz Dąbrowski – zastępca przewodniczącego,
- Henryk Czepielik – członek,
- Bogusław Łatka – członek,
- Józef Klimek – członek,
- Kazimierz Rusnarczyk – członek,
- Stanisław Duda – członek,
- Jan Dziedzina – członek,

zaś w skład Zarządu:

- Marek Rychlec – prezes,
- Artur Mirota – wiceprezes,
- Tadeusz Bugański – wiceprezes.

Powołane organy fundacji rozpoczęły starania o wpis do Krajowego Rejestru Sądowego, a następnie o wpis do Rejestru Organizacji Pożytku Publicznego.

Fundacja została zarejestrowana w dniu 9 stycznia 2006 r. w Krajowym Rejestrze Sądowym pod nr 0000248653, zaś w Rejestrze Organizacji Pożytku Publicznego w dniu 3 grudnia 2007 r.

Uzyskanie tego ostatniego wpisu stało się „przepustką” do pozyskiwania 1% z wpływów podatku dochodowego od osób fizycznych, co w sytuacji utworzonej fundacji miało duży wpływ na dalsze jej funkcjonowanie. Zgromadzone środki wkrótce zostały wydatkowane na cele statutowe fundacji, a przede wszystkim na wypłatę stypendiów dla uczniów i studentów. Brak środków mógł spowodować rozwiązanie fundacji przez fundatora.

W kwietniu 2011 r. fundator dokonał zmian w organach fundacji następująco:

a) Rada Fundacji

1. Krystyna Faron – przewodniczący,
2. Tomasz Dąbrowski – zastępca przewodniczącego,
3. Władysław Plechta – członek,

4. Henryk Czepielik – członek,
5. Jan Dziedzina – członek.

b) Zarząd Fundacji

1. Marek Rychlec – prezes,
2. Tadeusz Bugański – wiceprezes,
3. Małgorzata Plechta – wiceprezes,
4. Maria Stec – członek.

Kolejnej zmiany fundator dokonał w listopadzie 2011 roku, a dotyczyła ona Zarządu Fundacji i była spowodowana rezygnacją z funkcji Marka Rychlec – prezesa i Tadeusza Bugańskiego – wiceprezesa.

W skład Zarządu weszli:

- Irena Owsianka – prezes,
- Zbigniew Chronowski – wiceprezes,
- Błażej Plechta – wiceprezes,
- Maria Stec – członek,
- Małgorzata Plechta – członek.

Fundacja w swoich działaniach skupiła się głównie na Programie stypendialnym dla dzieci zdolnych, lecz pochodzących z rodzin o niskich dochodach. Od 2009 r. rozszerzyła swoją działalność o zaspakajanie potrzeb żywnościowych osób i rodzin znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej, w tym rodzin wielodzietnych. Rok rocznie Fundacja zawiera umowy na przekazanie gotowych artykułów spożywczych w ramach programu „Dostarczanie nadwyżki żywności najuboższej ludności Unii Europejskiej – PEAD” z Bankiem Żywności w Krakowie. W niewielkim zakresie Fundacja zajęła się poprawą warunków mieszkaniowych osób ubogich.

W latach 2006–2013 (poza wniesionymi w latach poprzednich przez Fundatora) Fundacja dysponowała następującymi zasobami finansowymi:

Rok	Przychody, w tym			Razem przychody
	Darowizny	Nawiązki sądowe	Odpis 1% podatku dochodowego od osób fizycznych	
2006	220,80	0	0	220,80
2007	218,20	0	0	218,20
2008	5 258,86	0	3 218,05	8 476,91

2009	234,70	0	3 610,80	3 845,50
2010	2 063,20	0	3 140,20	5 203,40
2011	1 403,83	500	6 098,40	8 002,23
2012	126,01	200	6 637,50	6 963,51
2013	1 940,22	0	4 036,50	5 976,72
Razem:	11 465,82	700	26 741,45	38 907,27

Źródło: Opracowanie własne na podstawie Sprawozdań Finansowych Fundacji Rozwoju Gminy Łącko za lata 2006–2013.

Znaczącym źródłem przychodów były wpływy 1% podatku dochodowego od osób fizycznych, które stanowiły 68,73 % przychodów razem oraz darowizny – 29,47% przychodów. Darowizny Fundacja otrzymała od 3 osób fizycznych oraz od 1 osoby prawnej.

Ze środków przekazanych przez Fundatora oraz w/w przychodów Fundacja w latach 2006–2013 sfinansowała:

Rok	Wydatki, w tym:								Razem wydatki
	Stypen- dia	Zapo- mogi	Remont mieszkań	Transport żywności	Zakup pianina	Telefon i Internet*	Prowizje bankowe	Pozostałe wydatki	
2006	1 300	0	0	0	0	195,20	152,50	0	1 647,70
2007	1 300	0	0	0	0	207,40	144	50,80	1 702,20
2008	0	0	0	0	5 000	207,40	146,60	50,06	5,404,06
2009	2 600	1 000	0	0	0	207,40	147,40	98,60	4 053,40
2010	4 300	0	0	534,36	0	207,40	146,20	73,20	5 261,16
2011	4 200	0	0	715,86	0	831,57	200,20	105	6 052,63
2012	5 000	0	0	0	0	1 477,49	234,40	892,80	7 604,69
2013	4 600	0	1 680	200	0	1 161,99	151	6,27	7 799,26
Razem	23 300	1 000	1 680	1 450,22	5 000	4 495,85	1 322,30	1 276,73	39 525,10

*obejmuje także utrzymanie strony internetowej.

Źródło: Opracowanie własne na podstawie Sprawozdań finansowych i merytorycznych Fundacji Rozwoju Gminy Łącko za lata 2006–2013.

Głównym wydatkiem Fundacji była wypłata stypendiów dla uczniów szkół podstawowych, ponadpodstawowych i studentów, co stanowiło 58,95% ogółu poniesionych wydatków. W omawianym okresie wypłacono stypendia 33 osobom. Ponadto ze środków Fundacji wypłacono 2 zapomogi na leczenie dzieci, przeprowadzono remont 1 budynku mieszkalnego oraz zakupiono 1 piec do ogrzewania mieszkania dla osoby samotnej bez stałych źródeł dochodów. Zakupiono, zgodnie z wolą darczyńcy, 1 pianino potrzebne do nauki muzyki dla dzieci uzdolnionych, dla których zajęcia prowadził Gminny Ośrodek Kultury w Łącku. Transport żywności z Krakowa do siedziby Fundacji był świadczony nieodpłatnie przez zaprzyjaźnioną Firmę, za wyjątkiem trzech dostaw za które Fundacja zapłaciła faktury innemu dostawcy. Wydatki na

telefony, utrzymanie strony internetowej oraz dostęp do Internetu stanowiły 11,37% ogółu wydatków. Pozostałe wydatki to prowizje dla banku 1 322,30 zł, czynsz za lokal w latach 2006–2010 w budynku Urzędu Gminy w Łącku na łączną kwotę 272,60 zł, zakup opału do nowego lokalu Fundacji 743,80 zł, usługi reklamowe 75 zł, zakup tonera do drukarki, wykonanie kserokopii itp.

Od 2009 roku Fundacja nawiązała współpracę z Bankiem Żywności w Krakowie w zakresie dystrybucji żywności dla mieszkańców Gminy Łącko spełniających kryteria dochodowe określone ustawą o pomocy społecznej. W latach 2009–2013 dostarczono żywność dla:

Rok	Ilość żywności w kg	Liczba produktów	Ilość osób	Ilość rodzin	Ilość wydanej żywności w przeliczeniu na 1 osobę w kg
2009	2 976	10	464	111	6,41
2010	12 855,36	12	495	125	25,97
2011	17 476	12	500	121	34,95
2012	10 537,76	14	407	157	25,89
2013	21 351,56	17	782	214	27,30
Razem:	65 196,68	***	2 648	***	24,62

Źródło: opracowanie własne na podstawie Kwartalnych i Rocznych sprawozdań z rozdysponowania żywności PEAD za lata 2009–2013, I kwartał 2014.

Przekazaniem żywności potrzebującym w latach 2009–2011 zajmowali się pracownicy Ośrodka Pomocy Społecznej w Łącku, któremu Fundacja przekazywała protokolarnie żywność. Od grudnia 2011 roku rozdysponowaniem żywności zajmuje się Fundacja przy zaangażowaniu i wsparciu wolontariuszy.

25 lat po wyborach 4 czerwca 1989 roku

W dniu 4 czerwca 2014 roku, z okazji 25lecia częściowo wolnych wyborów, które stały się przyczynkiem do upadku ustroju socjalistycznego, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej, zorganizowało happening poświęcony tej rocznicy.

Na łackim rynku rozdawaliśmy białe i czerwone baloniki, było wino musujące, białoczerwone cukierki. Nie było nas, łackowian, wielu, byli dorośli i były dzieci, wszyscy świetnie się bawili.





fot. Jadwiga Jastrzębska

Na tych zdjęciach ukazany jest Rynek w Łącku na przestrzeni ostatnich 100 lat. Wraz z rozwojem gospodarczym Łącka, oraz zawirowaniami historycznymi, zmieniała się także funkcja tego miejsca. Obecnie Rynek pełni rolę reprezentacyjną.

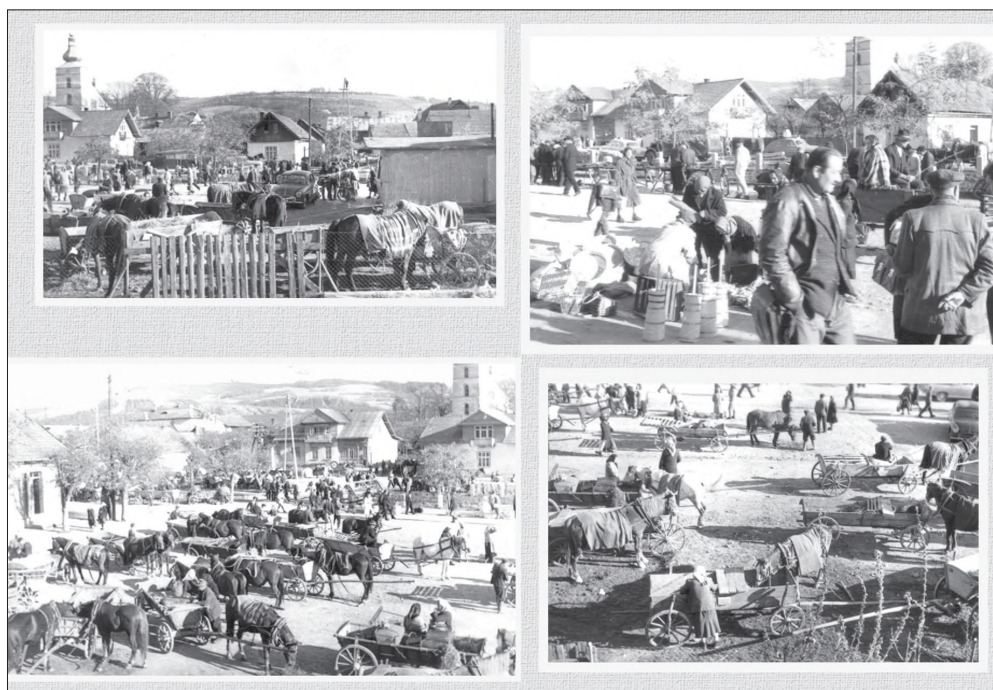
Reakcja



Rynek w Łącku w 1912 r.



Rynek w Łącku w 1914 r.



Jarmark w Łącku na Rynku w 1960 r.



*Lata 70. XX w.
fot. ze zbiorów TMZŁ*





*Odnowiony plac Józefa
Piłsudskiego w Łącku*

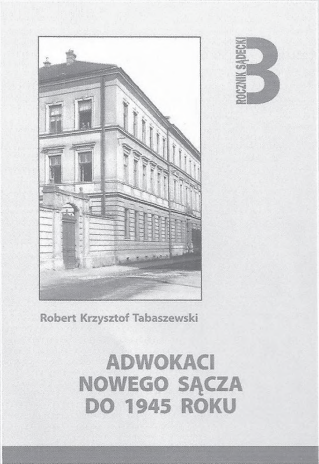
fot. Jadwiga Jastrzębska

Promocja XLII tomu Rocznika Sądeckiego

W dniu 4 lipca 2014 roku, w Ratuszu, w Nowym Sączu, w Sali im. Stanisława Małachowskiego, odbyła się promocja XLII tomu Rocznika Sądeckiego i książki z serii Biblioteka „Rocznika Sądeckiego”: Roberta Tabaszewskiego, *Adwokaci Nowego Sącza do 1945 roku*.

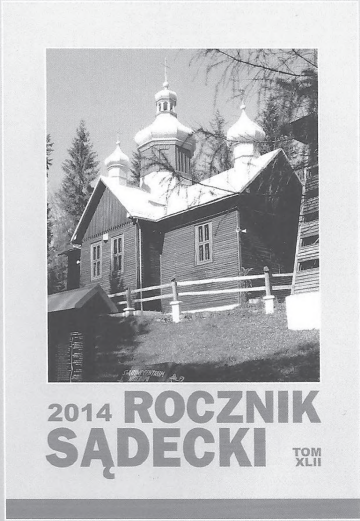
Po wystąpieniu prof. Feliksa Kiryka, przewodniczącego Komitetu Redakcyjnego „Rocznika Sądeckiego”, zaprezentowano sylwetkę ks. dr. Henryka Ostacha, któremu poświęcony został ten numer, następnie Robert Tabaszewski przedstawił swoją książkę.

Po wręczeniu zaproszonym, honorowym gościom, „Rocznika Sądeckiego”, wszyscy zebrani na promocji, wysłuchali recitalu pianistki Roksany Florczyk, absolwentki Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Fryderyka Chopina, w Nowym Sączu.



Robert Krzysztof Tabaszewski

**ADWOKACI
NOWEGO SĄCZA
DO 1945 ROKU**



**2014 ROCZNIK
SĄDECKI** TOM XLII

Zaproszenie

Przed spotkaniem w Ratuszu będzie można nabyć wymienione w zaproszeniu wydawnictwa po cenach promocyjnych.
W późniejszym terminie będą one w sprzedaży w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury (dawniej DKK) w Nowym Sączu, al. Wolności 23, tel. 18 443-89-59.

***Jubileusz „Almanachu Łąckiego”
Rozmowa z Jadwigą Jastrzębską,
Prezesem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej***

W maju b.r. ukazał się jubileuszowy, 20 już numer półrocznika „Almanach Łacki”, wydawany pod patronatem Waszego Towarzystwa. Pamięta Pani, jak to się zaczęło przed dziesięciu laty?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej powstało w lutym 1987 roku z inicjatywy Tadeusza Zygałdy, ówczesnego I sekretarza Komitetu Gminnego PZPR oraz Franciszka Młynarczyka – Naczelnika Gminy. Swoją akces zgłosili też mieszkańcy Gminy Łącko, a także bardzo wiele osób, mających tu swoje korzenie. Prezesem Towarzystwa do 2000 roku była p. Helena Moryto, która została Honorowym Prezesem, mnie natomiast wybrano na prezesa. Od początku swojego istnienia TMZŁ było inicjatorem wielu akcji charytatywnych, konkursów, koncertów i wystaw. A wszystko zaczęło się od konkursu dla gimnazjalistów „Łącko – moja mała Ojczyzna”. Nadmienię tylko, że w tym roku odbyła się XIV edycja tego konkursu. Przygotowując pytania do tego konkursu, trzeba było dotrzeć do wielu różnych źródeł, informacji i zdjęć z historii najdawniejszej i współczesnej, naszej małej Ojczyzny. I z tym apelem zwróciliśmy się do mieszkańców gminy. Odezew przekroczył nasze najśmielsze oczekiwania. Z roku na rok zbieraliśmy coraz więcej materiału, fotografii starych i tych nowszych, było go tak dużo, że wystarczyłoby na wiele konkursów. Podczas trzeciego a może czwartego konkursu, członek jury – p. Zbigniew Czepelak zauważył, że dobrze by było, aby ten materiał wykorzystać w szerszy sposób. I tak zrodziła się myśl „zrobienia” wydawnictwa.

Skąd wzięła się nazwa Almanach?

Szperając po sądeckich wydawnictwach natknęłam się na Almanach Sądecki i Almanach Muszyny. Podałam myśl: – A może by tak nazwać Almanach Łacki? Nazwa zyskała aprobatę członków naszego Towarzystwa, a Zarząd stwierdził, że najbardziej optymalny będzie półrocznik. I tak zostało.

A potem powołaliście Kolegium Redakcyjne i Redakcję Almanachu?

W przedmowie do pierwszego numeru Almanachu Łąckiego prof. Julian Dybiec napisał: „Chcemy by pismo (.....) przedstawiało wszechstronnie problematykę naszej małej Łąckiej Ojczyzny, zarówno współczesną jak i historyczną, literacką, ekonomiczną a także przyrodniczą. Pragniemy, by na jego łamach znalazła się też tematyka ogólniejsza dotycząca naszego Kraju i spraw zasadniczych dla człowieka”.

Aby sprostać tym wymaganiom, zwróciłam się z prośbą do członków Towarzystwa o wskazanie osób, które swoim autorytetem mogły zapromować półrocznik. Byli to: ks. prałat Józef Trzópek i Zbigniew Czepelak, którzy wyrazili zgodę na firmowanie Almanachu swoim nazwiskiem. Powołaliśmy wtedy Kolegium Redakcyjne w skład którego zaprosiliśmy naukowe autorytety wywodzące się z naszych okolic, prof. prof. Juliana Dybca i Bolesława Farona oraz prof. Barbarę Wagner, która jest członkiem naszego Towarzystwa, chociaż nie ma łąckich korzeni. Redakcję utworzyli członkowie Towarzystwa. Potem szukaliśmy autorów i ciekawych tekstów. Pierwsze teksty napisali sympatycy i członkowie Towarzystwa a dotyczyły spraw społecznych, tematyki regionalnej i krajowej. Zaprzyjaźniona drukarnia, która wcześniej drukowała statut oraz legitymacje członkowskie, służyła pomocą edytorską. Almanach od samego początku dostarczamy do wszystkich bibliotek szkolnych, członków naszego Towarzystwa nie tylko na terenie gminy ale i rozsianych po kraju i świecie oraz wśród zainteresowanych czytelników.

Skąd Towarzystwo czerpie fundusze na wydanie półrocznika?

Fundusze zaczęliśmy zbierać od samego początku, organizując loterie fantowe i kiermasze. Pierwsze trzy numery zostały wydane ze środków własnych Towarzystwa, darczyńców i Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu. Począwszy od czwartego numeru część środków na druk Almanachu otrzymujemy z Gminy Łącko. I tak jest do tej pory. Od czterech lat, dotacja z Urzędu Gminy pokrywa koszty wydania jednego tomu w roku. Na drugi składają się środki ze Starostwa, prywatnych darczyńców oraz środki własne Towarzystwa.

Jak mieszkańcy przyjęli pierwszy numer Waszego wydawnictwa?

Pierwszy numer został wydany w nakładzie 500 egzemplarzy i przyjęto go z otwartym sercem i z wielką ciekawością. Do redakcji przychodziły listy z gratulacjami i podziękowaniami. Ludzie udostępniali swoje rodzinne archiwa ze zdjęciami i starymi dokumentami. Tym sposobem gromadziliśmy materiały do następnych numerów. Po dwóch latach zainteresowanie Almanachem było tak duże, że zrobiliśmy dodruk nr 1 i 2 w nakładzie 350 egzemplarzy każdy. Zaczęliśmy zwiększać nakład i tak nr 4 wydaliśmy w nakładzie 650 egzemplarzy, a od numeru 5 do chwili obecnej wydajemy Almanach w nakładzie 750 egzemplarzy.

Na początku wspomniała Pani o akcjach charytatywnych prowadzonych przez TMZŁ?

Akcje charytatywne prowadzimy od początku działalności naszego Towarzystwa ponieważ zobowiązuje nas do tego statut. W latach 2000–2010 w październiku, w Dzień Papieski organizowaliśmy Koncert „Miłosierdzie”, bywalcy tego koncertu wspominają

go do dzisiaj, a pieniądze zebrane podczas koncertu przeznaczaliśmy na stypendia dla zdolnej młodzieży gimnazjalnej naszej gminy. Od trzech lat współpracujemy przy organizacji Dnia Papieskiego z GOK w Łącku. Stypendia są w dalszym ciągu przyznawane młodzieży gimnazjalnej podczas specjalnej mszy w Kościele Parafialnym w Łącku. Dla potrzebujących uczniów szkół podstawowych finansujemy wycieczki i nagrody.

Almanach Łącki to jedyne wydawnictwo TMZŁ?

Nie jedyne. W 2008 roku przy wsparciu finansowym Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego w nakładzie 700 egzemplarzy udało się nam wydać Album Fotograficzny „Ziemia Łącka w fotografii XIX i XX wieku”. Album ten spotkał się z uznaniem i przychylną aprobatą mieszkańców, a ponieważ nie wszystkie nagromadzone zdjęcia zostały wykorzystane, postanowiliśmy wydać następny. W 2009 roku przy wsparciu finansowym Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu i Urzędu Gminy w Łącku nakładem 700 egzemplarzy wydaliśmy album „Łąckowianie portret własny”. Dodam jeszcze, że wszystkie opracowania merytoryczne i graficzne albumów oraz przygotowanie komputerowe do druku zostały wykonane przez autorów bezinteresownie. W 2013 roku wydaliśmy w nakładzie 500 egzemplarzy tomik wierszy „Polskie Madonny Ludowe” autorstwa Marii Kownackiej w 120 rocznicę urodzin. Autorka „Rogasia z Doliny Roztoki”, „Plastusiowego pamiętnika” i wielu innych upodobała sobie Łącką Ziemię i wielokrotnie tu przebywała. Tomik ten został wydany po raz pierwszy drukiem /w 1981 roku został opublikowany techniką powielaczową/. I wreszcie, w 2014 roku w nakładzie 1000 egzemplarzy wydaliśmy „Słowniczek gwary ludowej z okolic Łącka” autorstwa Andrzeja Urbańca z okazji 90 urodzin Szanownego Jubilata, Jego wkładu pracy przy kolejnych numerach Almanachu i z okazji dziesięciolecia naszego wydawnictwa. Autor zbierał materiały do Słowniczka na przestrzeni 50 lat swojej pracy na terenie Sądeckizny. Do Słowniczka dołączyliśmy płytkę z przyspiewkami i gadką w tutejszej gwarze. Sponsorem płytki był Marek Urban z firmy FLEXERGIS i stanowi ona prezent dla TMZŁ na 10 urodziny naszego półrocznika.

Na dziesięciolecie pisma i z okazji 20 numeru Almanachu zorganizowaliście Piknik z Almanachem Łackim. Jak się udał?

Na piknik do „Karczmy u Kłagów” zaprosiliśmy darczyńców, autorów, członków Towarzystwa oraz sympatyków, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się na przestrzeni tych 10 lat do istnienia Almanachu Łackiego, chcieliśmy w ten sposób podziękować za przychylność, pomoc, sympatię i pracę na rzecz naszego wydawnictwa. Nad Karczmą powiewał baner z napisem „10 lat z Almanachem Łackim”, a wewnątrz na gości czekały nasze wydawnictwa i smakowite potrawy z naszego regionu. Wszyscy zaproszeni goście zostali obdarowani „Słowniczkiem gwary ludowej z okolic Łącka”.

Ze wzruszeniem odebrałam kwiaty, upominki i gratulacje przekazane przez zaprzyjaźnionych z Almanachem czytelników i sympatyków, wójta Janusza Kłaga, Jana Dziedziń. Piękne, budujące słowa o naszym wydawnictwie usłyszeliśmy od Krzysztofa Kulisia, wieloletniego dyrektora MBWA w Nowym Sączu, znanego artysty plastyka.

Przeglądając wystawioną na Pikniku Złotą Księgę Towarzystwa zwróciłam uwagę na ciekawe motto zapraszające do wpisów „10 LAT Z ALMANACHEM ŁĄCKIM 2004 – 2014 – W KOSMOSIE MGNIEŃ, W ŻYCIU CZŁOWIEKA CAŁKIEM WIELE”. Czy to oznacza, że te 10 lat były zarówno dla redakcji jak i dla Pani tak długim i trudnym okresem?

Od początku zdawałam sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności za podjęte zadanie, ale i od początku miałam wokół siebie grono życzliwych osób, na których mogłam liczyć. Wśród nich są pp. Maria i Andrzej Urbańcowie. Zdjęcia z działu „Zatrzymane w kadrze” zamieszczane w każdym numerze Almanachu są autorstwa Pana Andrzeja, który przez dziesięciolecia niestrudzenie je gromadził, oraz jego wnuka Matusza Długosza*. Na Pikniku prof. Bolesław Faron przypomniał, że przed dziesięciu laty był sceptykiem i nie bardzo wierzył w pomyślność pisma, sądząc, że będzie to efemeryda, która zaniknie po 2 – 3 numerach. Dotarliśmy jednak do 20 numeru, mam już sporo materiału do kolejnych. Mam też ogromną nadzieję, że dzięki życzliwości naszych autorów, darczyńców, sympatyków i czytelników, Almanach Łącki w kolejnych latach będzie się ukazywał z tą samą regularnością, a także będzie cieszył i budził zainteresowanie wszystkich czytelników.

I oby tak dalej. A ja przyłączam się do serdecznych gratulacji i podziękowań w Złotej Księdze: „Gratulujemy, życzymy dalszych sukcesów i zasobnych darczyńców”, „Najserdeczniejsze gratulacje i podziękowania. Jesteście znakomici”, „Wielkie gratulacje Komitetowi Redakcyjnemu Almanachu Łąckiemu za popularyzowanie i utrwalanie tradycji i kultury łąckiej. Dalszych sukcesów”. „Jagoda, jesteś wielka”.

*Ze względu na stan zdrowia Andrzej Urbaniec wycofał się z pracy w Redakcji Almanachu Łąckiego. Mateusz Długosz zrezygnował z członkostwa w Towarzystwie i Zarządzie, oraz ze współpracy z Almanachem Łąckim.



Stoły z regionalnym jadłem



Prof. Julian Dybiec i Jadwiga Jastrzębska



Goście i sympatycy Almanachu Łąckiego



Prof. Bolesław Faron i Jadwiga Jastrzębska



Goście, autorzy, darczyńcy i sympatycy Almanachu Łąckiego



Stoisko z wydawnictwami
TMŻŁ



Goście „Pikniku
z Almanachem Łęckim”



„Słowniczek gwary
ludowej”

fot. Janusz Skalski

Wojewódzkie rozpoczęcie roku szkolnego 2014/15 w Łącku

1 września 2014 roku, msza św. w kościele parafialnym w Łącku, odprawiona przez Ordynariusza Diecezji Tarnowskiej, ks. biskupa Andrzeja Jeża, rozpoczęła wojewódzkie obchody roku szkolnego 2014/15 w Małopolsce. Integralną częścią tych obchodów było oddanie do użytku nowego budynku Gimnazjum w Łącku. Wśród zaproszonych gości, którzy wzięli udział w i Małopolskiej inauguracji roku szkolnego 2014/15, byli: Wojewoda Małopolski Jerzy Miller, Marek Sowa, marszałek Województwa Małopolskiego, posłowie i senatorowie, Starosta Nowosądecki Jan Golonka, wójt gminy Łącko Janusz Klag, radni powiatowi i gminni, nauczyciele, dyrektorzy szkół, uczniowie, organizacje i stowarzyszenia pozarządowe, mieszkańcy gminy Łącko. Gmina na budowę gimnazjum otrzymała dofinansowanie z rezerwy budżetowej prezydenta Rady Ministrów w wysokości 2.414,740 zł. Gimnazjum to nowoczesny budynek z 12 salami lekcyjnymi, kuchnią, jadalnią, szatniami, windą i podjazdami dla niepełnosprawnych.



Występ młodzieży z Gimnazjum w Łącku



Występ zespołu „Małe Łącko” z Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku



Biskup Andrzej Jez z dziećmi z Zespołu „Małe Łącko”, z prawej Janusz Klag – wójt Gminy Łącko



Przemarsz z Kościoła do budynku Gimnazjum



*Wojewoda Jerzy Miller
wpisuje się w Księżce Pamiątkowej*



Goście na Wojewódzkiej Inauguracji Roku Szkolnego 2014/2015



Wręczenie upominku Wojewodzie Jerzemu Millerowi przez wójta Janusza Kłaga, zastępcę wójta Tadeusza Zarembę i przewodniczącego Rady Gminy Zdzisława Warzechę



Przecięcie wstęgi i oficjalne otwarcie budynku Gimnazjum. Od prawej: Zdzisław Warzecha – przew. Rady Gminy, wójt Janusz Kłag, Jerzy Miller – Wojewoda Małopolski, Tomasz Ćwikowski – Prezes firmy ERBET (wykonawca)

fot. Katarzyna Kucharska i Anna Sułkowska

UIA to Międzynarodowa Unia Architektów, którą w 1948 roku założyli przedstawiciele 23 państw (w tym Polski). Pomimo zapadającej już żelaznej kurtyny dzielącej Europę w skład tej organizacji weszły stowarzyszenia architektów z Europy zachodniej i wschodniej, Ameryki oraz Azji i Afryki. Ten podział na 5 Regionów funkcjonuje do dzisiaj grupując ponad 120 państw z całego świata.

Celem UIA jest promocja jakości architektury i kształtowania przestrzeni. Co trzy lata odbywają się kongresy, w czasie których około 5 tysięcy delegatów spotyka się w wybranym kraju. (W 1981 roku kongres odbył się w Warszawie tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego.)

W 2014 roku gospodarzem 25 kongresu UIA stało się miasto Durban w Republice Południowej Afryki. W trakcie tej imprezy miał miejsce cały szereg wydarzeń dotyczących architektury. A więc zarówno sesje plenarne w wielkiej sali centrum kongresowego gdzie wybitni architekci prezentowali swoją twórczość jak i konferencje i seminaria na poszczególne tematy dotyczące zarówno kwestii środowiska, kształtowania miast i budynków jak i sprawy techniki budowania i organizacji zawodu architekta.

Jednocześnie w halach wystawowych można było oglądać ekspozycje poszczególnych krajów oraz programów pracy UIA. Programy Pracy to tematyczne grupy zajmujące się wybranymi zagadnieniami. Są nimi przykładowo: architektura mieszkaniowa, obiektów zdrowia, zagospodarowanie turystyczne, urbanistyka, praktyka zawodowa itd.

Jednym z nich jest „Architektura dla Wszystkich” (Architecture for All). Jego zadaniem jest promocja jakości otoczenia przestrzennego. Chodzi tu zarówno o powszechną dostępność budynków i przestrzeni publicznych jak i o przyjazny dla człowieka charakter architektury (w opozycji do powstającej tylko pod wpływem nacisków komercji i mody). Dla popularyzacji takiego rozumienia architektury został zorganizowany konkurs UIA na najbardziej przyjazne budynki i przestrzenie publiczne. Trzeba dodać że koszty tego przedsięwzięcia pokryło Stowarzyszenie Architektów Polskich SARP.

W konkursie wzięło udział około stu zespołów autorskich z wielu krajów. Po przeprowadzeniu regionalnych ocen do finału wybrano 23 realizacje. W trakcie kongresu w Durban międzynarodowe jury przyznało 3 medale oraz 8 wyróżnień najlepszym pracom. Duży sukces odnieśli krakowscy architekci – Krzysztof Ingarden oraz Jacek Ewy, otrzymując medal „Architektury Przyjaznej Dostępnej dla Wszystkich” za realizację centrum kultury - „Małopolski Ogród Sztuki” w Krakowie. Sympatyczny wyraz architektury, znakomity sposób wpisania tego obiektu w otoczenie oraz jego funkcjonalność zostały tutaj w pełni docenione.

Medale przyznano również za realizację nowego nadmorskiego bulwaru w Thessalonikach doskonale przystosowanego do potrzeb osób niewidomych i poruszających się na wózkach oraz za świetnie zorganizowany przestrzennie ośrodek rekreacji i sportu Armii Zbawienia w Puerto Rico.

Można uważać że dalsza organizacja tego konkursu na kolejnych kongresach wpłynie na zwiększony udział projektów powstających z myślą o tych cechach architektury jakie wpływają na dobre samopoczucie osób przebywających w jej otoczeniu a nie tylko pod wpływem komercji i obowiązującej mody formalnej.

Jaka była wymowa kongresowych wystąpień i debat? Wydaje się że można zaryzykować pewne uogólnienie. Zarówno wystąpienia wybranych wybitnych architektów jak i dyskusje wyrażały pewien protest przeciw monotonii architektury współczesnych miast i potrzebę poszukiwania skali człowieka.

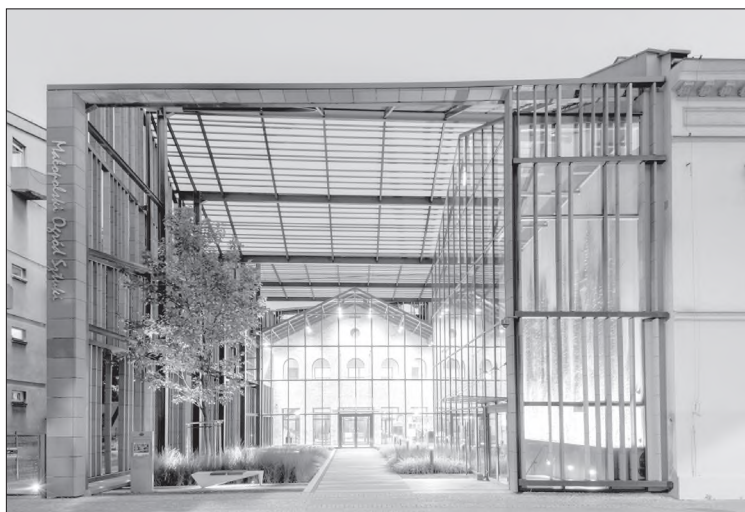
Po części merytorycznej kongresu nastąpiła część organizacyjna – czyli wybory władz UIA na kolejną trzyletnią kadencję. Delegaci wybrali prezydenta, wiceprezydentów pochodzących z pięciu regionów unii oraz sekretarza generalnego a także skład Rady. Zgodnie z wymogami współczesności głosowanie przeprowadzono elektronicznie posługując się terminalami.

Pełne uczestnictwo w pracach kongresu nie stwarzało szans na poznawanie okolic Durban i kultury Zulusów. Centrum miasta pozbawione jest atrakcyjności natomiast malownicze są widoki wybrzeża oceanu Indyjskiego gdzie znajdowały się hotele uczestników kongresu. Także dobrze trzeba ocenić funkcjonalność, pełną dostępność i wyraz architektoniczny centrum kongresowego. W sumie można powiedzieć że kongres UIA w Durban był udany.

Autor jest dyrektorem Programu Pracy UIA „Architektura dla Wszystkich”



*Małopolski Ogród
Sztuk*



Wejście do MOS



*Nowy Bulwar
w Thessalonikach*



*Centrum Armii
Zbawienia w Pueritorico*



*Wejście do Centrum
Kongresowego w Durban*



Wnętrze centrum



*Durban – wybrzeże
oceanu*

Gmina Łącko zakończyła realizację projektu mającego na celu zachowanie i ochronę dziedzictwa historyczno-kulturowego poprzez remont cmentarzy cholerycznych w miejscowościach Maszkowice i Zarzecze. Zadanie współfinansowane jest ze środków Europejskiego Funduszu Rolnego na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich w ramach działania „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013.

Cmentarze choleryczne są unikalnym świadectwem dramatycznych i dzisiaj mało już zrozumiałych wydarzeń związanych z dawnymi epidemiami. Przez całe stulecia stanowiły one ogromne zagrożenie dla lokalnych społeczności, gdyż masowo niosły śmierć, zostawiając za sobą wyludnione osady, strach nielicznych ocalałych i głębokie zbiorowe mogiły kopane z dala od domów. Te ponure miejsca lokalizowano najczęściej na odludziu, oznaczano prostymi krzyżami lub kapliczkami i raczej nigdy nie odwiedzano, co powodowało, że stopniowo ulegały zniszczeniu i zapomnieniu. Cmentarz choleryczny w Maszkowicach pochodzący z 1873 r. znajduje się przy jednej z dróg przecinających zbocze Góry Zyndrama, na której znajdowała się osada z epoki brązu. W Liber mortuorum dla Maszkowic pod datą 1873 r. zanotowano 55 osób zmarłych na cholerę.

Cmentarz choleryczny w Zarzeczu to jeden z mniejszych takich obiektów na terenie gminy, ogrodzony murem kamiennym. W Liber mortuorum jest informacja o 28 osobach spoczywających w tym miejscu.

Jak bardzo tragiczna w skutkach była ta epidemia, niech świadczy fakt, iż jedyną wsią na naszym terenie, gdzie nie ma cmentarza cholerycznego jest Szczereż. Była to wielka tragedia, która nie oszczędzała nikogo. Umierały dzieci, starzy, kobiety, i mężczyźni, bogaci i służba.

By wzbudzić pamięć o ludziach, którzy odeszli ze społeczności Łącka i okolic w tak przykrych okolicznościach, zrealizowano niniejszą inwestycję.



Cmentarz w Maszkowicach



*Cmentarz
w Maszkowicach*



Cmentarz w Zarzeczu



Cmentarz w Zarzeczu

fot. Adam Nowacki

Święto Niepodległości 11 listopada 2014 roku w Łącku
Homilia wygłoszona podczas Mszy Świętej
w intencji Ojczyzny 11 listopada 2014 roku

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba, podnoszą z ziemi przez uszanowanie... dla darów nieba – Tęskno mi, Panie”! /C. K. Norwid „Moja piosenka”/

Po co tu przyszedłeś drogi Bracie? Po co tu przyszłaś kochana Siostró? Pewnie jest to głupie pytanie – jednakże wydaje mi się, że na początku naszego rozważania warto na nie odpowiedzieć. Bo przecież dzisiaj nie jest święto kościelne i nie ma obowiązku uczestniczenia w Mszy Świętej. A jednak w to narodowe Święto Niepodległości tak licznie przyszliśmy do kościoła, by dać świadectwo temu, że w naszym życiu nie ma rozdwojenia i ważne wydarzenia dla nas – Polaków, są równocześnie ważnymi wydarzeniami dla nas – chrześcijan!

Jakże pięknym wyrazem patriotyzmu jest nasza obecność tutaj i modlitwa, którą wspólnie zanosimy do Boga – dziękując Mu za wolną i niepodległą Rzeczypospolitą... i prosząc Go o błogosławieństwo dla niej! Bo patriotyzm najkrócej mówiąc to miłość do Ojczyzny. Ale czym dla mnie osobiście tak naprawdę jest Polska?

Cyprian Kamil Norwid w jednym ze swoich utworów zapisał słowa, przywołane na początku naszego rozważania: „Do kraju tego... tęskno mi, Panie!” Za czym ten wielki poeta tak tęsknił? Czy za jakimś sztucznym tworem? Czy za wytyczonym granicami obszarem geograficznym? Czy za rozbudowaną strukturą, która poprzez system prawny reguluje uwarunkowania społeczne?

Z pewnością NIE! Norwid tęsknił za Polską, ale nie tą sformalizowaną, bezduszną... lecz tęsknił za Polską – naszą Ojczyzną i matką. Tęsknił za Polską, która sama w sobie stanowi wartość i jest ostoją innych wartości – wiary, miłości, solidarności...

A jakiej Polski ja pragnę? Za jaką Polską tęsknię? Czy za taką, w której będę mógł pomnażać swoje bogactwa nie zważając na uczciwość, wartości i innych ludzi? Bo taka Polska nie jest prawdziwą wartością bo jeśli przestanie sprzyjać moim interesom to bez skrupułów sprzedam ją za pieniądze, prestiż, władzę, czy też coś innego, co akurat będzie dla mnie korzystne!

Za jaką Polską tęsknię? Za jaką Polskę walczyli nasi przodkowie – dziadowie i pradiadowie? Jaką Polskę buduje każdy z nas – Polek i Polaków? Jaką wartość ma dla mnie Polska? Bo można odnieść wrażenie, że coraz ciężiej przychodzi nam poświęcać cokolwiek dla naszej Ojczyzny... być uczciwym obywatelem, który płaci podatki, a nie oszukuje... który korzysta z praw i głosuje w wyborach, a nie tylko krytykuje i narzeka... dzisiaj coraz trudniej nawet mówić dobrze o Polsce i z dumą chlubić się wspaniałymi wydarzeniami z naszej historii... Skoro takie proste sprawy tyle nas kosztują to co zrobilibyśmy gdyby przyszła potrzeba przelania krwi lub oddania życia za Ojczyznę?

11 listopada 2014 r. na placu przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku



Delegacja Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej



Przedstawiciele Związku Podhalan O/ Łącko

Za jaką Polską tęsknię? Jaką Polskę noszę w sercu? Myślę, że mimo wszystko sercach większości Polaków jest obecna tęsknota za Ojczyzną, w której naczelne miejsce zajmują prawdziwe wartości... w której za Boga, Honor, wiarę, uczciwość itp. nikt nie zawaha się poświęcić wszystkiego, co posiada! Wierzę, że tęsknimy za Ojczyzną, której korzeniem jest wiara w Trójjedynego Boga i wbrew temu, co próbuje się nam narzucić, chcemy żyć w państwie, w którym prawo Boże i sumienie stoją ponad prawami godzącymi w godność człowieka!

Co zatem robić, żeby Polska, w której żyjemy była taką, za jaką tęsknimy? Nade wszystko być dobrym chrześcijaninem, bo dobry chrześcijanin jest równocześnie dobrym obywatelem. A co to w praktyce oznacza usłyszeliśmy w dzisiejszej Liturgii Słowa. Najpierw św. Paweł przedstawił nam szereg konkretnych postaw, które charakteryzują dobrego człowieka – czyli także dobrego Polaka i katolika. A są to: trzeźwość, roztropność, zdrowa wiara, miłość, cierpliwość, skromność, unikanie plotek i oszczerstw, umiarkowanie, czystość, sprawiedliwość (por. 1 Tt 2, 1-8).

Z kolei w Ewangelii Chrystus przekłada te wszystkie cechy na praktykę życia codziennego, w którym powinniśmy kierować się duchem służby. Zatem nie powinniśmy się dążyć do podporządkowania sobie całego świata, oczekując ciągle, aby inni robili coś za nas i dla nas, aby Polska wszystko nam zapewniała, a równocześnie niczego nie wymagała! Ale nieustannie powinniśmy szukać sposobów jak pomagać bliźnim w potrzebie... jak angażować się w życie społeczne, by wprowadzać pokój i solidarność do wzajemnych relacji... jak żyć według wartości – pozostając wiernym Bogu, Ojczyźnie, kierując się miłością, wiarą i sprawiedliwością... jak te wartości przekazywać kolejnym pokoleniom, dając przykład swoim postępowaniem... wreszcie jak swoimi działaniami budować silną i niepodległą Ojczyznę.

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba, podnoszą z ziemi przez uszanowanie... dla darów nieba – Tęskno mi, Panie!” Umiłowani! Tęsknijmy za Polską tętniącą pięknymi wartościami, ale nie w sposób bierny i nostalgiczny – narzekając na wszystko – ustrój, ceny, prawo, podatki, obowiązki w domu, szkole, pracy... i krytykując wszystkich – rządzących, sąsiadów, inne państwa... Tęsknijmy za Polską w sposób aktywny – wykonujmy sumiennie nasze obowiązki chrześcijańskie, rodzinne, obywatelskie... Bądźmy dobrymi katolikami i dobrymi Polakami – z dumą wyznawajmy naszą wiarę i szczyćmy się, że możemy żyć w wolnej i niepodległej Polsce. Dziękujmy Bogu za dar wolności i pokoju i prośmy Go, aby nasza ukochana Ojczyzna rozwijała się w bezpieczeństwie i pokoju, a wszystkim naszym rodakom żyło się coraz lepiej!

Od redakcji

Po Mszy świętej, i koncercie, poczty sztandarowe i delegacje z kwiatami, udały się pod pomnik Józefa Piłsudskiego w Łącku.

Bolesław Faron

Glossa do książki *Powrót do korzeni*

Jakub Smul (1856–1927) nauczyciel w Szkole Powszechnej w Czarnym Potoku

W książce *Powrót do korzeni. Nowy* (Kraków 2010) opublikowałem szkic o Wiktorii Wiśniewskiej, wieloletniej nauczycielce i kierownicze szkoły w Czarnym Potoku pt. *Wpisana w wiejski pejzaż*, w którym znalazł się następujący cytat z *Kroniki Szkoły* przez nią spisywanej:

„Zanim objęła tutaj pracę w 1894 roku, szkoła nie miała szczęścia do nauczycieli. Kolejni nie zagrzali specjalnie długo miejsca. W 1879 uczył niejaki Kozłowski, w 1884 zachowany w dobrej pamięci przez ludność Józef Szewczyk, w 1887 Jakub Szmul [!]. »Ten zwariował tutaj. Zaplątał się w proces z dworem o te kawałeczki ziemi koło szkoły. [...] Był prześladowany przez dwór i księdza, gmina go nie popierała – zwariował. Otrzymał 300 zł odprawy. W Siedlcach żył z 4-giem dzieci w nędzy. Ona szyła dla dzieci ubrania, on żywił się między nauczycielstwem po powrocie z domu obłąkanych«”.

Na przytoczony tutaj fragment z *Kroniki Szkoły* w Czarnym Potoku zareagowała Maria Smul, wnuczka nauczyciela, w korespondencji, jaką otrzymałem od niej na początku 2013 roku. List ten podaję tutaj w pełnym brzmieniu i bez żadnych retuszy:

Pan
Bolesław Faron
Profesor
Historyk Literatury
Polskiej
Kraków

Maria Smul
33-300 Nowy Sącz
ul. Wieniawskiego 9

Zwracam się do Pana Profesora z uprzejmą prośbą o niezwłoczne spowodowanie sprostowania – niezgodnych z prawdą – informacji w książce *Powrót do korzeni. Nowy* – o moim Dziadku Jakubie Smulu.

Uzasadnienie; Jestem wnuczką śp. Jakuba Smula. Nazwisko brzmi Smul a nie Szmul. Śp. Dziadek ur. 24.07.1856 r. w latach studenckich należał do studenckiego kółka socjalistycznego – zauroczony ideologią Ludwika Waryńskiego (ur. 1856 r.) swojego równolatka.



Jakub Smul (1856–1927)

Prawdą jest, że procesował się z dworem i księdzem o nieprawne zawłaszczenie przez ówczesnego duszpasterza w Czarnym Potoku ogródka szkolnego – za co (cytat z książki), „był prześladowany przez dwór i księdza...”

Rozumiem ówczesny „patriotyzm” dworu – prześladowanie – ale postawa księdza?... W imię którego dekalogu ksiądz ma prawo prześladować człowieka o innym pojęciu „sprawiedliwości”...

Cytat z książki; „tu zwariował”. Otrzymał 300 zł odprawy (od kogo? dworu?, księdza?) moje pytanie. „W Siedlcach żył z czworgiem dzieci w nędzy... Ona szyla dla dzieci ubrania, on żywił się między nauczycielstwem po powrocie z domu „obłąkanych” („nic dodać nic ująć”) (moja refleksja).

Moje pytania pod adresem pani kronikarki; - W którym roku mój Dziadek „zwariował?” W kronice szkoły brak daty (roku) przeniesienia Jakuba Smula z Czarnego Potoka do Siedlec? Na stanowisko kierownika szkoły w Siedlcach? Gdzie pracował do emerytury. Który z lekarzy psychiatrów wydali rozpoznanie gatunku „wariacji” u mojego Dziadka?

Przez jak długi okres czasu i w którym „domu dla obłąkanych” – był tak skutecznie wyleczony, że po powrocie ale do której miejscowości jako „rekompensatę” piastował – był zatrudniony jako kier. szkoły? A więc czy po leczeniu powrócił do Czarnego Potoka czy Siedlec?

Informuję uprzejmie, że w Siedlcach mój Dziadek Jakub, żył dostatnio aż do emerytury i do swojej śmierci w 1927 r.

Swoje bytowanie w Siedlcach nie zawdzięczał żywieniu go przez nauczycielstwo, ale swojej żonie, czyli mojej Babci, której zapobiegliwość i gospodarstwo, które prowadziła, łącznie z pensją miesięczną małżonka Jakuba skutecznie zapobiegało nędzy.

Jako pięcioletnie dziecko zapamiętałam Dziadka jako nobliwego pana zawsze eleganckiego, a w pamięci do dziś dźwięczą mi słowa mojego Ojca, które przy stosownej okazji wypowiadał do swojego liczного potomstwa: „Wiedźcie o tym i zapamiętajcie, że na początku drogi mojego samodzielnego życia wasz Dziadek, Jakub wypowiedział słowa: Władek pamiętaj, bądź biednym, ale prawym człowiekiem”... Pierwszym dzieckiem Jakuba Smula – był Władysław, mój Ojciec (ur. 12.08.1882 r.), który przez całe życie (zm. w 1975 r. w wieku 93 lat) nie odstąpił od tej maksymy przekazanej Władysławowi przez Dziadka Jakuba. Właśnie z małżeństwa syna.) Władysława z Anną Dąbrowską (ślub w 1911 r), wdzięczni pamięci Wnukowie dwaj, księża jezuici swojego Dziadka Jakuba i Jego przeżycia w młodości i krzywdę wyrządzoną przez dwór i księdza z Czarnego Potoka, odprawiali msze w intencji wiecznego spokoju duszy śp. Dziadka Jakuba.

Maria Smul – córka Władysława Smula, Wnuczka Jakuba Smula ur. 8.11.1922r.

Panu Profesorowi

Przesyłam wyrazy wdzięczności i uznania za książkę *Powrót do korzeni*. Nowy – dzięki której mam możliwość przekazać zachowane do dziś, załączone z moim listem do Pana Profesora:

- Wyciąg z księgi ochrzczonych (parafia św. Józefa, Kraków (Podgórze))
- Metryka ślubu – Siedlce
- Ksero domek – wiano mojej Babci, w którym zamieszkało małżeństwo; Jakub Smul z Marią z Nowaków
- Zdjęcie Dziadka Jakuba (wiek emerytalny); w kłapie marynarki odznaczenie za pracę nauczycielską otrzymane w Belwederze od prezydenta Narutowicza
- Zdjęcie mojego Ojca, Władysława S.

Łączę serdeczne pozdrowienia również dla Pani redaktor wydawnictwa

Maria Smul

W odpowiedzi przesłałem Marii Smul 17 stycznia 2013 roku następujące wyjaśnienie:

Kraków, 17 stycznia 2013 r.

Szanowna Pani
Maria Smul
ul. Wieniawskiego 9
33-300 Nowy Sącz

Szanowna Pani,
serdecznie dziękuję za list z 14 stycznia br. i za zawarte w nim informacje na temat Pani Dziadka, Jakuba Smula.

Jak Pani zapewne zauważyła, fragment na temat Pani Dziadka nie pochodzi ode mnie, lecz jest cytatem z *Kroniki Szkoły* w Czarnym Potoku. Napisała go Wiktoria Wiśniewska, nauczycielka i kierowniczka szkoły, o której piszę w szkicu *Wpisana w wiejski pejzaż*. O tym, że jest to cytat, świadczy otwierający i zamykający go cudzysłów. Z tego samego źródła pochodzi też błąd w nazwisku - Szmul, a nie - jak powinno być - Smul.

Dzięki Pani informacjom w następnym wydaniu książki *Powrót do korzeni*. Nowy usunę pomyłkę w nazwisku oraz te fragmenty z cytatu, które - zdaniem Pani - są krzywdzące dla Jej Dziadka, a wiedzę o nim uzupełnię na podstawie przekazu z Pani listu.

Kopie dokumentów dotyczących Pani Dziadka i Ojca prześlę do Zespołu Szkolno - Przedszkolnego w Czarnym Potoku z sugestią, by zachowali je w archiwum szkolnym.

Pozwalam sobie dołączyć dla Pani moją ostatnią książkę *Władysław Orkan. Rozszerzony* z uprzejmą prośbą o przyjęcie.

Łączę wyrazy szacunku i szczerzej wdzięczności za przekazane mi informacje

Bolesław Faron

Adresatka odpowiedziała mi 23 stycznia 2013 r.:

Szanowny Panie Profesorze,

List od Pana przeczytałam z ogromnym wzruszeniem.

Posyłam najserdeczniejsze wyrazy wdzięczności i uznania za zrozumienie moich intencji.

Dzięki Panu Profesorowi opinia o moim Dziadku Jakubie Smulu zyska właściwą ocenę w zapisie *Kroniki Szkoły w Czarnym Potoku*.

Bardzo serdecznie dziękuję za książkę z piękną dedykacją dla mnie.

Okładki tej książki uświadamiają mi, że ponad wiekiem (czasu) mój Dziadek wsłuchiwał się w szum protoplastów tych drzew, na których tle wpatrując się w fotografię Pana Profesora powtarzam w myśli słowa, że: „Zwierciadła szlachetnej duszy żadna moc ziemską nie skruszy”...

Zasylałam serdeczne pozdrowienia

Wdzięczna Maria Smul

Ponieważ nie mogę rychło spełnić złożonej obietnicy, że „w następnym wydaniu książki *Powrót do korzeni*. Nowy usunę pomyłkę w nazwisku oraz te fragmenty z cytatu, które – zdaniem Pani – są krzywdzące dla Jej Dziadka [...]”, gdyż nowej edycji tego tomu na razie nie planuję, postanowiłem opublikować te listy, gdyż poza sprostowaniem ewidentnych błędów, zawierają sporo nowych, nieznanych informacji o tym nauczycielu czarnopotockiej szkoły z końca XIX wieku. Jak już wcześniej wspomniałem, podaję je bez żadnych „udoskonaleń” i w ich autentycznym brzmieniu. Pochodzą bowiem od osoby bliskiej, posiadającej prawdziwą, niekwestionowaną wiedzę o Jakubie Smulu. Myślę, że w ten sposób uda się, choć w części, naprawić krzywdę, wyrządzoną jego pamięci, poprzez upublicznienie kronikarskich zapisków Wiktorii Wiśniewskiej.

Kraków, wrzesień 2014 rok

Suplement do „Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy – wśród centusiów, lata krakowskie”

W numerze 19 Almanachu Łąckiego/2013/, ukazały się moje wspomnienia zamykające rozdział mojego życia – lata krakowskie. Zainteresowanie moimi wspomnieniami okazali nie tylko mieszkańcy Ziemi Łąckiej, ale ku mojemu miłemu zaskoczeniu również w moim otoczeniu spotkałem się z zainteresowaniem znacznie przekraczającym moje oczekiwania. Na ogół podkreśla się, że dobrze oddałem atmosferę tamtych dni, o co najbardziej mi chodziło.

Lista faktów, które opuściłem jest dość długa, często robiłem to jednak świadomie.

Szczerściem nieco skromniej, choć też bogato, prezentuje się lista faktów, które przekręciłem.

Na przykład Antoś Zmuda (obecnie Australia) zaliczył pięć semestrów na UJ, ja przyznałem mu tylko dwa.

Dla przykładu podaję e-maila z 7 lipca 2013, który dostałem od Franka Kajzara, rzeczywiście zrobił olbrzymią karierę, startując z wioski podgórskiej podobnie jak ja.

Fragment tekstu Franka Kajzara:

Z dużym zainteresowaniem czytałem Twoje wspomnienia, a szczególnie tę część, gdzie mówisz o mojej skromnej osobie. Pozwole sobie tylko zwrócić Twoją uwagę na kilka nieścisłości:

1. Nie byłem docentem na AGH, ale adiunktem. Docentem pewnie bym został gdybym wrócił.
2. Nie byłem profesorem w CEA, bo takiej funkcji nie ma w ośrodkach CEA czy CNRS. Zostałem profesorem po przejściu na emeryturę w CEA, na uniwersytecie w Angers. Profesor to funkcja zawodowa. Natomiast w CEA, gdzie założyłem laboratorium optyki nieliniowej, któremu szefowałem dostałem najwyższy stopień naukowy „directeur de recherches”. Było nas 50 nominowanych na prawie 20 tysięcy pracowników, w tym 15 tysięcy naukowych. Więc selekcja była ostra.
3. Nie miałem nagrody Nobla, ale miałem prestiżową nagrodę europejską „descartes’a (tego np. od współrzędnych kartezjańskich) i kilka innych wyróżnień. Jestem też „fellow” SPIE, największego towarzystwa naukowego z optyki (coś 16 tysięcy członków).
4. W Japonii dostałem tytuł przyznawany przez RIKEN „eminent scientist” i trochę pieniędzy przy okazji.
5. W Rumunii pomagam tworzyć laboratorium fotoniki na Politechnice w Bukareszcie, gdzie zresztą jestem Dr. Honoris Causa, jako doradcai ekspert. Finansowanie przez UE.

6. Z Polską miałem i mam bardzo dużo kontaktów i współpracy i to ciągle. Był moment, że moim laboratorium CEA, Francuzi uczyli się polskiego i było słychać głównie polską mowę. Główny powód oczywiście to przyjazd ładnych dziewczyn. Współpraca to UJ, Politechnika Krakowska, Politechnika Wrocławska, Politechnika Warszawska, Instytut Fizyki Molekularnej w Poznaniu, trochę z Uniwersytetem w Toruniu.
7. Wciągnąłem trzy laboratoria z Polski do trzech różnych projektów europejskich, czwarty projekt w drodze (1 z UJ, pochodzi z niego obecny rektor tej uczelni, 1 z Politechniki Wrocławskiej, 1 z Politechniki Łódzkiej a obecny z Politechniki Krakowskiej).
8. Były zachody by ściągnąć mnie do Polski mniej więcej na tej samej zasadzie co jestem w Rumunii, ale na razie nic z tego nie wyszło. Natomiast dostałem propozycję z Moskwy i obietnicę bardzo dużych pieniędzy na zorganizowanie laboratorium. Natomiast mam ciągle propozycje wykładów. Brakuje tylko czasu.
9. Kilka lat temu była propozycja wciągnięcia mnie do PANu w Polsce. Nie przeszła dzięki „poparciu” moich byłych kolegów z UJ, a głównie Białasa; kiedyś mogę Ci coś więcej powiedzieć na ten temat, ale potrzebna będzie butelka, by się nie denerwować gdy się pomyśli jak szmatławi potrafią być pewni ludzie. Ja jestem mniej krytyczny wobec tego co działo się w Polsce za PRL niż Ty. Jedno jest pewne, że ta władza dała możliwość awansu wielu ludziom, głównie ze wsi, m.inn. takim jak my.

Dzisiaj byłoby to znacznie trudniejsze. No i obecny system jest znacznie bardziej skorumpowany i niesprawiedliwy. Nie mówiąc o pladze bezrobocia, działającej jak rak, oraz wyludnianiu się Polski. Mam też wrażenie, że ci co byli za PRL w jakimś stopniu prześladowani, czy niedowartościowani biorą dzisiaj rewanż.

Jak to mawia Wałęsa „są plusy dodatnie i plusy ujemne”.

Pozdrawiam i ściskam bardzo serdecznie Fr.

Ps.

W listopadzie będzie konferencja we Francji, w Biarritz, poświęcona mojemu zaawansowanemu wiekowi. A w grudniu mam konferencję w Nowej Zelandii, której jestem co-prezydentem. Zapraszam serdecznie.

Szanowna Pani Prezes.

Przesyłam moje refleksje związane z pobytem na Pikniku. Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie i składam wyrazy mojego uznania za jego przygotowanie i przeprowadzenie.

Pozdrawiam

S. Pamuła

PIKNIK Z „ALMANACHEM ŁĄCKIM”. Moje refleksje.

„Gdy człowiek się starzeje, choćby los rzucał nim po całym świecie, musi mieć gdzieś miejsce, które jest dla niego prawdziwym domem, bo nawet wędrowny ptak ma jedno miejsce, do którego zdąża”. (Hans Christian Andersen)

Takim magicznym miejscem jest dla mnie Zarzecze w gminie Łącko skąd pochodzę i powracam, mimo, że od dawna nie mieszkam tam na stałe. Dlatego też z wielką przyjemnością wpisałam się do Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. W lipcu tego roku uczestniczyłam w Pikniku zorganizowanym z okazji dziesięciolecia i wydania 20 numeru Almanachu Łąckiego. Ucieszyłam się bardzo zaproszeniem, gdyż miałam okazję poznać ludzi, którzy sławią moją rodzinną ziemię. Znalazłam się wśród nieznanych, a jednak bliskich mi osób, co pozytywnie wpływało na moje samopoczucie, sprawiało, że czułam się jak w domu. Wszystko było mi bliskie i znane. Z wielką przyjemnością słuchałam przemówień, w których przewijały się słowa uznania i szczerze podziękowania kierowane pod adresem organizatorów za ogromny wkład pracy przez całe dziesięciolecie. W prowadzonych rozmowach nie brałam udziału ze względu na nieznane mi osoby, ale z przyjemnością uczestniczyłam w nich jako słuchacz i obserwator. Moje zaciekawienie wywołało również stoisko z wydawnictwami TMZŁ. Szczególnie przypadł mi do gustu „Słowniczek gwary łąckiej”, który otrzymali wszyscy uczestnicy. Znalazłam w nim wiele wyrażen, którymi posługiwałam się niegdyś, a nieużywane i uleciały z pamięci. Słowniczek ów z wielkim zainteresowaniem czytały potem moje wnuki rozrzucone po całym świecie, a nawet prowadziły zabawę pn. ”kto więcej zapamiętał słów używanych przez babcię”, gdy była w ich wieku. Uczestnicy Pikniku mogli również uzupełnić brakujące numery Almanachu, z czego i ja skwapliwie skorzystałam. Potrawy kuchni regionalnej, które z wielkim apetytem zjadałam, próbując wszystkie, przypomniały mi beztrudne lata dzieciństwa. Wpisując się w wystawionej na pikniku Złotej Księdze, zauważyłam wiele ciepłych słów dla p. Jadwigi Jastrzębskiej, prezesa TMZŁ, do których z całego serca się przyłączam.

TAK TRZYMAĆ!!

Stanisława Pamuła

- 01.12.2013 Ukazał się 19 numer Almanachu Łąckiego
- 29.04.2014 Warsztaty-konsultacje społeczne pn.”Proces budowy strategii rozwoju gminy Łącko na lata 2014–2020
- 03.05.2014 Msza św. w intencji strażaków, złożenie kwiatów z okazji Konstytucji 3 maja, pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku. Akademię przygotowali uczniowie Zespołu Szkół im. Św. Kingi w Łącku. W uroczystości wzięli udział: Janusz Klag, wójt, Zdzisław Warzecha przew. Rady Gminy, ks. dr. Janusz Paciorek, proboszcz parafii w Łącku, przedstawiciele OSP, organizacji pozarządowych w tym TMZŁ i ZP/oddział Łącko, mieszkańcy.
- 10.05.2014 Walne zgromadzenie członków TMZŁ, promocja Almanachu Łąckiego nr. 20 i otwarcie wystaw.
- 13.05.2014 XII Gminny Konkurs Ortograficzny zorganizowany przez Szkołę Podstawową w Szczereżu.
- 16.05.2014 Po ulewnych deszczach zniszczenia w Obidzy, Kiczni, Zarzeczu i Zabrzeży – szacowanie strat.
- 02.06. 2014 Dzień Dziecka w gminie Łącko, odbył się w Amfiteatrze na Jeżowej.
- 18.06.2014 Odbyła się XLIV uroczysta sesja absolutoryjna Rady Gminy Łącko, podjęto uchwałę o udzieleniu absolutorium wójtowi gminy Łącko z tytułu wykonania budżetu za 2013 rok. Pozytywną opinię z wykonania budżetu wyraziła Regionalna Izba Obrachunkowa w Krakowie. Prezentację wizualną w zakresie założeń budżetowych, i w ich wykonania przedstawiła Małgorzata Bochenek, skarbnik Gminy Łącko. Rada Gminy jednogłośnie udzieliła absolutorium za 2013 rok, wójtowi Januszowi Klagowi.
- 18.06.2014 Odbyło się zakończenie roku szkolnego w Ognisku Muzycznym, które działa przy GOK w Łącku. W uroczystości wzięli udział wójt gminy Łącko, Janusz Klag.
- 20–22.06.2014 Świętojańskie Dni Młodych w Łącku.
- 22.06.2014 Gminne Zawody Jednostek OSP z terenu Gminy Łącko. Udział wzięły wszystkie jednostki. Najlepszy okazał się zespół OSP z Zagorzyna, który zarówno w kategorii kobiet jak i mężczyzn zajął I miejsce. Gratulacje i nagrody przekazał wójt gminy Łącko, Janusz Klag.
- 27.06.2014 Zakończenie roku szkolnego w gminie Łącko.
- 04.07.2014 Promocja XLII tomu Rocznika Sadeckiego, w Ratuszu, w Nowym Sączu, oraz książki z serii Biblioteka „Rocznika Sadeckiego”, Roberta Tabaszewskiego Adwokaci Nowego Sącza do 1945 roku. Na zakończenie odbył się recital pianistki Rokksany Florczyk, absol-

- wentki Państwowej Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina w Nowym Sączu.
- 24.07.2014 Ulewne deszcze i burze wyrządziły ogromne szkody w infrastrukturze drogowej, zniszczone zostały przepusty, drogi w Maszkowicach, Łącku, Obidzy i Brzynie, zniszczona została droga do Czarnego Potoku.
- 26.07.2014 Piknik z Almanachem Łąckim z okazji 10 lecia wydawania pisma.
- 26–27.07.2014 Zespół Regionalny „Górale Łąccy” im. Marii Chwalibóg, wziął udział w 45 Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Żywcu, który organizowany jest w ramach Tygodnia kultury Beskidzkiej. W festiwalu wzięło udział 35 członków zespołu oraz Kapela. Przedstawili w ramach konkursu 30 minutowy program „Sianokosy”, który bardzo podobał się publiczności, ale nie znalazł uznania wśród jurorów.
- 01.08.2014 Obchody 70lecia Powstania Warszawskiego w Łącku pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, mieszkańcy zapalili znicze i złożyli wiązanki kwiatów. Nowym organistą w parafii łackiej, po przejściu Jna Gorczowskiego na emeryturę, został Marcin Wnęk, absolwent LO w Łącku.
- 04.08.2014 Nawałnice z deszczem i gradem, które przeszły nad gminą Łącko, wyrządziły duże szkody w sadach i uprawach. Sadownicy i rolnicy mogą się ubiegać o pomoc materialną w ramach programów UE, preferencyjne kredyty w ARiMR oraz o pomoc socjalną w Gminnym Ośrodku Pomocy Społecznej w Łącku.
- 05.08.2014 Zmarł radny gminy Łącko i sołtys z Woli Kosnowej śp. Stanisław Duda.
- 13–17.08.2014 W Bukowinie Tatrzańskiej odbyły się 48 Sabałowe Bajania. Łącko reprezentowały: Natalia Bandyk i Emilia Talar. Sabałowe Bajania odbywały się w ramach Festiwalu Folkloru Polskiego – Konkurs Gawędziarzy, Instrumentalistów, Śpiewaków, Drużbów i Starostów Weselnych. Natalia Bandyk zajęła II miejsce w kategorii instrumentalistów. Emilia Talar zajęła II miejsce w kategorii śpiewaków, I miejsca nie przyznano.
- 15.08.2014 Pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej złożyło kwiaty i zapaliło znicz z okazji 94 rocznicy Bitwy Warszawskiej. 15 sierpnia jest też dniem Święta Wojska Polskiego – Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Święto ustanowił Sejm RP ustawą z dnia 30 lipca 1992 roku. Obchodzone jest od 13 sierpnia 1992 roku.
- 15.08.2014 Odbył się II Festyn pod hasłem „Razem możemy więcej” w Zarzeczu. Festyn zorganizowany został przez Radę Sołecką, sołtysa wsi Zarze-

cze, Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rozwoju Wsi Zarzecze oraz Dyrektora Szkoły Podstawowej w Zarzeczcu.

- 24.08.2014 Festyn Parafialny w Jazowsku rozpoczęła msza św. o godz. 14.00 w Kościele parafialnym w Jazowsku. Po mszy wszyscy przeszli na obiekty klubu sportowego BUDOWLANI, miejsce w którym odbył się festyn. Uroczystego otwarcia dokonał ks.proboszcz Mirosław Papier i wójt gminy Łącko Janusz Klag.
- 01.09.2014 Uroczyste, wojewódzkie rozpoczęcie roku szkolnego 2014/2015 w Zespole Szkolno – Gimnazjalnym w Łącku. Oddanie do użytku budynku Gimnazjum w Łącku.
- 04.09.2014 W sali obrad Urzędu Gminy Łącko, odbyło się posiedzenie rozszerzonej Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego Rady Gminy Łącko. Głównym tematem posiedzenia były sprawy bezpieczeństwa, po wydarzeniach z dnia 30 sierpnia 2014 roku na drodze wojewódzkiej w Maszkowicach, które spowodowali mieszkańcy osiedla romskiego w Maszkowicach. W posiedzeniu Komisji udział wzięli: Janusz Klag, wójt gminy Łącko, nadinspektor Mariusz Dąbek, Komendant Wojewódzkiej Policji w Krakowie, inspektor Marek Rudzik, Komendant Miejskiej Policji w Nowym Sączu, przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie oraz przedstawiciele społeczności romskiej z Maszkowic. Mariusz Dąbek zapowiedział „Zero tolerancji” dla naruszania prawa przez wszystkich obywateli w tym także Romów. Poinformował o przywróceniu działalności całodobowego Posterunku Policji w Łącku i skierowaniu 6 policjantów, którzy będą pilnowali porządku w gminie. Lider społeczności romskiej Robert Szczerba przeprosił za zachowanie swoich ziomków. Po posiedzeniu Komisji odbyła się konferencja prasowa mediów z całej Polski.
- 21.09.2014 Owocobranie w Łącku, to tradycyjna impreza regionalna, która prezentuje dorobek kulturalny, sadowniczy oraz poszczególnych sołectw Gminy Łącko. Rozpoczęła to święto góralska msza św. w intencji sadowników, mieszkańców i gości. Z kościoła w korowodzie przemarszerowano do Amfiteatru na Jeżowej. Oprócz wójta Janusza Kłaga, głos zabrał także Wojewoda Małopolski Jerzy Miller. W części artystycznej zaprezentowała się m.in. Orkiestra Dęta OSO z Ochotnicy Górnej, Małe Łącko, Mali Zagórzanie, Czarny Potoczek, Górale Łąccy. Obchody Święta Owocobrania zakończyła zabawa taneczna.
- 04.10.2014 Mszą świętą w Kościele Parafialnym w Łącku, rozpoczęły się obchody 10-lecia Warsztatów Terapii Zajeciowej w Czarnym Potoku. WTZ prowadzone są przez Stowarzyszenie „Dolina Dunajca” z Łącka. Święto obchodziło 30 uczestników zajęć i ich rodziny. Wśród zaproszonych gości znalazł się Jan Dziedzina, radny powiatowy, Janusz Klag, wójt gminy Łącko, Zdzisław Warzecha, przewodniczący Rady

Gminy Łącko, ks. Proboszcz Janusz Paciorek. Uroczystości jubileuszowe miały miejsce w remizie OSP w Łącku. W części artystycznej wystąpili uczestnicy WTZ i soliści z Gliwickiego Teatru Muzycznego.

- 12.10.2014 Pogrzeb śp. Antoniego Golonki z Kadczy, członka Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej od 1987 roku. Antoni Golonka miał 93 lata, został pochowany na cmentarzu w Jazowsku.
- 13.10.2014 Dzień Edukacji Narodowej. Podczas apelu w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Jazowsku, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, Jadwiga Jastrzębska, wręczyła uczniowi Gimnazjum, Mariuszowi Tokarczykowi, jednorazowe stypendium w wysokości 500 zł. Stypendium przyznawane jest z okazji Dnia Papieskiego.
- 15.10.2014 Z okazji Dnia Edukacji Narodowej, wójt gminy Łącko, Janusz Klag, przyznał nagrody dyrektorom i nauczycielom szkół podstawowych i gimnazjów z terenu gminy. Wręczył listy gratulacyjne, dyplomy, kwiaty i nagrody pieniężne.
- 16.10.2014 W związku z przypadającym XIV Dniem Papieskim, GOK w Łącku, zorganizował Międzyszkolny Konkurs Plastyczny Jan Paweł II – Świętymi Bądźcie. Wystawę pokonkursową można obejrzeć w hali sportowo – widowiskowej w Łącku.
- 03.11.2014 Msza święta, w Kościele Parafialnym w Łącku, za zmarłych członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.
- 04.11.2014 39 par małżeńskich obchodziło jubileusz 50-lecia pożycia małżeńskiego. Wójt Janusz Klag wręczył Jubilatom przyznany przez Prezydenta RP „Medal za długoletnie pożycie małżeńskie” i złożył życzenia długich lat wspólnego pożycia i zdrowia.
- 11.11.2014 Pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, władze samorządowe, organizacje i stowarzyszenia pozarządowe, mieszkańcy i młodzież, złożyli wiązanki kwiatów i zapalili znicze, z okazji 96 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, po 123 latach zaborów.
- 16.11.2014 Wybory samorządowe w Gminie Łącko.

1. Od redakcji	str. 3
2. Bolesław Faron – Powrót do korzeni – Ciotka Ludwika	str. 4
3. Józef Myjak – Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy	str. 12
4. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny łąckich Chwalibogów cz. XI	str. 69
5. Marcin Wnęk – Wspomnienie o Franciszku Kurzeji z Kiczni	str. 85
6. Zdzisław Rdzawski – Z Łącka w świat...	str. 92
7. ks. Henryk Majkrzak – Gruzja bliska naszym sercom	str. 124
8. Stefan Pasoń – Czterdzieści lat minęło...	str. 140
9. Jadwiga Jastrzębska – Archiwalia	str. 155
10. Jabłko łąckie na znaczku Poczty Polskiej	str. 158
11. Ryszard Jastrzębski – Z domowego archiwum	str. 162
12. Jadwiga Jastrzębska – Zatrzymane w kadrze	str. 164
13. Bolesław Faron – Piękno naszej ziemi	str. 168
14. Karolina Tolka – Wystawa „Fotografia komputerowa” Andrzeja Urbańca	str. 169
15. Marcin Wnęk – Wiersze	str. 174
16. Irena Lesiak – Wiersze	str. 177
17. Barbara Faron – Recenzja książki „Jerzy Harasymowicz. Poeta Krakowa, Bieszczadów i Sądecczyzny”	str. 179
18. Jan Dziedzina – Pro memoria – ku pamięci Stanisława Dudy	str. 182
19. Rozalia Kulasik – II Festyn Stowarzyszenia Wspierania Edukacji i Rozwoju Wsi Zarzecze	str. 184
20. Irena Owsianka – Fundacja Rozwoju Gminy Łącko	str. 187
21. Jadwiga Jastrzębska – 25 lat po wyborach 4 czerwca 1989 roku	str. 192
22. Rynek w Łącku 1912-2014 – fotoreportaż (redakcja)	str. 194
23. Jadwiga Jastrzębska – Promocja XLII tomu Rocznika Sądeckiego	str. 198
24. Rozalia Kulasik – Jubileusz „Almanachu Łąckiego”. Rozmowa z Jadwigą Jastrzębską, Prezesem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej	str. 199
25. Jadwiga Jastrzębska – Wojewódzkie rozpoczęcie roku szkolnego 2014/15 w Łącku	str. 207
26. Krzysztof Chwalibóg – Kongres UIA w Durban	str. 212
27. Katarzyna Kucharska – Cmentarze choleryczne	str. 216
28. ks. Tomasz Janik – Święto Niepodległości 11 listopada 2014 roku w Łącku	str. 218
28. Listy, polemiki, sprostowania	str. 221
Bolesław Faron – Glossa do książki „Powrót do korzeni”	str. 221
Józef Myjak – Suplement do „Spod Gorców w świat centusiów...”	str. 225
List Stanisławy Pamuła	str. 227
29. Kalendarium	str. 228
30. Spis treści	str. 232